MOC CZYTANIA NA ŚWIĘTA WIELKIEJ NOCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Kraków 9 kwietnia 2023
nr 15 (3848)
cena 15 zł
(w tym 8% VAT)
Katolickie pismo
społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Albatros travel

Zeskanuj kod QR i dowiedz się więcej

Włoskie Wybrzeże Adriatyku – od Ravenny po San Marino

„Najpiękniejsze miasto Włoch", średniowieczne zamki, bizantyjskie kościoły, skarby UNESCO i zachwycające krajobrazy wzdłuż włoskiego wybrzeża Adriatyku.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Bolonia. Przekroczenie Rubikonu i przyjazd do hotelu w Bellarii. **Dz. 2** Riviera del Conero z miasteczkiem Sirolo, podziemne korytarze w Osimo i wizyta w winnicy. **Dz. 3** Bizantyjska Rawenna i wspaniałe mozaiki wpisane na listę UNESCO. **Dz. 4** Wycieczka fakultatywna do renesansowego miasta Urbino (dodatkowo płatna). **Dz. 5** Wizyta na targu w Rimini i nadmorskie miasteczko Cattolica. **Dz. 6** Republika San Marino i piękne miasteczko San Leo. **Dz. 7** Dzień wolny do własnej dyspozycji. **Dz. 8** Przelot z Bolonii do Polski.

8 dni | Wylot z Warszawy 09/05, 05/10 2023

4.998,-

Uzbekistan – na Jedwabnym Szlaku

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Polski do Uzbekistanu. **Dz. 2** Przylot do Taszkentu. Zwiedzanie miasta oraz polskiego kościoła. **Dz. 3** Taszkent – Chiwa. Przelot do Urgencz, miejsca narodzin Anny German oraz zwiedzanie starówki Chiwy, Ichan Kala. Czas wolny. **Dz. 4** Chiwa – Buchara. Przejazd szybką koleją i zwiedzanie miasta, występy wieczorne i stara, miejska medresa. **Dz. 5** Buchara. Zwiedzanie miasta, twierdza Ark, Minaret Śmierci i bazar Toqi Sarrofon. **Dz. 6** Buchara. Wycieczka do Bahouddin Nakshbandi i mauzoleum Chor-Bakr oraz pałacu letniego Sitorai-Mokhi-Hossa. **Dz. 7** Buchara – Shakrisabz – Samarkanda. Miejsce narodzin Timura Lenka, Shakrisabz i przyjazd do Samarkandy. **Dz. 8** Samarkanda. Zwiedzanie miasta oraz placu Registan, Grobowca Emira i meczetu Bibi Khanum. **Dz. 9** Przelot Taszkent – Warszawa.

9 dni | Wylot z Warszawy 03/10 2023

8.998,-

Opera w Savonlinnie

Romeo i Julia & Cyrulik sewilski

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Helsinki. Przejazd do Savonlinny przez piękną krainę tysiąca jezior. **Dz. 2** Savonlinna. Zwiedzanie miasta oraz opera "Romeo i Julia". **Dz. 3** Savonlinna. Rejs statkiem po jeziorze Saimaa, lokalny targ i spektakl operowy "Cyrulik sewilski". **Dz. 4** Savonlinna – Punkaharju – Parikkala – Imatra – Porvoo – Helsinki. Wyjątkowy park rzeźb, najsłynniejsze wodospady w Finlandii i małe urokliwe wioski (ok. 400 km). **Dz. 5** Helsinki. Zwiedzanie miasta i czas wolny. **Dz. 6** Helsinki. Transfer na lotnisko i podróż powrotna do domu.

6 dni | Wylot z Warszawy 16/07 2023

6.798,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: TP08

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

REKLAMA

KS. ADAM

Boniecki: *Wielkanoc 2023*

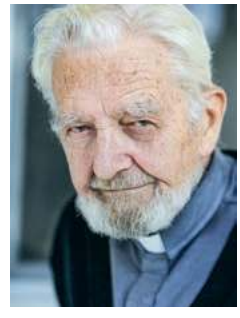

Przeżywanie Wielkanocy jest przeżywaniem wiary chrześcijańskiej, także tradycji, jest też po prostu obyczajem. Kiedy czytam, że być może wszystko wymyślili jacyś ludzie, którzy nie wierzyli w zmartwychwstanie Jezusa, że opowiedzieli to wszystko tak, żeby z jednej strony było wiadomo, że to opowieść i nic więcej, z drugiej zaś tak, żeby jednak przyjęto ich opowieść jako relację o faktach – kiedy więc to czytam, zdumiewa mnie z jednej strony łatwowierność słuchaczy, którzy mieli dostęp do świadków, a z drugiej podziwiam geniusz opowiadaczy, którzy pozostawiwszy tyle przestrzeni sprawom niewyjaśnionym, niewidzianym przez nikogo, jednym słowem dziwnym, nie mieli z tym kłopotów. Nie mieli w tym sensie, że wiadomość się rozeszła i przetrwała mimo całego ładunku nieprawdopodobieństwa. Zresztą, powiedzmy to za licznymi autorami, fenomen Jezusa z Nazaretu jest czymś na tyle zaskakującym, że autorzy (bynajmniej nie duchowni ani nawet religijni) ze zdumieniem milkną. Czytam niedawno wydaną w Polsce książkę „Po Jezusie. Pierwsze wieki chrześcijaństwa" (wielu autorów, wstęp Joseph Doré, posłowie Marcel Gauchet). Czytam, żeby zobaczyć, jak patrzą na fenomen Jezusa i jego religii ludzie, którzy profesjonalnie zagłębili się w pierwsze dwa stulecia jej dziejów. Ich dyskrecja i powściągliwość dają do myślenia.

Wielkanoc, jakkolwiek się kształtowała jej liturgiczna oprawa, jest świętem starym jak chrześcijaństwo. Oczywiście, inaczej to wyglądało w pierwszych dwóch wiekach, inaczej później. Można wręcz zaryzykować tezę, że do sposobu rozmaitych świętowań dostało się wiele elementów niekoniecznie chrześcijańskich – lepiej albo gorzej „ochrzczonych". Dwa tysiące lat to sporo czasu i trudno było się ustrzec przed przenikaniem się zwyczajów i kultur. Zresztą, po co? Czy one chrześcijaństwu szkodzą? Stulecia trwania, rozmaitość kultur, wzajemne przenikanie się *sacrum* i *profanum* sprawiły, iż święte i nieświęte tak się wymieszało, że dziś nie zawsze jest jasne, co do której kategorii należy, co jest święte, co nieświęte czy nawet bezbożne.

Jestem człowiekiem starym. Na własnym przykładzie widzę, jak postępuje proces oczyszczania religijności. Niespecjalnie mi się przydadzą na tamtym świecie obrazy z życia. Jeśli jest jakieś istnienie duchowe po śmierci, to musi ono być zupełnie inne aniżeli istnienie materialne, znane z doświadczanej doczesności. Nie wiem, jakie, i to mi specjalnie nie przeszkadza. Żyję dostatecznie długo, żeby się pogodzić z istnieniem bytów i stanów nieznanych. Wiem, jak wygląda śmierć, nie wiem, jak wygląda bytowanie tam, po drugiej stronie, i tego mi (o dziwo) nazbyt nie brakuje. Wystarczy pewność, że jest.

Czy samo chrześcijaństwo idzie po myśli Chrystusa? Myślę, że On się o to troszczy, a ludzie kombinują: ulepszają jedni, pogarszają drudzy. Efekt jest znany, zresztą także pozytywny, choć obecnie wszystko zdaje się negatywne, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Ale nadal są ludzie święci, zresztą niekoniecznie kanonizowani. Jak zawsze byli, nadal są, na szczęście dla nas, ludzi słabej wiary.

Wielkanoc jest pięknym świętem, w nim bowiem czcimy coś, czego kompletnie nie znamy, nikt przecież spośród naszych znajomych z martwych nie powstał. Opis tego, co się wydarzyło, jest pełen luk i wręcz miejscami sprzeczny, co budzi zaufanie, bo takie właśnie są autentyczne ludzkie opowieści. Zasadniczy komunikat jednak nie podlega kwestii: zabity na krzyżu Jezus nadal żyje. Nad tym nie będę się rozwodził. Raczej mógłbym pisać o liturgii tych dni, gdyby już lepiej i wnikliwiej o niej tu nie pisano. Jest ona oczywiście dziełem ludzi postawionych na ostatnich skrawkach ziemi. Tam, gdzie słowa się kończą, zaczyna się inny sposób istnienia.

Dziś, jak tyle razy w przeszłości, liturgię i medytację Wielkiego Tygodnia zagłusza szczęk broni. Poważnie się spieramy, piszemy o ważnych przecież sprawach, a to wszystko blednie, gdy podniesiemy wzrok i dostrzeżemy, jak tuż za naszą granicą ludzie prowadzą śmiertelnie poważną wojnę o wolność i ludzkie prawa. Gdy myślimy o naszym zaangażowaniu w tę wojnę, o ruinach, o rannych i zabitych, o uciekinierach, jednym słowem o tym, co się dzieje w Ukrainie, wszystko staje się nieskończenie mniejsze.

Życzę nam wszystkim końca tej wojny, końca, którego pragną mieszkańcy Ukrainy. Rosjanom i walczącym po ich stronie także życzę pokoju. Cóż, święto Zmartwychwstania jest świętem rzeczy niemożliwych, które się jednak wydarzyły. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

Weź „Tygodnik" na Majówkę!

Po pierwsze: pisz ręcznie | Życie rośnie na działkach | Ekspansja Michała Archanioła
Sudety – głębia gór | Komu gra Hania Rani | Nowe życie neonów | Gitara – elegia na odejście

Podwójne, odświętne, wiosenne wydanie „Tygodnika" na Majówkę już **od 26 kwietnia** w najlepszych miejscach z prasą **– weź, czytaj!**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WIELKANOC

12 Powrócił do życia
ROZMOWA Z O. SZYMONEM HIŻYCKIM:
Zmartwychwstając, Jezus nie oglądał się wstecz

16 Świt o zmierzchu
PIOTR SIKORA
Wielkanocna opowieść jest o tym, że życie mamy w sobie

18 Złoto jest ciemne
STEFAN CHWIN
Ikony mówiły stanowczo: cierpienie jest drugorzędne wobec Zbawienia. Jak to się ma do realiów politycznych Rosji?

26 Dyszka dla Jezusa
MATEUSZ POJNAR
Ateiści, wątpiący, wierzący – w czasie Biegu do Pustego Grobu czują wspólnotę

28 Rzuć wszystko i jedź w Monti Lepini
EDWARD AUGUSTYN
Zakończmy święta pasquettą w jednej z tawern Bassiano. I lekturą Wergiliusza

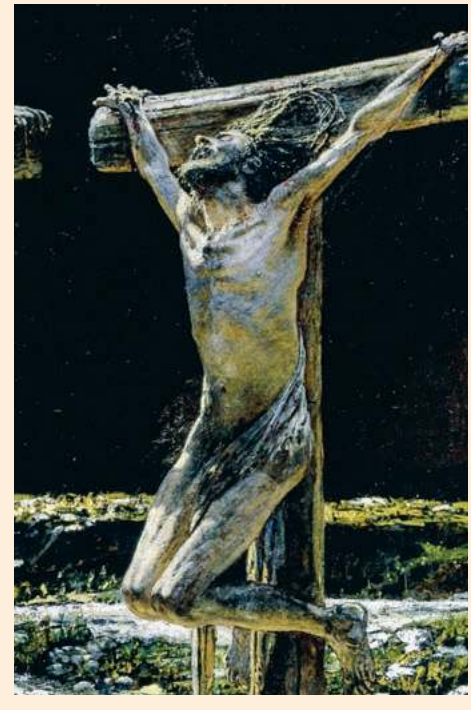

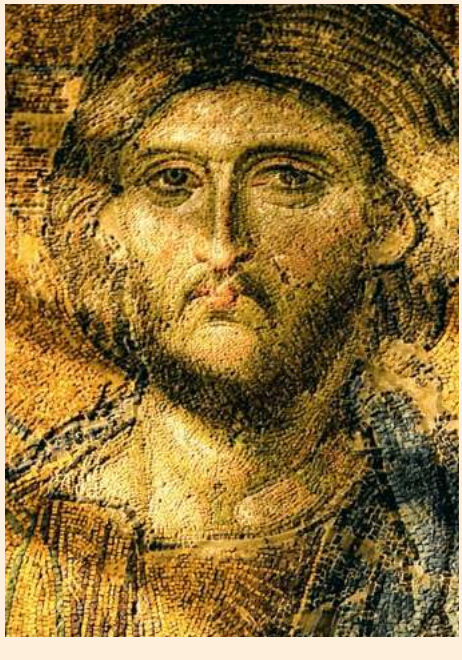

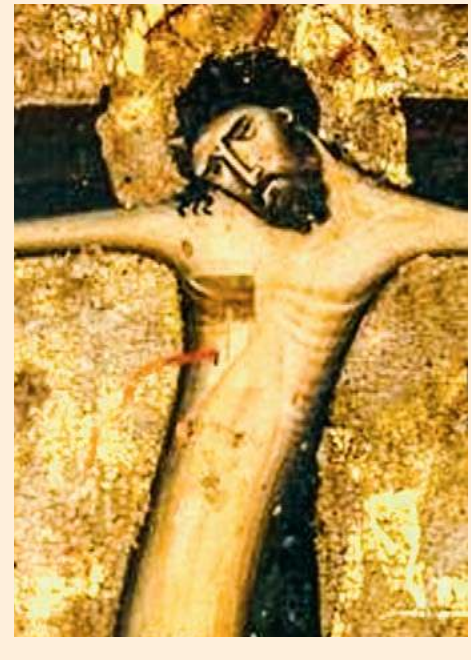

KAROL PORWICH / EAST NEWS // MUSÉE D'ORSAY / BE&W // MUZEUM W MESTII / DOMENA PUBLICZNA // ALBUM / PRISMA / EAST NEWS

OGŁOSZENIE

W tym czasie głębokich duchowych przeżyć i wielkich ludzkich nadziei łączymy się ze wszystkimi Klubowiczami, Redakcją „Tygodnika" i uczestnikami naszych spotkań i zapraszamy do Klubów po świętach Wielkiej Nocy oraz na stronę ***klubtygodnika.pl.***

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

Kluby Tygodnika Powszechnego

6 Dylemat ukraińskiej kontrofensywy
WOJCIECH PIĘCIAK

7-11 Obraz tygodnia

32-33 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

34 Czerwony puzzel
JACEK GĄDEK: *Na drodze Lewicy staje dziś nie tyle Kaczyński, co Tusk z Trzaskowskim*

38 Zakład wyborczy
MAREK BIEŃCZYK: *Matematyka wskazuje dwa warianty, ale tylko jeden – wspólna lista – ma moc wyzwolenia wiary*

38 Człowiek drogi
MAREK RABIJ: *Emil Wąsacz, jedyny polityk, który w III RP stanął przed Trybunałem Stanu, idzie na emeryturę*

42 Sami we dwoje
MAŁGORZATA NOCUŃ: *Rozmowa prowadzona przez komunikatory wypiera tradycyjną*

REPORTAŻ

46 Nowe życie
EWELINA BURDA

ŚWIAT

50 Wielu przyszło ci zabić?
ARTEM CZAPAJ: *Co mówią zwykli ukraińscy żołnierze*

53 Pacyfista z karabinem
PAWEŁ PIENIĄŻEK: *Kim jest Artem Czapaj*

54 Rosjanie pod Warszawą
FILIP RUDNIK: *W Polsce znaleźli schronienie rosyjscy emigranci polityczni*

57 Europejski sen Ismaila
PAULINA MAŚLONA: *Nieletni imigranci urządzają sobie nowe życie w Hiszpanii*

60 Smutne święto Pesach
OFER ADERET: *Nowa odsłona politycznego kryzysu w Izraelu*

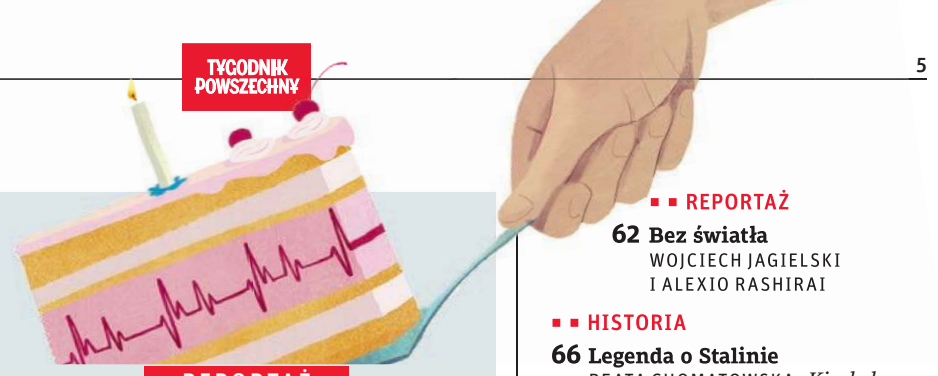

JOANNA RUSINEK

REPORTAŻ

46 Nowe życie
EWELINA BURDA
Urodziny po przeszczepie, nowy najważniejszy dzień w roku

62 Bez światła
WOJCIECH JAGIELSKI I ALEXIO RASHIRAI
W najbogatszym państwie Afryki zabrakło prądu

Z ODDECHEM

94 Barcelona Babel
MICHAŁ OKOŃSKI
We współczesnej piłce wszystkie drogi prowadzą do stolicy Katalonii. Na dobre i złe

ZMYSŁY

118 Przygód kilka
ANNA GOC
Wróble nie wywołują tylu emocji, co inne ptaki. Niesłusznie

DODATEK

79 WIELKANOCNY WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

FELIETONY

45 TOMASZ STAWISZYŃSKI **61** WOJCIECH BONOWICZ
71 JACEK PODSIADŁO
116 OLGA DRENDA **117** PAWEŁ BRAVO
122 STANISŁAW MANCEWICZ
122 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
CHRYSTUS W MAJESTACIE (FRAGMENT), OŁTARZ SĄD OSTATECZNY, BEAUNE, FRANCJA, 1443 R.
AUTOR: ROGIER VAN DER WEYDEN / BE&W

Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

REPORTAŻ

62 Bez światła
WOJCIECH JAGIELSKI I ALEXIO RASHIRAI

HISTORIA

66 Legenda o Stalinie
BEATA CHOMĄTOWSKA: *Kim był człowiek o tym samym imieniu i nazwisku co dyktator z Kremla?*

NAUKA

72 Marzenie pierwszego cesarza
MICHAŁ GIKOWSKI: *Najbogatsi wydają miliardy na poszukiwanie eliksiru młodości*

74 Siedem kroczków ku wieczności
ŁUKASZ LAMŻA: *Za kulisami badań nad długim życiem*

Z ODDECHEM

94 Barcelona Babel
MICHAŁ OKOŃSKI

KULTURA

100 Obumieranie
RYSZARD KOZIOŁEK: *Obchodzi mnie przyszłość Ewangelii*

105 Dziesięć zielonych jabłek
JAN BŁASZCZAK: *Amerykańskie sukcesy łemkowskich pieśni*

108 Wyśnić delikatny świat
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Jak rozwija się teatr osób z niepełnosprawnością intelektualną*

110 Deficyty wyobraźni
ROZMOWA Z DUBRAVKĄ UGREŠIĆ: *Katastrofy dostrzegamy dopiero po fakcie, gdy odczuwamy ich skutki*

114 Żywe oczy
ANITA PIOTROWSKA *o Krzysztofie Globiszu i „Prawdziwym życiu aniołów" Artura W. Barona*

115 Historia choroby
LEKTOR *o książce „Rozkład. O niedemokracji w Ameryce" Piotra Tarczyńskiego*

ZMYSŁY

118 Przygód kilka
ANNA GOC

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL /TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

Za co Zulusi lubią Putina [Strona Świata]
Putin, ścigany listami gończymi Trybunału w Hadze, wybiera się w sierpniu do RPA. Dlaczego nie boi się aresztowania? – tłumaczy WOJCIECH JAGIELSKI | TygodnikPowszechny.pl/stronaswiata

Nie jesteś szmatą
W drastycznym przedstawieniu w trakcie rekolekcji w Toruniu doszło do etyczno-religijnej aberracji – pisze PIOTR SIKORA
powszech.net/torun

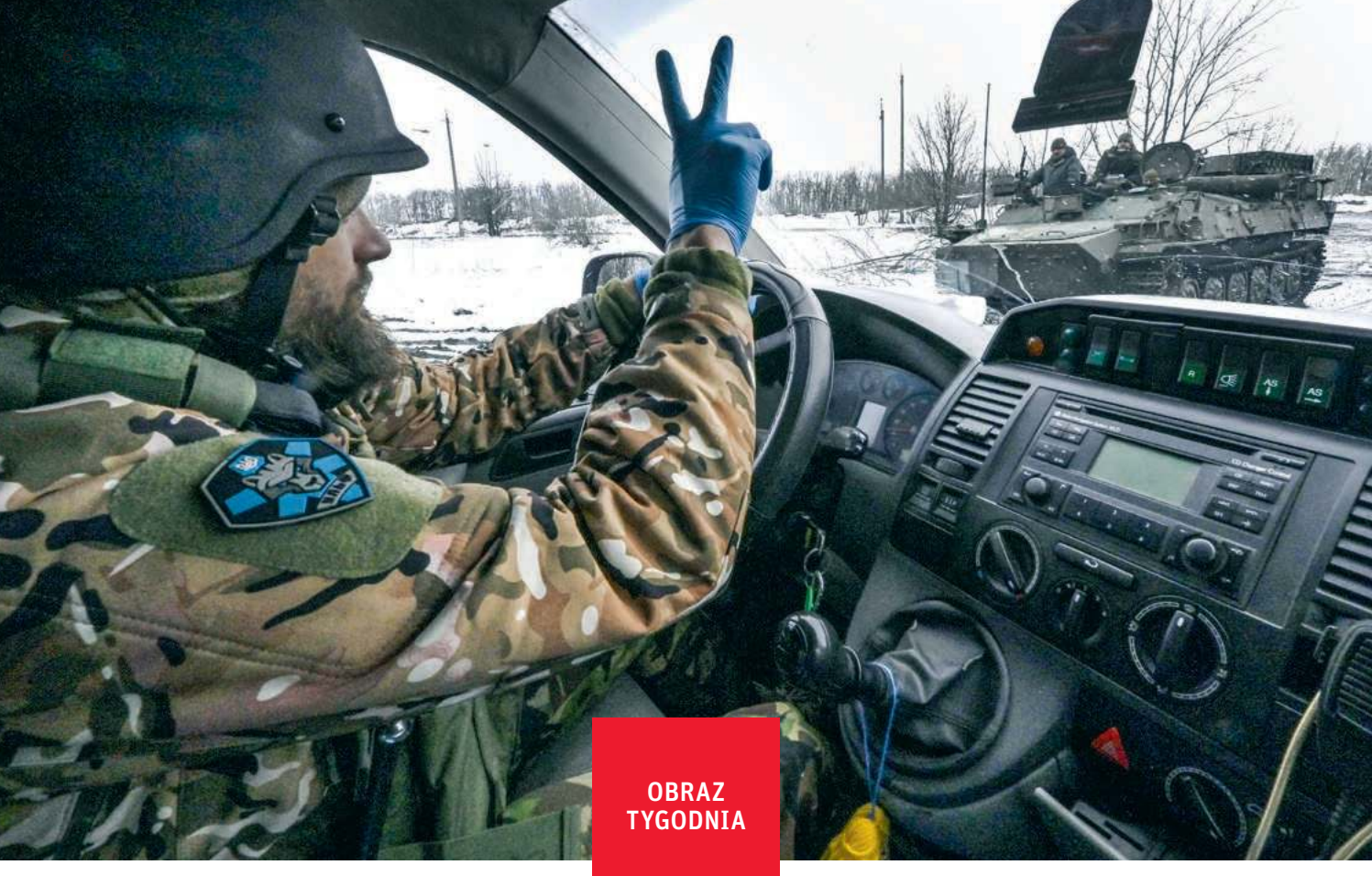

OBRAZ TYGODNIA

DYLEMAT UKRAIŃSKIEJ KONTROFENSYWY

Kijów jest pod presją: własne społeczeństwo i Zachód oczekują, że armia zrobi wreszcie użytek z otrzymanej broni i spektakularnie pobije Rosjan. Czy to dziś realne?

WOJCIECH PIĘCIAK Z KRAMATORSKA (OBWÓD DONIECKI)

Zmęczenie widać po twarzach, nawet jeśli w rozmowie okazują optymizm. Także po twarzy tego oficera służb medycznych – jednego z tych, którzy odpowiadają za szpitale polowe w obwodzie donieckim, gdzie od miesięcy krwawią także obrońcy. Od naszego pierwszego spotkania, w grudniu 2022 r., posiwiał, pogłębiły mu się bruzdy na twarzy. – Gdy to się skończy, pojadę w świat jako lekarz-wolontariusz – obiecuje sobie, kiedy widzimy się kolejny raz, by przekazać mu przywieziony sprzęt medyczny (to już dziesiąty wyjazd na Ukrainę w ramach prowadzonej od jesieni „Tygodnikowej" akcji).

Zmęczenie jako zjawisko społeczne – nie ma badań mierzących jego poziom. Sondaże krążą wokół wiary w zwycięstwo. W badaniu Centrum Razumkowa z przełomu lutego i marca 93 proc. pytanych odparło, że w nie wierzy (w tym połowa, że dokona się w tym roku). Bojowość bije z billboardów. „Przekuj gniew w oręż" – wzywają, by wstąpić do Gwardii Szturmowej, nowej formacji. Jednak, jak słyszymy, nabór idzie jak po grudzie. Władze twierdzą, że jest dość chętnych, by formować planowane brygady. Można jednak odnieść wrażenie, iż część z nich to nie nowi ochotni-

Sanitariusz batalionu „Wilki Da Vinciego" (nazwanego tak na cześć poległego niedawno dowódcy o pseudonimie „Da Vinci") ewakuuje rannych spod Bachmutu, 1 kwietnia 2023 r.

cy, dotąd cywile, lecz mundurowi przeniesieni do Gwardii z innych jednostek. Niewielu ochotników zgłasza się też do zwykłych komisji wojskowych. Właściwie – nikt. Najwyraźniej kto miał to uczynić, już to zrobił. Ci, których pobór omija, raczej z niepokojem wypatrują „powistki". Gdyby ich spytać, odparliby pewnie, że wierzą w zwycięstwo. Ale, jak widać, niekoniecznie z ich udziałem.

Gwardia Szturmowa, głoszą plakaty, weźmie udział w kontrofensywie, która wyzwoli okupowane ziemie. Kijów obiecuje ją od dawna. Mówią o niej też politycy zachodni. Jest wyczekiwana. Także jako narzędzie, które może skłoni Moskwę do ustępstw. Jednak ostatnio po stronie ukraińskiej więcej jest jakby schładzania oczekiwań – jak np. szefa MSZ, który ostrzega, by nie traktować kontrofensywy jak jednej bitwy, która rozstrzygnie wszystko.

Takie redukowanie presji, by za sprawą dostarczonego przez Zachód sprzętu podjąć w końcu spektakularne przeciwuderzenie – byłoby czymś roztropnym. Bo aby kontratakować, trzeba broni. Tymczasem policzmy np. czołgi. Ogłoszona przez Niemcy „koalicja pancerna" to blamaż: z całej Europy zebrano niespełna 90 wozów produkcji zachodniej (28 challengerów i 60 leopardów; Niemcy dały ich raptem 18). Razem z nową dostawą z Polski (60 czołgów typu T-72 i PT-91; łącznie Polska oddała ich ponad 300) daje to jedynie pięć batalionów pancernych. Nieco tylko lepiej rzecz wygląda z bojowymi wozami piechoty.

Wobec skali wojny – według Ukraińców Rosja straciła dotąd 3,6 tys. czołgów; zachowawcze szacunki podają liczbę 1,8 tys. (nadal wszak ogromną) – to garstka. Za mało, by myśleć o przełamaniu rosyjskich pozycji. Te, jak twierdzą eksperci, są silne: na spodziewanych kierunkach ataku, w obwodach ługańskim i zaporoskim (geografia nie daje tu Ukraińcom dużego wyboru), zdjęcia satelitarne mają pokazywać uszykowane głęboko linie obronne i pola minowe.

Gdy na froncie trwa krwawy impas – Rosja nie może wygrać (tj. zniszczyć niepodległej Ukrainy), ale nie może też wygrać Ukraina (jeśli zwycięstwo to wyzwolenie ziem okupowanych, choćby tych utraconych po 24 lutego 2022 r., nie mówiąc już o Krymie) – wizja jednej bitwy, która wszystko rozstrzygnie, jest kusząca. Ale kontrofensywa, rozpoczęta pod presją zbyt słabymi siłami, może skończyć się katastrofą. Lepszy już stan obecny, tj. wojna na wyczerpanie. Nawet jeśli też nie jest wolny od ryzyka – i powoduje potworne zmęczenie. ©℗

GENYA SAVILOV / AFP / EAST NEWS

SŁAWOMIR MATUSZAK, ANALITYK OŚRODKA STUDIÓW WSCHODNICH:

Zboże pod specjalnym nadzorem

MAREK RABIJ: Janusz Wojciechowski, komisarz UE ds. rolnictwa, nie wyklucza przywrócenia zniesionego przed rokiem cła na zboża z Ukrainy. Czy mamy do czynienia z pierwszym poważnym zgrzytem w relacjach Brukseli z Kijowem?

SŁAWOMIR MATUSZAK: To zbyt mocna teza. Z pewnością mamy jednak do czynienia z rozbieżnymi interesami, zarówno samej Unii i Ukrainy, jak i poszczególnych krajów członkowskich w odniesieniu do Kijowa. W Europie są kraje takie jak Węgry, Rumunia czy Polska, zbożowo praktycznie samowystarczalne, oraz Hiszpania, która jest jednym z największych importerów w Unii.

OSW

Z perspektywy państw graniczących z Ukrainą napływ dużej ilości zboża ze wschodu oznacza kłopoty. Rodzimi producenci odczuwają presję cenową, a to implikuje także problemy polityczne.

Dla reszty Europy tzw. kwestia zboża z Ukrainy sprowadza się natomiast do jego dostępności. Francja czy Niemcy nie muszą kupować go bezpośrednio od Kijowa, ale są zainteresowane tym, żeby nie dochodziło do zakłóceń dostaw. Zeszłoroczne polityczne zabiegi o udrożnienie eksportu przez Morze Czarne miały na celu właśnie zbicie cen zbóż na rynkach międzynarodowych poprzez ustabilizowanie jego podaży.

Korytarz czarnomorski działa. Od sierpnia do marca wypłynęło nim z Ukrainy 18 mln ton zboża. Jednocześnie kraje sąsiadujące wciąż borykają się z zalewem ukraińskiego towaru. W niektórych, np. w Polsce, import wzrósł rok do roku aż pięćdziesięciokrotnie.

Czysto politycznie problem jest trudny do rozwiązania, bo o kierunkach importu nie decyduje rząd w Kijowie, lecz traderzy na giełdach towarowych. Mimo wszystko wydaje mi się, że perturbacje, jakie wytwarza nadpodaż zboża z Ukrainy w państwach z nią sąsiadujących mają charakter przejściowy. Wstępne prognozy zakładają, że w tym roku zbiory zbóż w Ukrainie mogą być nawet o połowę mniejsze niż w 2021 r. W pierwszej fazie wojny, wiosną 2022 r., Rosjanie z premedytacją niszczyli z powietrza ukraińskie elewatory i inną infrastrukturę rolną. Część pól nie nadaje się do uprawy, leżą na nich miny. Inne znalazły się niebezpiecznie blisko linii frontu albo kontrolują je Rosjanie. Brakuje także ludzi, bo tysiące pracowników sektora rolnego zmobilizowano lub skierowano do pracy na zapleczu frontowym, choćby w zakładach remontowych. ©℗

SŁAWOMIR MATUSZAK *jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich. Specjalizuje się w badaniach polityki gospodarczej Ukrainy.*

Na pokładzie statku z ładunkiem 30 tys. ton pszenicy dla Jemenu. Odessa, grudzień 2022 r.

NINA LYASHONOK / EAST NEWS

Dlaczego szpitale biorą chwilówki

MAŁGORZATA SOLECKA

Instytut Psychiatrii i Neurologii w Warszawie może funkcjonować tylko dzięki pożyczce z parabanku. Z „chwilówki" ma na wynagrodzenia i pilne rachunki. Minister zdrowia „uspokaja", że korzystanie z parabankowej pożyczki to sytuacja przejściowa, bo za kilka miesięcy szpital uzyska dostęp do zwykłego kredytu.

Dlaczego szpitale się zadłużają, i to nie tylko w bankach? Władza zapewnia, że nakłady na zdrowie są wyższe niż kiedykolwiek, jednak z pieniędzy publicznych wydajemy na nie ok. 4,8 proc. PKB, najmniej w Unii. Dużą część z tegorocznych ponad 165 mld zł już pożarła inflacja. Szpitale zmagają się ze wzrostem kosztów, przede wszystkim spowodowanym ustawowymi podwyżkami wynagrodzeń, przy przychodach, które co prawda też wzrosły, ale znacznie mniej. Szpital, który nie reguluje na bieżąco zobowiązań, nie ma szans na kolejny kredyt, bo do tego trzeba przedstawić m.in. zaświadczenie o niezaleganiu ze składkami w ZUS. A wiele placówek ich nie płaci.

Aktualnych danych o zadłużeniu szpitali nie ma. Według ostatnich, z czerwca 2022 r., długi szpitali wynosiły ponad 18 mld zł, zaś zobowiązania wymagalne, niezapłacone na czas, ponad 2,1 mld zł. ©

Zaufania za dwa procent

Co trzeci pracownik etatowy w Polsce (dokładniej 34,6 proc.) uczestniczył pod koniec 2002 r. w Pracowniczych Planach Kapitałowych, czyli trzecim, dobrowolnym filarze ubezpieczeń emerytalnych. Jeszcze nie podliczono, ilu z nas wypisało się z programu do 1 kwietnia, kiedy minął czas składania rezygnacji (kolejna okazja po temu będzie za cztery lata). W ostatnich dniach marca media w Polsce niemal obsesyjnie informowały, do kiedy można składać wypowiedzenia i jak to zrobić. Bagatelizowano za to sens oszczędzania w PPK i jego potencjalne korzyści (w uproszczeniu: do każdych 100 zł odłożonych z pensji niemal drugie tyle dokładają razem państwo i pracodawca).

Trudno o lepszy dowód na klęskę: nie samych PPK, ile promującego ten program państwa, któremu obywatele boją się powierzyć choćby 2 proc. pensji. Jednocześnie trudno się temu dziwić po skandalu, jakim było ogłoszone 10 lat temu przez poprzedni rząd uwłaszczenie ZUS na oszczędnościach gromadzonych w Otwartych Funduszach Emerytalnych.

©℗ MAREK RABIJ

KRAJ W SKRÓCIE

REKORD

Podczas 31. Finału WOŚP zebrano rekordowe 243,3 mln zł. Hasłem tegorocznej imprezy było: „Chcemy wygrać z sepsą! Gramy dla wszystkich – małych i dużych!". Początki sepsy miał niedawno Jarosław Kaczyński, o którym poseł Suski mówi, że wkrótce znów ruszy w Polskę.

NIEPAMIĘĆ

Lider Konfederacji Sławomir Mentzen ruszył tymczasem do mediów. Oto fragmenty jego wywiadu dla Wirtualnej Polski: „Nie pamiętam teraz. Musiałbym sprawdzić". „Nie pamiętam tego projektu, naprawdę. Nie jestem przygotowany do dyskusji na ten temat". „Nie jestem przygotowany w tym temacie". „Ale to rzeczy sprzed czterech lat. Wielu z nich nie pamiętam". „Nie mam poglądu na ten temat. Jest to część rzeczywistości, którą się nie interesuję".

PAMIĘĆ

Dziesiątki tysięcy Polaków wzięło udział w zorganizowanych w rocznicę śmierci Jana Pawła II marszach dziękczynienia za jego pontyfikat, ale były również elementy wojny kulturowej: w Łodzi oblano farbą papieski pomnik stojący przed katedrą, w Białymstoku zaś kibice nieśli transparent „Jan Paweł II święty, TVN przeklęty, Jaga murem za JP II". W pociągach Pendolino częstowano pasażerów tzw. papieskimi kremówkami.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Ukraińcy bez szkoły

PO ROKU od rozpoczęcia wojny nierozwiązanych pozostaje wiele problemów – napisał rzecznik praw obywatelskich do ministra edukacji i nauki. Marcin Wiącek wskazuje, że duża grupa uchodźczych dzieci pozostaje poza jakimkolwiek (także ukraińskim) systemem szkolnictwa, a wśród nich mogą być uczniowie z niepełnosprawnościami. Spadła też liczba oddziałów przygotowawczych (z niemal 2,5 tys. w zeszłym roku szkolnym do niecałego tysiąca), a wobec bariery językowej to właśnie one stanowią dla dzieci optymalne środowisko. Szwankuje również integracja, a szkoły nie reagują odpowiednio na przypadki wrogości wobec obcojęzycznych uczniów. W Polsce uczy się ok. 190 tys. Ukraińców przybyłych od lutego 2022 r. ©℗ PW

Bunt Palikota pod lupą nadzoru finansowego

PRZEDSIĘBIORCA i były poseł wrócił na czołówki serwisów informacyjnych nie z powodu ambicji politycznych, ale dzięki firmie Tenczynek Dystrybucja. To jedna z kluczowych spółek jego holdingu alkoholowego Manufaktura Piwa Wódki i Wina. Komisja Nadzoru Finansowego zajęła się nią z powodu akcji crowdfundingu, w ramach której drobni inwestorzy pożyczyli firmie 36 mln zł. Akcja „Bunt Finansowy" zaczęła jednak budzić obawy; mocno kwestionowano obietnice, składane m.in. osobiście przez Janusza Palikota na Facebooku. Oferuje on inwestorom 14 proc. zysku plus bonus do 2 proc. (w zależności od powierzonej kwoty). „Mamy wysokie marże, w związku z tym stać nas na to, by płacić odsetki i zarabiać" – tłumaczył Palikot portalowi money.pl, zapewniając, że inwestorom przekazano już niemal 2 mln zł odsetek, a oferta jest przejrzysta i opisuje dokładnie, w co firma inwestuje pieniądze.

Spółka zwróciła się do ludzi o pomoc z powodu trudnej sytuacji finansowej. Według Palikota kapsle zdrożały o 300 proc., kartony o 60-70 proc., a butelki o ponad 100 proc. Jak przyznał biznesmen, banki nie chciały finansować jego pomysłów. Holding Palikota wciąż też nie może spełnić wymagań, by wejść na giełdę. Na debiut czekają ludzie, którym w ubiegłym roku sprzedano akcje za 7,5 mln zł. ©℗ MAREK KĘSKRAWIEC

Po porażce Sanny Marin Finlandia skręca w prawo

20,8 / 20,1 / 19,9 – w przedziale zaledwie procenta zmieściły się wyniki trzech fińskich ugrupowań, które 2 kwietnia walczyły o mandaty w wyborach do parlamentu. Wygrała je centroprawicowa Partia Koalicji Narodowej; jej lider Petteri Orpo spróbuje teraz utworzyć koalicję rządową i stanąć na czele gabinetu. Na drugim miejscu uplasowała się narodowo-konserwatywna Partia Finów, dopiero na trzecim – rządzący dotąd socjaldemokraci.

Paradoks porażki dotychczasowej premier Sanny Marin polega nie tylko na minimalnych różnicach w wynikach, lecz i na tym, że jej partia zdobyła więcej miejsc w parlamencie niż w poprzednich wyborach w 2019 r. Nawet jej oponenci przyznają, że Marin dobrze zarządzała państwem w czasie pandemii. Jej kadencja przypadła też na czas radykalnego zwrotu w fińskiej polityce: rezygnacji z neutralności i zapukania do drzwi NATO.

Zagrożenie ze strony Rosji nie było jednak głównym tematem kampanii, która tradycyjnie koncentrowała się wokół polityki społecznej. W porównaniu z Sanną Marin, potencjalny przyszły premier Orpo jest politykiem środka; zapowiada, że w sprawach krajowych skupi się na gospodarce. „Spokojny, w typie wymarzonego zięcia" – skomentowała go w fińskiej telewizji jedna z politolożek, mimochodem zapowiadając inny styl rządzenia. ©℗ MARCIN ŻYŁA

Dziennikarz zakładnikiem

PIERWSZY RAZ od końca zimnej wojny w Rosji aresztowano amerykańskiego dziennikarza pod zarzutem szpiegostwa. 32-letni Evan Gershkovich, akredytowany reporter dziennika „The Wall Street Journal", został zatrzymany w Jekaterynburgu, gdzie – jak twierdzi FSB – zbierał informacje o firmie zbrojeniowej. Miejscowy polityk twierdzi, że Gershkovich interesował się też Grupą Wagnera. Dziennikarza przewieziono do Moskwy, gdzie sąd wydał nakaz aresztowania.

Korespondenci w Moskwie sądzą, że aresztując Gershkovicha, Kreml może realizować kilka celów: chce zastraszyć zagranicznych dziennikarzy, którzy nie powinni teraz czuć się bezpieczni, a ponadto może, jak to ujął jeden z nich, „napełniać fundusz wymiany więźniów" – chce mieć zakładników, których będzie mógł wymienić za swoich autentycznych szpiegów zatrzymanych w USA. Waszyngton wezwał wszystkich swoich obywateli, by opuścili Rosję. ©℗ WP / FAZ, DPA

DENES ERDOS / AP / EAST NEWS

ZIMA NASZA! Wbrew obawom Europa przeszła zimę całkiem dobrze. Popyt na gaz spadł do rekordowo niskiego poziomu (za sprawą wyższych niż zwykle temperatur i oszczędności). Najbardziej we znaki dała się inflacja, ale zdaniem ekspertów będzie już spadać, dzięki malejącym cenom energii. Najwyższa jest na Węgrzech (w lutym 26 proc.), przy czym ceny żywności wzrosły aż o 46 proc. Rząd Viktora Orbána obarcza za to winą sankcje wobec Rosji. Ekonomiści sądzą, że winne są transfery socjalne Orbána przed wyborami w 2022 r. Na zdjęciu: parada w Budapeszcie z okazji 175. rocznicy węgierskiej Wiosny Ludów, 15 marca 2023 r. ©℗ WP

Donald Trump będzie walczyć do końca

MARTA ZDZIEBORSKA

Były prezydent USA ustawia się w roli ofiary i zgarnia miliony dolarów na swoją walkę o reelekcję. Do zawieszenia kampanii wyborczej nie skłonią go nawet zarzuty karne. „Największe w historii prześladowanie i ingerencja w wybory" – oświadczył Trump po tym, gdy nowojorska ława przysięgłych zagłosowała 31 marca za postawieniem go w akt oskarżenia. To w związku z zatajeniem płatności za milczenie dla aktorki porno Stormy Daniels, która głośno mówiła o ich romansie na finiszu kampanii prezydenckiej w 2016 r. Treść zarzutów wobec Trumpa miała być upubliczniona już po oddaniu tego numeru „TP" do druku. Według doniesień Trump z własnej woli chciał zjawić się tego dnia w nowojorskim sądzie, gdzie musiał złożyć odciski palców, aby potem wrócić do domu na Florydę, czego nie zabrania mu prawo stanowe.

Jego prawnicy zapowiadali, że się nie przyzna i jest gotowy na proces. Trump nie zawiesi też kampanii – według konstytucji ubiegać się o Biały Dom nie mogą jedynie kandydaci, którzy nie są obywatelami USA, nie ukończyli 35. roku życia i mieszkają tu krócej niż 14 lat. Osoby z wyrokiem skazującym mogą walczyć o prezydenturę.

Trump zbija kapitał polityczny na własnych problemach prawnych. Grzmiąc o „polowaniu na czarownice", w ciągu doby od głosowania ławy przysięgłych zebrał 4 mln dolarów na kampanię. Skupił też wokół siebie republikański establishment, a nawet potencjalnych rywali, którzy boją się zadrzeć z jego elektoratem. A ten w zdecydowanej większości (80 proc.) uważa, że Trump został niesłusznie oskarżony, zaś 57 proc. wierzy, że proces ułatwi mu walkę o prezydenturę. Eksperci studzą jednak ten optymizm: nawet jeśli Trump zwycięży republikańskie prawybory, może mieć potem problem w przyciągnięciu niezdecydowanych wyborców w stanach kluczowych dla ostatecznego wyniku.

Wobec Trumpa toczą się jeszcze trzy inne duże śledztwa. Jest już pierwszym byłym prezydentem USA, któremu postawiono zarzuty karne. Być może na tym się nie skończy. ©

Autorka jest dziennikarką „Press".

Mimowolne proroctwo

MACIEJ MÜLLER

W liście do księży z okazji Wielkiego Czwartku biskupi postanowili „przyjrzeć się drodze naszego powołania i posługi”. Jego treść i język nie wykraczają poza poziom przewidywalnego kazania (odpowiedzi trzeba najpierw szukać u Jezusa, nie w sobie itd.), warto jednak zwrócić uwagę, że biskupom – podobnie jak arcykapłanom z Ewangelii – niechcący wyszło proroctwo.

„Ucieczka od prawdy o popełnionym złu, brak radykalizmu w nazywaniu grzechu, gotowości do szczerej pokuty i uczciwego zadośćuczynienia – piszą – niesie za sobą beznadziejną samotność, spiralę kłamstwa oraz autodestrukcyjne zachowania”. Dalsza treść listu doskonale te słowa potwierdza: w eufemistycznym akapicie o tym, że „także na skutek dramatycznej niewierności niektórych pasterzy i idącej za tym [utraty] instytucjonalnej wiarygodności – wspólnota Kościoła w Polsce na naszych oczach traci zdolność przekazywania wiary młodym. Orszaku idących z Jezusem nie witają już palmy i słane na drodze płaszcze”. Cóż to za „dramatyczna niewierność”, jakie są źródła wspomnianego kryzysu? Biskupi chcą, by „z całym tym ciężarem” wejść „w ciszę Wielkiej Soboty. Bez odpowiedzi”.

A może odpowiedź jest, i chętnie jej dostarczą np. świeccy? Ale pardon, takie słowo w liście nie pada ani razu. ©℗

Komisja na marginesie

CZTERY POWODY REZYGNACJI z pracy w Papieskiej Komisji Ochrony Nieletnich podał Hans Zollner – jezuita, psychoterapeuta, kierownik studiów nt. godności i praw osób skrzywdzonych Uniwersytetu Gregorianum, jeden z najważniejszych watykańskich ekspertów w tej dziedzinie i najmocniejszych filarów komisji od chwili jej założenia w 2014 r.

Pierwsze trzy to brak odpowiedzialności, współpracy i transparentności w podejmowaniu decyzji personalnych i finansowych – zarzuty, które można postawić niejednej watykańskiej instytucji. Trudno uwierzyć, że Zollner potrzebował 9 lat, by je sformułować – komisja od początku pracuje pod tym samym kierownictwem, kard. Johna O’Malleya.

Wszystko wskazuje, że przeważył powód czwarty: przejście pod jurysdykcję Dykasterii Nauki Wiary – instytucji nie raz krytykowanej (także przez Zollnera) za opieszałość w prowadzeniu procesów, utajnianie wyroków i pozbawianie ofiar prawa wglądu w akta. Podporządkowując komisję dykasterii – w czerwcu 2022 r. – papież pozbawił ją resztek autonomii, nadanej w chwili powołania. I nawet jeśli chciał ją wzmocnić, jeszcze bardziej ją zmarginalizował. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

W WIĘZIENIU

Papież odprawi w Wielki Czwartek mszę Wieczerzy Pańskiej, połączoną z obrzędem umycia stóp, w więzieniu dla nieletnich Casal del Marmo na przedmieściach Rzymu. Poza okresem pandemii mszę Wieczerzy Pańskiej Franciszek odprawiał poza Watykanem: sześciokrotnie były to więzienia, raz ośrodek dla uchodźców, a raz dom dla osób starszych i niepełnosprawnych.

TIZIANA FABI

W KOŚCIELE

„Musimy się zmienić, inaczej Dobra Nowina nie będzie już rozumiana” – powiedział arcybiskup Luksemburga kard. Jean-Claude Hollerich (na zdjęciu). „Kościół musi słuchać, zamiast dawać skomplikowane odpowiedzi, których nikt nie rozumie, na pytania, których nikt nam nie zadał” – uważa relator generalny synodu, który odbędzie się w październiku.

NA GRANICY

Rada Episkopatu ds. Migracji, Turystyki i Pielgrzymek zaapelowała o zalegalizowanie pomocy niesionej wszystkim migrantom w strefie przygranicznej, niezależnie od ich statusu, narodowości czy miejsca przekraczania granicy. „Nie wolno penalizować czynów ratujących życie lub niosących konieczne wsparcie ludziom w skrajnej sytuacji” – przypomina komunikat podpisany przez bp. Krzysztofa Zadarkę.

Kościół odcina się od doktryny odkrycia

ANULUJ DOKTRYNĘ! – takim hasłem rdzenni mieszkańcy Kanady witali papieża podczas jego pielgrzymki w 2022 r. Chodziło o tzw. doktrynę odkrycia, na mocy której kolonizatorzy najpierw w Ameryce Południowej, a potem Północnej zajmowali ziemie rdzennych mieszkańców i ich eksterminowali. Franciszek przejął się tym postulatem, gdyż 30 marca Dykasterie ds. Kultury i ds. Integralnego Rozwoju Człowieka wydały notę, w której stwierdziły, że „»Doktryna odkrycia« nie jest częścią nauczania Kościoła katolickiego”.

Historycznie wspiera się ona na trzech bullach – „Dum Diversas” (1452), „Romanus Pontifex” (1455) i „Inter Caetera” (1493) – w których papieże m.in. pozwalali katolickim władcom brać pogan w „wieczystą niewolę”. Choć nota przyznaje, że „te bulle papieskie nie odzwierciedlały odpowiednio równej godności i praw ludów rdzennych”, jednocześnie stara się pomniejszyć instytucjonalną odpowiedzialność Kościoła. „Badania historyczne wyraźnie pokazują, że omawiane dokumenty papieskie, spisane w określonym czasie historycznym i związane z kwestiami politycznymi, nigdy nie były uważane za wyraz wiary katolickiej”, a treść bulli była manipulowana przez mocarstwa kolonialne. „Wystarczy uznać te błędy, przyznać się do strasznych skutków polityki asymilacyjnej i bólu, jakiego doświadczają ludy rdzenne, i prosić o przebaczenie” – czytamy.

Także prefekt Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka kard. Michael Czerny starał się w Radiu Watykańskim pomniejszyć znaczenie nauczania z XV wieku. „Bulla to decyzja lub dekret z pieczęcią, ale nie jest to Magisterium” – mówił, zapominając, że np. Pius IX dogmat o niepokalanym poczęciu ogłosił właśnie przy pomocy bulli.

©℗ ARTUR SPORNIAK

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

FREDY TORRA / ZUMA PRESS / FORUM

JEŚLI NIEDZIELA PALMOWA, to Antonio jest na procesji – znany hiszpański aktor i producent filmowy, Antonio Banderas (pośrodku), jak co roku przyjechał do rodzinnej Malagi, by wziąć udział w procesji rozpoczynającej Wielki Tydzień. Banderas od 20 lat sponsoruje bractwo Matki Bożej Łez i Łask, jedno z czterech miejscowych stowarzyszeń religijnych, których historia sięga XVI w. Oprócz troski o podtrzymanie tradycji bractwa prowadzą też działalność charytatywną. Na zdjęciu: Malaga, Hiszpania, 2 kwietnia 2023 r. ©℗ EA

Krzyk roślin

WIĘKSZOŚĆ LUDZI ich nie usłyszy, bo to dźwięki o wysokiej częstotliwości – pewnie dlatego dopiero teraz udało się ustalić, że rośliny „krzyczą". Gdy jest im dobrze, średnio raz na godzinę generują ciche kliknięcia. Ale zestresowane osobniki – którym brakuje wody lub ich łodyga została nacięta – wydają nawet 35 kliknięć na godzinę.

Zespół Lilach Hadany z Uniwersytetu w Tel Awiwie kilka lat temu ustalił, że rośliny reagują na bzyczenie zapylaczy zwiększaniem stężenia nektaru. Tym razem badacze chcieli sprawdzić, czy to rośliny mogą być podsłuchiwane. W skrzynkach umieścili sadzonki tytoniu i pomidorów oraz mikrofony, a te zarejestrowały ultradźwięki. Mogą to być odgłosy powstających lub pękających pęcherzyków powietrza, które w czasie suszy częściej tworzą się w tkance transportującej wodę – drewnie.

Dalsze badania pokażą, czy te dźwięki są słyszalne przez zwierzęta i wpływają na ich zachowanie. Niezależnie od tego, odkrycie może mieć praktyczne zastosowanie. Autorzy zbudowali eksperymentalną szklarnię, w której byli w stanie rejestrować dźwięki kilku gatunków roślin domagających się podlania. ©℗ ŁK

Zajadanie stresu

ZE SWOIMI DŁUGIMI, cienkimi ogonami jaszczurki *Aspidoscelis neotesselatus* dorastają do ok. 30 cm, zamieszkują łąki i zarośla pokrywające wyschnięte koryta rzek na południowym wschodzie stanu Kolorado w USA, a ich populacja składa się wyłącznie z samic rozmnażających się bezpłciowo. Jedna z takich grup żyje w okolicy Fortu Carlson, amerykańskiej bazy wojskowej, dlatego narażona jest na sporo stresu – samoloty przelatujące nisko nad głowami jaszczurek generują hałas dochodzący do 112 decybeli. Nawet koncerty rockowe nie są tak głośne.

Megen E. Kepas z Utah State University i współpracownicy postanowili połączyć siły z wojskiem i sprawdzić, jak generowany przez człowieka hałas wpływa na jaszczurki. Przez kilka dni w okresie rozrodczym jaszczurek w 2021 r. piloci wykonywali loty o określonych godzinach, naukowcy zaś obserwowali zachowanie jaszczurek przez trzy minuty, a następnie chwytali je i pobierali im krew. Zgodnie z przewidywaniami, po niskich, głośnych przelotach u jaszczurek wzrastał poziom kortyzolu, odpowiedzialnego m.in. za zwiększanie stężenia glukozy we krwi. W ich osoczu więcej było także ketonów, związków będących produktem metabolizmu tłuszczów, co sugeruje sięganie przez organizm do rezerw energetycznych. Jaszczurki zmieniały także swoje zachowanie – w czasie przelotów mniej się ruszały i więcej jadły. Reagowały więc tak, jakby chciały maksymalnie przygotować się na zagrożenie i zgromadzić jak najwięcej energii. ©℗ ŁK

KULTURA W SKRÓCIE

KINO MNIEJ ZNANE

Produkcje z kilkudziesięciu państw, których kinematografia nie gości zbyt często na ekranach polskich kin, znajdą się w programie Eurazja Film Festiwal. To nowe wydarzenie w kalendarzu imprez filmowych odbędzie się od 13 do 23 kwietnia w warszawskich kinach Atlantic i Luna. W programie filmy z Albanii, Armenii, Bułgarii, Iranu, Izraela, Słowenii, Syrii czy Tadżykistanu.

NAJPOPULARNIEJSI PISARZE

Instytut Cervantesa zaprezentował Światową Mapę Tłumaczeń tekstów literackich przekładanych z języka hiszpańskiego. To ranking twórców, którzy byli najczęściej tłumaczeni w ciągu ostatnich 70 lat. W zestawieniu wygrywa twórca postaci Don Kichote'a Miguel de Cervantes, ściga go Gabriel García Márquez, a trzecia na podium jest Isabel Allende.

PAWEŁ SUPERNAK / PAP

GŁOŚNA SPRAWA

W warszawskim Centrum Nauki Kopernik otwarto nową placówkę edukacyjną – Pracownię Przewrotu Kopernikańskiego, która będzie miejscem prowadzenia interdyscyplinarnych prac badawczo-rozwojowych. W pracowni zgromadzono 1,5 tys. sprzętów, w tym nowoczesne mikroskopy, roboty przemysłowe i drukarki 3D.

POWRÓCIŁ DO ŻYCIA

O. SZYMON HIŻYCKI, OPAT TYNIECKI:

Zmartwychwstając, Jezus nie ogląda się wstecz.
Nie mówi, że Piłat się mylił, a faryzeusze zrobili źle.

KAROL PORWICH / EAST NEWS

Procesja rezurekcyjna wokół klasztoru jasnogórskiego. Częstochowa, 21 kwietnia 2019 r.

ARTUR SPORNIAK: Co świętujemy w Wielkanoc?

O. SZYMON HIŻYCKI: Zmartwychwstanie Pana. Wyznajemy wiarę w to, że umarł i powrócił do życia.

Mówiąc o zmartwychwstaniu, o czym tak naprawdę mówimy?

Do końca nie wiemy. Tak zresztą, jak o wszystkich rzeczach, które mówimy o Panu Bogu. Powtarzamy formuły, które przekazuje nam tradycja. Znajdujemy je przede wszystkim w Piśmie Świętym, ale też w sposobie rozumienia, który Kościół wypracował w ciągu dwóch tysięcy lat. Np. wypowiadamy formułę: „Zmartwychwstał trzeciego dnia, jak oznajmia Pismo" – tak mówi wyznanie wiary. Co to oznacza, ostatecznie dowiemy się w momencie, kiedy sami zmartwychwstaniemy.

A czego się spodziewamy?

„Czego ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało" (1 Kor 2, 9).

Jakaś nadzieja jednak w wierzących jest.

Wiąże się ona z wyznawaniem prawdy, że Jezus jest zbawicielem człowieka. Jest to więc tak naprawdę medytacja nad tym, co oznacza zbawienie, czyli: uratowanie człowieka w sytuacji bez wyjścia; naprawienie rzeczy, których naprawić się nie da; odrobienie tych wszystkich strat, których odrobić nie potrafimy. To wszystko jest udziałem zmartwychwstania. Jak opowiada Ewangelia, Jezus zmartwychwstając nie ogląda się wstecz i nie wraca do przeszłości. Nie mówi, że Piłat się mylił, a faryzeusze zrobili źle. Jakby podawał rękę swoim uczniom i ciągnął ich za sobą, żeby też się nie oglądali, tylko szli za Nim. Jest w tym więc nadzieja, że to, co złego się stało, co myśmy zrobili czy co nam uczyniono, zostanie przez Pana Boga naprawione.

A jak Ojciec myśli o swoim zmartwychwstaniu?

Przy okazji tych świąt myślę o swojej śmierci. Po to, żeby się do niej dobrze przygotować. Św. Benedykt mówi, żeby śmierć nadchodzącą mieć codziennie przed oczami. Gdy odprawiam mszę – zwłaszcza podczas ofiarowania darów – staram się złożyć moją przyszłość, a więc i moje zmartwychwstanie w ręce Boga. Wierzę, że on da mi to, co najlepsze dla mnie i dla tych, z którymi żyję na co dzień. Nie staram się tego specyfikować ani sobie wyobrażać – wiem, że to byłoby raczej niewskazane. Ale wiem też, że to wszystko, czego mi potrzeba, zostanie mi dane. To wszystko, czego nie byłem w stanie zrobić, zostanie zrobione. Tak jak mówi Paweł, że Bóg będzie „wszystkim we wszystkich". A jak to będzie wyglądało – któż to wie?

Dlaczego lepiej sobie nie wyobrażać przyszłości?

Bo to prowadzi do jakiejś ułudy. Słyszałem niedawno, jak ktoś się zastanawiał, czy można było nagrać zmartwychwstanie Jezusa. Pytanie niepoważne. Jeśli zdajemy sobie sprawę, że nie wiemy, kim jest Bóg, to jak można pytać o możliwość nagrywania zmartwychwstania?

Jeśli rzeczywiście nasza wiara się spełni, to zmartwychwstanie będzie najważniejszą dla nas „sprawą". Więc nas to ciekawi...

Oczywiście, że ciekawi. Tylko co z tego?

Rozumiem, że wartością jest tu nadzieja bez oparcia w wyobrażeniach – zawieszona jedynie na wierze w Boga, o którym niewiele wiemy. Ona ma przekroczyć koniec w postaci rozkładającego się trupa.

Wiemy, że Bóg jest Miłością. A jak to mówiła błogosławiona Hanna Chrzanowska: „Jak umrę, to nie chodźcie na cmentarz, bo mnie tam nie będzie". Mówiła prowokacyjnie, bo wiadomo, że chodzimy na groby zmarłych po to, by właśnie wyrazić naszą wiarę w zmartwychwstanie. Ale fakt pozostaje faktem – tam ich nie ma, tam są tylko szczątki ich ciał.

Natomiast zastanawianie się, jak zmartwychwstanie będzie wyglądało, jest skazane na porażkę. Nasz język często prowadzi na manowce w naszym świecie, a zmartwychwstanie to świat, który nadchodzi – coś innego, więc nasz język zupełnie staje się bezradny.

Liturgia Triduum – bogata w symbole i znaki – jednak do czegoś nas przygotowuje.

Liturgia tego święta stara się przede wszystkim uzmysłowić nam wielką miłość Pana Boga. Ona jest na początku. Jest taki tekst – zapewne z XV w. – napisany prawdopodobnie na górze Atos przez anonimowego mnicha, który wyjaśnia modlitwę Jezusową, a dokładniej jej streszczenie: „*Kyrie eleison*" – „Panie, zmiłuj się". Ów mnich zastanawia się, dlaczego niewielu, którzy się tą modlitwą modlą, otrzymuje to, o co prosi. Odpowiada, że zwykle modlący skupiają się na „*eleison*" – „zmiłuj się". Niewielu zastanawia się, do kogo się zwracają. I przypomina, kim jest Chrystus – jest Synem Bożym, Bogiem wcielonym, który umarł i zmartwychwstał, i zesłał Ducha Świętego. Potem ów mnich przypomina, kim jest człowiek ↦

↦ – że zgrzeszył. Potem jest o wielkiej Bożej miłości i o tym, że Bóg chce zbawienia ludzi. Dopiero gdy wiesz, Kogo prosisz, wiesz też, o co prosisz.

Sądzę, że liturgia Triduum, ukazując ludzką historię, przede wszystkim chce pokazać, kim jest Bóg. Przygotowuje nas do spotkania z Nim. Rozważamy, co On zrobił dla ludzkiego zbawienia, a dopiero wtórnie, żebyśmy pomyśleli o sobie. Nie jest celebrowaniem własnych słabości czy trosk. Pokazuje piękno Boga, który nas porywa i przemienia na swoje podobieństwo.

Liturgia Triduum zaczyna się w Wielki Czwartek mocnym symbolicznym gestem: umycia uczniom nóg.

Podstawowym tematem wielkoczwartkowego wieczoru jest jednak najpierw celebracja eucharystyczna. To przypomnienie misterium Ostatniej Wieczerzy, a więc okazja do przypomnienia, czym jest msza. Liturgia słowa opowiada o Passze, czyli przejściu. Dokonuje go Jezus. Kiedyś Benedykt XVI zauważył, że święto Paschy było świętem rodzinnym, które spędzało się w domu. Obowiązywało w nim tabu – nie wolno było wyjść z mieszkania aż do świtu. W ten sposób przywoływano wydarzenia z niewoli egipskiej, gdy na zewnątrz szalał anioł zagłady – ci, którzy mieli drzwi naznaczone krwią baranka, byli w stanie przetrwać. Jezus właśnie w ten mrok wychodzi, idzie do Ogrodu Oliwnego po to, żeby stawić czoło siłom ciemności, diabłu i złu, które w sobie nosimy. I ostatecznie zwycięża. A my podążamy za Nim, czego misterium jest Eucharystia.

Natomiast symbole charakterystyczne tylko dla Wielkiego Czwartku, a więc obrzęd umycia nóg czy przeniesienie Najświętszego Sakramentu do ciemnicy, stanowią uszczegółowienie tego wieczoru. Umywanie nóg odczytujemy jako symbol służby – pochylania się nad sobą nawzajem. Ale pamiętajmy też, że ten gest nie jest jednoznaczny – istnieje wiele różnych interpretacji, co takiego św. Jan miał na myśli, kiedy opisał tę scenę w Ewangelii. A z drugiej strony mamy zakorzeniony bardziej w naszej polskiej liturgii zwyczaj adoracji Chrystusa w ciemnicy, który podkreśla, że obecność Chrystusa w Najświętszym Sakramencie jest rzeczywistością trwałą. Trochę takie podejście Pascalowskie, że Chrystus trwa w Ogrojcu aż do skończenia świata.

> Jezus na krzyżu pokazuje, że nie istnieje siła, która byłaby Go w stanie powstrzymać od tego, żeby kochać. Krzyż jest wyrazem miłości pomimo wszystko.

Umywając uczniom nogi, Jezus pokazuje, na czym mają polegać relacje między nimi. To była czynność niewolników – my na to nie zwracamy uwagi, bo we współczesnych tłumaczeniach czytamy o sługach, a nie o niewolnikach. Więc gest Jezusa na owe czasy był szokujący.

Można to też tak odczytywać.

Przejdźmy do Wielkiego Piątku. Tam w centrum liturgii stoi krzyż, który jest symbolem paradoksalnym, bo jest narzędziem tortur i okrutnej śmierci, a zarazem symbolem zwycięstwa.

W potocznym rozumieniu, gdy mówimy: „Weź swój krzyż!", to mówimy przede wszystkim o cierpieniu. Ale zastanawiam się, zwłaszcza czytając Pawła, czy krzyż przede wszystkim nie jest symbolem miłości. Jezus na krzyżu pokazuje, że nie istnieje siła na świecie, która byłaby Go w stanie powstrzymać od tego, żeby kochać. Krzyż zatem jest wyrazem miłości pomimo wszystko. Zawsze kocha się pomimo wszystko, a nie za coś. Krzyż zatem jest też rachunkiem sumienia: w którym momencie przestaję kochać? Co takiego powoduje, że z tej miłości się wycofuję?

Kiedy adorujemy krzyż, adorujemy miłość Chrystusa, który nie cofnął się przed niczym. Wszystkie wydarzenia biblijne czytane w liturgii wielkopiątkowej pokazują, że powinno być na odwrót – powinien porzucić tę drogę, bo nie warto. A jednak uznał, że warto umrzeć za każdego człowieka...

W pierwszych wiekach, zwłaszcza na Zachodzie, pojawiło się pytanie, czy rzeczywiście Chrystus umarł za wszystkich. Jeden z synodów wyraźnie stwierdził: „Nie było, nie ma i nie będzie człowieka, za którego Chrystus nie oddał życia". Krzyż przypomina o wartości każdego człowieka – wartego krwi Syna Bożego.

Osłuchani jesteśmy ze stwierdzeniem, że Jezus umarł za mnie. Ale jaki związek ma to, co się stało z Jezusem 20 wieków temu, ze mną dziś?

Można zredukować Ewangelię tylko do społecznego wyzwania, a w Chrystusie widzieć jedynie nauczyciela moralności, który leczy ludzkie relacje. Czyli kogoś, kto przemawia do nas z kart Pisma Świętego z perspektywy dwóch tysięcy lat. Natomiast sam fakt, że Jezus podejmuje się umrzeć za każdego człowieka – złożyć ofiarę z samego siebie na ołtarzu krzyżowym, jak to mówią stare formuły – zmusza mnie do tego – mówię o sobie – żebym nie rozmawiał tylko z dawnym mistrzem, kimś takim jak Seneka, który być może ma wciąż coś ciekawego do powiedzenia. Rozmawiam z kimś, komu na mnie zależy, komu rzeczywiście mogę powierzyć życie, z kim chciałbym nawiązać relację. Kim On jest, że za mnie oddał życie? Czy tak jak mówi Augustyn w „Wyznaniach": Boże, kim jestem dla Ciebie, że chcesz, abym Cię kochał? Jesteś nieskończony, przedwieczny, wszechpotężny, wszechwiedzący, a ja jestem tylko grzesznym, skończonym człowiekiem. Nic Ci nie mogę dać, a jednak chcesz, żebym Cię kochał. Dlaczego?

Dla mnie tu, w cieniu krzyża, zaczyna się taki dialog: kim jestem dla Chrystusa, że za mnie życie oddaje? I w związku z tym: czego On ode mnie oczekuje? To początek spotkania, od którego zaczyna się w ogóle chrześcijaństwo. Gdyż to, jak buduję swoją relację z Bogiem, rzutuje na to, jak funkcjonuję pomiędzy ludźmi.

Podczas liturgii Wielkiego Piątku jest moment, gdy ludzie podchodzą do krzyża i go całują. Abp Grzegorz Ryś kiedyś zinterpretował ten gest w taki sposób, że to pomaga pocałować także własny krzyż, rozumiany jako nieuniknione cierpienie.

Krzyż Chrystusowy pomaga kochać. Nie cierpienie jest ważne, tylko to, jak człowiek kocha. Wydaje mi się, że wielu ludzi ma takie doświadczenie, iż mnóstwo wydarzeń w ich życiu próbuje odciągnąć ich od tego, żeby kochać. Nie warto temu ulegać.

Właśnie cierpienie często odciąga od kochania.

Cierpienie także. Ale mam nadzieję, że mój krzyż jest jakoś związany z Chrystusowym krzyżem.

W Wielką Sobotę jest wielkie milczenie liturgii...

U nas w Polsce związane z zapachami różnych wiktuałów z koszyków wielkanocnych, przynoszonych do kościoła do poświęcenia. Pamiętam, gdy po raz pierwszy Wielkanoc spędzałem za granicą w jednym z naszych klasztorów, wielkie wrażenie zrobił na mnie pusty kościół w Wielką Sobotę. Obnażone ołtarze, wyniesiony Najświętszy Sakrament, pogaszone świece, zgaszona wieczna lampka – nie ma nic. Nie ma żadnych czynności liturgicznych. Nie można udzielać komunii (chyba że ktoś umiera). Pustka Wielkiej Soboty ma przypomnieć o zstąpieniu Jezusa do otchłani.

W Polsce trudno wyobrazić sobie święta bez święconki.

To ważny i piękny zwyczaj. Chcemy wspólnie zjeść, posiedzieć przy stole, dzieląc się jedzeniem pobłogosławionym, spędzać wspólnie czas. Zresztą gdy przeglądniemy opisy chrystofanii, to zauważymy, że Jezus po zmartwychwstaniu bez przerwy je. Robi uczniom śniadanie nad Jeziorem Galilejskim. Gdy przychodzi przez drzwi zamknięte, chce pieczonej ryby. W Emaus dzieli się chlebem. Nacisk jest tu położony na wspólnotę stołu.

Wigilię Paschalną rozpoczyna liturgia światła, która działa na zmysły – pod warunkiem, że jest sprawowana po zmroku.

Światło w liturgii chrześcijańskiej od początku pełniło ważną rolę. Przykładem hymn, który cytuje św. Paweł, a który jest na pewno starszy: „Zbudź się o śpiący i powstań z martwych, a zajaśnieje ci Chrystus". Także słowa z prologu św. Jana: „Światłość w ciemności świeci, a ciemność jej nie ogarnęła". Albo starożytny hymn grecki, do dziś używany w liturgii: „Radosna światłości". We wszystkich tych przypadkach zmartwychwstały Chrystus jest porównywany do światłości, rozświetlającej mroki świata.

Na początku jest obrzęd błogosławienia ognia, zapalenie paschału, który będzie towarzyszył potem wspólnocie podczas liturgii przez cały rok – także przy chrztach i przy pogrzebach, czyli na początku życia ludzkiego i u jego kresu. Mamy też od razu bardzo piękne wyznanie wiary: „Chrystus wczoraj i dziś, początek i koniec, Alfa i Omega. Do Niego należy czas i wieczność. Jemu chwała i panowanie przez wszystkie wieki wieków". Potem dzielimy się światłem, zapalając świece od paschału. Jeśli nie podasz swojej świeczki innym, będzie mniej światła. Podobnie jeśli nie będziesz wspierał wiary i budował wspólnoty, to tej wiary będzie mniej – będzie ciemniej. A jak przekażesz światło, które otrzymałeś, to będzie jaśniej.

JACEK TARAN

O. SZYMON HIŻYCKI (ur. 1980) jest benedyktynem, opatem klasztoru w Tyńcu. Studiował teologię, filologię klasyczną oraz starożytny monastycyzm w kolegium św. Anzelma w Rzymie. Autor wielu książek, ostatnio wydał „Zrozumieć Ojców Pustyni".

I słyszymy piękny hymn o pracowitej pszczole: Exsultet.

Typowo łaciński, którego Grek by nie zaśpiewał...

Dlaczego?

Bo jest w nim np. mowa o szczęśliwej winie – to ujęcie typowo zachodnie. Ale znowu: hymn ten stawia w centrum Chrystusa Pana, który wybawia od grzechu.

Podczas Wigilii Paschalnej liturgia słowa jest wyjątkowo rozbudowana.

Św. Augustyn mówi, że Wigilia Paschalna jest matką wszystkich czuwań. Główna myśl jest taka, że oczekujemy – i zmartwychwstania, i paruzji. Czekamy na powrót Pana, na sąd ostateczny, na Jego przyjście w chwale. Czekamy, modląc się, a więc także słuchając Słowa, które rozpoczyna się opisem stworzenia świata. Zmartwychwstanie to nowe stworzenie. To, co było, przeminęło, wszystko stało się nowe – mówi apostoł. Właściwie słuchamy historię święta w skrócie: od stworzenia świata, przez ofiarę Abrahama, przejście przez Morze Czerwone do proroków. Gdy dochodzimy do epistoły, biją dzwony, zapalamy ponownie świece i przechodzimy do celebrowania zmartwychwstania.

Ewangeliczne opisy zmartwychwstania różnią się w szczegółach. To trudność czy bogactwo?

Bogactwo...

...które jednak może sprawiać trudność. Może prowokować pytanie, czy tak było naprawdę. Najwcześniejsze świadectwa zostały spisane dopiero 30 lat po śmierci Jezusa.

Ludziom, którzy redagowali ewangelie czy potem układali kanon Pisma Świętego, nie przeszkadzały te różnice. Przecież mogli je ujednolicić. Widać, nie to jest istotne. Kościół jest starszy od Nowego Testamentu – żył wiarą w zmartwychwstanie na długo przed spisaniem pierwszych świadectw. A one nie były traktowane jak reportaż z wydarzeń, tylko jak przekaz wiary. Istotna jest jedna prawda: Jezus Chrystus został zabity, ale naprawdę powrócił do życia.

Jak przygotowanie do świąt wygląda w opactwie tynieckim?

Każdy z mnichów podejmuje zobowiązania wielkopostne, które zgłasza opatowi – np. do większej ilości modlitwy. Decyduje się także, że będzie pracować nad jakąś cnotą i że podejmie jakieś wyrzeczenie, z czegoś np. zrezygnuje.

Spisuje się te zobowiązania?

Tak, a opat błogosławi. Mamy też rozmowy wielkopostne – przychodzi się do opata na rozmowę, która zwykle trwa godzinę albo dłużej, jeśli ktoś tego potrzebuje. Mówi się o swoich zobowiązaniach albo o innych sprawach, które niepokoją. W każdy piątek Wielkiego Postu jest nabożeństwo pokutne po komplecie, czyli modlitwie wieczornej. Wspólnie wtedy śpiewamy psalmy pokutne.

Przed Triduum przygotowujemy kościół, liturgię, śpiewy, kazania. Tego jest sporo, więc rzeczywiście mamy przedświąteczny kołowrotek. Ale potem w oktawie wielkanocnej można cały tydzień się cieszyć Zmartwychwstaniem.

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

Świt o zmierzchu

PIOTR SIKORA

Wielkanocna opowieść jest o tym, że życie mamy w sobie. Że jest ono jak światło, które co rano budzi nas ze snu.

Tomasz Bliźniak zapisał. Wers za wersem budził zachwyt, ale i niepokój. Zwinęli więc zwoje, schowali do dzbana, umieścili w ziemi, przywalili kamieniami. Wieki później ktoś szukał skarbu. Wydobył dzban z piasku i możemy przeczytać słowa żywej Mądrości: „Uczniowie zapytali: »Pokaż nam miejsce, w którym jesteś, ponieważ musimy koniecznie go szukać«. Powiedział im: »Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha. Wewnątrz człowieka jest światło, i świeci na cały świat. Gdy nie świeci – jest ciemność«. I zapytali go znowu: »Kiedy nastanie zmartwychwstanie i odpocznienie umarłych i kiedy przyjdzie nowy świat?«. Jezus odparł: »To, czego szukacie, nadeszło, lecz tego nie rozpoznajecie«. A kto te słowa zrozumie, nie zakosztuje śmierci" (Ewangelia Tomasza 24. 51. 1).

Niełatwo znaleźć sens tych słów w plątaninie życia. Niby leży tuż przed oczami, a jednak wymyka się, kryje – to za tą sprawą nie do odłożenia, to za tamtą rzeczą nie do porzucenia – albo znika za lustrem troski o samą lub samego siebie.

Rytuały

Szliśmy trawersem. Wąska ścieżka, strome zbocze, szybki krok. Lecz zmierzch był jeszcze szybszy. Jodłowe gałęzie wysoko nad głową, wokół coraz słabiej widoczne, ciemne kolumny pni. Wzrok rozróżniał coraz mniej szczegółów, z umysłu uciekała nadzieja na znalezienie miejsca, w którym dałoby się rozbić namiot.

Frustracja zmieniała się w złość: w tym kraju oznaczenia czasu przejścia szlaków są mierzone chyba przez wyczynowców, łudzą zwykłych turystów! No i ten wiatr, który kilka miesięcy wcześniej połamał całe połacie lasu – gdzie kiedyś była prosta ścieżka, teraz są wykroty, korzenie, plątanina gałęzi. Ludzie i żywioły nie były po naszej stronie.

Złość zaczynała przegrywać ze strachem, karmionym dziwnymi szmerami niesionymi przez zapadającą ciemność, i samą ciemnością, i chłodem. Zrobiło się zbyt czarno, by iść. Stanęliśmy. W wilgotnym powietrzu rozlegała się cisza. Pachniało żywicą, jak w kościele.

Ze wszystkich kościelnych nabożeństw i rytuałów najgłębszy jest ten moment wiosennej nocy, gdy świątynia jest całkiem ciemna – tak, że nie widać ludzi. Choć są tuż obok, słychać szmer oddechów, czyjś daleki kaszel odbija się echem od kazalnicy. Przez główne wejście zostaje wniesiona świeca (co rok mnie zdumiewa, ile światła daje płomień jednego grubego knota nasączonego pszczelim woskiem). Rozlega się śpiew (tylko dwa słowa, a przez całe ciało przechodzi dreszcz).

Choć może jeszcze głębsza jest chwila później, gdy ludzie zapalają knoty swoich małych świeczek, płomyk od płomyka, trzymają blisko ciała, osłaniają ręką, by nie poparzyć sąsiada. Stoją gęsto, zasłaniając ciałami w kurtkach i płaszczach ogień świec, widać jedynie, jak ciepłe światło migocze na twarzach. Świecą oczy, czubki nosa, czoła, policzki. Świecą, ale czy wiedzą, skąd (ostatecznie, czyli pierwotnie) wydobywa się światło?

Kierunek spojrzenia

„Czemu wychodzicie i szukacie na zewnątrz? – dziwił się Mistrz Eckhart. – Wszystko przecież macie w sobie" – dzielił się odkryciem swego życia na kazaniach, których słuchali jego uczeni bracia dominikanie, pobożne mniszki, bogaci kupcy, biedniejsi szewcy i każdy prosty człowiek, który ukradkiem wszedł do bocznej nawy.

Eckhart odkrył to, co na długo przed nim Paweł z Tarsu z biegiem lat rozumiał coraz jaśniej. Najpierw faryzeusz, a potem wizjoner, na początku swojej chrześcijańskiej drogi czekał, aż życie i światło przyjdą do nas z góry, i to już niedługo. Nauczał tak jeszcze w liście napisanym do uczniów, którzy w Salonikach myśleli, że lada dzień w klepsydrach zatrzyma się piasek, groby się otworzą, a błękit nad głową zostanie rozdarty przez anioła z ognistym mieczem. Piasek w klepsydrach jednak nie przestał się sypać, Ziemia kilka razy okrążyła Słońce, a Paweł zaczął zmieniać kierunek spojrzenia. Aż zamknął oczy i zobaczył: „Ten, który rzekł, by światło rozbłysło w ciemności, zabłysnął w naszych sercach, by olśnić nas jasnością poznania blasku Boga na obliczu Chrystusa" (2 Kor 4, 6).

Niewątpliwie: mamy w sobie ciemność. Nikt, kto choć trochę pozna siebie, temu nie zaprzeczy. Strach, ból, nienawiść, poczucie bezsensu, zwątpienie, bezradność falują nam pod skórą. Ale jednak – dostrzegli to Paweł, Tomasz Bliźniak, Eckhart – w tej martwej ciemności powstaje wieczne, boskie światło. I nawet jeśli jego źródło leży jeszcze głębiej niż dno naszej duszy, *lux aeterna* odbija się w nas i – gdy tylko nie zamkniemy na nie oczu – przemienia i sprawia, że my sami zaczynamy świecić. Więc Paweł napisał uczniom, którzy w Koryncie pytali, czym jest zmartwychwstanie: „My wszyscy z odsłoniętą twarzą wpatrujemy się w jasność Pana odbijającą się w nas, jakby w zwierciadle; zostajemy przekształceni z Ducha Pana na ten sam obraz – z blasku w blask" (2 Kor 3, 18).

Na drodze tej przemiany wszelkie słowa łudzą nas jednak. Paweł zatem pisał, ale pisząc ostrzegał Koryntian: „litera zabija, Duch tworzy życie" (2 Kor 3, 6). Kto zatrzyma się na piśmie, słowie, będzie tylko roztrząsał znaczenia wyrazów – wkrótce umrze albo nawet: umiera już teraz. Przeczytawszy Pismo, trzeba porzucić rozważania, zostawić teorie, przyjąć paradoks, zmienić cały sposób życia, wyruszyć w duchową podróż, w której nie będzie jasnych drogowskazów, bezpiecznych miejsc odpoczynku, pewności, żeśmy u celu (albo choćby – bliżej niego).

Albowiem słowo jest o świetle, ale takim, którego dostrzec nie sposób: „Nie tracimy ducha, chociaż bowiem niszczeje nasz człowiek zewnętrzny, to jednak ten,

ALBUM / PRISMA / EAST NEWS

Detal twarzy Chrystusa, XIII-wieczna mozaika znajdująca się w Hagii Sophii w Stambule.

który jest wewnątrz, odnawia się z dnia na dzień. Albowiem nasze chwilowe i lekkie utrapienia bezmiernie przewyższa obfitość wiecznego blasku przygotowanego dla nas, którzy się wpatrujemy nie w to, co widzialne, lecz w to, co niewidzialne. To bowiem, co widzialne, przemija, to zaś, co niewidzialne, jest wieczne" (2 Kor 4, 16-18).

Złudzenia i rzeczywistość

Nie tylko Koryntianie mieli wątpliwości, czy te wszystkie pięknie brzmiące nauki nie są sztuczką iluzjonisty albo mirażem na pustyni: gdy drga suche, rozgrzane powietrze, a my – pragnąc wody – widzimy wodę. Ta wątpliwość, którą dobrze rozumiemy, pojawiała się w głowie chyba każdej uczennicy i każdego ucznia, nawet tych żyjących wieki przed powstaniem neuronauk. Znamy imię jednego z wątpiących: Reginos. I znamy pouczenie, które dał mu nauczyciel: „Czyż nie trzeba raczej powiedzieć, że mirażem jest świat? (...) Żywi umrą, bogaci biednieją, królowie są obalani. Zmienia się wszystko i przemija. Tak, to świat jest mirażem".

Widzialne przemija. Postrzegasz coś jako trwałe? Przypomnij sobie: piasek, który sypie się w klepsydrze cienką strużką – z kamienia jest. Nie bez powodu czytamy więc w księdze, która łączy obrazy światła i życia: „Kto lgnie do swojej duszy na tym świecie, straci ją. A kto nią wzgardzi, ten ją zachowa w wiecznym życiu" (J 12, 25). Chcesz zatrzymać dzisiejszą postać swojej egzystencji, siebie, jaką/jakim teraz jesteś? To jakby próbować wstrzymać oddech, nie wciągnąć powietrza w płuca, albo raz wciągnięte w płucach zatrzymać na stałe. Nie tak to się robi, nie tak się oddycha, lecz zupełnie na odwrót: wdech i wydech, i wdech, i... Przyjąć i wypuścić, wypuszczając przyjąć...

Marność nad marnościami, mówi mędrzec, wszystko marność (por. Koh 1, 2). Wszelkie „mam", „zdobyłam", „wygrałem". ↦

↦ Każde „wiem”, „kontroluję” i „trzymam”. Smak najlepszego wina ulatnia się z języka, najnowszy dom, gdy tylko w nim zamieszkasz, zaczyna wymagać remontu. Ucieka powietrze z kół, pieniądze z konta, siła z rąk, włosy z głowy. Kamień zamienia się w pył.

Nasza droga ku światłu, a raczej: droga, którą światło przebija się z naszej głębi na zewnątrz, do świata, wiedzie od paradoksu do paradoksu. Nie tylko patrzymy na to, czego nie widać, lecz również to właśnie pył tego świata niezbędny jest, by otworzyć nam oczy. O każdej i każdym bowiem opowiada historia zapisana w Piśmie: „Przechodząc, ujrzał człowieka niewidomego od urodzenia. (...) Powiedział: »Jak długo jestem na świecie, jestem światłością świata«. To powiedziawszy, splunął na ziemię, uczynił błoto ze śliny i nałożył je na oczy niewidomego, i rzekł do niego: »Idź, obmyj się w sadzawce Siloam« – co się tłumaczy: Posłany. On więc odszedł, obmył się i wrócił widząc” (J 9, 1. 5-7).

Mówi: idź, nie zatrzymuj się. Musisz chodzić po tym świecie, stawiać stopy, od pięty po palce, po zakurzonej drodze, brudzić ręce ziemią z ogrodu, trocinami z warsztatu, sadzą z pieca. Musisz czuć, jak chaos ściska ci gardło niepokojem, jak śmierć obejmuje ramiona smutkiem, jak ciemność miękko kładzie się na oczach. Innej drogi nie ma. Idąc tą, jesteśmy u celu: „Nosimy zawsze w naszym ciele umieranie Chrystusa, aby życie Chrystusa ujawniło się w naszym ciele” (2 Kor 4, 10). Albowiem „światło świeci w ciemności, a ciemność go nie pochwyciła” (J 1, 5).

Dom

Zrobiło się zbyt czarno, by iść. Stanęliśmy. W wilgotnym powietrzu rozlegała się cisza. Pachniało żywicą. Na wąskiej ścieżce nie było miejsca na namiot. Usiedliśmy na zwalonym pniu, zawinięci w śpiwory, oparci o siebie. Nic nie było widać, popatrzyliśmy sobie w oczy. Ziemia gnała po orbicie Słońca, robiąc kolejny obrót dookoła własnej osi. Odpoczywaliśmy nieruchomo.

©℗ PIOTR SIKORA

MUZEUM W MESTII / DOMENA PUBLICZNA

1

Złoto jest ciemne

STEFAN CHWIN

Ikony mówiły stanowczo: cierpienie jest drugorzędne wobec Zbawienia. W regułę tę, zdawać by się mogło, czysto religijną, można wpisać odniesienia do realiów politycznych Rosji.

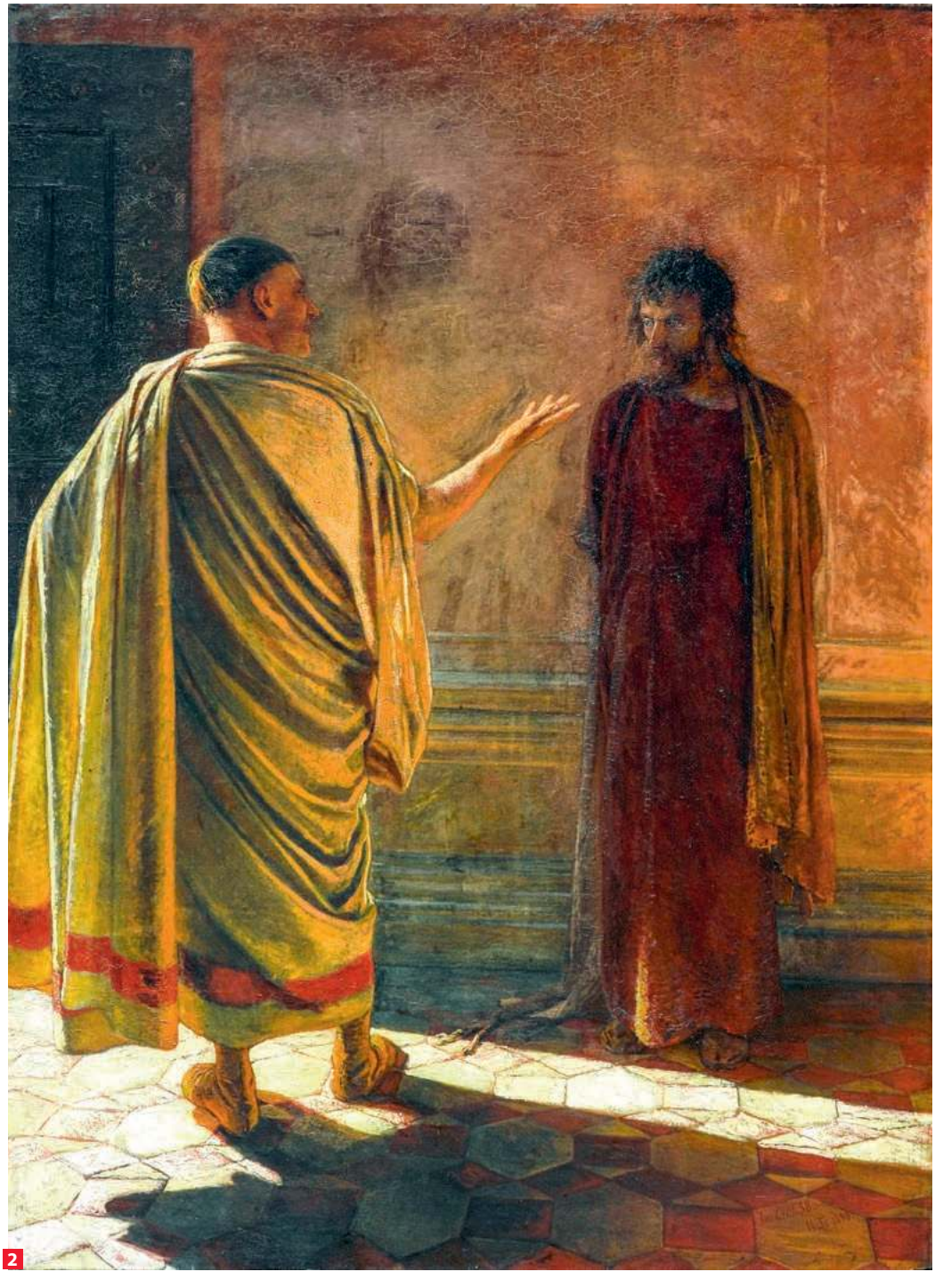

Po lewej: „Ukrzyżowanie", autor nieznany, Swanetia, Gruzja, XII w.

Po prawej: „Chrystus przed Piłatem" Nikołaja Nikołajewicza Ge, 1890 r.

GALERIA TRIETIAKOWSKA / DOMENA PUBLICZNA

2

Jest w malarstwie ikonowym coś zastanawiającego, nawet niepokojącego, co szczególnie objawia się w scenach Ukrzyżowania, tak jak bywają one na ikonach przedstawiane. Ikona jest piękna, to prawda, nawet zachwycająca, ale mówi do nas stanowczo: tylko tak można przedstawiać Ukrzyżowanie! Tylko tak, nigdy inaczej! I to jest jej prawdziwy głos. Malarstwo ikonowe obowiązują żelazne reguły, których nie wolno przekraczać nikomu [ilustracja nr 1].

Ale – zapytajmy – właściwie dlaczego tych reguł nie wolno przekraczać? Co uzasadnia ten zakaz? Żeby spróbować znaleźć odpowiedź na to pytanie, warto się przyjrzeć sprawie Nikołaja Nikołajewicza Ge, rosyjskiego malarza z drugiej połowy XIX w., który początkowo robił w Rosji prawdziwą karierę.

Zakazany obraz

Kiedy jako młody artysta Ge namalował biblijną scenę, w której wróżka Endoru wywołuje przed oczyma Saula postać proroka Samuela, petersburska Akademia Sztuk Pięknych przyznała mu złoty medal i znaczne stypendium, pozwalające studiować malarstwo na Zachodzie. Piękne perspektywy się przed nim otworzyły: Niemcy, Francja, Anglia, Włochy... Gdy zaś w 1861 r. Ge namalował „Ostatnią wieczerzę", wzorując twarz Jezusa na fotografii Aleksandra Hercena, oburzyło to wprawdzie część krytyki – cenzura cerkiewna zakazała ↦

nawet rozpowszechniania kopii – ale obraz został zakupiony przez liberalnego cara Aleksandra II i to za ładną sumę 10 tysięcy rubli, a potem z wielkim sukcesem pokazany w 1863 r. na jesiennej wystawie w Petersburgu, co zapewniło malarzowi prestiżową posadę profesora Akademii Sztuk Pięknych. Nie miał więc on specjalnych powodów do narzekań.

Ale potem z Nikołajem Nikołajewiczem Ge stało się coś dziwnego. Poznał Lwa Tołstoja i bardzo przejął się jego teoriami. Porzucił miasto, kupił mały futor na Ukrainie i tam się przeniósł. Orał ziemię, stawiał własnymi rękami piece, zajmował się pszczelarstwem. Głośno czytał chłopom świętą Biblię, choć oni podśmiechiwali się z niego po cichu, gdy tylko dowiedzieli się, że – on, szlachcic – jest jeszcze biedniejszy od nich. I wtedy Ge zaczął przedstawiać sceny z Ewangelii inaczej niż dotąd. Kiedy w 1890 r. namalował Jezusa ubiczowanego, stojącego przed Piłatem [ilustracja nr 2], obrazu tego nie dopuszczono do publicznej prezentacji na dorocznej wystawie malarstwa.

Zakaz poprzedziło doniesienie skierowane do cara Aleksandra III Romanowa, w którym prokurator generalny Synodu Rządzącego Kościoła Prawosławnego Rosji, Konstantin Pawłowicz Pobiedonoscew, radykalny zwolennik państwa autorytarno-policyjnego i surowej władzy teokratycznej, informował o ogólnym oburzeniu, jakie dzieło Ge wzbudziło na wystawie objazdowej. Dodawał też, że Rosjanie są oburzeni nie tylko obrazem – jego formą i treścią – ale i samym artystą. Nie mogą przy tym wyjść ze zdumienia, jak w ogóle mogło dojść do tego, że rząd pozwolił wystawiać na widok publiczny dzieło tak bezwzględnie – jak to zostało określone – tendencyjne i bluźniercze, które miało do głębi obrażać uczucia religijne ludzi wierzących. Bo artysta – przekonywał Pobiedonoscew cara – miał wyraźnie na celu świadome znieważenie obrazu Jezusa, Boga-Człowieka i Zbawiciela, który stanowi istotę wiary chrześcijańskiej i jest bliski sercu każdego chrześcijanina.

> Z punktu widzenia cara Ge dopuszczał się wykroczenia, zdradzając nie tylko religijną prawdę, której należało strzec, lecz i samą duchową esencję Rosji, co mogło wyglądać na nikczemne naśladowanie Zachodu.

Dodawał też Pobiedonoscew, że dalszy publiczny pokaz obrazu „Jezus przed Piłatem" może wywołać w rosyjskim społeczeństwie ogólniejsze „narzekania na władze", co estetyczno-religijne zastrzeżenia, które kierował do cara, zmieniało w polityczny donos.

Słowa te nie przeszły bez echa. Dzieło po trzech tygodniach ekspozycji zostało z wystawy usunięte, nie wolno go było nigdzie pokazywać i pewnie w ogóle by znikło z horyzontu rosyjskiej sztuki, gdyby nie Lew Tołstoj, który skutecznie wezwał Pawła Michajłowicza Tretiakowa, właściciela sławnej kolekcji malarstwa, by zakupił je do swoich zbiorów, do czego Tretiakow wcale się zresztą nie palił, obawiając się – najzupełniej słusznie – niebezpiecznych dla niego wizyt policji, do których mogło dojść w przyszłości. Krytyk Nikołaj Michajłowski „Jezusa przed Piłatem" zdecydowanie potępił: „Za Chrystusem szły wielotysięczne tłumy, tymczasem Chrystus, którego namalował Nikołaj Ge, nie ma w sobie żadnych cech prawdziwego wodza!". Nikołaj Leskow – przeciwnie – obrazem się zachwycił. „Oto – jak stwierdzał – pierwszy Chrystus, którego rozumiem!".

A kiedy w 1893 r. Nikołaj Nikołajewicz Ge namalował „Ukrzyżowanie albo Golgotę", car Aleksander III, władca Wszechrusi i król Polski, który rządził imperium wedle twardej zasady: „prawosławie, samodzierżawie, narodnost", osobiście wydał zakaz publicznego wystawiania tego dzieła. Podobno, kiedy obraz zobaczył po raz pierwszy, rzucił tylko przez zaciśnięte zęby: „To – rzeźnia! Po prostu ubój!". Obraz zdjęto z wystawy pierwszego dnia. Od tej chwili Rosjanom „Golgoty" Nikołaja Nikołajewicza Ge oglądać nie było wolno.

Odpoczynek

Przypomnijmy: car Rosji był nie tylko wszechwładnym przywódcą państwa rosyjskiego. Był też zarządcą Kościoła prawosławnego, więc rozstrzygał sprawy cerkiewno-wyznawcze. Już w 1721 r. car Piotr I zlikwidował patriarchat moskiewski i powołał do życia całkowicie mu podległy Świątobliwy Synod Rządzący, pozornie kolektywny organ administracyjny, który miał kierować działalnością Cerkwi. Rozkazy carskiej władzy dotyczyły jednak nie tylko spraw administracyjno-religijnych związanych z działalnością Cerkwi, ale też samej estetyki prawosławnej. Czyli spraw tak subtelnych i – zdawać by się mogło – dalekich od polityki, jak barwa, światło, kształty i linie.

W wieku XIX carowie Rosji przywiązywali do tego duże znaczenie. Nakazali np., by w całym imperium budowano

„Ciało martwego Chrystusa złożone do grobu" Hansa Holbeina, 1522 r.

4

KUNSTMUSEUM BASEL / DOMENA PUBLICZNA

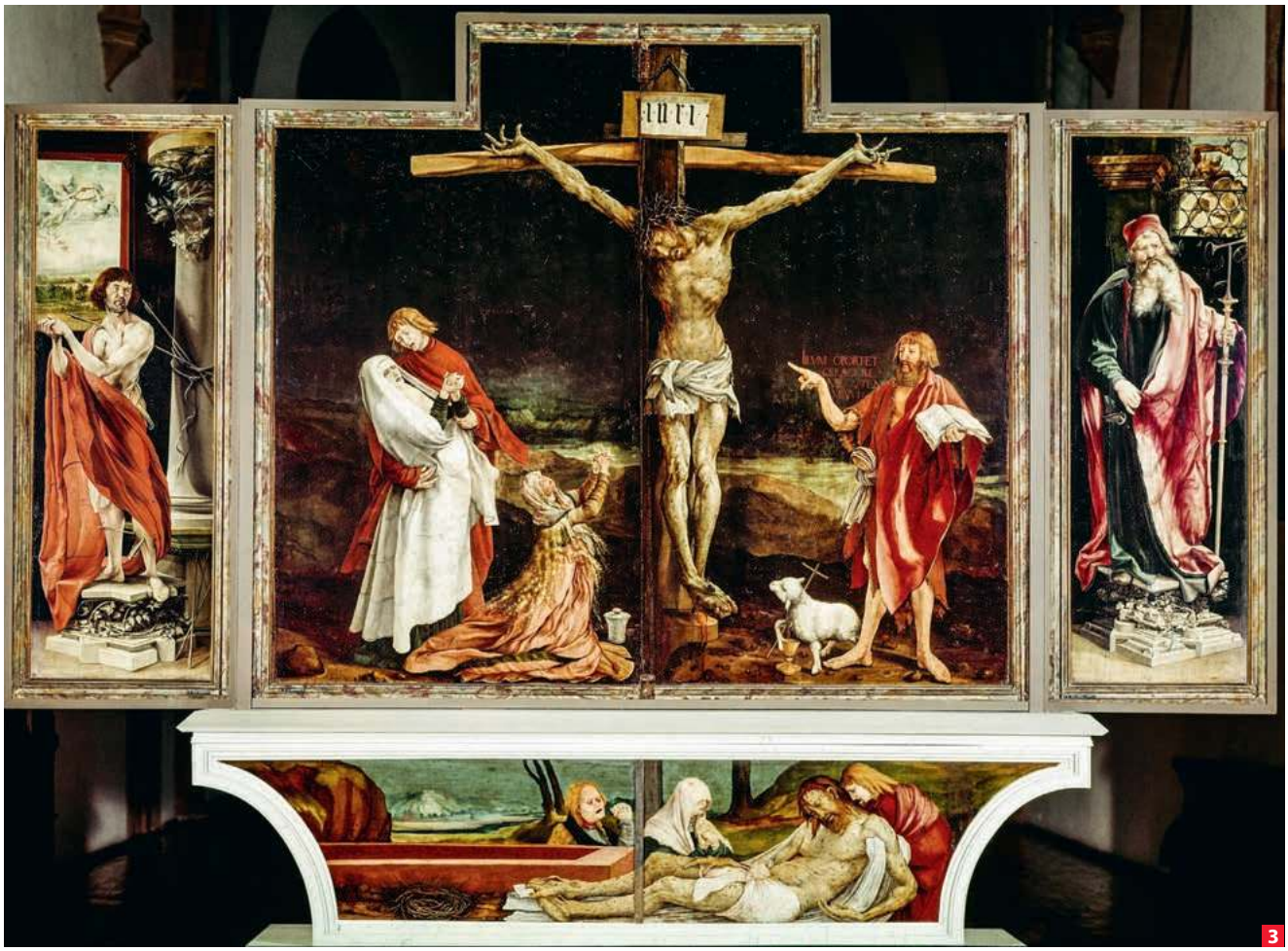

3

MUZEUM UNTERLINDEN / LEEMAGE / UIG / BE&W

Ołtarz z Isenheim Matthiasa Grünewalda, 1512-1516 r.

cerkwie wedle jednego wzoru architektonicznego, w stylu moskiewsko-jarosławskim oraz neobizantyjskim. Na terenie całego państwa, rozpościerającego się od Łodzi do Kamczatki, wszystkie cerkwie miały wyglądać tak samo. Niezależność od bezpośredniej władzy cara Cerkiew uzyskała dopiero w marcu 1917 r., gdy patriarchat moskiewski został przywrócony. Ale w wieku XIX o żadnej niezależności nie było mowy.

Zachowanie Aleksandra III wobec Nikołaja Nikołajewicza Ge dowodziło, że car stał twardo nie tylko na straży kanonów architektonicznych prawosławnej cerkwi, lecz także na straży **restrykcyjnej estetyki ikony**, broniąc jej przed jakimikolwiek niestosownymi zmianami. Ale restrykcyjnej estetyki ikony broniła nie tylko rosyjska władza polityczna i duchowna. Broniła jej też sama rosyjska kultura. Każdy Rosjanin wiedział dobrze, jak Syna Bożego nie wolno przedstawiać. A Ge dopuścił się jawnego „odchylenia", gdy w 1893 r. namalował swoją wersję Ukrzyżowania wyraźnie przeciwko tradycyjnej estetyce ikony. Zderzenie z kanonami malarstwa ikonowego było frontalne.

Głównym zakazem restrykcyjnej estetyki ikonowych przedstawień Ukrzyżowania był zakaz realistycznego przedstawiania cielesnej udręki Boga przybitego gwoździami do krzyża. Dotyczyło to układu ciała, barwy skóry, ran, blizn i okaleczeń. Rysunku kości, ścięgien i żeber. Gestów, mimiki, kształtu głowy, szyi, rąk, oczu i warg. Ani ciało Ukrzyżowanego, ani jego twarz nie mogły ↦

GALERIA TRIETIAKOWSKA / DOMENA PUBLICZNA

5

„Wyrok Sanhedrynu: winny śmierci!" Nikołaja Nikołajewicza Ge, 1892 r.

↦ eksponować fizycznej okropności cierpień Zbawiciela, konającego na krzyżu. To było bezwarunkowo zakazane.

Reguła ta obowiązywała także w europejskim malarstwie religijnym, ale nie wszyscy malarze się do niej stosowali. Zdarzali się i tacy, którzy daleko od niej odchodzili, także w przedstawieniach aprobowanych przez katolicką hierarchię, to znaczy na obrazach, które wieszano w kościołach zachodniej i środkowej Europy.

Najdalej w tym kierunku poszło chyba malarstwo krucyfiksowe Matthiasa Grünewalda (choćby jego wizja z ołtarza z Isenheim; 1512-1516 [ilustracja nr 3]), a wcześniej – sztuka zachodniego średniowiecza, w której Ukrzyżowanie przedstawiano często jako scenę najdosłowniej pojętych tortur, z obsesyjną dokładnością eksponując straszliwe okaleczenia ciała ukrzyżowanego Boga-Człowieka. Przeciwieństwem takich ujęć było malarstwo Rafaela Santi, idealizujące nieskazitelną postać Jezusa tak, by ciało Boga ukrzyżowanego niczym właściwie nie różniło się od ciała Boga zmartwychwstałego. U Rafaela Jezus „zmartwychwstawał" już w chwili, w której był przybijany do krzyża. Na jego twarzy nie malował się żaden ból krzyżowej udręki, tylko spokojny „odpoczynek" spełnionej rezurekcji.

Tendencja ta znalazła wyraz także w malarstwie ikon. Nie tylko idealizowano ciało Jezusa jako właściwie nietknięte ziemską okropnością bólu i udręczenia, ale też zmieniano je w stylizowany, ideologiczny emblemat samego aktu Zbawienia. W takim ujęciu dokonywano znaczącego przesunięcia w symbolicznej strukturze przedstawionego czasu. Godzina męki Ukrzyżowania stawała się godziną wyjścia z grobu. Na ikonach nie wolno było przedstawiać konwulsyjnie skręconego ciała Skazańca, zwijającego się z bólu na dwóch skrzyżowanych belkach. Sposobem na zażegnanie „błędu" takich przedstawień była geometryzacja sylwetki cierpiącego Jezusa, która pozwalała wszelkie oznaki rozdzierającego bólu przesłonić symetryczną formą statycznej prezentacji.

Gnębi, by zbawiać

Swoim twardym zakazem wymazując „Ukrzyżowanie" Nikołaja Ge z przestrzeni rosyjskiej kultury, Aleksander III wyrażał nie tylko osobiste poglądy, lecz bronił samych fundamentów tej kultury, to znaczy jej stosunku do ludzkiego – w szczególności rosyjskiego – cierpienia.

Bo malarstwo ikonowe mówiło stanowczo: **cierpienie jest drugorzędne wobec Zbawienia**. Było do Zbawienia z pewnością potrzebne i konieczne, ale na ikonach nie powinno przesłaniać swojego wyższego celu i metafizycznego sensu. Mniej ważne jest to, że Jezus cierpiał, dużo ważniejsze to, że poprzez cierpienie nas zbawiał. W regułę tę, zdawać by się mogło, czysto religijną, można było wpisać odniesienia do realiów politycznych Rosji, jeśli się miało w ręku władzę nad religijnymi symbolami, z czego carowie – i nie tylko zresztą oni – chętnie korzystali, budując i umacniając teologię polityczną rozrastającego się imperium.

Męczarnie doznawane przez święty, cierpiący rosyjski naród – tak brzmiało przesłanie wpisane w złoto-promienną przestrzeń symboliczną ikony – są drugorzędne w stosunku do ich wyższego celu. Cierpienia, jakie dotykają Rosjan, bywają bezbrzeżne, bo Rosja potrafi cierpieć naprawdę, równie boleśnie jak ukrzyżowany Jezus, ale nie należy ich wyolbrzymiać, nadmiernie eksponować i skupiać na nich całej uwagi. Naprawdę istotna jest bowiem metafizyczno-polityczna, wyższa pożyteczność rosyjskiego bólu, który jest konieczną, ciernistą drogą do zbudowania Królestwa Bożego na rosyjskiej ziemi, czyli Wielkiej Rosji jako uświęconego Trzeciego Rzymu.

Dawało to władzy politycznej w Rosji symboliczne alibi dla polityki represyjnego autorytaryzmu. Sakralizowało przymus i okrucieństwo tej polityki, budując i umacniając jej metafizyczne podstawy. Naród rosyjski „powinien" cierpieć w żelaznych karbach rosyjskiego państwa z głęboką pokorą, nie przywiązując nadmiernej wagi do własnego cierpienia, tak jak cierpiący Chrystus – przedstawiony na ikonach – nigdy nie skarżył się na ból, jakiego doznawał. Z rosyjskich cierpień powstanie bowiem złota rzeczywistość doskonałego państwa, którą modlący się Rosjanie widzą już w złotym blasku ikony.

Najważniejsze jest zbawienie – tak religijne, jak polityczne – a nie jego cena, nawet największa i najstraszniejsza. Tylko ludzie małego ducha oburzają się na widok udręk, jakie lud rosyjski musi znosić w drodze do swojego ziemskiego wyniesienia, które za jakiś czas się spełni w złotych blaskach kopuł cerkiewnych, gdy Królestwo Boże, zbudowane na rosyjskiej ziemi, obejmie całą planetę, uzdrawiając chorą ludzkość, która właśnie od Rosji potrzebuje duchowej pomocy i ocalenia.

Żelazne reguły malarstwa ikonowego miały uzasadniać i wzmacniać taki sposób myślenia, choć zachowywały także swój metafizyczny wymiar. Pojedynczy Rosjanin, modlitewnie wpatrzony w ikonę, miał myśleć o sobie samym jako o „naturalnej", skromnej, nic nieznaczącej ofierze zbawicielskiego projektu, który realizuje święta Rosja ze świętym, surowym władcą na szczycie, który – jak mówiono – ma bezpośredni kontakt z Bogiem, a nawet jest jego żywym, ziemskim obrazem. Jeśli car gnębi, to po to, by zbawić. Zadaje ból, by naród rosyjski na swojej drodze przez mękę rozbłysnął świętością, trwając w pokornym cierpieniu, na które nie powinien się skarżyć, tak jak na złotych ikonach nie skarżył się ukrzyżowany Jezus.

> Zachód odkrył i pokazał psychologię męczarni Tego, który umierał na krzyżu, ale i rozdzierającą psychologię opłakiwania przez tych, którzy patrzyli na Jego umieranie. Zbudował kulturę kontemplacji cierpień Ukrzyżowanego.

Geometria zamiast grawitacji

Na ikonach Jezus wiszący na krzyżu pod żadnym pozorem nie mógł być umęczony do końca, złamany bólem, upokorzony, zepchnięty krwawą męką na brudne dno życia. Brutalna prawda cielesnej kenozy nie wchodziła w rachubę. Musiał być już teraz tryumfujący, świetlisty, promienny – prawdziwy Chrystus Spasitiel, długo wyczekiwany zwiastun złotego odnowienia Ziemi. Ludzie modlący się przed ikoną powinni wiedzieć, że nie należy się skarżyć na swój ciężki los, bo jest on naturalnym losem każdego Rosjanina, tak jak zgoda na cierpienie była naturalnym losem Jezusa.

Nie powinno się wierzgać przeciwko światu, który zadaje cierpienie, jeśli jest to świat świętej Rosji, niosącej zbawienie wszystkim narodom ziemi. Należy lekceważyć trudne cierpienia własnego, rosyjskiego życia i z zaciśniętymi zębami w jego mroku cierpliwie kroczyć konieczną drogą uległości i pokory ku przeistoczeniu Rosji w promienny Trzeci Rzym. Patrząc na ikonowe Ukrzyżowanie, Rosjanie mieli widzieć spełniające się już na ich oczach Zmartwychwstanie – ich samych i wielkiej Rosji, która w samym złocie ikony przechowała dla całego świata Chrystusowy skarb bólu, który przeistacza. Nie powinni zatrzymywać swojej uwagi na cierpieniu, bo to błąd teologiczny i egzystencjalny, lecz patrzeć dalej i głębiej w złote tło obrazu, w którym żarzy się utajona prawda.

Jezus na ikonach nie mógł mieć prawdziwych, bolesnych ran, tylko rany malarskim sposobem przemienione w symboliczne emblematy zbawicielskiej mocy. Nie mógł ociekać krwią, która spływała po świętym pniu krzyża, i skręcać się w konwulsjach bólu na gwoździach rozdzierających ścięgna ramion. Miał być złotym symbolem odległego celu, akcentującym sprawiedliwą drugorzędność fizycznej udręki, która była **tylko** koniecznym warunkiem Zbawienia. Nawet cząstka brudu ziemi nie mogła splamić ukrzyżowanego ciała, którego malarskie odcieleśnienie – przeobrażenie w ideologiczny znak spełniającej się już Obietnicy – było celem ikony. Ciało Jezusa było na ikonie pozbawione fizycznego ciężaru. Nie zwisało bezwładnie na krzyżu. Przylegało do niego jak motyl, który przysiadł na korze drzewa z rozłożonymi skrzydłami. Należało do sakralnego porządku bez czasu, przestrzeni i grawitacji. Zmieniało się w płaski, złoty płatek „naklejony" na powierzchnię świętego obrazu.

Nie było wolno przedstawiać rozstawionych rąk Ukrzyżowanego w kształcie litery V, naciągniętych w dół pod strasznym ciężarem bezwładnego, okaleczonego torsu. Układ ramion Jezusa, przybitych gwoździami do górnej belki, miał idealnie pokrywać się z układem ramion drewnianego krzyża. Miał być lekki, swobodny. Na ikonach Jezus nie tyle wisiał na krzyżu, ile unosił się czy po prostu stał. Jego sylwetka układała się w niewymuszony kontrapost. Głowa, zawsze pochylona w stronę prawego ramienia, nie naciągała boleśnie ścięgien szyi, tylko raczej usypiała w łagodnym zbawicielskim spełnieniu. Gra mięśni i żeber pod skórą Ukrzyżowanego przeobrażała się w spokojny geometryczny ornament, zastygły w symetrii „innego", złotego świata, w którym nie obowiązywała perspektywiczna głębia malarstwa realistycznego i trójwymiarowa, ciężka masywność ciała splecionego z kości, ścięgien i mięśni. Z rany w boku Chrystusa nie mogła wypływać strużka gęstej, ciepłej krwi. Jeśli już, to wykwitało z niej tylko parę purpurowych kresek, które krew jedynie symbolizowały.

↦

↦ Wszystkie realia fizycznej męczarni należało zamienić w symboliczny układ barw i kształtów, podporządkowany prawidłom geometryzacji, która miała wyobrażać to, co doskonałe. Nie wolno było przedstawiać Jezusa Ukrzyżowanego jako bolesny, zmasakrowany strzęp ludzki. Wykluczone były także głośna skarga, płacz, jęk, krzyk czy wycie z bólu Ukrzyżowanego, czyli ekspresyjna mimika twarzy konającego w agonii Boga. Jezus na ikonie miał umierać w absolutnej ciszy. W zupełnym spokoju świętego milczenia. Miał mieć usta zamknięte pieczęcią pokory i dokonującego się już – na naszych oczach – Zmartwychwstania. Mógł co najwyżej hieratycznie wypowiedzieć marmurową sentencję „*Eli, Eli lamma sabachthani*", która niczego nie zmieniała w jego niczym nienaruszonej, zwycięskiej boskości ciała już przebóstwionego.

Jego cierpienie nie mogło być obiektem nadmiernej, współczującej empatii ze strony widza, bo wtedy odwracałoby uwagę od swojego wyższego celu. Litosne skoncentrowanie na bólu przebitych rąk i nóg spychałoby ikonę w rejony teologicznej zdrady i zbłąkania. Miała ona być trampoliną religijnego odlotu duszy w złotą krainę spełnionego Zwycięstwa, w której cierpienie zostało już malarskimi środkami przeobrażone w Spełnienie. Należało do przeszłości w stosunku do przedstawienia sylwetki żywego Syna Bożego. Patrząc na ikonę, Rosjanin miał wiedzieć, że ważniejsze jest przenosić się duchem do wymarzonego, wyprorokowanego Nieba, którego skrawek lśni na ikonie szczerym złotem metafizycznego tła, niż ze ściśniętym gardłem wpatrywać się w okaleczone ręce i nogi Zbawiciela, oblepione skrzepami krwi, dzięki którym – oto paradoks, który przemilczano – to Niebo stanie się możliwe. Twarz Ukrzyżowanego nie mogła być skażona jakimkolwiek wyrazem ziemskich uczuć: lęku, zdziwienia, przerażenia, rozpaczy, nieufności, zwątpienia czy beznadziei. Żadnej łzy na policzkach konającego. Ta twarz miała być zgeometryzowanym znakiem dokonującej się naocznie epifanii, zastygła w swoim doskonałym, niczym nienaruszonym, triumfującym pięknie. Bo że Jezus był piękny – także w chwili najstraszniejszej męki – było dla ikony dogmatem niepodważalnym.

> Ikona mówiła nie tylko o cierpiącym Jezusie. Uczyła też Rosjan określonego stosunku do własnego cierpienia, także cierpienia w jego wymiarze politycznym. Udręczenie i poniżenie jest w Rosji święte i ocalające.

Wszystkie te zakazy złamał Nikołaj Nikołajewicz Ge, malując swoją „Golgotę", dlatego został ukarany przez cara Rosji, który zakazał Rosjanom patrzeć na jego obrazy. Z punktu widzenia cara Ge dopuszczał się fundamentalnego wykroczenia, zdradzając nie tylko religijną prawdę, której należało strzec, lecz i samą duchową esencję Rosji, co mogło wyglądać na nikczemne naśladowanie Zachodu.

Wymazywanie

To Zachód odkrył i pokazał w swojej sztuce psychologię męczarni Tego, który umierał na krzyżu, ale i rozdzierającą **psychologię opłakiwania** przez tych, którzy patrzyli na Jego umieranie. Zbudował kulturę empatycznej kontemplacji cierpień Ukrzyżowanego. Kulminacyjnym zobrazowaniem bolesnego porywu uczuć świadków Męki był ołtarz Grünewalda z kościoła w Isenheim. Wystarczy porównać Marię i grupę osób towarzyszących umieraniu Jezusa na krzyżu, tak jak była ona przedstawiana na ikonach, z Marią rozpaczliwie mdlejącą w ramionach św. Jana u podstawy krzyża spływającego krwią, tak jak została przedstawiona przez Grünewalda. Takiej sceny nie znajdziemy na dawnych ikonach. Europejskie malarstwo chyba się dalej już nie posunęło, chyba że weźmiemy pod uwagę straszliwe „Ukrzyżowania" Francisa Bacona, w których absolutny ból tortury krzyża przybierał drażniącą formę krwawej abstrakcji.

Rozdzierającej, ekspresyjnej psychologii opłakiwania tradycyjne ikonowe malarstwo nie znało. Więcej: taką psychologię wykluczało. A nawet nie chciało jej znać. Rosjanin miał w ikonie czcić promienną chwałę zwycięskiego Jezusa Spasitiela, a nie współczująco – razem z Marią z Nazaretu, Marią Magdaleną i Janem – ronić łzy nad udręczającą kenozą bólu Chrystusowego, który był – tak układała się równoległa linia duchowego doświadczenia – także uświęconym losem jego własnym. Kontemplacja złotego obrazu męki, do której ikona wzywała, nie była tym samym, co bolesna, rozdzierająca empatia Grünewalda, który współczującym doświadczeniem rozpaczy dotykał samego serca świadków męki krzyżowej i serca widzów obrazu.

Problemy z Ukrzyżowaniem miał Fiodor Dostojewski, bo – jak dowodzi choćby jego literacka przypowieść o księciu Myszkinie jako wyobrażonym Chrystusie, który na kartach powieści „Idiota" nawiedza Petersburg w XIX wieku – na mękę „biednego" Jezusa patrzył on empatycznie, a równocześnie w swojej twórczości budował twardy kult potężnego cara spasitiela, świętego ojca narodu, karzącego rosyjskie grzechy, w czym tkwiła głęboka sprzeczność. Chociaż i on, uwiedziony nadziemskim światłem ikony, był wstrząśnięty w Bazylei obrazem Hansa Holbeina [ilustracja nr 4], na którym Jezus, złożony w grobie Nikodema, wyglądał jak wyciągnięty z wody, siny, okaleczony trup, co było dla niego nie do przyjęcia.

Nikołaj Nikołajewicz Ge przekroczył wszelkie granice. Posunął się dalej niż ktokolwiek w Rosji. Więc musiał zostać ukarany. Kategorycznie wymazany z rosyjskiej kultury i pamięci. I tak się stało. Na jego „Ukrzyżowaniu" z 1893 r. [ilustracja nr 6] widzimy wszak Jezusa jako strzęp ludzki zawieszony na dwóch skrzyżowanych belkach. Ostatecznie poniżony. Zdeptany. Zwijający się w konwulsjach cierpienia. Z głową odrzuconą w tył w spazmie bólu nie do zniesienia. Wyjący do nieba z podkulonymi z bólu kolanami. Z czarną klawiaturą żeber pod okaleczoną skórą wygiętego, udręczonego torsu. Tak właśnie Nikołaj Nikołajewicz Ge cenę zbawienia wysuwał na plan pierwszy, zderzając się z carem i restrykcyjną kulturą świętej Rosji. Nie odle-

gły, wymarzony skutek, o którym mówi złoto ikony, lecz właśnie straszliwa cena jako droga do Zbawienia miała przykuwać uwagę widza jego obrazu przede wszystkim.

Krytycy konserwatywni obrzucili Ge obelgami – że jego malarstwo jest triumfem cielesnego materializmu i nihilizmu. Nie mieli racji. Ono było triumfem empatii dla bytu cierpiącego jako ofiary zbiorowej przemocy, także przemocy państwowej, która swoje racje potrafi usprawiedliwiać językiem religijnych formuł i symboli. Na jego obrazie światło zbawienia, którego strzegła jak źrenicy oka tradycyjna estetyka ikony, tylko oświetlało zimną poświatą zawieszone na skrzyżowanych belkach, umęczone ciało zmasakrowanego Boga-Człowieka – jako sugestia i zwiastun, który zaledwie kierował myśl ku Obietnicy.

Ge z rozmysłem malował Jezusa jako drobnego, brzydkiego, brudnego, obdartego mężczyznę, pogardzanego przez ludzi dobrze zbudowanych, najedzonych, silnych i przystojnych. Na późnym obrazie zatytułowanym „Wyrok Sanhedrynu: winny śmierci!" [ilustracja nr 5] widzimy stojącego przed wielkim sądem człowieka zastraszonego przez bezwzględnych funkcjonariuszy władzy religijnej. Bezbronnego, przerażonego i zmiażdżonego do dna. Ikona takich rzeczy nie mogła tolerować, więc przemówiła potężnym językiem carskiej władzy, przypominając o swojej kulturotwórczej mocy.

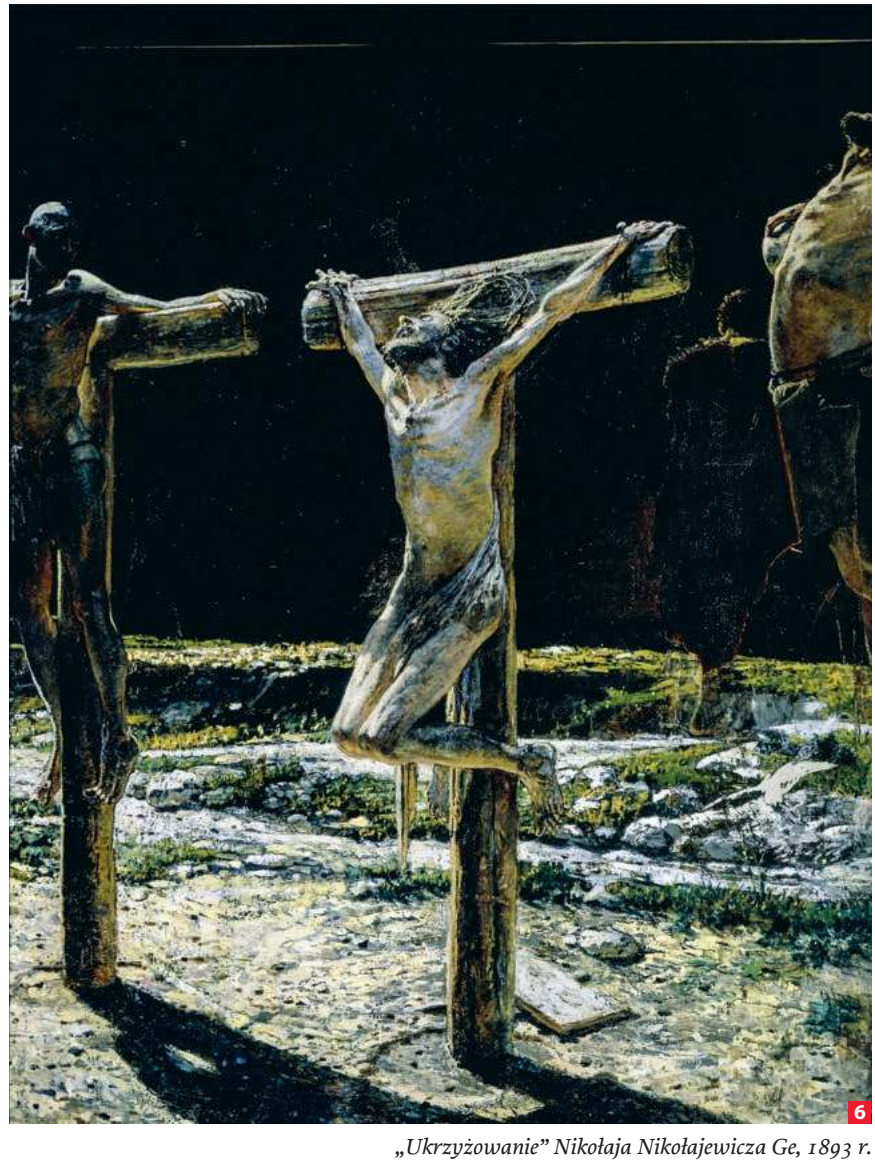

6 MUSÉE D'ORSAY / BE&W

„Ukrzyżowanie" Nikołaja Nikołajewicza Ge, 1893 r.

Państwo Doskonałe

Car przywoływał tym samym rosyjską wyobraźnię XIX wieku do porządku. Wyznaczał jej stosowne granice. Dostosowywał do imperialno-rosyjskiego projektu. Nie ma co udawać, że rosyjska kultura ikony formowała się poza horyzontem tego projektu. Że nie miała z nim nic wspólnego. Ona powstała w samym jego sercu. Mówiła nie tylko o cierpiącym Jezusie. Uczyła też Rosjan określonego stosunku do własnego cierpienia, także cierpienia w jego wymiarze politycznym. Podtrzymywała złote marzenie o Rosji jako Trzecim Rzymie, którego Rosja nigdy nie potrafiła się wyrzec. Zwykli Rosjanie, nic nieznaczące ofiary władzy autorytarnej, wpatrujący się w złoty poblask ikony, mieli dziękować carowi za to, że są ofiarami nie tylko twardej polityki autorytarnej, ale i swojego losu, bo tylko przez ich pokorną ofiarę Rosja – wzmocniona i przemieniona – mogła zajaśnieć światową potęgą Państwa Doskonałego, panującego nad ludami ziemi. Mieli lekceważyć własne codzienne cierpienie ze względu na wspaniały rezultat, który ikona symbolicznie swoimi nieziemskimi barwami unaoczniała i symbolicznie przybliżała. Liczba ofiar, które trzeba ponieść, nie jest ważna. Ilu zginie, tylu zginie. W udręczeniu i poniżeniu, które jest święte i ocalające. Milion albo dziesięć milionów. Nie będziemy rachować, dla potęgi i wielkości świętej, złotej, promiennej Rosji, niosącej światu prawdziwego Chrystusa, którym jest ona sama...

Ikona tego właśnie uczyła. Żadnego tam jęczenia nad własnym podłym losem, tylko znoszenia go w ślepym, pokornym zapatrzeniu ludu rosyjskiego jako Bogonoścy w wielki projekt lepszego świata, którego blask już prześwieca przez złote tło...

© STEFAN CHWIN

PS. Taki to improwizowany wykład wygłosiłem w sali jadalnej klasztoru dominikanów w mieście R., gdzie mnie zaproszono na autorskie spotkanie. A swoją drogą – pomyślałem, sięgając po szklankę z herbatą, która stała przede mną na stole – ciekawe, czy ktokolwiek zdobyłby się dziś na zawieszenie nad głównym ołtarzem w jakimś kościele w Polsce mrocznej, przejmującej „Golgoty" Nikołaja Nikołajewicza Ge.

Dyszka dla Jezusa

MATEUSZ POJNAR

Startują zdeklarowani ateiści, wątpiący i wierzący. Mówią, że w czasie Biegu do Pustego Grobu czują wspólnotę.

JAROSŁAW CHRÓŚCIEL X2

Bezdomnym pomaga od prawie 30 lat. Kieruje kołem Towarzystwa im. św. Brata Alberta w Nowej Soli. Aleksander Tomaszewski co roku organizuje drogę krzyżową bezdomnych. Na jednej z ostatnich stacji rozważania dotyczyły osób w kryzysie bezdomności: ich walki z samotnością, depresją, alkoholizmem. Tomaszewski życzy im przede wszystkim wytrwałości. Bo czasem nie mają już sił. – Są bardzo samotni, pochodzą z rozbitych rodzin – mówi mi. – Rzadko wracają do rodziny na święta.

– W Biegu do Pustego Grobu pobiegł pan w ich intencji?

– Podczas samego biegu nie myślałem o swoich podopiecznych – tłumaczy. – W pewnym sensie chciałem uciec od ich trosk i problemów, pozbyć się balastu, z którym nie zawsze sobie radzę. Ale potem do nich wróciłem.

Tomaszewski to weteran nowosolskiego Biegu do Pustego Grobu. Poprzez bieganie chce „pokonać samego siebie, swoje fizyczne ograniczenia i słabości umysłu".

– Udział w takim biegu daje wiarę we własne możliwości – podkreśla. – Człowiek zdaje sobie sprawę, że jak będzie czekał na idealne warunki, to do niczego nie dojdzie.

Ten bieg dla Tomaszewskiego jest metaforą naszego życia: – Tak jak zawodnicy na trasie przeżywają słabości i je pokonują, tak też jako ludzie słabi i grzeszni podnosimy się po upadkach. I chcemy być lepsi.

Pierwiastek metafizyki

Z Ewangelii św. Jana: „Maria Magdalena udała się do grobu i zobaczyła kamień odsunięty od grobu. Pobiegła więc i przybyła do Szymona Piotra i do drugiego ucznia, którego Jezus kochał, i rzekła do nich: »Zabrano Pana z grobu i nie wiemy, gdzie Go położono«. Wyszedł więc Piotr i ów drugi uczeń i szli do grobu. Biegli oni obydwaj razem, lecz ów drugi uczeń wyprzedził Piotra i przybył pierwszy do grobu. A kiedy się nachylił, zobaczył le-

Mariusz Ratajczak z córką Wiktorią (z prawej), VIII Bieg do Pustego Grobu. Nowa Sól, kwiecień 2022 r.

Powyżej: Zwycięzcy VIII Biegu do Pustego Grobu na podium w kościele św. Antoniego w Nowej Soli.

żące płótna, jednakże nie wszedł do środka. Nadszedł potem także Szymon Piotr, idący za nim. Wszedł on do wnętrza grobu i ujrzał leżące płótna oraz chustę, która była na Jego głowie, leżącą nie razem z płótnami, ale oddzielnie zwiniętą na jednym miejscu. Wtedy wszedł do wnętrza także i ów drugi uczeń, który przybył pierwszy do grobu. Ujrzał i uwierzył. Dotąd bowiem nie rozumieli jeszcze Pisma, które mówi, że On ma powstać z martwych".

Ten cytat stał się inspiracją Biegu do Pustego Grobu w drugi dzień Wielkanocy. W Nowej Soli Bieg to już tradycja, w tym roku odbędzie się dziewiąty raz. Gdyby nie pandemia, edycji byłoby więcej. Imprezę wymyślił Grzegorz Marszałkowski, kapucyn. Był proboszczem w nowosolskim kościele św. Antoniego, dziś pracuje w Gdańsku. – To najstarszy tego typu bieg w Polsce. I najpewniej największy – mówi Jarosław Chróściel z komitetu organizacyjnego. – Później powstawały kolejne: w Żaganiu, Skorzewie czy Gostyniu.

Bieg ma 10 km. Niektórzy zawodnicy mówią, że „biegną dyszkę dla Jezusa". W wydarzeniu bierze udział nawet tysiąc osób. To impreza non-profit: jeśli zostają z niej jakieś pieniądze, idą na Dzieło Pomocy św. Ojca Pio w Krakowie czy na prace remontowe w nowosolskim św. Antonim.

Organizatorzy jak mantrę powtarzają, że to bieg dla wierzących, wątpiących i niewierzących. Ateiści biegną, żeby po prostu się poruszać, spalić kalorie, których przybyło przy świątecznym stole, pobyć razem. Wątpiący szukają pierwiastka metafizyki. Wierzący przemierzają kilometry w określonych intencjach. Ale w każdej z tych podgrup są tacy, którzy już sobie nie wyobrażają Wielkanocy bez Biegu. Przyjeżdżają ludzie z całego kraju.

– Kto biegnie, ten dwa razy się modli? – pytam Marlenę Ratajczak, jedną z organizatorek.

– Dla mnie każdy bieg jest okazją do religijnych rozważań. I z każdym dotarciem do mety jest eksplozja radości – przyznaje. – Podczas swoich startów starałam się przesuwać koraliki różańca. Przytoczonego przez pana powiedzenia nie znałam, znam wersję: „Kto śpiewa, ten dwa razy się modli". Ja akurat nieźle fałszuję, więc od dziś będę trzymać się biegania.

Marlena zna niewierzących, którzy zaliczyli już parę edycji Biegu. – Myślę, że to nie zmieniło ich postrzegania wiary – opowiada. – Cieszę się jednak, że charakter Biegu nie przeszkadza im, by wziąć w nim udział. Kto wie, może pozbędą się wątpliwości? Atmosfera jest wspaniała. Ludzie są radośni i szczęśliwi, biegną całymi rodzinami.

Dla Mariusza Ratajczaka z komitetu organizacyjnego, męża Marleny, aspekt religijny jest najważniejszy. – Nie wstydzę się wiary i Jezusa. To mój Mistrz – deklaruje. – Biegnąc, chcę się upewnić, że grób jest pusty. To wielka tajemnica wiary i wielka radość ze Zmartwychwstania Pańskiego. A niezwykłą wartością biegu są kibice. Cały czas doping, ciągle słyszę „Dajesz, Rataj" albo „Lecisz, Mario"! To dodaje skrzydeł.

Romuald Fedorczak, kolejny organizator, odetchnął z ulgą, gdy Bieg wrócił po pandemii. – Bo wraz z nim wróciła ta wyjątkowa, przyjazna atmosfera – uśmiecha się. – Ludzie z różnych środowisk, które nie zawsze są wobec siebie pozytywnie nastawione, biegli ramię w ramię.

Według Fedorczaka magia tkwi w samej Wielkanocy. – To wyjątkowe święto, wierzący, ale i wątpiący upatrują w nim nadziei.

Smak zwycięstwa

Jacek Stadnik wygrał Bieg w 2019 r. – Udział w nim to przyjemność – mówi. –Religijny cel też jest ważny, możliwość biegu z Panem Jezusem w sercu uskrzydla i wydobywa dodatkowe pokłady energii. Kibice w Nowej Soli stwarzają wyjątkową atmosferę. Także rodzina zawsze mnie mocno wspiera i dopinguje na trasie.

Rok temu wygrał Michał Fedorczak. – W czasie pandemii wielu osobom brakowało biegu, mnie również – przyznaje. – Łączy on religijną inspirację ze sportem. To są przecież profesjonalnie zorganizowane zawody z atestem Polskiego Związku Lekkiej Atletyki i elektronicznym pomiarem czasu.

– Wierzącym Bieg pozwala odciąć się od trudnych spraw, które towarzyszą ludziom na co dzień, i powierzyć je Bogu do rozwiązania – dodaje kolejny uczestnik, Jakub Wawrzykowski.

Dla Rafała Stuły uczestnictwo to „dodatkowa możliwość oddania czci zmartwychwstałemu Chrystusowi". – Bo dla katolików Wielkanoc to szczególny czas, najważniejszy w roku. Można pogodzić wizytę w kościele, rodzinne spędzanie świąt i sport.

Kolorowy ptak

Izabela Kochanowicz jest amatorką, nie biegnie dla wyniku. Chce zrobić *show*, dlatego jest... kolorowym ptakiem. W mieście znają ją z działalności charytatywnej. W 2018 r. na trasie miała koszulkę z napisem „Dopóki walczysz, jesteś zwycięzcą". Założyła też różową spódniczkę, jak bajkowa księżniczka.

– Ubrałam się tak, bo co się nie dobiega, to się dowygląda – śmieje się. – Ale rzeczywiście najważniejsze to stanąć na starcie i minąć linię mety. Nie zawsze liczy się dobry czas i miejsce na pudle. Każdy dzień jest jakąś walką, a ja chciałam pokazać, że każdy może spełniać swoje marzenia. Wystarczy chcieć. To bieg, podczas którego znikają pewne granice. Ja jestem z tych spacerujących biegaczy i wiem, że tych z przodu nie dogonię. Dla mnie liczy się niesamowita atmosfera. Wszyscy byli uśmiechnięci, a ja – tak jak obiecałam – zrobiłam *show* swoim strojem. Niesamowite jest, że odkąd pamiętam, podczas biegu zawsze wychodzi słońce.

Maciej, kolejny uczestnik, przyznaje, że jest daleko od Kościoła. – Kocham bieganie, dlatego biorę udział w tej imprezie – wyjaśnia. – Ale tak, jest w niej coś szczególnego: w tym konkretnym dniu czuje się wspólnotę z ludźmi o odmiennych przekonaniach. Na co dzień w Polsce jej brakuje.

Sandra, partnerka Macieja, nie wierzy. – Co nie zmienia faktu, że na tym biegu czuję się jak w domu – zapewnia.

Agnieszkę Adamów-Czaykowską do startu skłoniło hasło jednej z edycji: „Chcemy doświadczyć czegoś głębszego, odnaleźć odpowiedzi na nurtujące nas pytania". – Na mecie każdy witany jest tak samo. Bez względu na to, czy przybiegnie pierwszy czy ostatni. Polecam start! – zwraca się do potencjalnych uczestników.

– Fajnie w tej radości zmartwychwstania robić to, co się kocha. Z wiarą i nadzieją, że Jezus biegnie obok ciebie – tłumaczy z kolei Julia Kasprzak.

A Paweł Roszyk mówi, że święta bez Biegu do Pustego Grobu od jakiegoś czasu uważa za nie w pełni przeżyte. ↦

– To tutaj, podczas pierwszej edycji, pisała się moja historia pod tytułem „Wyjść wreszcie z domu i zrobić coś dla siebie, to znaczy zacząć biegać” – żartuje. – Wokół tej imprezy zawsze wytwarza się specyficzna aura.

Roszyk kilka lat temu chciał przebiec dystans 10 km w 40 minut. Takie miał założenie, ale dobiegł minutę później. Zwala to na sernik zjedzony przy świątecznym stole.

Jakub Bundziów docenia życzliwość wśród zawodników i kibiców. – Kibice są wszędzie, nawet na balkonach czy w oknach – opowiada. – Dobrze jest sobie uświadomić, że wysiłek związany z biegiem nie jest nawet w ułamku porównywalny z tym, co musiał przejść Pan Jezus. A i tak jak dla mnie był całkiem duży.

Kamila Pogoda nie chce zdradzać celu, dla którego pobiegła rok temu. – Zrobiłam to dla jednej z najważniejszych osób w moim życiu – ucina.

Dzielny wojownik

Na trasie można spotkać osoby niepełnosprawne, ale i rodziców pchających wózek z małymi dziećmi. Podczas ósmej edycji echem odbiła się akcja Masa Team, grupy przyjaciół startujących pod jednym szyldem. Pobiegli razem z chorym Kubą Krysiakiem i jego mamą Anną. Chłopiec cierpi na zespół Guillaina-Barrégo. Z Kubą pobiegł m.in. Arkadiusz Gallewicz. Do udziału zaprosił go kolega. Przyjaciele co jakiś czas musieli się wymieniać – trudno biec, pchając dodatkowo wózek.

Gallewicz wcześniej nie brał udziału w takich wydarzeniach. – Kibice nas bardzo wspierali – opowiada. – Zadawałem sobie pytanie, jak Kuba zniesie ten bieg, ale wyszło super. To silny chłopak. Nam chodziło o to, żeby rodzice i Kuba mieli z tego satysfakcję. Bardzo fajna przygoda.

Ze swoją niepełnosprawną córką Wiktorią pobiegł też Mariusz Ratajczak. Na trasie pchał wózek z Wiką, uśmiechał się, machał kibicom, którzy głośno ich dopingowali. Oboje byli szczęśliwi.

© MATEUSZ POJNAR

Autor jest dziennikarzem „Tygodnika Krąg”, który ukazuje się w powiecie nowosolskim koło Zielonej Góry.

Rzuć wszystko i jedź w Monti Lepini

EDWARD AUGUSTYN

Każdy z nas kiedyś był lub będzie w takim punkcie wędrówki, gdzie więcej jest obaw i wątpliwości niż nadziei i wiary. Może dlatego szukamy takich miejsc jak Crocifisso.

Bruna poznałem 15 lat temu, gdy był wiceburmistrzem i pomagał mi w meldunku potrzebnym do dziennikarskiej akredytacji. To było tuż po lokalnych wyborach, wygranych – jak zawsze w Bassiano – przez lewicę, która dopiero co usunęła ze swego herbu sierp i młot. Wielkie było więc moje zdziwienie, gdy kilka dni po naszym pierwszym spotkaniu zobaczyłem go w kościele, ubranego w albę i rozdającego komunię. Choć nikogo, poza mną, to nie dziwiło. Jak i to, że jego szef, burmistrz o komunistycznej proweniencji, ubrany w trójkolorową szarfę kroczy tuż za baldachimem w procesji Bożego Ciała czy św. Erazma, patrona miasta, a w Nowy Rok wygłasza podczas mszy przemówienie zastępujące homilię.

Bruno do polityki się zraził, jest teraz prawą ręką proboszcza. A jako świeżo upieczony emeryt ma wystarczająco dużo czasu, by po raz kolejny opowiedzieć nam o miejscach, które przed Wielkanocą każdy w tym miasteczku – swój czy obcy – odwiedzić musi.

Czekając na wiosnę

Natale con i tuoi, Pasqua con chi vuoi (Boże Narodzenie z rodziną, Wielkanoc z kim chcesz) – mówią Włosi, tłumacząc swój sposób spędzania świąt wielkanocnych. Dlatego w Bassiano szykują się już na pierwszy w tym roku najazd gości. Przez ostatnie cztery miesiące miasto było puste. Położone na trajektorii niżów śródziemnomorskich, nie jest dobrym miejscem na zimę.

Niełatwo tu zresztą trafić, zwłaszcza za pierwszym razem. Jadąc od Rzymu, musimy po niespełna 50 km porzucić Via Appia, łączącą od dwóch tysięcy lat stolicę z Neapolem, i przebić się przez dwa pasma gór. Wyłoni się znienacka. Wąskie, kręte uliczki wśród ściśniętych na zboczu kamienic i średniowiecznych murów zaprowadzą nas na piazza, gdzie można dać odpocząć silnikowi, ale nie oczom, które z jednej strony widzą szeroką panoramę Gór Lepińskich, z najwyższym szczytem, Semprevisą, z drugiej zaś sięgają Morza Tyrreńskiego, prześwitującego, wraz z prowadzącą ku niemu pontyjską niziną, między wierzchołkami niższych łańcuchów.

Pora długotrwałych opadów, z wiosenną, marcową kulminacją, właśnie się kończy. Za miesiąc-dwa Bassiano będzie jednym z najchętniej odwiedzanych miejsc w okolicy. Temperatura jest tu zawsze o kilka stopni niższa niż na dole, w rozgrzanych miastach – Latinie, Cysternie czy Rzymie, skąd zjadą amatorzy spacerów po bukowych lasach i dobrej kuchni, ze słynną, nie mniej niż parmeńska, bassiańską szynką.

Stałych mieszkańców jest niespełna półtora tysiąca. Mają dwa kościoły (w trzecim urządzono salę wystawową), dwa sanktuaria i czternaście restauracji. Z końcem marca ich właściciele podnoszą metalowe żaluzje i szorują plastikowe krzesła, które ustawiają przed wejściem. Zanim zjadą pierwsi goście, zasiądą na nich miejscowi mężczyźni, czytając gazety, grając w kości i komentując kondycję kolarzy w obcisłych trykotach, którzy od samego rana, pojedynczo i grupkami, docierają na plac, strudzeni zmaganiem z dziesięciokilometrowym podjazdem. Miasto leży na wysokości 560 m, ale wspinać się tu trzeba od poziomu zero, od morza.

MASSIMO INSABATO / MONDADORI / GETTY IMAGES

MARZIA GIACOBBE / ADOBE STOCK

Ogrody Ninfa koło Sermonety, Włochy, kwiecień 2015 r.
Powyżej: średniowieczne freski w grotach sanktuarium Crocifisso koło Bassiano, marzec 2021 r.

W głębi ciemnego lasu

Do sanktuarium Crocifisso docieramy w niespełna godzinę leśnym duktem. Tu także trwają przygotowania na przyjęcie gości. W wielkopiątkowy wieczór z miasta przyjdzie procesja drogi krzyżowej, z orkiestrą dętą i zapalonymi pochodniami. Ale największe oblężenie będzie w drugi dzień świąt, zwany zdrobniale pasquettą, który każdy Włoch chce spędzić na łonie natury.

O tajemnicach sanktuarium Bruno wie wszystko. Najpierw prowadzi nas do kaplicy z cudownym krucyfiksem, od którego wzięła się nazwa miejsca. Autor barokowej rzeźby, Fra' Vincenzo Pietrosanti, pracował przy postaci Ukrzyżowanego tylko raz w tygodniu, w piątki, poszcząc o chlebie i wodzie. Wykonał kilka podobnych, ale przecież różnych, niezwykle realistycznych przedstawień: Jezusa w agonii (sanktuarium w Bassiano), wydającego ostatnie tchnienie (klasztor w Nemi) i martwego (kościół w Sezze).

Drugim skarbem, jeszcze cenniejszym, są groty, do których wchodzimy ciasnym przejściem wprost z niewielkiego kościoła. Ich sufit pokryty jest stalaktytami, a ściany – średniowiecznymi freskami. Czas i wilgoć zrobiły swoje, ale i tak malowidła zachwycają, zwłaszcza teraz, po udanej renowacji. Powstały na przełomie XII-XIII w. Bruno mówi, że malowali je *fraticelli* – radykalni franciszkanie, ukrywający się przed surową ręką kościelnej władzy, która uznała ich za heretyków, bo wmawiali ludziom, że Jezus i apostołowie żyli w całkowitym ubóstwie.

Nie jest wykluczone, dodaje, że w grotach ukrywali się też templariusze, którzy meliorowali pontyjskie błota i uczyli ludzi nowoczesnej uprawy roli oraz hodowli bydła. Po rozwiązaniu zakonu rozproszyli się po okolicznych opactwach cysterskich i benedyktyńskich, a niektórzy, z obawy o życie, szukali schronienia w bardziej niedostępnych miejscach.

Góry Lepińskie i wydrążone w ich wapieniu groty, studnie i rozpadliny, zawsze były bezpiecznym schronieniem dla uciekających z piekła wojen i gwałtów. Samo Bassiano zostało założone w X w. przez tych, którzy woleli nie spotkać się z mieczem i siecią saraceńskich korsarzy. Samotności szukali tu również ci, którzy postem i biczowaniem chcieli odpokutować grzechy i uwolnić się od mąk czyśćcowych. Oraz tacy, którzy chcieli cieszyć się wolnością, żyć jak ptaki niebieskie albo po prostu zejść z oczu tyranom i despotom. W okolicznych lasach mieszkali więc pustelnicy i rozbójnicy, buntownicy przeciwko faszystowskiej dyktaturze i partyzanci z ruchu oporu. Całkiem niedawno, bo na przełomie XX i XXI w., budynek przy sanktuarium służył narkomanom wychodzącym z nałogu pod opieką jednej z katolickich wspólnot terapeutycznych. Obecny proboszcz też czasem udostępnia go różnym wagabundom, którzy „rzucają wszystko i jadą w Monti Lepini". Jeden z nich właśnie się tam rozgościł, pomagając dozorcy w opiece nad budynkami i psem, jedyną żywą duszą, która tu mieszka na stałe.

Radość życia

Miejsce, w którym znajduje się sanktuarium, kiedyś było niedostępne. Miejscowi nazwali je *Selva Oscura* (Ciemny ↦

↦ Las), co natychmiast kieruje naszą myśl do najsłynniejszego we włoskiej literaturze zdania, otwierającego „Boską komedię”.

Każdy z nas kiedyś był, lub będzie, w takim punkcie wędrówki, niekoniecznie w połowie życia, gdzie więcej jest obaw i wątpliwości niż nadziei i wiary. Może dlatego szukamy miejsc jak Crocifisso, gdzie nawet ci, którzy kurczowo trzymają się *carpe diem*, czasem mają potrzebę zamyślić się nad upływem czasu i ludzkim losem.

W wędrówce po zaświatach, rozpoczętej w Wielki Piątek, prowadził Dantego, jak wiadomo, Wergiliusz, który w tych okolicach także bywał, zbaczając z wielokrotnie przemierzanej drogi do Neapolu. W „Eneidzie” opisuje miasto Sulmo, zamieszkałe przez wrogie Rzymianom plemię. To pobliska Sermoneta, położona ledwie dwa kilometry za bassiańskim sanktuarium. Jest najpiękniejszym i najlepiej zachowanym średniowiecznym miastem we Włoszech, szczęśliwie oszczędzonym przez najazdy wrogich wojsk i turystów.

Wergiliusz, zawłaszczony przez chrześcijan jako *anima naturaliter christiana* – (dusza chrześcijańska z natury) ze względu na słynne słowa „Pieśni sybillińskiej” o Dziewicy, której Dziecię przyniesie światu pokój – był epikurejczykiem, piewcą prostej radości życia, które co rok, na wiosnę, z zadziwiającą nas nieustannie siłą potrafi się cudownie odrodzić.

Zakończmy wędrówkę, rozpoczętą w wielkopiątkowej atmosferze, poniedziałkową pasquettą w jednej z licznych, otwieranych wraz z wiosną tawern w Bassiano i okolicy. Oraz lekturą Wergiliusza.

Ludzi jak on, ceniących mądrą księgę, smaczne jedzenie i dobre wino, było tu wielu. Niewątpliwie najsłynniejszym bassiańczykiem jest Aldo Manuzio, największy w renesansie znawca literatury greckiej i rzymskiej, typograf, który nie tylko drukował słynne dzieła (choćby całego Arystotelesa), ale też starannie je redagował. To on wynalazł kropkę i przecinek, ułatwiające czytanie, wprowadził numerację stron i mały, „ósemkowy” format druku. Jedną książką zadziwia nas szczególnie – to ilustrowana 169 drzeworytami powieść „Hypnerotomachia Poliphili”, opisująca erotyczne sny tytułowego bohatera (jej autorem był wenecki dominikanin Francesco Colonna). W Wenecji założył Manuzio także akademię swego imienia (jej członkiem był Erazm z Rotterdamu), gdzie studiowano literaturę klasyczną i rozmawiano po grecku. Za każdy błąd trzeba było płacić, a pieniądze przeznaczano na organizację wesołych biesiad.

I wreszcie największy w okolicy symbol odradzającego się życia – miasteczko Ninfa. Zniszczone w połowie XVI w. przez osmańskiego korsarza Hayreddina Barbarossę, nigdy się nie podniosło. Ale w 1920 r. potomkowie rodu Caetanich, do którego należało, założyli na ruinach przedziwny ogród w angielskim stylu, o powierzchni ośmiu hektarów (dziś dodatkowo otoczony stuhektarowym parkiem krajobrazowym), gdzie pozostałości średniowiecznych budynków, murów i mostów obsadzono roślinnością niemal ze wszystkich kontynentów. W 2000 r. „The New York Times” uznał Ninfę za najpiękniejszy ogród świata. Otwiera się właśnie teraz, z początkiem kwietnia, by do października przyjmować gości (choć tylko w weekendy i święta).

Zakończmy wędrówkę, rozpoczętą w wielkopiątkowej atmosferze, poniedziałkową pasquettą w jednej z licznych, otwieranych wraz z wiosną tawern w Bassiano i okolicy. Oraz lekturą Wergiliusza.

„Po co się trudzić w upale, w kurzu gościńca? Lej wino, weź kostki do gry! Niech zginie, kto dba o jutro! Spójrz, Śmierć cię chwyta za ucho. »Żyjcie – powiada. – Nadchodzę!«” (przeł. Z. Kubiak).

©℗ EDWARD AUGUSTYN

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

TYGODNIK POWSZECHNY

Zamów dowolną prenumeratę wydania papierowego „TP” – do KAŻDEGO zamówienia torba i książka PREZENCIE!

Książkę Barbary Sadurskiej „Naturalnie”, wydaną przez Małopolski Instytut Kultury, oraz kolorową torbę „TP” otrzymają wszyscy kupujący – do wyczerpania nakładu kompletów.

PRENUMERATĘ WYDANIA DRUKOWANEGO MOŻNA ZAMÓWIĆ PRZEZ:

- internet na **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11–15 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Chmielowski w godz. 10–14 pod nr. tel. **660 692 099** lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**
Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	**rok**	**640 zł**	**770 zł**
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	90 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**

TYGODNIK POWSZECHNY · małopolski instytut kultury MIK · PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Arka Przymierza

Dzięki wytężonej pracy Becalela i Oholiawa – wybranych przez Najwyższego artystów-rzemieślników – przenośna świątynia nabiera kunsztownych kształtów. Spod ich ręki wychodzą Namiot Przybytku z pokrowcami i zapinkami, drewniane bale, wrzeciądze i słupy, odlewane są podsłupia. Poza zewnętrzną strukturą powstaje też wyposażenie: sprzęty, narzędzia do sprawowania kultu i szaty kapłańskie. Spośród sprzętów najwyższy status ma Arka Przymierza, która docelowo stanie w Świętym Świętych.

Becalel sporządza Arkę z drzewa akacjowego, obłożonego od wewnątrz i z zewnątrz złotem. Złote wieko wieńczą dwa cherubiny, których skrzydła górują nad Arką. Po bokach artysta umieszcza pierścienie, przez które będą przechodzić drewniane, pokryte złotem drążki. Te drążki podczas transportu Arki będą dzierżyć w dłoniach lewici z klanu Kehata.

Midrasz do Księgi Samuela powiada, że wprawdzie Kehatyci mieli za zadanie nieść Arkę – której nie wolno było przewozić – lecz zamiast tego to Arka niosła ich. Posiadała ona jeszcze inne wyjątkowe właściwości. W Torze została zgrubnie zwymiarowana: dwa i pół łokcia długości na półtora łokcia szerokości i takiejż wysokości. Szerokość Świętego Świętych to 10 łokci. Tymczasem mierząc od boków Arki, umieszczonej w jego środku, do ścian, uzyskiwano po pięć łokci z każdej strony. W miejscu, gdzie niebo spotyka się z ziemią, wszystko jest możliwe. Wedle słów Najwyższego skierowanych do Mojżesza: „A stawiać się będę dla ciebie tam, i przemawiać do ciebie z ponad wieka, z pośród dwu cherubów, co nad arką świadectwa, o wszystkiém, co ci polecę do synów Israela" (Wj 25, 22; Cylkow).

Arka pomogła Izraelitom pod wodzą Jozuego przekroczyć Jordan. Gdy niosący ją weszli do rzeki, jej wody się rozstąpiły (zob. Joz 3, 15-17). Arka Przymierza niejednokrotnie była również wykorzystywana podczas działań zbrojnych, np. noszono ją wokół obleganego Jerycha (zob. Joz 6, 6-15). Wynoszona z sanktuarium w Szilo, w końcu została przechwycona przez Filistynów. Po siedmiu miesiącach nieszczęść w filistyńskich miastach wróciła do prawowitych właścicieli.

W Arce znajdowały się drugie tablice przymierza oraz pozbierane kawałki pierwszych tablic, które Mojżesz upuścił, zobaczywszy Izraelitów oddających cześć złotemu cielcowi. Niektórzy utrzymują, że był tam również zwój Tory, który pustynny przywódca sporządził tuż przed śmiercią (zob. Pwt 31, 26), inni natomiast twierdzą, że zwój był umieszczony obok Arki, wraz z laską Aarona (zob. Lb 17, 16-26) i naczyniem zawierającym mannę (zob. Wj 16, 33-34). Kto wie, może kiedyś dane nam będzie to wszystko ujrzeć. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Naprzód z radością

Do XIX wieku w Wielką Niedzielę z ambon opowiadano zabawne historyjki, dowcipy, bywało sprośnie. Żywiołowy śmiech miał wyrażać radość ze zmartwychwstania Chrystusa. Ten zwyczaj jest jeszcze podtrzymywany w niektórych kościołach katolickich i ewangelickich. Dr Gisela Matthiae, ewangelicka teolog i pedagog teatralny, mówi, że sam Marcin Luter „w jednym z toastów powiedział cudowne zdanie: »Tam gdzie wiara, tam jest także radość i uśmiech«. (...) Są to zjawiska o wiele bardziej ze sobą spokrewnione, niż to się nam wydaje".

Przemawiając do pracowników włoskich lunaparków i mobilnych parków rozrywki i dziękując im za ich pracę, papież Franciszek oświadczył: „Jeżdżąc z karuzelami po wioskach i miastach, dajecie dzieciom oraz dorosłym chwile relaksu, odciągając ich nieco od trosk nękających ich w codziennym życiu. (...) W świecie, gdzie często oddychamy szarą oraz ciężką atmosferą, zapraszacie ludzi do wyjścia, do spotkania na placu, do wspólnej zabawy, do świętowania, a Bóg cieszy się, gdy świętujemy razem jako bracia w prostocie. A wasze powołanie to śmiać się i sprawiać, żeby ludzie się uśmiechali. To jest piękne: odsłaniać bardziej pozytywne perspektywy niż te, którymi być może ludzie żyją w danym momencie. Naprzód z radością!". Ta radość ma mocne podstawy.

Teologowie żydowscy za serce Biblii uważają erotyk Pieśń nad Pieśniami: „Oto nadchodzi! Skacze przez góry, przesadza wzgórza! Mój drogi jest jak gazela, jak rączy jelonek! Przybył! Już stanął – za naszą ścianą! Zagląda przez okno, patrzy przez kraty! (...) Wstań, najmilsza! Chodź, moja piękności! Bo już minęła zima i przestał padać deszcz. Wokół kiełkują kwiaty i przyszedł czas na pieśń (...) winorośl rozsiewa woń. Wstań, najmilsza! Chodź, moja piękności! (...) daj mi usłyszeć twój głos!".

Tak też Bóg mówi do ludzi. Jeśli ta Pieśń jest sercem Biblii, to znaczy, że jest również kluczem otwierającym wszystkie pozostałe księgi Pisma Świętego. Jest również kluczem otwierającym życie Pana Jezusa, a co za tym idzie, również nasze. Ktoś powiedział, że na Golgocie to się umiera, ale żyje się w Jeruzalem. Słusznie, ale pod warunkiem, że wierzy się jedynie w życie, i że marzenie o szczęściu nie jest ucieczką od realiów tego świata, ale najprawdziwszym pragnieniem rozumu, czyli biblijnego serca.

Pamiętam z dzieciństwa, że na Wielkanoc, tam, gdzie były dzieci, stawiano na podwórzach huśtawki. Można sobie wyobrazić, co myśmy, wypuszczeni z zimowego uwięzienia, na tych huśtawkach wyrabiali. Razem z nami huśtało się wszystko wokół nas. Po to jest Wielkanoc – wytrącić świat z martwej równowagi i śpiewać jednocześnie *Requiem* i *Exsultet*. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Obietnica nieśmiertelności

„Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Jeśli ktoś zachowa moją naukę (dosł. ustrzeże moje Słowo), nie zazna (dosł. nie skosztuje) śmierci na wieki" (J 8, 51). W Wielkim Poście czytałem tę obietnicę wraz z wiernymi na liturgii stacyjnej w łódzkim kościele Podwyższenia Krzyża Pańskiego. To jeden z najstarszych kościołów parafialnych Łodzi. O ważnej, a chwilami dramatycznej historii. W czasie II wojny światowej jego proboszcz, ks. Jan Bączek, zginął w Dachau. Chwilę po nim zginęli tam dwaj jego wikariusze, księża Korneliusz Jędrzejczak i Wincenty Jabłoński (trzeci wikary, ks. Edmund Bielicki, doczekał wyzwolenia obozu). Odczytywana w takim kontekście Jezusowa obietnica („nie skosztuje śmierci na wieki") wywołuje wręcz spontaniczny protest lub przynajmniej wielki znak zapytania.

Czy oni nie skosztowali śmierci w obozie zagłady? W miejscu, gdzie śmierć uczyniono procederem przemysłowym? Niewielu ludzi zasmakowało śmierci w takim stopniu, jak oni. Wszakże kiedy owa pierwsza reakcja w nas ucichnie, czujemy się naraz postawieni wobec takiej oto alternatywy: możemy zachować się tak jak tamci interlokutorzy Jezusa i powiedzieć Mu drwiąco: „Teraz wiemy, że jesteś opętany! (...) Kim Ty siebie czynisz?". Albo... będziemy musieli poddać rewizji nasze pojęcia, tak podstawowe jak „śmierć" i „życie". Będziemy musieli zapytać, czy w naszych ustach znaczą one to samo, co dla Jezusa?

Być może przypomnimy sobie wówczas, iż w całej tradycji chrześcijańskiej odejście takich ludzi jak ks. Bączek i jego wikariusze nie jest nazywane dniem śmierci, lecz dniem narodzin (łac. *dies natalis*) i zapadnięciem w sen (stąd oryginalnie chrześcijańskie słowo „cmentarz" znaczy tyle, co „miejsce do spania" – od grec. *koimeterion*, gdzie *koimao* znaczy „spać").

To nie to odejście jest prawdziwą śmiercią człowieka. Prawdziwym problemem człowieka nie jest „umrzeć", ale „umrzeć w grzechu". Przed tym przestrzega Jezus nieco wcześniej w tej samej mowie: „Jeśli nie uwierzycie, że Ja Jestem, pomrzecie w grzechach swoich" (J 8, 24). Dlatego właśnie o Łazarzu Jezus mówi do swoich apostołów: „przyjaciel nasz, Łazarz, zasnął, ale idę go obudzić". Natomiast o Synu Marnotrawnym mówi dosadnie: „był umarły!".

Święta wielkanocne są najważniejszym w roku czasem rewizji pojęć najważniejszych: co to znaczy żyć? Być umarłym? Dobrze, by były czasem otwarcia się na obietnicę: „Jeśli kto pilnuje mojego Słowa, nie zasmakuje śmierci na wieki".

Nie, tu nie chodzi jedynie o czytanie Pisma. Chodzi o pragnienie usłyszenia Słowa od Jezusa. Pragnienie, które później przekształca się w uważność. I skupienie. I pamięć. By nie uronić. By nie stracić Słowa. Bo ono jest narzędziem komunikacji miłości. On mówi do mnie, gdyż mnie kocha. Już tym, że mówi – mówi, że mnie kocha. I ostatecznie to właśnie ta miłość nas zbawia. To ona ratuje nas od śmierci. I czyni żyjącymi na wieki. Jego miłość. Alleluja! ©

Nad umysłem poszukującym jest jeszcze inny, który po prostu spoczywa w swoim czystym prostym bycie.

MISTRZ ECKHART

Ojciec wszelkiego stworzenia i całego świata jest tutaj.

Z TABLICY SZMARAGDOWEJ

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (9 – 16 IV)

Niedziela Zmartwychwstania: Dz 10, 34a. 37-43; Ps 118; Kol 3, 1-4 lub 1 Kor 5, 6b-8; J 20, 1-9 lub Łk 24, 13-35;
Poniedziałek: Dz 2, 14. 22b-32; Ps 16; Mt 28, 8-15;
Wtorek: Dz 2, 36-41; Ps 33; J 20, 11-18;
Środa: Dz 3, 1-10; Ps 105; Łk 24, 13-35;
Czwartek: Dz 3, 11-26; Ps 8; Łk 24, 35-48;
Piątek: Dz 4, 1-12; Ps 118; J 21, 1-14;
Sobota: Dz 4, 13-21; Ps 118; Mk 16, 9-15;
2. niedziela wielkanocna (Miłosierdzia Bożego): Dz 2, 42-47; Ps 118; 1 P 1, 3-9; J 20, 19-31.

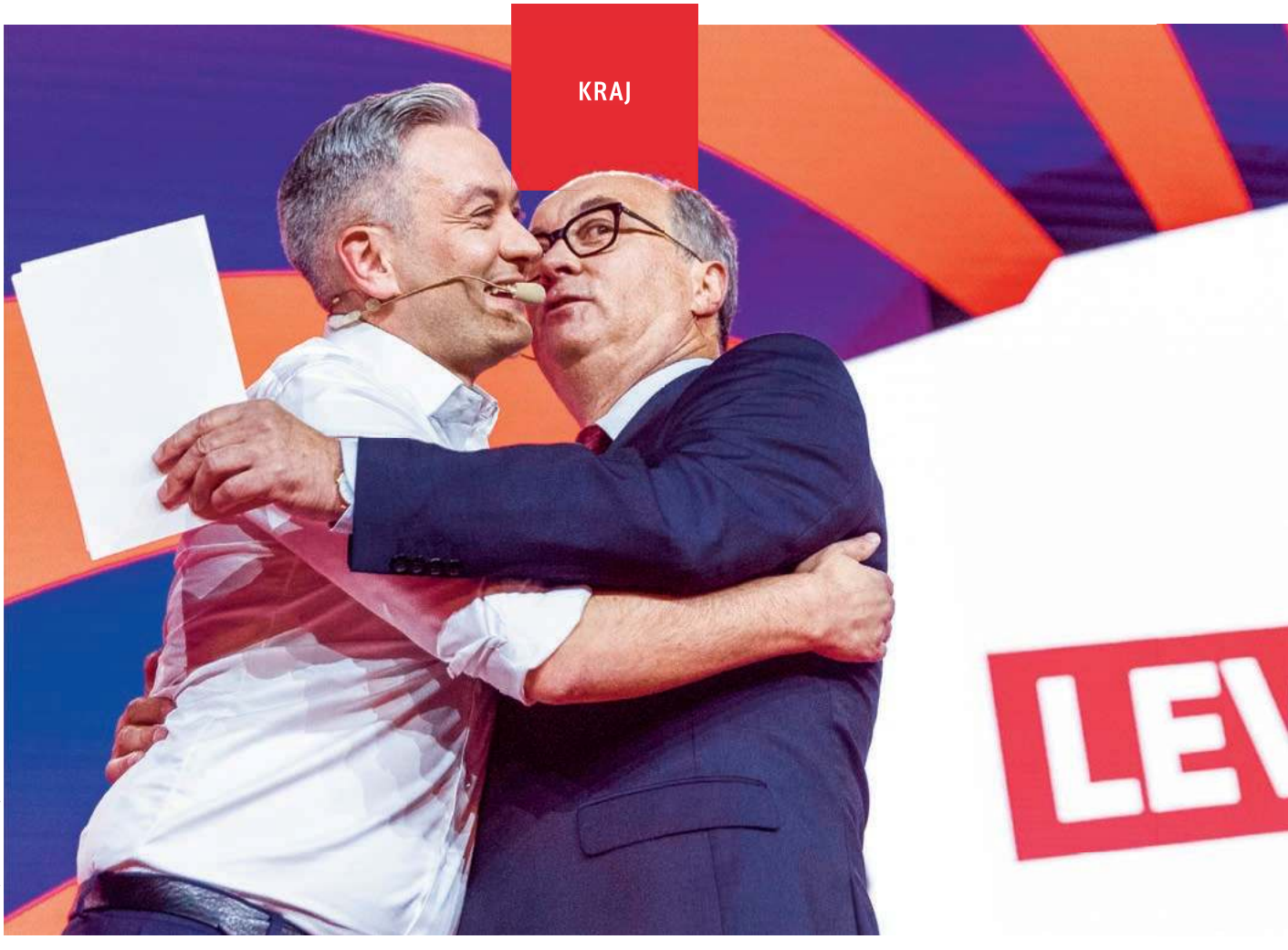

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

CZERWONY PUZZEL

Lewica jest cieniem dawnej potęgi, a jednak wciąż rwie się do władzy. Na jej drodze może stanąć nie tyle Kaczyński, co Tusk z Trzaskowskim, którzy starają się uwieść lewicowych wyborców.

JACEK GĄDEK

Dają głowę, że odbijemy władzę z rąk PiS i Lewica będzie współtworzyć nowy rząd. Jeśli któryś z liderów teraz nie daje głowy za pokonanie PiS-u, to jest niepoważny – mówi „Tygodnikowi" Włodzimierz Czarzasty, współprzewodniczący Nowej Lewicy.

Aleksander Kwaśniewski dodaje: – Tak długo, jak będę w stanie powłóczyć nogami, dojdę do urny i oddam głos na Lewicę. Cała sztuka polega na tym, aby w spolaryzowanym układzie dobić się do własnych wyborców.

Czy to się udaje? Średnio. Jak na razie poparcie dla Lewicy sięga 10 proc. To mniej niż 12,5 proc. uzyskane w wyborach w 2019 r.

Spokój po mordobiciu

Teraz w środowisku jest spokój, ale projekt o mało co by się posypał. W 2021 r. Czarzasty obiecał, że doprowadzi do połączenia SLD z Wiosną Roberta Biedronia jako równorzędną partią i zmieni nazwę na Nowa Lewica. Wiosna była mikroskopijna w porównaniu do Sojuszu, więc jego wpływowa część się zbuntowała. Czarzasty zawieszał po kolei wszystkich, którzy chcieli storpedować fuzję. W końcu część odeszła sama.

– Gdybyśmy nie dowieźli wtedy zjednoczenia, dziś Lewica byłaby w kompletnej rozsypce – mówi jej ważny polityk. Inna osoba z tego środowiska przyznaje: – To było mordobicie.

Dziś lewicowy blok tworzą: Nowa Lewica (liczy 23 tys. członków), partia Razem (kolejnych kilka tysięcy), PPS i Unia Pracy. Mariaż od młodych feministek

Kongres zjednoczeniowy Nowej Lewicy, Warszawa, październik 2021 r.

z kawiarni przy placu Zbawiciela aż po postkomunistyczne dinozaury.

Przywództwo jest kolektywne. Nowa Lewica ma dwóch współprzewodniczących: Czarzastego i Biedronia. Podobnie Razem: Adriana Zandberga i Magdalenę Biejat. Ale to nie klęska urodzaju, tylko brak gwiazdy. Biedroń woli europejskie salony niż krajowe podwórko. Zandberga nie zna 28 proc. wyborców. Biejat jest perspektywiczna, ale nieopierzona. W tej sytuacji pierwsze skrzypce gra Czarzasty, który ulepił Lewicę z popiołów po tym, jak wypadła z Sejmu w 2015 r. Dziś trzyma nie tylko kasę (11 mln zł rocznej subwencji), ale i cały projekt za twarz, choć nie ma potencjału na lidera w oczach ludu. Kiedy formacja zamówiła badanie analizujące, kto dla ogółu wyborców jest politykiem Lewicy, wskazania były takie: po pierwsze Rafał Trzaskowski, a za nim Robert Biedroń, Szymon Hołownia i Barbara Nowacka.

Brak wyraźnego przywódcy ciągnie środowisko w dół, co przypomina PO sprzed powrotu Donalda Tuska. Pod wodzą Borysa Budki ledwo już zipała z 12 procentami poparcia, a gdy przejął ją dawny wódz, notowania wzrosły dwukrotnie. Dziś z badań Przemysława Sadury i Sławomira Sierakowskiego wynika, że Czarzasty podoba się zaledwie 35 procentom wyborców Lewicy, a 16 proc. go nawet nie zna. Biedronia lubi 53 proc., Zandberga – 54 proc. Najpopularniejszy jest znowu Trzaskowski – lubi go aż 57 proc.

Kwaśniewski nie ma złudzeń: – Ciąża trwa dziewięć miesięcy, a do wyborów mamy mniej czasu. Żadnego nowego lidera Lewica nie urodzi. Mamy trzech samców alfa i silną grupę liderek, która może rosnąć w siłę, ale dopiero po wyborach.

Dominacja mężczyzn w Lewicy nie licuje jednak z elektoratem. Z wewnętrznego sondażu wynika, że jej wyborcy to w 70 procentach kobiety. By je przyciągać, zwłaszcza te młode, coraz częściej do pierwszego szeregu przebijają się perspektywiczne posłanki: Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, Marcelina Zawisza czy przywołana już Biejat. Lewicowy elektorat jest ponadto młody – do czterdziestki, potem widać wyrwę. Poparcie wraca dopiero wśród emerytów.

Wielkość na ścianie

W siedzibie Nowej Lewicy przy ul. Złotej w Warszawie na ścianach wiszą zdjęcia z lat świetności SLD. Gości witają duże fotografie Aleksandra Kwaśniewskiego, który ratyfikuje wejście Polski do NATO, oraz Leszka Millera w momencie, gdy podpisuje traktat akcesyjny z UE.

– Bardzo lubimy to zdjęcie – Czarzasty pokazuje inną fotografię, na której widać go z Millerem. A w zasadzie z plecami Millera, który zaraz wyjdzie poza kadr.

– Ale dlaczego? – pytam.

– Bo odszedł – odpowiada Czarzasty. Byłego premiera, a dziś europosła, nie ma już w partii – rzucił legitymacją, gdy zniknęła nazwa SLD. Jednak to właśnie pod jego wodzą partia wypadła z Sejmu i ośmieszyła się kandydaturą Magdaleny Ogórek na prezydenta.

Psioczący z Brukseli Miller to wspomnienie. Tak samo jak 41 proc. SLD w wyborach 2001 r., czyli w czasach, gdy dzisiejszy europoseł uchodził za „żelaznego kanclerza”. Brak wyrazistego przywództwa rodzi dziś ogromne ryzyko dla Lewicy. To ryzyko ma konkretne nazwisko: wspomniany Rafał Trzaskowski. Jeśli stanie się on twarzą kampanii PO, a być może nawet kandydatem na premiera, o czym coraz częściej szepcze się w Platformie – może wyssać głosy Lewicy, spychając ją wręcz pod wyborczy próg. Po drugie: PO powoli podkrada Lewicy kolejne punkty programu – ale nie posłów, bo to byłby akt otwartej agresji. Kierunek jest jednak oczywisty.

Platforma szuka poszerzenia elektoratu, a Donald Tusk do wyborców lewicowych wręcz się łasi. Nie atakuje przy tym tak ostro kierownictwa Lewicy (na co pozwala sobie pod adresem Hołowni), choć jeszcze niedawno miał do jej liderów uraz, po tym jak wiosną 2021 r. dogadali się oni z PiS ws. szczegółów Krajowego Planu Odbudowy. Tusk żądał wtedy wspólnego frontu całej opozycji, a po całej sprawie uznał liderów Lewicy za pożytecznych idiotów PiS i zapowiedział jej anihilację. Sytuację załagodził dopiero Kwaśniewski.

Aborcja i Kościół

Tusk przejął postulat legalizacji aborcji do 12. tygodnia ciąży. Ba, wręcz kreuje się na gwaranta realizacji tego celu. Szef PO „bezwzględnie” obiecał, że na listach partii znajdą się wyłącznie ci, którzy są za aborcją na żądanie. Jest dziś zatem najbardziej radykalnym w PO zwolennikiem liberalizacji prawa, choć będąc premierem mówił w 2012 r.: „Jeśli warunki będą takie, że każdy będzie mógł przerywać ciążę właśnie na życzenie, to możemy wrócić do tego złego okresu; tak było w Związku Sowieckim, tak było w PRL-u”. Swój obecny zwrot o 180 stopni Tusk tłumaczy tym, jak wiele nauczyły go czarne marsze i rozmowy z córką.

Kwaśniewski: – Przejmując wiele lewicowych haseł, Tusk stał się niewątpliwie problemem dla Lewicy.

Ale aborcja to tylko początek, Lewica inwestowała też mocno w krytykę Kościoła. Co więc robi Tusk? Wypowiada się przeciwko religii w szkołach i stwierdza, że w katechezach nie chodzi o ewangelizację, ale o „tysiące wynagrodzeń”. Prywatny antyklerykalizm Tuska jest znany. O księżach – jak wspominał Janusz Palikot – zwykł mówić „czarni”, jednak publicznie na taką retorykę sobie ↦

nie pozwoli. Niemniej elektorat Lewicy może czuć się połechtany i kuszony. Pal licho, że w większości państw UE religia jest w szkołach, finansowana zresztą przez państwo.

Kolejny przykład. Kiedy Lewica mówiła o skróceniu tygodnia pracy, Tusk stwierdził, że to jeden z najważniejszych kierunków prac programowych PO. Jak powierzchowne było to oświadczenie, niech świadczy fakt, że jedna z osób zasiadających w ścisłych władzach PO – i to już po deklaracjach Tuska – w ogóle o nich nie wiedziała. Z czasem lider Platformy spuścił z tonu i doprecyzował, że potrzebny jest najpierw program pilotażowy czterodniowego tygodnia pracy, by zobaczyć wstępne efekty.

Mieszkania? Hasło „mieszkanie prawem, a nie towarem" uchodziło w obozie PO za herezję. Dziś Tusk narzucił je partii jako dogmat. Z Lewicą różnią się jednak co do recepty, bo Tusk proponuje kredyt na 0 proc., co oznacza dopłaty – tak by zadłużeni spłacali jedynie kapitał. Lewica zaś chce siłami państwa budować mieszkania. Jej poseł Marcin Kulasek na temat przejęcia hasła o prawie do własnego M pisał tak: „Naśladownictwo jest najwyższą formą uznania".

Prawa osób LGBT+? Tusk mówi, że związki partnerskie – bez względu na płeć – to jedna z pierwszych rzeczy, które załatwi jego rząd. W Lewicy się śmieją, że już w 2011 r. to obiecywał i szybko zapomniał. – Przed wyborami Tusk zawsze staje się trochę lewicowy – mówi jeden z działaczy.

Strach przed Rafałem

Zagrożenie ze strony PO jest realne. To, co w środowisku Lewicy nazywa się „naśladownictwem", jest w istocie drapieżnictwem Tuska polującego na jej elektorat. Ryzyko to już raz się zmaterializowało. W wyborach prezydenckich 2020 r. kandydat Lewicy Robert Biedroń zdobył ledwie 2,22 proc. głosów.

Czarzasty w rozmowie z „Tygodnikiem" przekonuje: – W sondażach przed wyborami prezydenckimi Władysław Kosiniak-Kamysz miał prawie 20 proc. poparcia, ale ostatecznie zjechał do 2,3 proc. W warunkach tak wielkiej polaryzacji innym kandydatom, w tym Robertowi Biedroniowi, trudno uzyskać dobry wynik.

Trauma po tej klęsce tkwi w Lewicy do dziś. Tak jak strach przed powtórką. Najgroźniejszy jest scenariusz, w którym Trzaskowski zostaje namaszczony przez Tuska jako kandydat na premiera. Scenariusz ten może odebrać elektorat Lewicy i zepchnąć ją w sondażowy dół, być może nawet pod 5-procentowy próg. To byłaby katastrofa – Lewica znów wypadłaby z Sejmu albo jeszcze przed wyborami wylądowałaby na kolanach, prosząc, by Tusk wziął ją na swoje listy. On sam wolałby uniknąć Lewicy w rządzie, a jeśli już, to tak osłabioną, by ogon nie merdał psem.

„Rafał na premiera" to potencjalny *gamechanger* kampanii. Tusk może po ten scenariusz sięgnąć, jeśli miałoby to przesądzić o wygranej w wyborach. Sam Trzaskowski nie jest co prawda entuzjastą tego pomysłu i sam celuje w Pałac Prezydencki w 2025 r., ale wcześniej nie był też entuzjastą własnego startu na prezydenta Warszawy w 2018 r. Tusk zresztą już tworzy dla Trzaskowskiego wygodny grunt w kampanii parlamentarnej – liderką sztabu PO ma zostać... szefowa gabinetu Trzaskowskiego w Ratuszu, Wioletta Paprocka-Ślusarska. Kartę przetargową Tusk ma dość mocną: skoro Trzaskowski chce stanąć do walki o prezydenturę w 2025 r., to zwłaszcza pieniądze, ale i robotników do tej kampanii może mu dać właśnie Tusk. Także drugi scenariusz, ewentualnej kariery Trzaskowskiego w strukturach UE, też może być zależny od woli Tuska.

Co mogłaby zrobić Lewica, by się obronić przed planem „Rafał na premiera"? Najbezpieczniej dla niej byłoby startować z jednej wielkiej listy opozycji albo chociaż stworzyć partnerski blok PO i Lewicy. Wtedy Trzaskowski nie byłby taki straszny, a wejście do Sejmu – gwarantowane.

W Lewicy kiełkuje jednak pomysł, aby – w kontrze do Trzaskowskiego – wskazać własną kandydatkę na premierkę. To ważne: kobietę, bo tylko kobieta mogłaby powstrzymać młody kobiecy elektorat przed odpływem do Trzaskowskiego. Co do wystawienia własnej kandydatury nie ma jednak zgody wśród liderów.

Lewica chce pilnować Tuska

W sytuacji wyraźnego skrętu ideologicznego PO, rodzi się pytanie o zdolność Lewicy do przetrwania. Jej liderzy robią dobre miny. – Jeśli ktoś popiera nasze postulaty, to bardzo się cieszymy. Mamy cały program i to my jesteśmy gwarantami jego wypełniania – mówi nam Czarzasty.

Joanna Scheuring-Wielgus, posłanka Lewicy, wyraziła się na jednym ze spotkań bardziej bezpośrednio: „Żaden Donald, żaden Władysław, żaden Szymon nie załatwi tego, co załatwią posłanki lewicy".

A to fragment uchwały Nowej Lewicy: „Zmian nie wprowadzą z własnej woli konserwatyści i liberałowie. Gwarantem prawdziwych zmian jest tylko silna, podmiotowa, niezależna Lewica".

Warto przetłumaczyć te cytaty: „Tusk znów oszuka, jeśli w rządzie nas zabraknie". Albo ujrzeć je w poetyce Razem: „»libki« z PO tylko mówią, a my musimy ich pilnować". Zdaniem polityków Lewicy skręcająca w lewo PO to „podróbka", na którą nie można się nabrać. Zwłaszcza młodsze pokolenie – związane z Razem – jest wobec Tuska zdystansowane i obwinia go o to, że swoją pogardą dla programów socjalnych rozwinął przed PiS czerwony dywan do władzy, a dziś przemalował się na społecznego wrażliwca.

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Pawła Śpiewaka

postaci nietuzinkowej, wybitnego eseisty i naukowca,
członka pierwszej kapituły Nagrody Literackiej Gdynia.

Bliskim Zmarłego składamy wyrazy współczucia.

CZŁONKINIE I CZŁONKOWIE
KAPITUŁY NAGRODY LITERACKIEJ GDYNIA

Jest w tym też paradoks: jeśli Tusk zrezygnuje z planu przewodzenia rządowi i wysunie na przód Trzaskowskiego – bliższego krwistej Lewicy – oznaczać to może jej katastrofę.

Sceptycyzm wobec „premiera Tuska" na opozycji wzrasta. Zwłaszcza w Polsce 2050 Hołowni oraz w PSL-u, którym Tusk grozi już „srogimi batami", choć zaznacza, że dostaną je od wyborców. Czarzasty w związku z tym przewiduje: – W dzisiejszej sytuacji premiera będzie raczej wybierać koalicja, która powstanie po wyborach.

Lewica swojej kandydatury na szefa rządu przed wyborami przedstawiać nie chce. Na razie. Magdalena Biejat pytana o namaszczenie kobiety z Lewicy na premierkę mówi dyplomatycznie: – Naszym zdaniem to nie jest moment na dyskusje o personaliach. Jesteśmy spokojni, bo mamy w naszych szeregach wiele osób – kobiet i mężczyzn – które będą doskonałymi członkami rządu.

– Uważam, że rozmowa o stołkach jest teraz nie na miejscu – mówi nam Robert Biedroń. – Najpierw trzeba wygrać z PiS. Musimy pokazać współpracę na opozycji, niezależnie od liczby list. Dlatego zaproponowałem, byśmy spotkali się w ramach demokratycznych środowisk i omówili najważniejsze punkty dla przyszłego rządu – zauważa.

Kwaśniewski dodaje: – Gdyby Lewica, która uzyskuje w sondażach ok. 10 proc., zaczęła mówić o swojej kandydaturze na premiera, byłoby to oderwanie od realiów. Oczywiście, z koalicyjnej układanki po wyborach może wyjść sytuacja dziś zupełnie niespodziewana – zaznacza, po czym nawiązuje do głośnego sporu o liczbę list: – Tak długo jak Hołownia i Kosiniak-Kamysz są przeciw jednej liście, Tusk boi się iść tylko z Lewicą. Obawia się utraty umiarkowanie konserwatywnego elektoratu. Sytuacja jest patowa.

Ostatnim punktem zwrotnym były styczniowe głosowania nad ustawą o Sądzie Najwyższym, która miała odblokować 35 mld euro z KPO. Wtedy Polska 2050 zagłosowała za wyrzuceniem ustawy PiS do kosza, choć Tusk oczekiwał, że cała opozycja wstrzyma się od głosu. Po tamtym zderzeniu nie doszło już do żadnego spotkania liderów opozycji. Kontakty zamarły. Na linii Tusk-Lewica też, choć akurat większość jej posłów głosowała z Platformą.

> Wiele wskazuje na to, że nie będzie nawet wspólnego bloku PO–Lewica. Platforma takiej konfiguracji nie chce, bo rodzi to ryzyko **utraty głosów prawego skrzydła wyborców PO.**

Na dziś wiele wskazuje, że nie będzie nawet bloku PO–Lewica. Platforma takiej konfiguracji nie chce, bo rodzi to ryzyko utraty głosów prawego skrzydła wyborców PO. Lewica szykuje się więc na start samodzielny. Celują – oficjalnie – w 60 mandatów (dziś mają 44). Ale to marzenia. Jeden z polityków Lewicy mówi: – Powtórzenie wyniku z poprzednich wyborów byłoby sukcesem.

„Odjaniepawlanie" Polski

Blok PO i Lewicy jest ryzykowny także dlatego, że obozowi władzy łatwo byłoby go ochrzcić „totalnym lewactwem" i dybać na antykościelne szarże. Polityczki Lewicy już pokazały, że potrafią to robić. Nie chodzi o to, że w głosowaniu nad uchwałą broniącą Jana Pawła II Lewica jako jedyna była przeciw. Z punktu widzenia tej opcji politycznej było to zrozumiałe, ale jednocześnie Joanna Scheuring-Wielgus i Agata Diduszko-Zyglewska domagały się, by ulice, szkoły i przedszkola przestały nosić imię Jana Pawła II, a przynajmniej by się ludzie nad tym zastanowili. „Trzeba »odjaniepawlić« polską przestrzeń publiczną" – przekonywała Diduszko. Z kolei pojedynczy działacze młodzieżówki zaczęli kolportować pomysł, by doklejać słowo „Ofiar" na tabliczkach z ulicami i placami Jana Pawła II.

Robert Biedroń też miał wystąpić na konferencji o Janie Pawle II, ale jego udział odwołano. Potem zapewniał łagodnie, że „dla wielu z nas Jan Paweł II był ważną postacią", i sprzeciwiał się „próbom całkowitej degradacji wizerunku papieża". To o tyle ciekawe, że Biedroniowi wymazywanie papieża Polaka nie jest obce. Już parę lat temu publikował zdjęcia tabliczek „Aleja Ofiar Jana Pawła II" czy „Szkoła Podstawowa Ofiar Jana Pawła II", komentując je tak: „Ktoś postanowił wziąć sprawy w swoje ręce i »odjaniepawlić« Warszawę. Co o tym sądzicie?".

Pomysł „odjaniepawlenia" Polski szybko ubiło szefostwo formacji. Dlaczego? Z badań IBRiS wynika, że większość wyborców Lewicy to ludzie wierzący (ok. 60 proc.), z czego połowa chodzi co niedzielę do kościoła.

Oczywiście, antyklerykalizm wciąż znajduje się w ofercie, ale w łagodniejszej formie. Generalnie Lewica nie ma w programie fajerwerków. Zdaniem Czarzastego w polskiej polityce już nie ma gamechangerów takich jak program 500 plus.

Lewica proponuje więc prawo do aborcji, refundację *in vitro*, opodatkowanie kleru, wypowiedzenie konkordatu, wyprowadzenie religii ze szkół i skasowanie jej finansowania przez państwo, a także zalegalizowanie nie tylko związków partnerskich, ale też małżeństw osób tej samej płci. Jest też gwarantowany dostęp do przedszkoli i żłobków, koniec umów śmieciowych, pociąg w każdym powiecie, 300 tys. tanich mieszkań na wynajem w latach 2025-2029, „renta wdowia" (przyznawana wdowom i wdowcom w wysokości 50 proc. emerytury zmarłego współmałżonka) oraz leki po 5 zł dla seniorów. Rewolucji tu nie ma. To tradycyjne lewicowe punkty.

Kwaśniewski: – Lewica przetrwała największy kryzys po zniknięciu z Sejmu w 2015 r. Wtedy brzmiało to jak wyrok, a jednak udało się ją odbudować. Teraz jesteśmy w sytuacji ustabilizowanego poparcia na poziomie ok. 10 proc. Widać jednak wyraźnie, że jest kłopot z pójściem wyżej.

Jeśli Lewica dowiezie ten wynik w wyborach, to i tak będzie dla niej sukces. Ba, będzie nim już samo wejście do Sejmu, bo oznacza szansę na udział w rządzie. Lewica ma ambicję być tam ważnym puzzlem – czerwonym, coraz bardziej tęczowym. Na razie marzy, by przetrwać z obecnym słupkiem sondażowym do wyborów. Musi jednak pamiętać słowa Tuska, politycznego killera, który groził jej, że „taktyka przetrwania" nie zapewnia najważniejszego – przetrwania.

© JACEK GĄDEK

Autor jest dziennikarzem Gazeta.pl

Zakład wyborczy

MAREK BIEŃCZYK

Matematyka wskazuje dwa warianty, ale tylko jeden – wspólna lista – ma moc wyzwolenia wiary.

Były partyjny rzecznik prasowy wrzucił niedawno do sieci sprytne pytanie: „Za co tak nienawidzicie PiS?”. Wywołało to lawinę odpowiedzi; moja jest taka: „Za to, że wzbudzacie nienawiść”. Z nienawiścią może walczyć tylko wiara w coś, co nienawiść tę przerasta, i koniecznością chwili – „dla wszystkich, jak tu ponuro siedzimy” (za Stanisławem Mancewiczem) – jest wiarę taką odnaleźć.

Każda wiara jest tak czy inaczej transcendentna, czyli zapowiada wyjście z sytuacji, w której się znaleźliśmy i w której „ponuro siedzimy”. Co prowadzi mnie, w kontekście nadchodzących wydarzeń, do jesiennych wyborów. Z małym objazdem przez stację, którą nazwę „Pascal”.

Potocznie Błażeja Pascala (1623-1662) znamy z dwóch uczuć, którym nadał najwyższą rangę: przerażenia i niepewności. Przerażenia „milczeniem nieskończonych przestrzeni” i niepewnością co do obecności w niej siły wyższej. Zostańmy przy tym, wszyscy po tej stronie jesteśmy nie tylko „ponurzy”, ale też przerażeni tym, co jest, i niepewni tego, co się stanie.

Pascal bardziej nienawidził, niż wierzył. Nie znosił tego, co jest; nie wierzył już w nic – poza ewentualną możliwością wiary. W przekładzie na dzisiejszą sytuację polityczną: doczesność, jaką nam zgotowano i jaką sami sobie doprawiliśmy, składa się z całkowitej nicości. Doczesność urządzana przez władzę, czego nie trzeba tłumaczyć, i doczesność urządzona przez opozycję, która – teraz to już widać wyraźnie – rozkrwawiła ranę do końca. To, co zdawało się oczywiste i wyraziste, zostało po naszej stronie zmiażdżone na papkę przez moździerz codzienności. Nie ma już absolutnie żadnego znaczenia, kto ma po naszej stronie rację, która partia, który lider, który sondaż; i nie będzie miało żadnego znaczenia, kto będzie miał rację i co pokaże kolejny sondaż wewnętrzny czy zewnętrzny, i jaka będzie kolejna jego metodologia, nie będzie miało znaczenia, co powie kolejny socjolog, polityk czy komentator.

Najlepiej byłoby zamilknąć. Przestać mówić, co się sądzi. Tej papki nie da się już na powrót ukształtować. Po prostu. Najlepszymi nawet argumentami. Najlepszymi nawet programami. Program to w tej chwili już tylko opium dla partii. Niestety.

Pozostaje zakład. Pascal wyliczył matematycznie, że opłaca się mu uwierzyć. Nie w to, co tutaj, żadnych złudzeń, lecz w to, co tam. Zaprzągł matematykę do metafizyki. Naszym „tam” jest jesienna przyszłość. Trzeba z zimnym sercem Pascala postawić na wiarę, na jedną wiarę. Nawet jeśli wydaje się nam ona bezzasadna i niemożliwa. Nawet w nią nie wierząc.

W żadnym wypadku sama matematyka nie wystarczy, ale też matematyka musi pod tę wiarę podprowadzić. Matematyka wskazuje dwa warianty, ale tylko jeden – wspólna lista – ma moc wyzwolenia wiary. Może rozpaczliwej, może wymuszonej, może obcej, wszystko jedno. Zakład nie pyta o odczucia, lecz o gotowość. A gotowość jest udzielna jak dobry wirus. Obawiam się, że nic lepszego nie da się na dziś wymyślić. ©

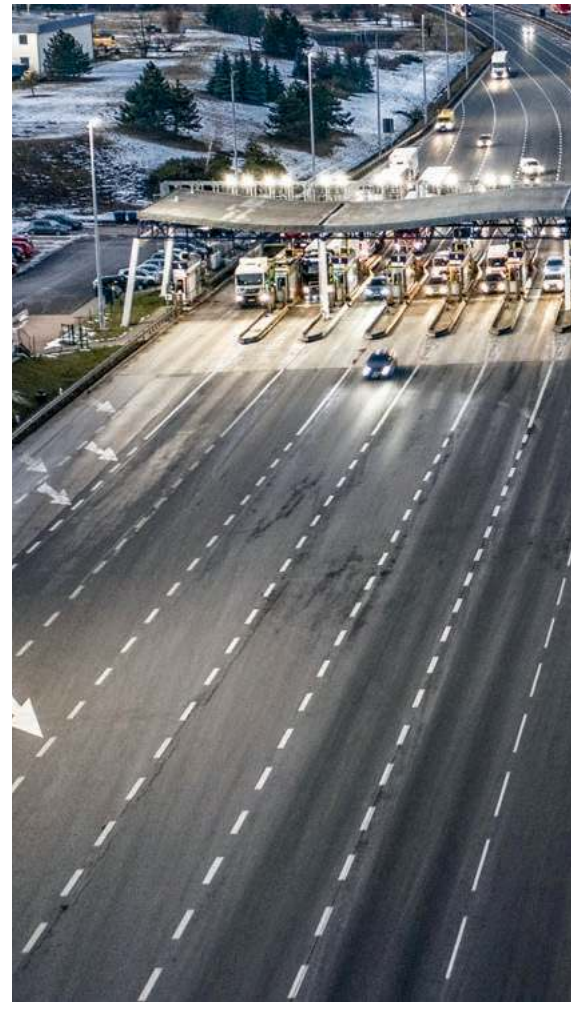

Człowiek drogi

MAREK RABIJ

Po 22 latach w fotelu prezesa firmy zarządzającej pierwszą w Polsce płatną autostradą Emil Wąsacz wybiera się teraz do Santiago de Compostela. Pieszo. W spadku zostawia kolejną podwyżkę za przejazd.

Należy do tych świeżo upieczonych emerytów, którzy miast rozkoszować się wolnym czasem, nadal usiłują okiełznać swój kalendarz. Propozycję spotkania przyjmuje ochoczo, ale od razu zastrzega, że o czas nie będzie łatwo, bo w terminarzu ma też inne, w sprawie oratorium o tragedii Ukraińców. A z tym utworem – ciągnie niepytany –

ARTUR BARBAROWSKI / EAST NEWS

Autostrada Stalexport A4 przy punkcie poboru opłat w Brzęczkowicach, luty 2023 r.

to w ogóle wyszło niezręcznie. Zależało mu, żeby autorem był Ukrainiec, przez znajomych dotarł nawet do cenionego kompozytora. – I proszę sobie wyobrazić – krzywi się Wąsacz – że on mi kazał cały pomysł opisać w mailu! Od razu przystąpiłem do poszukiwania innego wykonawcy. Ja te moje oratoria traktuję bardzo poważnie.

Ufundował już dwa. Pierwsze było poświęcone dzieciom Sybiru. Drugie traktowało o uchodźcach. Trzecie ma być pokłonem dla Ukrainy. – To mój głos w sprawach ważnych dla kraju i całej ludzkości. Z wykształcenia jestem inżynierem, zrządzeniem losu zostałem politykiem i menedżerem, ale w głębi duszy czuję się historykiem i dziennikarzem.

Nie ma darmowych przejazdów

Ostatnia publikacja Wąsacza odbiła się wyjątkowo szerokim echem.

„Tym listem pragnę się pożegnać z naszymi akcjonariuszami i użytkownikami autostrady. Po 22 latach pracy w Stalexport Autostrady S.A. postanowiłem przejść na emeryturę" – zakomunikował 28 listopada 2022 r., ogłaszając jednocześnie, że pracę zakończy dokładnie trzy miesiące później. Obecnie ze Stalexportem łączą go tylko wspomnienia, ale nie chce i wręcz nie może komentować strategii niegdysiejszego pracodawcy, który właśnie podniósł cenę przejazdu małopolskim odcinkiem A4. Przyznaje jedynie, że to jego podpis widniał pod decyzją, wskutek której pokonanie samochodem osobowym 60 kilometrów autostrady między Krakowem a Katowicami kosztować będzie od kwietnia aż 30 zł.

– Media już ogłosiły małopolski odcinek A4 najdroższą autostradą w Europie, ale mam wątpliwości, czy to prawda – mruży oczy Wąsacz. – Niektórzy wiążą też moją rezygnację z nieprzedłużeniem Stalexportowi koncesji na eksploatację A4, a to już absurdalna nadinterpretacja. Mam 78 lat, nie ma sensu szukać tu podwójnego dna, ale prawdę mówiąc, już do tego przywykłem. Moja praca w Stalexporcie obrosła mitami, na czele z tym, że to ja rzekomo przyznałem mu 30-letnią koncesję na budowę i eksploatację tego odcinka.

Kiedy mowa o dokumentach, umowach i paragrafach, pełna dykteryjek i dygresji narracja Emila Wąsacza staje się nagle chłodna i precyzyjna.

– Koncesję dla Stalexportu podpisano w marcu 1997 r. – strzela z pamięci datami. – Ja w tym czasie byłem prezesem Huty Szczecin, a wybory, które dały zwycięstwo AWS, odbyły się dopiero we wrześniu. Zgadza się tylko to, że w 2000 r. to mój rząd pozwolił Stalexportowi skorzystać z przyznanego mu trzy lata wcześniej prawa do poboru opłat na trasie, którą spółka w międzyczasie zmodernizowała do standardu płatnej autostrady.

Kilka miesięcy temu resort infrastruktury zapowiedział, że od września 2027 r. zarząd nad małopolskim odcinkiem A4 przejmie Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad. Opłaty za przejazd zostaną zniesione. Tym samym końca dobiegnie także litania pretensji tysięcy polskich kierowców, skazanych na odpłatne korzystanie z trasy w niemal permanentnym remoncie. I tych pretensji Emil Wąsacz akurat zrozumieć nie umie.

– Biskup Pieronek wypalił kiedyś publicznie, że pobieranie pieniędzy za przejazd drogą jest niemoralne – wspomina. – Dobrze się znaliśmy, chwyciłem więc za telefon i powiedziałem mu, że niemoralne to byłoby obciążanie kosztami utrzymania małopolskiej autostrady nauczycielki z Mazur, która z niej nie korzysta. Darmowa autostrada, którą obiecuje rząd, będzie utrzymywana z podatków wszystkich Polaków. Im więcej takich hojnych podarunków, tym wyższe podatki. Proste.

Z kierownika prezes

Leszek Balcerowicz. To nazwisko padnie w tej rozmowie kilkakrotnie, choć Wąsacz zaznacza, że to nie on był jego mentorem od ekonomii. – Jestem synem niepiśmiennego chłopa spod Rzeszowa. Jako jedyny z trzynastki rodzeństwa ukończyłem studia. Moim pierwszym kursem ekonomii były lektury „Tygodnika Powszechnego". Zarządzania uczyłem się uczestnicząc jako szef Solidarności w naradach dyrekcyjnych. Zachowałem zdrowe chłopskie podejście do gospodarki i prowadzenia biznesu. Firma nie może wydawać ↦

↦ więcej, niż zarabia, ani oferować czegoś, na co nie ma popytu. A gospodarka jest tak silna, jak mocne i zdrowe są tworzące ją firmy. Może i brzmi to trywialnie, ale uważam, że odrywanie ekonomii od zdroworozsądkowych podstaw rodzi patologie. Zawsze też będę powtarzać, że własnością publiczną mogą być jedynie spółki i instytucje o znaczeniu strategicznym dla funkcjonowania państwa, działające w obszarach, w których rentowność niekoniecznie jest najważniejsza. Reszta powinna być prywatna, bo prywatne zazwyczaj działa efektywniej od publicznego.

Po odejściu z Huty Katowice, w której dzięki poparciu Solidarności z kierownika oddziału awansował aż na prezesa, Wąsacza zassał sektor prywatny. Doradzał bankom, zarządzał jednym z narodowych funduszy inwestycyjnych. Propozycja pracy w rządzie przyszła niespodziewanie kanałami związkowymi. Powstawał rząd Jerzego Buzka i w październiku 1997 r. lider „S" Marian Krzaklewski polecił premierowi znajomego dyrektora ze sporym doświadczeniem restrukturyzacyjnym. Na stole wylądowały oferty objęcia resortu gospodarki lub skarbu. Wybrał to drugie.

Kiedy trzy lata później, w atmosferze ostrego sporu o kierunek i kształt prywatyzacji, składał rezygnację z tej funkcji, wyliczył sobie, że dzięki niemu Polska zarobiła ponad 47 mld zł. Za jego kadencji pod młotek poszły m.in. Bank Przemysłowo-Handlowy, Domy Towarowe Centrum, Pekao S.A., Bank Zachodni, Bank Handlowy, Warta, PLL LOT, TP S.A. i PZU. Balcerowicz, który nie zawsze zgadzał się z nim w kwestii doboru narzędzi, gratulował mu efektów, mówiąc nawet, że Wąsaczowe prywatyzacje są kolejnym etapem transformacji, którą on rozpoczął w 1989 r. A że dziś kolejne pokolenia w tamtych działaniach widzą tylko wyprzedaż rodowych sreber? Krytykują wycenę sprzedawanych firm według wartości ich majątku, bez uwzględnienia potencjału, jakim dla kupujących był wówczas niemal 40-milionowy polski rynek? Normalna rzecz w odwiecznej sztafecie pokoleń i idei.

– Mieliśmy wtedy gospodarkę, która nie działała, bo działać nie mogła. W zakładach w Ursusie, zaprojektowanych pod potrzeby całego bloku wschodniego, była na przykład linia produkcyjna o wydajności 70 tysięcy traktorów rocznie. Ale w 1991 r. RWPG diabli wzięli i fabryka została z samym polskim rynkiem, na którym mogła sprzedać siedem tysięcy ciągników. Przychodzili do mnie wtedy różni ludzie i mówili, żeby ratować zakład. Nawet nie miejsca pracy, zakład. Dominowało przekonanie, że przedsiębiorstwa państwowe trzeba ratować za wszelką cenę – zapala się minister.

Dlatego uczciwa ocena prywatyzacji lat 90., której twarzą po latach stał się Emil Wąsacz, winna jego zdaniem uwzględniać nie tylko ówczesne liberalne paradygmaty ekonomiczne. Tamte decyzje o prywatyzacji nie były podszyte ideologią. Nie było innego wyboru.

– Pamiętam, jak przyszedł do mnie prezes Państwowego Urzędu Nadzoru Ubezpieczeń i mówi: „Panie ministrze, PZU jest bankrutem. Albo pan szybko dosypie parę miliardów, albo firma padnie i pociągnie za sobą cały rynek ubezpieczeniowy". Ja mu na to, że nawet jeśli teraz dofinansujemy, to za pół roku, góra rok, sytuacja się powtórzy. Nie było szans na restrukturyzację PZU, bo tej firmie nie była potrzebna korekta kursu, tylko wiedza, jak działać w realiach wolnego rynku. Nie wahałem się długo, zaczęliśmy przygotowania do prywatyzacji. I dziś tę decyzję podjąłbym ponownie.

„Złodziej z Warszawy"

Pytanie o to, jak żyje mu się ze świadomością, że przejdzie do historii jako pierwszy polski polityk postawiony w III RP przed Trybunałem Stanu, przyjmuje ze stoickim spokojem. – Może pana zaskoczę, ale to dla mnie nic nie znaczy. Wiem, że stawiane mi zarzuty miały podłoże czysto polityczne i zapewne także personalne. Nie miałem sobie nic do zarzucenia i to dało mi siłę, choć łatwo nie było. Jeden z krewnych spytał kiedyś na cmentarzu w mojej rodzinnej miejscowości o grób Wąsaczów i w odpowiedzi usłyszał: „Aa, rodziny tego złodzieja z Warszawy?".

W 2002 r. do marszałka Sejmu wpływa wniosek poselski o pociągnięcie byłego ministra skarbu do odpowiedzialności konstytucyjnej. Zarzuty dotyczą nieprawidłowości, jakich Wąsacz jako minister miał się dopuścić podczas trzech dużych prywatyzacji: PZU, TP S.A. oraz Domów Towarowych Centrum. Zdaniem wnioskodawców działania te naraziły państwo na znaczne szkody.

– Nawet nie wiem, od czego zacząć – pociera czoło Emil Wąsacz. – W przypadku TP S.A. poszło o niewłaściwy wybór doradcy prywatyzacyjnego. Mieliśmy do wyboru trzy renomowane firmy. Dwie rzuciły na stół konkretną kwotę. Trzecia chciała procent od wartości transakcji prywatyzacyjnej i po wszystkim okazało się, że jej oferta byłaby faktycznie najkorzystniejsza. Tyle że przed zakończeniem sprzedaży nie mogłem tego wiedzieć, dlatego wybrałem jedną z dwóch ofert na konkretną kwotę. Ale moi oskarżyciele nie przejmowali się takimi detalami. Podobnie rzecz miała się z prywatyzacją Domów Centrum, gdzie zarzut sprzedaży poniżej ceny postawiono mi w oparciu o wątpliwą ekspertyzę.

Bardziej złożona była kwestia prywatyzacji PZU. Firmę sprzedano holender-

POŻEGNANIE

Z wielkim żalem żegnamy

bł. p.

Pawła Śpiewaka

pisarza, badacza i nauczyciela,

profesora Uniwersytetu Warszawskiego,
byłego dyrektora Żydowskiego Instytutu Historycznego,
wieloletniego przyjaciela i współpracownika naszej redakcji.

Bliskim Zmarłego składamy wyrazy głębokiego współczucia.

„Tygodnik Powszechny"

skiemu konsorcjum Eureko z siedzibą w 60-tysięcznym Zeist pod Utrechtem, które zdaniem krytyków Wąsacza nie miało know-how i nie dysponowało kapitałem niezbędnym do dofinansowania polskiego nabytku (zakup miał być zrealizowany na kredyt). Minister skarbu miał też jakoby faworyzować ofertę Holendrów i wspierającego ich BIG Banku, przyznając im dwa razy z rzędu wyłączność negocjacyjną. W 1990 r. niderlandzki inwestor kupuje ostatecznie 30 proc. akcji PZU, a w aneksie do umowy, podpisanym w 2001 r. już przez Aldonę Kamelę-Sowińską, dostaje opcję na kolejne 21 proc., co dawałoby mu kontrolę nad firmą. Po wyborach nowy rząd Leszka Millera dochodzi jednak do wniosku, że aneks przyznający Eureko prawo do zakupu za ponad 2 mld zł pakietu 21 proc. spółki wartej wtedy 38 mld zł, to fatalny interes. Holendrzy w odpowiedzi grożą szykującej się do wejścia do Unii Polsce postępowaniem przed trybunałem arbitrażowym. Spór udaje się zażegnać dopiero w 2010 r., kiedy sponiewierane przez kryzys finansowy Eureko z wdzięcznością przyjmuje 7,65 mld zł dywidendy od PZU w zamian za deklarację opuszczenia szeregów akcjonariuszy.

W międzyczasie Emil Wąsacz ma okazję z bliska podziwiać wnętrze radiowozu. Rankiem 18 września 2006 r. pod domem córki w Dąbrowie Górniczej zatrzymuje go Centralne Biuro Śledcze i przewozi do Gdańska, gdzie słyszy od prokuratora zarzut dopuszczenia do nieprawidłowości przy prywatyzacji PZU. Wychodzi za kaucją.

W grudniu 2020 r. sąd pierwszej instancji oczyszcza go z zarzutów prokuratorskich. Sędzia podkreśla, że oskarżony działał zdecydowanie na korzyść Skarbu Państwa. Rok wcześniej Trybunał Stanu, przy sześciu zdaniach odrębnych, orzeka, że trwająca od początku stulecia sprawa Emila Wąsacza musi się zakończyć z uwagi na przedawnienie zarzutów. Wcześniej postępowanie staje w miejscu m.in. z uwagi na tragiczną śmierć wiceprzewodniczącego Trybunału Stanisława Owczarka, który ginie w wypadku samochodowym.

W spółce PZU, przy rozproszonym akcjonariacie, Skarb Państwa ponownie rozdaje dziś karty. Sprzedana w 2000 r. Francuzom TP S.A. 12 lat później zmienia nazwę na Orange, wcześniej przez lata ciesząc się nieformalną ochroną swego monopolu ze strony państwa. Domy Towarowe Centrum w 2018 r. kupuje od poprzedniego właściciela spółka Atrium, płacąc za nie aż 301,5 mln euro. – Kategorycznie nie zgadzam się z ocenami, które przypisują mi chaotyczną wyprzedaż państwowego majątku – podkreśla. – Od początku pracy dla Polski kierowałem się zasadą, by sprzedawać za jak najwyższą cenę. TP S.A. Francuzi kupili po 38 zł za akcję. Rok później te same papiery warte były 12 zł.

MAREK RABIJ

Emil Wąsacz,
jedyny polski polityk, który stanął w III RP przed Trybunałem Stanu, w ostatnim pełnym roku pracy dla Stalexportu zainkasował 3,4 mln zł pensji.

Najbardziej ewangeliczny projekt

Jesienią 2000 r. – dwa miesiące po odejściu z rządu – Wąsacz dostaje posadę szefa Stalexportu. Walcząc o wyprowadzenie zadłużonej firmy na prostą, sprzedaje część jej majątku, ścina zatrudnienie i koncentruje działalność na eksploatacji płatnego odcinka A4. Krytycy przypominają, że jeszcze jako minister pośrednio przygotował firmie grunt pod ten model działania, godząc się na zawarcie kolejnego z kilku tajnych do dziś (!) aneksów do umowy ze Stalexportem. Media z trudem docierają do fragmentów, z których wynika, że prowadzona przez Wąsacza spółka mogła wynegocjować sobie m.in. gwarancje niemodernizowania okolicznych dróg do standardu, który zagrażałby ruchowi na A4.

W czerwcu 2006 r. NIK składa w Ministerstwie Transportu wniosek o odebranie firmie Stalexport Autostrada Małopolska koncesji. Kontrolerzy zarzucają spółce, że nie wywiązuje się z umowy i nie potrafi w należytym stanie utrzymać drogi. Resort infrastruktury, nauczony trudnymi doświadczeniami z Eureko, nie decyduje się jednak na wojnę. Stalexport zyskał wszak właśnie mocnego inwestora, włoską grupę kapitałową Atlantia, która objęła 61 proc. akcji.

– W umowie nie ma sensacji, od dawna byłem za tym, by ją odtajnić – bagatelizuje sprawę Wąsacz. – Jej część jest już zresztą znana publicznie. Z tego fragmentu wynika, że operator autostrady ma górny pułap stawek za przejazd, ale wciąż do niego nie doszedł.

Czy ogłoszone właśnie podwyżki cen na A4 to uwertura do kolejnych, które pozwolą osiągnąć przewidziane w umowie maksimum i zmaksymalizować zysk przed oddaniem autostrady państwu? – Włosi włożyli w tę firmę miliony i mają prawo oczekiwać zwrotu. Chcą podwyżek, ale nigdy nie sugerowali wprowadzenia stawki maksymalnej – ucina emerytowany prezes. – Ale pytania o strategię Stalexportu to już nie do mnie. Z dróg, które zajmują teraz moją uwagę, mogę mówić o szlaku znad włoskiej Piawy do Polski, który w 1918 r. pokonał pieszo mój ojciec wcielony do c.k. armii. Chciałbym go przejść. Trenuję też przed pieszą wyprawą do Santiago de Compostela, przez Brukselę. Będę maszerować z polską flagą i flagą Unii. W Brukseli może uda mi się spotkać z Buzkiem. To tylko gest, ale ważny. Spośród wszystkich naszych zdobyczy ostatnich dekad to właśnie Unia, najbardziej ewangeliczny projekt Europy, jest najważniejsza.

Kiedy w 2000 r. Stalexport zaczynał pobór opłat, dziennie na drodze między Katowicami i Krakowem pojawiało się 17,5 tys. aut. Dziś – niemal 70 tys.

W ostatnim pełnym roku pracy dla Stalexportu Emil Wąsacz zainkasował 3,4 mln zł pensji.

©℗ MAREK RABIJ

GARY WATERS / ADOBE STOCK

Sami we dwoje

MAŁGORZATA NOCUŃ

Krzysztof przysyła z podróży dziesiątki zdjęć i wiadomości. Pisze o pogodzie, spotkaniach zawodowych, ale też o tęsknocie za Magdą i domem. Po powrocie niewiele więcej można z niego wycisnąć. Nie tylko z niego.

Rozmowa prowadzona przez komunikatory internetowe wypiera tradycyjną. Nie tylko tę twarzą w twarz, podczas której widzimy wyraźnie mimikę, gesty, czujemy obecność rozmówcy i jego emocje, możemy go wręcz dotknąć. Ale nawet tę przez telefon czy kamerkę w komputerze. I nie chodzi już tylko o młodzież. Dorośli cierpią na tę samą „chorobę".

Psycholodzy są zgodni: zjawisko jest niebezpieczne, jednak samego internetu i technologii nie można potępić. Sieć pomaga utrzymywać albo wręcz przywracać więzi rodzinom i przyjaciołom żyjącym z dala od siebie, a introwertykom i ludziom cierpiącym z powodu zaburzeń lękowych ułatwia nawiązywanie kontaktów. W 2015 r. naukowcy Lee Rainie i Kathryn Zickuhr przeprowadzili (na zlecenie Pew Research Center, amerykańskiej organizacji pozarządowej) badania dotyczące skali używania i oddziaływania internetu na jakość relacji międzyludzkich. Aż 90 proc. ankietowanych przyznało, że korzystało ze smartfonu „podczas ostatniej aktywności społecznej", a 50 proc. deklarowało, że sięga po komórkę nawet w łóżku, podczas zbliżeń intymnych z partnerem lub partnerką. Później językoznawcy i psycholodzy stworzyli słowo *phubbing*. To zbitka dwóch wyrazów pochodzących z języka angielskiego: *phone* (telefon) i *snubbing* (lekceważenie). Najprościej: *phubbing* to ignorowanie drugiej osoby, polegające na korzystaniu z komórki podczas rozmowy. Czasem nie do końca świadome, bo wynikające z problemów z koncentracją. Powodują ją liczne bodźce, którymi jesteśmy atakowani poprzez smartfony.

Opowiedz mi coś

Magdalena uważa, że jej związek przeniósł się do sieci. Z partnerem, Krzysztofem, poznali się kilkanaście lat temu, właściwie jeszcze w świecie na wpół „analogowym". Esemesy i rozmowy przez telefon komórkowy były wtedy drogie. Krzysztof (dziennikarz specjalizujący się w tematyce międzynarodowej) dużo podróżował. Krótkie wyjazdy krajowe i długie zagraniczne. W tym czasie para wysyłała sobie co najwyżej nieliczne esemesy. On zdawkowo informował, gdzie się znajduje i czym obecnie się zajmuje, ona w kilku zdaniach pisała, co dzieje się w domu i jak się czuje. – Nie mogliśmy się doczekać naszego spotkania. Chcieliśmy się wreszcie nagadać – opowiada Magdalena.

Podkreśla, że w sumie jeszcze niedawno potrafili z Krzysztofem „opowiadać sobie swoje światy". On opisywał miejsca (często egzotyczne i niebezpieczne), które odwiedził. Mówił o lokalnej kulturze i spotkanych ludziach. – Współodczuwałam z nim. Wypełniały mnie jego emocje. Byłam ciekawa tekstów, które wkrótce napisze – mówi kobieta.

Podczas rozmowy spojrzenia Magdaleny i Krzysztofa się spotykały, śmiali się, wzruszali. Od kilku lat, kiedy on wraca do domu, para zamienia ze sobą kilka zdawkowych zdań, choć nie przeżywa jakiegoś specjalnego kryzysu w związku. Kiedy Magdalena prosi: „No, opowiedz coś!", Krzysztof jest zdziwiony: „Przecież wszystko ci już napisałem".

– I to prawda. Napisał – mówi kobieta sięgając po smartfona. Otwiera aplikację

WhatsApp. Długo przesuwa palcem po wyświetlaczu. Z ostatniej podróży Krzysztof wysłał jej kilkadziesiąt wiadomości (większość opatrzonych kilkoma zdjęciami). Pisał o rzeczach przyziemnych: pogodzie, nużącej podróży rozklekotanym autobusem, spotkaniach zawodowych. Ale też o swoich uczuciach: tęsknocie za nią, za domem, frustracji z powodu zmęczenia. Niestety, Magdalena dziś wie, że więcej nie da się z niego „wycisnąć". Że naprawdę wszystko już jej „powiedział" przy pomocy komunikatora internetowego. Godzi się, że podczas wspólnych posiłków każde będzie patrzeć w swój talerz, spozierając przy okazji w ekran telefonu. W milczeniu.

Prof. Bogdan de Barbaro, psychiatra i terapeuta, uważa, że cyfrowe komunikatory doprowadziły do „dehumanizacji rozmowy". – Coraz częściej zapominamy, że „komunikator" nie jest człowiekiem, tylko maszyną – mówi prof. de Barbaro. Te „maszyny" sprawiają, że pełnowartościowej rozmowy, która tworzy wspólną przestrzeń uczuciową, jest coraz mniej. A w domu, w którym zanika dialog, pojawia się kryptosamotność. Sączy się powoli i z czasem coraz trudniej zdobyć się na przeprowadzenie głębokiej rozmowy, która jest przecież sztuką. Wymaga cierpliwości, czasu, umiejętności słuchania i spełnienia kilku „warunków dialogicznych". – Przede wszystkim nie możemy ranić i unieważniać drugiej osoby. Powinniśmy posługiwać się też językiem zrozumiałym – mówi prof. de Barbaro.

Joanna Flis – terapeutka, autorka książki „Co ze mną nie tak? O życiu w dysfunkcyjnym domu, środowisku, w Polsce i o tym, jak sobie z tym (nie) radzimy" – podkreśla, że głęboka rozmowa „uobecnia" drugą osobę. Podejmując ją wystosowujemy następujące komunikaty: „Chcę cię zauważyć, zrozumieć, usłyszeć, poznać twój świat". Takiej rozmowy nie da się przeprowadzić stukając w ekran smartfona.

Kolorowe karteczki

– Tak ze sobą rozmawiamy – Krystyna wskazuje na lodówkę i wiszącą tuż obok korkową tablicę. Zapiski na kolorowych karteczkach przytwierdzonych pinezkami mienią się w oczach. U góry każdej notatki podkreślona data. „3 marca. Asia laryngolog"; „6 marca. Olek zebranie w szkole"; „15 marca. Obiad u rodziców"; „17 marca. Przegląd i ubezpieczenie samochodu", „21 marca. Asia przedstawienie w szkole. Przygotować strój". Na dole niektórych karteczek adnotacja: Piotr albo Kristin (ksywa z czasów studenckich).

Krystyna pracuje w instytucji kulturalnej, Piotr jest nauczycielem. Małżeństwem są od piętnastu lat, wychowują dwójkę dzieci. Typowa klasa średnia: przestronne, gustownie urządzone mieszkanie, kilkuletni samochód, wakacje za granicą. Krystyna do dziś uważa, że połączyła ich rozmowa. Choć ona jest humanistką, a on miłośnikiem nauk ścisłych, mieli wiele wspólnych pasji: współczesny teatr, zwiedzanie średniowiecznych miast, wycieczki w góry. Dyskutowali o przeczytanych książkach i obejrzanych spektaklach. Żartowali. Rozumieli się w pół słowa, przewidywali potrzeby. „Lupa ma premierę w Starym" – rzucała Krystyna. „Tak. Kupiłem już bilety" – odpowiadał Piotr. Albo: „Robi się ciepło" – zagajał Piotr. „Babia Góra w weekend?" – proponowała natychmiast Krystyna.

Byli ze sobą blisko. Podczas wycieczek w góry w namiotach ich znajomych szybko zapadała cisza i gasły latarki. Oni rozmawiali niekiedy do świtu. Wręcz się w rozmowie zatracali.

Krystyna wspomina, że z roku na rok w jej małżeństwie na zwierzenia miejsca było coraz mniej. Dzieci (pojawiły się szybko po ślubie) wymagały opieki i uwagi. Krystyna po całym dniu spędzonym z córką i synem nie miała siły na wychodzenie z domu, teatr czy rozmowę o sztuce. Kiedy tylko mąż wracał z pracy, prosiła, by zajął się synem i córką, a sama kładła się na sofie z telefonem komórkowym w ręce. „Może ze mną porozmawiasz?" – pytał Piotr. Krystyna odpowiadała, że jest zmęczona. „Ale masz siłę patrzeć w telefon" – stwierdzał z wyrzutem.

Krystyna: – Smartfon stał się moim oknem na świat, ucieczką od rzeczywistości. Szklany ekranik, jak mur, odgradzał mnie od domowych spraw. Czytałam posty znajomych, godzinami rozmawiałam z nimi na komunikatorze o błahostkach. To było przyjemne. Tu nikt nic ode mnie nie chciał. Nie krzyczał: „Mama, pić!", „Kristin, podgrzej obiad, proszę", „Nie kupiłaś mleka sojowego?".

Joanna Flis uważa, że kryzys głębokiej rozmowy występuje w wielu związkach. Małżonkowie, partnerzy, przyjaciele zadają sobie pytania o charakterze informacyjno-organizacyjnym: kiedy, dlaczego, jakie masz plany na jutro? O wiele rzadziej pytają: jak się czujesz, czego ci brakuje? Niekiedy pytania te się pojawiają, ale zadawane są jedynie z grzeczności. Osoba je stawiająca wcale nie jest ciekawa odpowiedzi.

Krystyna podkreśla, że pary, które zna, żyją podobnie jak oni. Partnerzy zajęci są pracą (często w wymiarze ponadetatowym), zawożeniem dzieci na zajęcia pozalekcyjne (niekiedy nadmiernie je obciążając), dbaniem o dom (lśniąca podłoga jest ważniejsza niż bycie ze sobą). A kiedy wieczorem znajdą w końcu trochę czasu, wielu zamienia z partnerami kilka zdań, po czym ląduje z głową w ekranie. Tam jednak też króluje powierzchowna rozmowa – stanowi próbę ucieczki od najbliższych, ale także od siebie samego.

Flis: – Nie chcemy mieć kontaktu z własnymi emocjami, których często nie rozumiemy. Kultura, w jakiej funkcjonujemy, podpowiada nam, by nie decydować się na ich ujawnienie. A rozmawiając, staramy się ukryć reakcje ciała świadczące o lęku, stresie, zakłopotaniu, słabości, rozedrganiu. Wstydzimy się zaczerwienionej twarzy, drżenia rąk, zaszklonych oczu. Nie chcemy się zająknąć. Do rozmowy wkrada się fałsz.

Cisza jak makiem zasiał

W związku Krystyny i Piotra rozmowę zastąpiło omawianie spraw codziennych. Posługując się niemal równoważnikami zdań ustalali listę zakupów, zastanawiali się nad planami wakacyjnymi i dzielili obowiązkami: kto odprowadzi dzieci na zajęcia dodatkowe, kto pójdzie z nimi na wizytę kontrolną do lekarza, kto odwiezie kota na szczepienie, kto posprząta łazienkę.

Kiedy dzieci podrosły, dziadkowie zaproponowali, że będą opiekować się nimi w wybrane weekendy. Krystyna pamięta, jak pierwszy raz, dziwnie stremowana, pakowała ich ubranka i kosmetyki do małej plastikowej walizki. – Zamknęłam za nimi drzwi. W mieszkaniu rozległa się cisza jak makiem zasiał. Podobnego stanu nie doświadczyłam od ponad dekady. Przygotowałam kolację, Piotr otwarł wino, usiedliśmy naprzeciw siebie. Okazało się, że nie za bardzo mamy ↦

↦ ze sobą o czym rozmawiać... Próbowałam zagadywać, nerwowo bawiłam się kieliszkiem. On, spoglądając przed siebie, przytakiwał. Zjedliśmy właściwie w milczeniu, by po chwili usiąść do komputerów – opowiada Krystyna.

Prof. Sherry Turkle, psycholożka kliniczna z Massachusetts Institute of Technology, od ponad dekady bada wpływ internetu na jakość rozmowy. Używa pojęcia, które oddaje relację Krystyny i Piotra – „sami we dwoje". Turkle twierdzi, że internet przyczynił się do kryzysu intymnych relacji. Głęboką rozmowę zredukowaliśmy do powierzchownej „łączności".

Krystyna zastanawia się, czy do ich małżeństwa powróci jeszcze kiedyś dojrzały dialog. Czy po latach życia wypełnionego rutyną i przyziemnymi sprawami mają jeszcze sobie coś do powiedzenia? – Boję się, że możemy jedynie rozplanować kolejny tydzień przy pomocy kolorowych karteczek przypiętych do lodówki i korkowej tablicy – mówi.

Joanna Flis uważa, że wstępem do rozmowy może być nawet wspólne mądre milczenie. – Wydaje nam się, że rozmowa obliguje nas do udzielenia mądrej odpowiedzi czy rady. Chcemy więc zabłysnąć. A czasem chodzi o wsłuchanie się w drugiego człowieka, dostrzeżenie go, pobycie razem – mówi.

Widok ludzi, którzy umówili się, by porozmawiać w kawiarni lub pubie, a zamiast tego siedzą wpatrzeni w telefony, stał się powszechny. Milczenie przerywane jest zdawkowymi wypowiedziami. Czasem ktoś podtyka komuś pod nos ekran swojego smartfona i coś tłumaczy. Coraz większe ekrany lądują na stole podczas rodzinnych uroczystości i świąt, gdzie tradycyjna rozmowa ciągle przerywana jest dźwiękami sygnalizującymi wiadomości, na które „trzeba" natychmiast odpisać. Zmieniła się etykieta. Coś, co jeszcze kilka lat temu uważane było za brak kindersztuby, dziś stało się społeczną normą.

> Przenoszenie rozmów do internetowej sieci **niszczy społeczne więzi.** Sprawia, że niektórzy z nas przestają rozumieć innych ludzi, ich uczucia, nie mają też oporów, by ich ranić.

Jedna z moich rozmówczyń, Ewa, stwierdza: – Właśnie tak funkcjonuje moja nastoletnia córka. Smartfon to cały jej świat. Sięga po niego zaraz po przebudzeniu. Skroluje jadąc autobusem do szkoły, niechętnie odkłada podczas wspólnego obiadu, zabiera ze sobą do łazienki. Kiedy odrabia lekcje, muszę poprosić, by zamknęła telefon w szufladzie biurka – opowiada Ewa. Matka nie raz pytała córkę, czego godzinami szuka w internecie. Była zdziwiona, kiedy nastolatka odparła: „Niczego. Rozmawiam ze znajomymi". Na sugestię matki, czy nie lepiej się spotkać i porozmawiać twarzą w twarz, dziewczyna wzruszyła ramionami. „Teraz są już inne czasy, mamo".

O tym, że córka i jej koleżanki nie potrafią prowadzić normalnej rozmowy, Ewa przekonała się kilka tygodni temu. Dziewczyna zaprosiła do domu koleżanki na noc. Mówiły, że chcą się „nagadać". Ewa obudziła się w środku nocy. Dostrzegła strugę światła płynącą spod drzwi córki, ale zdziwiła ją panująca cisza. Nacisnęła klamkę drzwi. Zobaczyła, że dziewczynki siedzą w łóżkach, każda z telefonem komórkowym w ręce. Wpatrywały się w ekrany jak zahipnotyzowane.

Niebezpieczne związki

Matka nastoletniej Zofii zauważyła, że dziewczyna jest rozkojarzona, chwilami wręcz nieobecna. Nie wypuszcza telefonu z rąk, izoluje się od rodziny. „Masz kłopoty w szkole? – podpytywała. – Ktoś cię zranił?".

W końcu zaczęła podejrzewać, że dziewczyna sięga po narkotyki. Intuicja podpowiedziała jej, by przeczytać wiadomości w jej telefonie. Kiedy przewijała rozmowy córki z chłopcami na komunikatorze, wydawało się jej, że studiuje scenariusz filmu porno. – Kilku z nich „czyniło jej zaloty". Wulgaryzm szedł za wulgaryzmem – opowiada matka Zofii.

Badania przeprowadzone przez grupę naukowców i opublikowane w 2017 r. w periodyku „Journal of Economic Psychology" wskazują, że przeniesienie rozmów do sieci może przynieść ze sobą niebezpieczeństwo nie tylko w wymiarze osobistym. Niszczy też społeczne więzi. Sprawia, że niektórzy z nas przestają odnajdywać się w „prawdziwym" życiu, nie rozumieją innych ludzi, ich uczuć, nie mają oporów, by ich ranić. Człowiek przestaje być realną istotą.

© MAŁGORZATA NOCUŃ

Pokażmy, że pamiętamy!

Z okazji 80. rocznicy wybuchu powstania w gettcie warszawskim, którą będziemy obchodzić 19 kwietnia, do następnego wydania „Tygodnika" dołączymy naklejki – żonkile, symbol tej rocznicy. Ks. Adam Boniecki jest ambasadorem akcji Żonkile, organizowanej przez Muzeum POLIN, a „Tygodnik" towarzyszy jej od wielu lat.

W sprzedaży jest już wydanie specjalne „Żydowska Polska Walcząca" w całości poświęcone rocznicy. Więcej informacji na stronie 113.

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

19 IV 1943 POWSTANIE W GETCIE WARSZAWSKIM

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. KAJUS W. PYRZ

TOMASZ

Stawiszyński: *Dzieło sztuki. Aktualizacja*

HarperCollins, jedno z największych i najpoważniejszych wydawnictw na świecie, postanowiło jakiś czas temu wznowić dzieła wszystkie Agathy Christie. Wydawałoby się – nic prostszego, wystarczy nabyć prawa autorskie do książek, które *napisała* Agatha Christie (podkreślam: które napisała Agatha Christie), a następnie dopełnić koniecznych czynności edytorskich. To znaczy m.in. przygotować oprawę graficzną, przeczytać uważnie tekst pod kątem literówek, zrobić skład i łamanie, a na końcu rzecz wysłać do druku.

Okazuje się jednak, że w tym przypadku procedura wyglądała nieco inaczej. Oprócz wyżej wymienionych działań, do pracy nad wydaniem dzieł wszystkich królowej kryminału zatrudniono bowiem również grupę tzw. czytelników wrażliwościowych (ang. *sensivity readers*). Ich zadaniem było wychwycenie wszystkich sformułowań, które mogą dziś brzmieć obraźliwie i/lub kontrowersyjnie, w szczególności dotyczących koloru skóry, orientacji seksualnej, płci czy wyglądu. Takie usługi, nawiasem mówiąc, realizują często wyspecjalizowane firmy, np. brytyjska Inclusive Minds.

Wskutek tej „wrażliwościowej" kwerendy, wytypowano w twórczości Christie liczne potencjalnie zapalne fragmenty, a następnie, zgodnie z aktualnie obowiązującymi wymogami komunikacyjnej poprawności, dokonano ich dezaktywacji. Listę najważniejszych ingerencji można znaleźć w tekście autorstwa Rachel Hall opublikowanym 26 marca przez „The Guardian", w polskiej prasie natomiast, dzień później, przedstawiła ją na łamach „Gazety Wyborczej" Anna S. Dębowska. Są to – generalnie rzecz biorąc – kwestie drobne i dla ogólnej wymowy dzieła, na pierwszy rzut oka, mało znaczące. No bo czy jakkolwiek istotna może być wymiana zbitki „jego hinduskie usposobienie" (ang. *his Indian temper*) na „jego usposobienie", a „tubylców" (ang. *natives*) na „miejscowych" (ang. *locals*), którzy się nie uśmiechają „białymi zębami", lecz „kiwają głowami" (ang. *nodding*)? Bądź też eliminacja frazy „To oczywiście Żyd" wypowiadanej przez Herkulesa Poirot w „Tajemniczej historii w Styles"?

Abstrahując już od pytań o zasadność poszczególnych interwencji – np. o to, czy wszelkie, także nieobraźliwe w intencji i wymowie, określenia akcentujące kolor skóry albo różnice kulturowe należy traktować zawsze jako ekspresję uprzedzeń i krzywdzących stereotypów (wydaje mi się to sporą przesadą, a osobliwą fiksację na tych kwestiach w niektórych deklaratywnie emancypacyjnych dyskursach mam za zjawisko niepokojące) – coś innego przykuwa tutaj uwagę. A mianowicie, specyficzny stosunek do przeszłości, a konkretnie do dzieła sztuki.

Wyraża go fundamentalne pytanie: czy uznajemy dzieło sztuki za autonomiczny, skończony, zaistniały byt o kształcie nadanym mu przez twórcę, który żył w takim a nie innym świecie, takiej a nie innej kulturze, mówił takim a nie innym językiem, siłą rzeczy zakorzeniony był więc w swojej epoce? Czy też dzieło sztuki jest czymś procesualnym, co, niczym systemy operacyjne w naszych smartfonach, podlegać ma permanentnej aktualizacji? A skoro tak (w tym duchu sprawę postrzega dziś chyba coraz więcej wydawców, podobnych manewrom semantycznym poddano bowiem wcześniej także dzieła m.in. Roalda Dahla i Iana Fleminga, następni czekają w kolejce), to gdzie leżą granice tej aktualizacji? I w jaki sposób się ją definiuje? Czy obejmować ma ona wyłącznie literaturę, czy również film i malarstwo? Czy zatem wkrótce – co technologicznie jest już w zasadzie możliwe – oglądać będziemy dawne filmy zmodyfikowane stosownie do współczesnych standardów różnorodności i inkluzywności? Czy takie lub inne transformacje, z pomocą „wrażliwościowego" pędzla, wprowadzone zostaną do klasyki światowego malarstwa? I czego powinny dotyczyć? Czy tylko kwestii genderowo-rasowych, czy też np. ubioru lub technologii? Skoro zgodnie ze współczesnymi standardami poruszanie się pojazdami z silnikiem spalinowym jest wyrazem ekologicznej abnegacji, to czy należałoby je wszystkie zamienić na rowery albo przynajmniej samochody elektryczne?

Wbrew pozorom nie ironizuję. Są to pytania jak najbardziej zasadne, ściśle wynikające z przyjętych przez HarperCollins (oraz wielu innych zwolenników pewnego popularnego dziś konglomeratu idei) kryteriów, wedle których obchodzić się mamy z przeszłością. Przyznam, że sam na wszystkie z tych pytań odpowiadam przecząco. Zostawiając na boku okoliczność, że podobne manipulacje kojarzą się wyraźnie z praktykami rodem ze szczęśliwie minionych projektów ideologicznych, to – przede wszystkim – paraliżują coś, co wydaje się w kulturze sprawą fundamentalną. A mianowicie: zasadę zmiany, kumulowania doświadczeń, nauki na błędach, ale i elementarnego poszanowania dla integralności dorobku poprzednich pokoleń.

Zamiast więc wstecznie cenzurować dzieła literackie – lub wszelkie inne – opatrujmy je przedmowami, piszmy krytyczne teksty, dyskutujmy o nich w mediach, na uniwersytetach i w szkołach. A nade wszystko twórzmy własne dzieła – choćby i najbardziej polemiczne wobec tych, które zastaliśmy, ostatecznie istotą sztuki jest *agon* – zamiast nadpisywać albo domalowywać tam, gdzie coś już napisane lub namalowane zostało. ©

REPORTAŻ

NOWE ŻYCIE

Dorota świętowała piąte, Kamil myśli już o dziesiątych, Alicja kolejny raz będzie obchodzić te pierwsze. Będą życzenia i tort ze świeczkami. Urodziny po przeszczepie, nowy najważniejszy dzień roku.

TEKST EWELINA BURDA | ILUSTRACJA JOANNA RUSINEK

Na tegoroczne świętowanie Dorota zamówiła specjalną ozdobę. Delikatny napis na patyczku, wykonany z drewnianej sklejki: „Urodziny poprzeszczepowe Dorotki". Umieści go na różowym torcie, mąż kupi świeczkę, będzie też metaliczny złoty balon „5", z którym zrobi sobie zdjęcie.

Pomyśl życzenie

– Data nowych urodzin dla mnie i moich najbliższych stała się ważniejsza od tych pierwszych – opowiada Kamil. – Jakby wtedy, 16 września, zaczęło się coś naprawdę nowego. Bardzo zapamiętałem piąte urodziny po przeszczepie – była impreza, świętowaliśmy z rodziną, znajomymi i narzeczoną w chińskiej restauracji, jedzenie było pycha. Tort, balony, życzenia. Klasyka. A ja czułem się rozpieszczony, jak pięcioletnie dziecko, które urodziny przeżywa całym sobą.

– Moje ostatnie urodziny wypadały w środku tygodnia, była to środa 15 marca. Świętowaliśmy w domu z mężem, zjedliśmy kawałek tortu, wypiliśmy kawę. Potem odebraliśmy córkę ze szkoły i skoczyliśmy w trójkę na pizzę. Nie było hucznie, a zwyczajnie, ale dla takiej zwyczajności walczyłam z chorobą – mówi Dorota.

Alicja: – Wracałam z pracy w listopadowe popołudnie, zimne i szare. Już na klatce usłyszałam, że w mieszkaniu coś się dzieje. Nie pamiętałam, że tego dnia wypada rok po przeszczepie. Bardzo chciałam żyć jak wcześniej, szybko weszłam w codzienny rytm: praca, dom, dziecko. Otworzyłam drzwi. W naszym nie za dużym salonie czekało na mnie kilkanaścioro znajomych. Zaśpiewali mi najgłośniejsze sto lat w życiu. Mama przyniosła tort. Z jedną świeczką.

Diagnoza: walka

Jak podaje fundacja DKMS, zajmująca się znajdywaniem dawców krwiotwórczych komórek macierzystych z krwi lub szpiku, w Polsce co 40 minut ktoś dowiaduje się, że ma nowotwór krwi i będzie potrzebował przeszczepu.

Dorota dziś zbliża się do czterdziestki. – Miałam 17 lat, kiedy zachorowałam na nadpłytkowość samoistną – opowiada. – Udawało mi się funkcjonować, byłam w programie klinicznym, dostawałam leki ze Stanów. Choroba „ucichła", a ja, zmęczona bolesnymi badaniami, ciągłym pobieraniem krwi i czekaniem

w kolejkach na konsultacje, przestałam na nie chodzić. Skończyłam studia, przeprowadziłam się, wyszłam za mąż, urodziłam dziecko. Po 14 latach, na rutynowym USG, wyszło, że mam bardzo dużą śledzionę i muszę jak najszybciej wrócić do hematologa.

W listopadzie 2015 r. w gabinecie lekarskim pada słowo „nowotwór".

– Rzuciłam wtedy: „Ale chyba nie złośliwy?". Zapadła cisza. I usłyszałam diagnozę: mielofibroza. Nic mi to wtedy nie mówiło. Słyszałaś o pięciu fazach żałoby? Po diagnozie przeszłam przez nie wszystkie. Najpierw jest wyparcie, które trwało u mnie długo, bardzo długo. Nie chciałam być znowu chora – mówi.

Przez dwa lat Dorota przechodzi różne terapie. Czuje się coraz gorzej, bóle kości nie pozwalają jej spać ani funkcjonować w dzień. Konieczny jest przeszczep.

W takich przypadkach dawcy najpierw szuka się w rodzinie. Największe prawdopodobieństwo zgodności tkankowej występuje u rodzeństwa.

– Mam dwie siostry, ale niestety, z żadną z nich wystarczającej zgodności. Na konsylium usłyszałam wtedy, że albo uda się znaleźć dawcę niespokrewnionego, na co podpisałam zgodę, albo przede mną rok życia – opowiada Dorota.

Alicja diagnozę dostaje w marcu 2014 r. Niewiele ponad rok wcześniej urodziła córkę. – Po dwóch tygodniach słyszę od lekarzy: ostra białaczka bifenotypowa. Od początku wiedziałam, że konieczne jest przeszczepienie komórek macierzystych. Byłam wtedy sama w szpitalu, czułam, jak opuszczają mnie siły, usiadłam na ławce, płakałam. Podeszła do mnie pielęgniarka, starała się pocieszyć – opowiada.

Gdy trafia na oddział hematologiczny na ostrą chemioterapię, zostaje sama. Ścisły rygor odwiedzin, córki nie widzi przez tygodnie. – Leżałam na sali szpitalnej obok osoby, która umierała. Bałam się, że niedługo to będę ja.

Poszukiwania dawcy są krótkie – ma dwóch braci, którzy trafiają na badania zgodności. Statystycznie w rodzinie dawca znajduje się w 25 proc. przypadków. I w tej grupie jest rodzina Alicji.

– Miałam zgodność tkankową z moim bratem Piotrem. To mnie uskrzydliło i poniosło dalej. Otrzymałam wsparcie od najbliższych, męża, w domu czekało moje maleńkie dziecko. To była mieszanka trudnych emocji i nadziei na życie, na nowe.

Kamil zaczyna chorować niedługo po maturze. Latem 2013 r., w najdłuższe wakacje życia, razem z kolegą jedzie na wyprawę rowerową do Wenecji.

– To były trzy tygodnie ciągłej jazdy, długie dystanse, ostre podjazdy. W ostatnich dniach częściej zostawałem w tyle za kolegą, czasem dzieliło nas nawet kilkanaście minut. Myślałem: jestem po prostu bardziej zmęczony. Ale to już były początki choroby. Wróciłem do Gdyni, z dnia na dzień czułem się coraz gorzej – opowiada.

Na ciele chłopaka pojawiają się wybroczyny, męczą bóle szczęki i głowy, brak apetytu. Trafia do szpitala na badania krwi. – Nie pozwolili mi wyjść do domu, bo było ryzyko, że w przypadku krwotoku krew się nie zasklepi.

Na diagnozę czeka kilka dni: białaczka limfoblastyczna. Kolejne dwa lata są jak wycięte z życiorysu. W rodzinie nie ma dawcy ze zgodnością, znajomi organizują akcję rejestracji potencjalnych dawców, na gdyńskim bulwarze zapisuje się wtedy blisko 500 osób. Dawcę udaje się znaleźć w międzynarodowej bazie.

– Miałem zaplanowany przeszczep od niespokrewnionej dawczyni z Niemiec, jej dane były, zgodnie z procedurami, utajnione. Kiedy przyjąłem już trzy chemioterapie i byłem przygotowany do radioterapii przed przeszczepem, dawcę straciłem. Dlaczego? Tego nie dowiem się nigdy, powody mogły być różne, zdrowotne ↦

↦ i osobiste – opowiada i milknie na chwilę. – To był najcięższy moment, gorszy nawet od diagnozy.

Po kropli

W Polsce wykonuje się blisko dwa tysiące przeszczepów szpiku rocznie. Na świecie zarejestrowanych jest ponad 40 mln potencjalnych dawców, u nas ponad 2,1 mln (dane Poltransplantu o Centralnym Rejestrze Niespokrewnionych Potencjalnych Dawców Szpiku i Krwi Pępowinowej z lutego 2023 r.). Komórki do przeszczepu pobiera się z krwi obwodowej (90 proc. przypadków) lub z talerza kości biodrowej. Dawca nie czuje bólu, lekarze mówią raczej o dyskomforcie. Do zarejestrowania się w bazie wystarczy wymaz z wewnętrznej części policzka – pakiet można zamówić do domu i odesłać pocztą.

Dawca dla Doroty znajduje się dość szybko: – Wiedziałam jedynie, że to młody mężczyzna z Holandii. Ktoś taki przez całą procedurę jest ciągle pytany, czy się zgadza, czy podtrzymuje swoją decyzję. Bo w pewnym momencie wycofanie się może być dramatyczne.

Na ok. 10 dni przed przeszczepem zaczyna się kondycjonowanie, czyli przygotowanie pacjenta, podczas którego niszczy się jego stary szpik, żeby zrobić miejsce na nowy. – Dostałam wtedy tzw. mega chemię. Gdybym przeszła ten proces, a dawca by się wycofał, dziś by mnie na pewno nie było – opowiada Dorota.

– Gdy straciłem dawcę, moje szanse na wyzdrowienie spadły praktycznie do zera. W bazach nie było nikogo, kto byłby moim „genetycznym bliźniakiem" – mówi Kamil. – Miałem leczenie podtrzymujące, ale choroba nie odpuszczała, kolejne agresywne chemie niszczyły mi organizm, lądowałem na stole operacyjnym. Mój tata zaczął być przygotowywany do przeszczepu ratunkowego, nasza zgodność nie była duża i taki przeszczep był obarczony ogromnym ryzykiem.

Drugim dawcą dla Kamila stał się młody chłopak z Niemiec, który dopiero co dołączył do bazy: – Praktycznie od razu po zarejestrowaniu się dostał telefon, że ktoś potrzebuje jego szpiku. A ja po roku leczenia wreszcie trafiłem na oddział transplantacyjny. I kiedy ten szpik poleciał do moich żył, to... Wiadomo było, że tę datę zapamiętam do końca życia.

– Sam moment przeszczepu był wzruszający – opowiada Dorota. – Nie wyglądał wcale spektakularnie, przypominał raczej zwykłe podłączenie kroplówki. Szpik ma kolor podobny do krwi, jest jednak trochę ciemniejszy, jakby nieco brudny. Powoli, po kropli trafiał do moich żył. Trwało to około godziny.

Alicja po kilku latach będzie potrzebować kolejnego przeszczepu: – W 2019 r. miałam wznowę poza szpikiem, udało się ją zaleczyć. Ale w marcu zeszłego roku choroba wróciła ze zdwojoną siłą. Do dobrego przyzwyczajamy się szybko. I kiedy wpadłam w taką rutynę, kiedy znowu do szaleństwa denerwowały mnie brudne naczynia w zlewie, to przyszło kolejne przewartościowanie – mówi. – Do drugiego przeszczepu potrzebny był inny dawca niż mój brat, musieliśmy szukać w bazie niespokrewnionych. I można się domyślić, że skoro dziś rozmawiamy, to się udało – uśmiecha się Alicja.

Noworodki

Osoby po przeszczepie szpiku często porównuje się do nowo narodzonych dzieci: ich układ odpornościowy jest czystą kartą, muszą od nowa przejść cykl obowiązkowych szczepień, nabrać odporności.

Kamil wspomina: – Pierwszy rok po przeszczepie to obchodzenie się ze mną jak z jajkiem, pilnowanie wszystkiego. Przez kilka miesięcy, jak każdy po przeszczepie, przyjmowałem immunosupresję – po to, by mój własny szpik nie „wygrał" z tym od dawcy. O powrocie do sportu, znajomych czy studiów nie myślałem. Szybko musiałem dojrzeć. Wyjścia za bardzo nie było – uśmiecha się.

Dorota wspomina swoje włosy sprzed choroby: bujne, gęste, błyszczące. – Zaczęły mi wypadać dopiero trzy tygodnie po chemii, byłam zdziwiona, że tak późno. Gdy zaczęły mi lecieć garściami, mąż ogolił mnie na łyso. Nosiłam kolorowe chustki, nie było to wtedy najważniejsze, zakładałam, że w swoim czasie odrosną. A okazało się to trudniejsze, niż przypuszczałam – opowiada odgarniając krótki blond kosmyk za ucho. – W łazience mam dziś chyba wszystkie możliwe produkty do pielęgnacji: wcierki, odżywki, szampony. Niedługo czeka mnie wizyta u dermatologa, który specjalizuje się w leczeniu łysienia. Może się wydawać: to nie jest jej największy problem. To prawda, ale dla komfortu psychicznego, poczucia kobiecości bardzo chciałabym odzyskać także włosy.

– Z wysportowanego młodego chłopaka stałem się drobny i słaby – wspomina Kamil. – Pierwsze miesiące uczyłem się na nowo starych rzeczy, nie dawałem rady wyjść na trzecie piętro bez odpoczynku. A przecież nie tak dawno potrafiłem przejechać rowerem kilkaset kilometrów. Pamiętam, jak pierwszy raz, pół roku po przeszczepie pojechałem do lasu: kilkanaście minut jazdy, ale uczucie nie do podrobienia.

Alicja opowiada: – W chorobę wchodziłam z dużą akceptacją swojego ciała, czułam się atrakcyjna, kochana przez męża. Paradoksalnie byłam ciekawa, jak będę wyglądała bez włosów. Dużo chudłam, a jednocześnie puchłam od leków. Budziłam się i zanim spojrzałam w lustro, żartowałam w duchu: ciekawe, jak dziś będę wyglądać. Ale udawało mi się to dobrze znosić – gdy patrzyłam w lustro, dalej widziałam w nim po prostu siebie.

Mój bliźniak i ja

Dawca niespokrewniony anonimowy pozostaje z zasady. Przepisy dotyczące ochrony danych różnią się w zależności od krajów, a baza dawców jest międzynarodowa. Kontakt można nawiązać po dwóch latach od przeszczepu, ale także wtedy udostępniane są tylko podstawowe, niezbędne informacje.

Kamil od początku bardzo chce skontaktować się ze swoim dawcą. Najpierw pisze list, ale nie dostaje odpowiedzi. Potem kolejny: – To był czas, kiedy procedury kontaktu były jakby zawieszone, miały miejsce jakieś komplikacje prawne – opowiada. – Trzecia próba kontaktu była inna: udostępniłem swoje dane, żeby to on, jeśli będzie chciał, nawiązał ze mną kontakt. Zgodził się. Wymieniliśmy na WhatsAppie kilka naprawdę fajnych, momentami wzruszających wiadomości. Mieliśmy się spotkać. Ostatnio ten kontakt trochę ucichł, nie dostałem odpowiedzi na kolejne wiadomości. Nie wiem, czy coś wydarzyło się w jego życiu, czy jednak woli, żebyśmy pozostali dalszymi znajomymi. Chcę jeszcze spróbować. Ale samo to, że poznałem tę osobę, dowiedziałem się, co robi, jaka jest, jak wygląda jej życie, było dla mnie dużą sprawą.

Dorota także odzywa się do swojego dawcy: – To było przed Bożym Narodzeniem. Kupiłam kartkę, napisałam życzenia i kilka słów o sobie. I oczywiście, że mu bardzo dziękuję. Chyba nigdy tak nikomu nie dziękowałam. Zaproponowałam, że gdyby kiedyś chciał, to moglibyśmy się spotkać. Odpowiedzi jednak nie dostałam.

Alicja: – Mój pierwszy dawca, czyli brat Piotr, powiedział mi przed przeszczepem: „Zabijamy tego dziada wspólnie". Był dumny, że może mi pomóc, zawsze będę mu za to wdzięczna. Teraz czekam, aż miną te dwa lata i będę próbowała skontaktować się z drugim dawcą. Chciałabym osobiście podziękować za to, co zrobił: raz, że w ogóle się zarejestrował, dwa, że gdy dostał telefon, nie zrezygnował i mi pomógł.

Od nowa

Alicja: – To „nowe życie", o którym mówią osoby po przeszczepach, może dla innych brzmieć patetycznie albo jak frazes. Ale co mam mówić, skoro tak czuję? – pyta. – Można pomyśleć o tym dosłownie: w organizmie jest nowy szpik, zaczynają pracować tam naprawdę nowe komórki macierzyste. Cały układ odpornościowy buduje się od nowa.

Dorota: – Na osoby po przeszczepach często patrzy się jak na siłaczy, pozytywne wzory. A my to znosimy różnie. Nigdy nie byłam jakąś wielką optymistką, szukałam raczej środka, jasnego patrzenia. Moja historia nie jest taka słodka, że po przeszczepie mam nowe, zdrowe życie. Od kiedy choruję, jestem na rencie. Znajomi śmieją się czasem, że przecież nie wyglądam – żartuje. – Dwa lata temu zachorowałam znów – na raka tarczycy. Fajnie opowiada się te budujące historie, ale o tym, ile przeszło moje ciało, wiem tylko ja.

Alicja: – Po przeszczepie moja przyjaciółka Marzena zapytała, czy nie chciałabym spisać swoich doświadczeń, dodać nimi komuś otuchy. Zebrałyśmy historię moją i dwudziestu innych osób. Tak powstała książka „Przeszczep szpiku i nowe życie", która jest dostępna bezpłatnie na oddziałach hematologicznych. Sama opieka medyczna jest u nas na światowym poziomie, to potwierdzi większość pacjentów, ale tego „czynnika ludzkiego" w sterylnych, odizolowanych od świata i zarazków oddziałach ciągle brakuje – tłumaczy Alicja (dziś trwa zbiórka na dodruk książki i wydanie kolejnych poprzeszczepowych historii – patronuje jej fundacja DKMS).

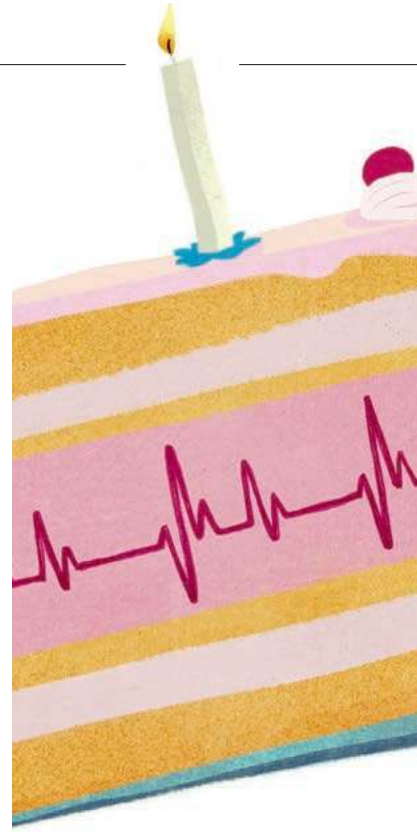

ALICJA:

To, że każdy z nas ma w sobie lekarstwo, które może podarować drugiej osobie, jest piękne. Ja dzięki temu niedługo znów będę miała roczek. Chciałabym świętować te urodziny z jeszcze większym tortem.

Kamil: – Dwa lata po przeszczepie lekarze uznają cię za w pełni zdrową osobę. I te drugie urodziny były dla mnie najważniejsze. Chciałem wyznaczyć sobie wyzwanie, udowodnić samemu sobie, że jestem zdrowy. Pojechałem na pierwszą w moim dwuletnim życiu wyprawę rowerową – z tym samym kolegą, z którym byłem w Wenecji, z której ledwo wróciłem. Słyszałem: może to za szybko. Pojechaliśmy na Ukrainę, do Odessy, zrobiliśmy dwa tysiące kilometrów w niecałe 20 dni. To był dla mnie taki kamień milowy – jestem zdrowy, mogę żyć tak jak kiedyś, tak jak chciałem. Wsiąść na rower, wykręcić setki kilometrów, cieszyć się tym.

– I wypracowałem sobie tradycję – dodaje Kamil. – W urodzinowy wrzesień realizuję sportowe wyzwanie. W 2017 r. w miesiąc wykręciłem 3,5 tys. kilometrów i zwiedziłem Bałkany. W kolejnych latach brałem udział w biciu rekordu Guinnessa na rowerze, przejechałem Szlak Orlich Gniazd i Toskanię. Na najbliższe urodziny planów jeszcze nie mam. Czekam za to już na te kolejne, okrągłe. Dekada po przeszczepie – to brzmi dobrze.

Moje małe zmartwychwstanie

Miesiąc po przeszczepie, gdy Dorota bardzo powoli dochodziła do siebie, była Wielkanoc.

– Czy to jest moje małe zmartwychwstanie? Tak wtedy pomyślałam. Jestem wierząca, wiara dawała mi dużo siły w chorobie, pomagała znaleźć ufność, że skoro tyle już przeszłam, to dalej będzie tylko lepiej. Że Bóg się mną opiekuje i pozwoli mi na nowe życie. Dziś też mocno wierzę, że tych urodzin poprzeszczepowych, mimo wielu innych problemów, jeszcze przede mną wiele – mówi.

Alicja czeka na swoje kolejne pierwsze urodziny: – Niedługo znowu będę miała roczek – cieszy się, poprawiając krótkie włosy. – Im dłużej o tym myślę, tym za coraz piękniejsze uważam to, że każdy z nas ma w sobie takie lekarstwo, które może podarować drugiej osobie. Moje urodziny 13 lipca chciałabym świętować z większym przytupem i jeszcze większym tortem. Wiem już, jak to się robi.

Kamil: – Gdy świeżo po przeszczepie leżałem na oddziale transplantacyjnym, w Hiszpanii odbywały się mistrzostwa świata w kolarstwie, oglądałem wyścig Michała Kwiatkowskiego. Mój nowy szpik jeszcze nie ruszył, czułem się fatalnie, byłem stale na morfinie. I gdy dojechał na metę jako pierwszy, to w euforii wyskoczyłem z łóżka. Na salę szybko przybiegły pielęgniarki. Tak się cieszyłem, że musiały mi podać leki uspokajające – śmieje się. – Kilka dni później mój nowy szpik ruszył, zaczął pracować. Czy jest to ze sobą powiązane? Na pewno nie. Ale lubię myśleć o tym jak o fajnej historii. Że na poprzeszczepowym oddziale mi też wtedy udało się wygrać.

©℗ EWELINA BURDA

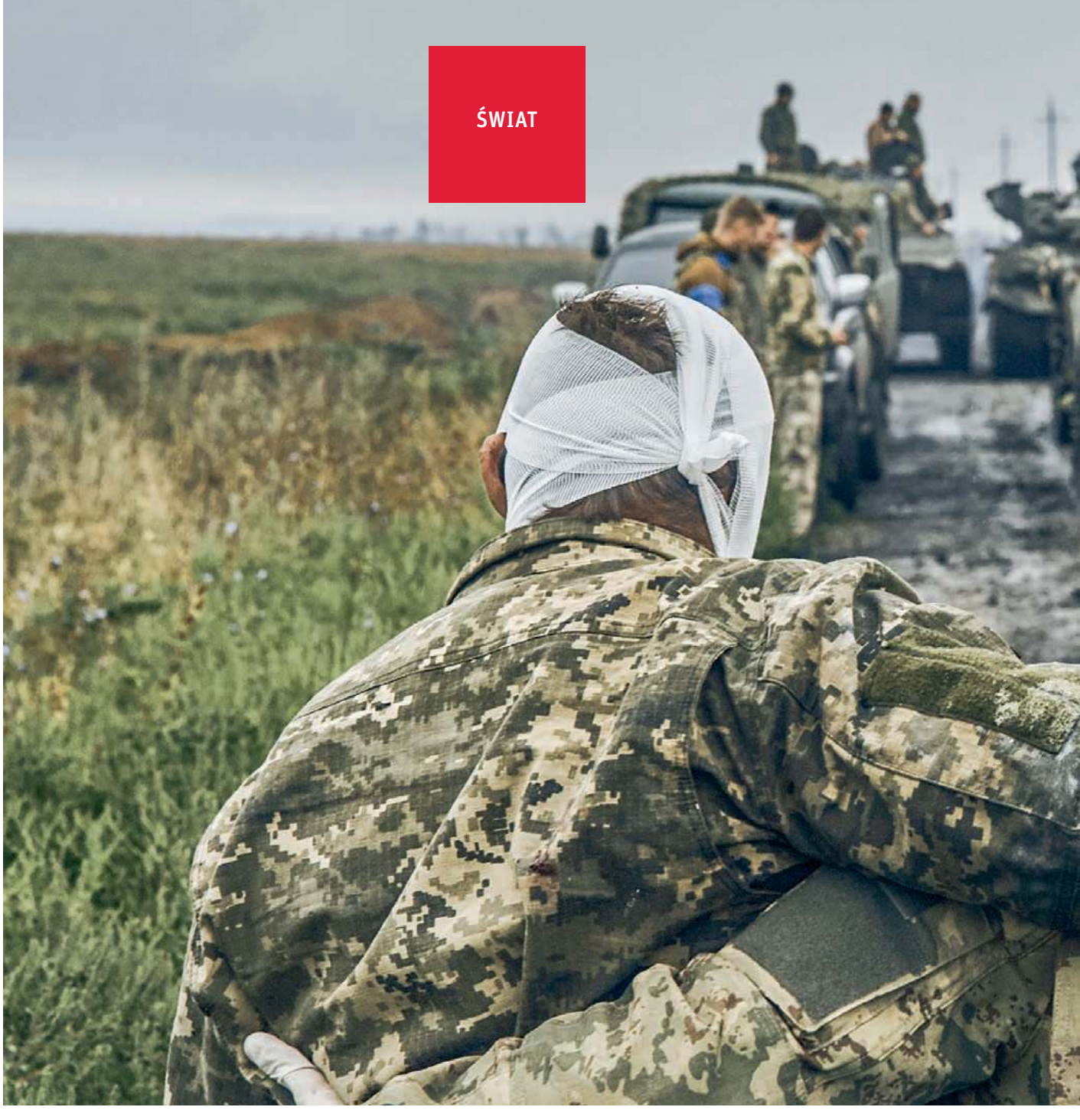

WIELU PRZYSZŁO CI ZABIĆ?

Łatwiej nam wczuwać się w emocje ludzi, którzy są podobni do nas, bohaterami wywiadów o wojnie są więc często intelektualiści. Choć przecież ogromna większość żołnierzy to rolnicy, budowlańcy, hydraulicy. A co oni mówią?

ARTEM CZAPAJ Z UKRAINY

KOSTIANTYN LIBEROV / AP / EAST NEWS

Ukraińscy żołnierze podczas walk w obwodzie charkowskim, wrzesień 2022 r.

Intelektualiści, hipsterzy, artyści, „ludzie sukcesu", dziennikarze – wszyscy oni, służący dziś w ukraińskiej armii, wywołują największe zainteresowanie wśród zarówno ukraińskich, jak też zachodnich intelektualistów, hipsterów, artystów, „ludzi sukcesu" oraz dziennikarzy. Częste są wywiady z takimi „niezwykłymi" wojskowymi. Również oni sami piszą eseje, nagrywają oświadczenia, komentują wydarzenia, opisują swoje doświadczenia i przedstawiają rzeczywistość wojny.

Wszyscy oni/my stanowią/stanowimy jednak tylko nieznaczną mniejszość wśród ukraińskich żołnierzy. Absolutna większość z nich pozostaje, jak zawsze, nieprzedstawiona, niema, pozbawiona własnych głosów.

SANIA PRZYJECHAŁ NA PRZEPUSTKĘ na tyły po raz pierwszy od pół roku. Przez pół roku był na pierwszej linii frontu. Rozgadał się przy mnie tylko dlatego, że obaj nosimy dziś mundury. Dopóki nie skończy się wojna, nie mogę opowiedzieć wszystkiego, o czym mi opowiadał, żeby nie zadawać „wizerunkowej szkody Zbrojnym Siłom Ukrainy" – jak to nazwano w Doktrynie Komunikacji Publicznej, która określa, co wojskowi mogą publicznie mówić.

Sania jest pod pięćdziesiątkę, chudy i z kozią brodą. Wcześniej pracował w Europie. Gdy rok temu Rosja zaczęła inwazję, od razu wrócił na Ukrainę i zgłosił się do obrony terytorialnej, „żeby te pedały tutaj nie doszły". Sania jest niepełnosprawny, ale oczywiście w tamtych ↦

↦ chaotycznych dniach lutego 2022 r. nikt tego nie sprawdzał, a on oczywiście o niczym nie poinformował komisji wojskowej. Niedługo potem trafił na front. Jego kamizelkę kuloodporną noszą za niego inni, bo on nie może dźwigać niczego ciężkiego.

– Najtrudniej jest, kiedy po raz pierwszy trzeba strzelić do człowieka. Z bliska. On przed tobą całuje ziemię, gryzie tę ziemię, płacze, że nie chciał walczyć, że nie zgadza się z tym wszystkim, żeby tylko pozostać przy życiu...

– Wielu przyszło ci zabić? – pytasz i od razu gryziesz się w język.

– Głupie pytanie...

– Przepraszam.

– Głupie pytanie. Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam... – jego oczy zachodzą łzami.

– Przepraszam.

– Przepraszam... Nigdy o to nie pytaj. Nikt ci tego nie powie.

Chcesz mu odpowiedzieć, że chciałbyś zabić choć jednego, ale rozumiesz, że to będzie jeszcze głupsze. To tylko twoja fantazja. Nie wiesz tego. A on wie.

– Nie spałem przez miesiąc. Miesiąc... Panie, wybacz mi grzesznemu... Tylko zasnę i widzę jego oczy. Teraz, jak jestem w domu, wystarczy, że kot wejdzie do pokoju, a ja się zrywam. Tacy ludzie jak my... – znowu szlocha. – Rzucili ich na nas, jak psy... Ziemię gryzł, przysięgał Bogu, modlił się... Ale jeśli nie ja jego, to co? Inne chłopaki będą musiały to zrobić? A potem przyjeżdżasz, a ciebie pytają, czy wielu przyszło ci zabić...

– Przepraszam.

– A inni myślą, że jestem po prostu jebnięty. A jeszcze inni – ściska zęby – mówią, że jestem emigrantem zarobkowym. Kurwa, emigrant, kurwa!!! Zamień się ze mną! Oddam tobie wszystkie swoje pieniądze, wszystkie, wszystkie, wszystkie, i te stąd, i te, jakie w Niemczech zarobiłem. Zamień się.

SIEDZISZ NAPRZECIW CZŁOWIEKA, który zabijał. Język nie pozwala ci wypowiedzieć słowa „zabójca", bo to nieprawda. To człowiek, który musiał zabić. Jest tutaj, pół metra od ciebie. I wiesz, że on zabił, i lubisz go, lubisz go tak, że czujesz te potoki hormonów, oksytocyny czy czegoś takiego, czujesz potok energii, która idzie od ciebie do niego, że aż chcesz go przytulić, ale boisz się, boisz się go dotknąć, bo przecież on z powodu kota w nocy się zrywa. Boisz się go dotknąć, bo przecież jesteście facetami. Boisz się przytulić, bo będzie jeszcze głupiej.

> „Nie spałem miesiąc. **Panie, wybacz mi grzesznemu. Tylko zasnę i widzę jego oczy.** Teraz, jak jestem w domu, wystarczy, że kot wejdzie do pokoju, a ja się zrywam".

– Chłopcy tam się już wściekali. No puśćcie ich na trochę do domu! Nie puszczajcie mnie, jestem stary, ale młodych puśćcie. Jest u nas taki chłopak, byczek. Między drzewami zamontowaliśmy mu drążek, mówimy, zajmij się sportem. A on: „Podciągam się, a tam Hala! Hala przede mną! Opuszczam się – nie mam jej. Podciągam się – znowu Hala!". Sąsiednia kompania miała gumową lalę. A my wody przecież nie mamy. Półtora litra na dzień potrzebuję, a to tyle, by się umyć, napić, zęby umyć i skarpetki uprać. Oni mówią, że nam dadzą tę lalę. Pieniędzy nie chcieli, tylko byśmy ją umyli potem, żeby rzeżączki nie złapać. I chłopaki brały! A inny mówi: „Fu, co ja durny jestem? Pójdę w krzaki, dwa razy trzepnę i aż wióry lecą".

Sania jest jednym z wielu. Każdy ma swoją historię i każda jest unikalna. A ich są tysiące czy wręcz dziesiątki tysięcy. Z tymi ludźmi nie będą przeprowadzać wywiadów. Jeśli spróbują, to oni mało opowiedzą. Albo będą milczeć, bo uważają, że cywile ich nie zrozumieją. Albo nie potrafią opisać swojego doświadczenia, tego, co przyszło im przeżywać. Nie zamienią ich w trafne słowa, nie napiszą eseju.

ŁATWIEJ NAM WCZUWAĆ SIĘ w emocje tych ludzi, którzy są podobni do nas. Bohaterami artykułów i wywiadów często są zatem „hipsterzy, informatycy oraz intelektualiści na wojnie", choć przecież ogromna większość żołnierzy to rolnicy, budowlańcy, kierowcy, ochroniarze w supermarketach, kelnerzy, kombajniści, górnicy, hydraulicy, sprzedawcy na bazarach. Proporcje mogą zależeć od regionu, ale mniej więcej tak to wygląda.

Wielu ludzi nie przywykło do tego, aby wyrażać siebie słowami. Dla mnie, pisarza, to już rodzaj przyzwyczajenia, więc jak ktoś mnie poprosi, to piszę esej na trzy strony o tym, co mnie motywowało, by pójść do wojska. Ale pół roku później, gdy zapytam w jednej kompanii o to samo moich pobratymców, zapytam ich jak „swój", bo także w mundurze, z zamiarem, aby zapisać to dosłownie, otrzymuję jednak bardzo krótkie odpowiedzi:

– Po prostu nie mogłem siedzieć tam, to znaczy za granicą. Czesi mi mówili, że Ukraina zostanie zmiażdżona w ciągu dwóch tygodniu. A kiedy im odpowiadałem, że wygramy, to pytali mnie, co jarałem.

– Jakbym dzieciom w oczy patrzył, gdybym nie poszedł? Jak potem w oczy patrzeć ludziom, dzieciom swoim? W kraju była wojna, a ja co robiłem?

Albo po prostu: – A bo nie miałem co robić – wzrusza taki ramionami i śmieje się z siebie (przy czym ten ostatni usilnie próbuje, aby przenieśli go z tyłu, gdzie teraz służy, na pierwszą linię frontu).

Jeszcze ktoś inny okłamał żonę, że niby idzie, bo dostał wezwanie z komisji wojskowej, a tak naprawdę wyrwał się sam. Ktoś może znalazł tutaj dla siebie jakiś sens, będąc daleko od rodzinnych problemów. Już w armii, ktoś próbuje wymigać się od obowiązkowego szczepienia, bo wierzy w teorie konspiracyjne. Ktoś nie może dogadać się ze swoim dowódcą. Ktoś może być na co dzień homofobem (przypomnijmy sobie, jakim terminem wojskowi przeważnie określają Rosjan). Ktoś nienawidzi państwa jako takiego i nie umie w ogóle wyjaśnić, co nim powodowało, ale idzie na front. Działa. Wszyscy ci ludzie działają, robią swoje.

I właśnie to przede wszystkim za ich plecami, za plecami tych wszystkich nie-intelektualistów, nie-artystów, lecz tych całkiem zwyczajnych, choć przecież na swój sposób zupełnie unikalnych osobowości, ludzi, którzy nie umieją publicznie wyrażać siebie – to na ich ramionach spoczywa dzisiaj przyszłość Ukrainy.

A możliwe, że również i przyszłość świata.

© ARTEM CZAPAJ

Przełożył PAWEŁ PIENIĄŻEK

Tekst pochodzi z antologii „Stan wojenny", opublikowanej w 2023 r. po ukraińsku i angielsku przez wydawnictwo Meridian Czernowitz.

ARCHIWUM PRYWATNE

Artem Czapaj, styczeń 2023 r.

Pacyfista z karabinem

PAWEŁ PIENIĄŻEK

Pisarz, zwolennik Gandhiego i jego idei „oporu bez przemocy", w lutym 2022 roku zgłosił się na ochotnika do wojska. Odtąd Artem Czapaj stara się pisać – gdy tylko może pisać – o doświadczeniach zwykłych żołnierzy.

To jeden z wielu takich posterunków drogowych, na którym zatrzymujesz się, pokazujesz dokumenty, a następnie liczysz, że przejedziesz szybko i bez zbędnych formalności czy problemów. Trzymanie takiego dość niewdzięcznego posterunku – to dzisiaj jedno z zadań Artema Czapaja, pisarza, tłumacza, dziennikarza, a od końca lutego 2022 r. także żołnierza.

Artem Czapaj to jego literacki pseudonim. Anton Wodjanij – tak brzmi jego prawdziwe imię i nazwisko – urodził się w 1981 r. w Kołomyi. Z akademii Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, na której studiował, odszedł po tym, jak w ostatnich dniach wieku XX wybuchły protesty przeciwko ówczesnemu prezydentowi Leonidowi Kuczmie. Wówczas ledwie dorosły, uznał, że znalazł się po niewłaściwej stronie barykady. Uważał siebie wtedy za rewolucjonistę, dopóki dekadę później nie zobaczył ciał zabitych uczestników antyrządowych protestów na kijowskim Majdanie. Wówczas zwrócił się w stronę Mahatmy Gandhiego i jego idei „oporu bez przemocy", a nawet przetłumaczył jego książkę. Mimo to trzy dni po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji na pełną skalę, gdy tylko wywiózł żonę i dwójkę dzieci z Kijowa, zgłosił się do armii na ochotnika.

– Moja decyzja była wymuszona. Rozumiałem, że jeśli nie pójdę, to będzie mi trudno spojrzeć w oczy, przede wszystkim samemu sobie – mówi mi dziś Artem Czapaj.

Jest autorem kilku książek reporterskich i beletrystycznych, które otrzymywały liczne nominacje, a także nagrody. Zazwyczaj dotyczyły kwestii społecznych na Ukrainie, takich jak imigracja, albo też obserwacji podczas podróży motocyklowych.

Najprawdopodobniej największą popularność przysporzyła Czapajowi książka „Batko w dekreti" („Tata na urlopie macierzyńskim"). Opisuje w niej, jak to on, a nie jego żona, wziął na siebie większą część obowiązków związanych z wychowywaniem dzieci. Wyjaśniał, że świadomie zrezygnował z męskiego przywileju, który dawało mu patriarchalne ukraińskie społeczeństwo.

To właśnie rozłąka z rodziną stała się dla Czapaja największym wyzwaniem, odkąd włożył mundur. Miał ogromne poczucie winy wobec żony, że pozostawił ją samą z dziećmi. A także wobec dzieci, że zniknął na bliżej nieokreślony czas.

– W pierwszych miesiącach w ogóle nie wiedziałem, czy jeszcze kiedyś ich zobaczę, bo nie było przecież jasne, jak wojna się potoczy i czy oni będą mogli znowu przyjechać – przyznaje dziś w rozmowie. – W tym okresie niemal codziennie płakałem, tęskniłem za dziećmi i śniłem o nich.

Odkąd rozpoczął służbę, widział się z rodziną tylko raz.

Od końca lutego 2022 r. Czapaj pisze tylko sporadycznie. Za to w swoich tekstach stara się zrozumieć tych, którzy od wojska się migają (sam przyznaje, że gdyby do ataku Rosji doszło wcześniej, gdy jego syn chorował, to mógłby być jedną z takich osób), a przede wszystkim skupia się na doświadczeniach zwykłych żołnierzy.

– W przyszłości chciałbym pisać właśnie o ludziach, na ramionach których spoczywa nasz świat – mówi „Tygodnikowi". – Nie wiemy, czy uda się obronić ten świat. Ale jeśli tak, będzie to właśnie ich zasługa. ©

Rosjanie pod Warszawą

FILIP RUDNIK

Od ponad pół roku emigranci polityczni z Rosji mogą tu znaleźć tymczasowe schronienie. Próbują odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Większość nie ma złudzeń, gdy idzie o przyszłość ich kraju.

JAKUB BODZIONY

Natalia z Jekaterynburga, podopieczna, oraz Aleksiej i Oleg, koordynatorzy polskiego „Kowczega". Przedmieścia Warszawy, marzec 2023 r.

To wszystko się dopiero zaczyna – mówi mi 36-letnia Rosjanka z Moskwy. Nazwijmy ją Sasza; prosiła, aby zmienić jej imię. Do Polski przyjechała parę dni temu, kolejnymi autobusami przez wszystkie trzy kraje bałtyckie.

Pytam ją o skalę emigracji z Rosji, którą przyspieszyła napaść na Ukrainę i wrześniowa mobilizacja. To wtedy, obawiając się o życie męża, Sasza wywiozła go do Finlandii i uchroniła przed poborem. Ich plany wyjazdu, kreślone od lat, zaczęły się w szybkim tempie urzeczywistniać.

– Ludzie wyjeżdżają teraz, bo potem być może nie będzie już jak – mówi Sasza.

Rozmawiamy w jednej z podwarszawskich miejscowości, gdzie Rosjanie wynajmują dom – schronisko dla tych, którzy uciekają z kraju z powodów politycznych. Przedsięwzięcie zorganizowali Aleksiej i Oleg, obaj z Niżnego Nowogrodu. Kiedyś politycy liberalnej partii Jabłoko, obecnie emigranci polityczni. Rosję opuścili jeszcze w marcu zeszłego roku, do Polski trafili na podstawie wizy humanitarnej.

– Być może największy szczyt gwałtownej liczby wyjazdów mamy już za sobą – dodaje Aleksiej, przysłuchujący się wspomnieniom Saszy. – Ludzie będą tak czy siak emigrować dopóty, dopóki nie zamkną granic.

Arka na czas potopu

Sasza jest podopieczną projektu Aleksieja i Olega, którzy w październiku 2022 r. otworzyli pod Warszawą polski „Kowczeg". Słowo to oznacza po rosyjsku arkę, stąd korespondujące z nazwą zadanie: zapewnienie tymczasowego schroniska dla politycznych emigrantów z Rosji. Kolejne oddziały istnieją w Turcji i Armenii.

Pomysłodawczynią sieci „Kowczeg" jest Anastazja Burakowa, rosyjska prawniczka i obrończyni praw człowieka – w przeszłości prezeska „Otwartej Rosji", liberalnej organizacji, rozwiązanej przez władze w 2021 r.

„Kowczeg" w Polsce jest jedyną odnogą sieci w Unii Europejskiej. Służy też jako punkt przerzutowy dla dostaw do Ukrainy – w garażu regularnie przechowują generatory i pomoc humanitarną przed dalszym transportem.

Od października przez schronisko przewinęło się ok. 150 osób. Nie tylko Rosjan – byli też Białorusini, Tadżycy, a nawet dwóch Ukraińców, którzy zanim przedostali się do Polski, w lutym zeszłego roku trafili do rosyjskiego więzienia dla migrantów.

Aleksiej i Oleg zapewniają uciekinierom okresowe schronienie. Aby zostać przyjętym, każdy musi wypełnić szczegółową ankietę dotyczącą przeszłej działalności i doświadczenia represji. Zdarzyło się, że niektórym trzeba było odmówić – po przejrzeniu profilów społecznościowych okazywało się, że kandydat np. o Ukraińcach pisał tam językiem kremlowskiej propagandy.

– Nasza idea jest taka, aby pomóc tym, którzy sprzeciwiają się wojnie, którzy działali przeciwko niej – zaznaczają koordynatorzy.

Trafiający do schroniska pochodzą z różnych części Rosji. Niektórzy przyjechali do Polski po wcześniejszym pobycie w Kazachstanie czy Armenii.

Ich wjazd do Unii Europejskiej umożliwiają konkretne dokumenty. Niektórzy posiadają Kartę Polaka (bądź starają się o nią), część otrzymuje wizę humanitarną dzięki wsparciu zarejestrowanych w Unii organizacji. Wielu traktuje Polskę jako państwo tranzytowe w dalszej drodze na Zachód.

Jesteśmy dla nich zdrajcami

Obecnie w podwarszawskim „Kowczegu" przebywa kilkanaście osób. Poza wspólnym mianownikiem – a więc szeroko pojętym zaangażowaniem w działalność antyreżimową i idącymi za tym prześladowaniami – nie łączy ich wiele. Oprócz Saszy rozmawiam z 50-letnią Natalią z Jekaterynburga oraz 30-latkiem z Moskwy (prosił o zmianę imienia – nazwijmy go Roma). Pytam ich o powody wyjazdu z Rosji.

ARTUR WIDAK / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Rosyjska diaspora, pod barwami antyrządowej opozycji, protestuje przeciwko agresji na Ukrainę. Kraków, luty 2022 r.

Prawie sześć lat temu Sasza wyszła na ulice Moskwy w proteście przeciwko planowi „renowacji" miasta. Był to kontrowersyjny program władz rosyjskiej stolicy mający na celu wyburzenie osiedli tzw. chruszczowek, bloków z lat 60. XX w., oraz wysiedlenie ich mieszkańców na peryferyjne blokowiska. Projekt miał przynieść zysk deweloperom i merowi Moskwy.

Sasza protestowała dwa razy. Wystarczyło, aby podczas zatrzymania policjanci uszkodzili jej żebra, a o wszystkim dowiedział się pracodawca, dyrektor państwowej instytucji o profilu kulturalnym. Saszy kazano napisać wypowiedzenie, strasząc „nieprzyjemnościami". Od tamtego momentu wiedziała, że prędzej czy później przyjdzie jej wyjechać z Rosji.

– Wcześniej nie interesowałam się polityką. I to był błąd – mówi dziś. – Na protesty już nie chodziłam, bałam się. Ale byłam aktywna w mediach społecznościowych, co było komentowane przez znajomych. Mówili, że zapłacę za moje poglądy. Teraz oboje z mężem jesteśmy dla nich zdrajcami.

Jakbym poszła po chleb

Za aktywność w internecie zapłacić musiała także Natalia z Jekaterynburga, pracująca na kolei. Policja zaczęła się nią interesować pod koniec sierpnia 2022 r., wzywała na przesłuchania. Pytano szczególnie o jej korzenie i rodzinę w Ukrainie.

– Nigdy nie ukrywałam moich poglądów – opowiada Natalia, wspominając, jak w Jekaterynburgu broniła z innymi mieszkańcami niewielkiego skweru w centrum miasta. Na miejscu tego parku władze chciały postawić cerkiew, co wywołało społeczny sprzeciw.

– Od jakiegoś czasu czułam zapach wojny – wspomina. – Jak wychodziłam przed dom wypić kawę, to widziałam, że torami jadą składy z czołgami. 24 lutego napisałam na swoim profilu krótki post: „Putin – paskuda".

Natalia jest etniczną Ukrainką, urodziła się w Czerniowcach. Jeszcze przed rozpadem Związku Sowieckiego została przeniesiona służbowo do Jekaterynburga jako pracownica kolei. Cała jej rodzina pozostała w Ukrainie, przez co często jeździła do krewnych w odwiedziny. Po aneksji Krymu spotykała się z jekaterynburskimi opozycjonistami – obrońcami praw człowieka, ekologami, działaczami oświatowymi. Kiedy ją wezwano na policję, śledczy dysponowali już materiałami na jej temat.

– Podczas przesłuchania pokazali mi posty mojego siostrzeńca z Ukrainy, który mieszkał u mnie przez 12 lat po tym, jak mu zmarła matka. W ostry sposób napisał, co myśli o Rosji – Natalia wspomina ostatnie przesłuchanie. – Powiedziałam, że nie muszę nawet tego czytać. Bo niby co miał napisać, jak dwa miesiące spędził w piwnicy, chroniąc się przed bombardowaniem? Chwała Putinowi?

Natalia opowiada, że w trakcie przesłuchania do policjantów przyszło dwóch mężczyzn, ubranych po cywilnemu, prawdopodobnie z FSB. Zrugali mundurowych i powiedzieli, że lepiej pokazać posty napisane przez Natalię, a nie jej siostrzeńca.

– Protokołu z przesłuchania nie dali mi sfotografować, kazali przyjść po niego w następnym tygodniu, w poniedziałek ↦

↦ – opowiada Natalia. – Adwokat ostrzegł mnie, że w ten poniedziałek już stamtąd nie wyjdę. Tego samego wieczoru wzięłam więc torbę i wyszłam z domu, jakbym poszła po chleb. Sąsiadom powiedziałam, że jadę do sanatorium.

Drogi do Polski

Procedura otrzymania pozwolenia na wjazd do Polski dla Rosjan nie jest łatwa – z moich rozmówców jedynie Saszy udało się dotrzeć do Polski niejako bezpośrednio, bez konieczności przebywania w kraju tranzytowym przez długi czas. To dzięki Karcie Polaka, która znacząco ułatwia proces ubiegania się o wizę.

Natalia po opuszczeniu Rosji przebywała w Kazachstanie, starając się najpierw o prawo wjazdu do Ukrainy. Nie dostała go, jak uzasadniono, ze względu na stan wojenny. W zdobyciu humanitarnej wizy do Polski pomogła jej Helsińska Fundacja Praw Człowieka.

To podobny przypadek jak u Aleksieja i Olega. Za nich poręczyła jedna z polskich instytucji kulturalno-oświatowych.

Inaczej było z Romą, który przed laty współpracował z polskimi instytucjami w Moskwie. W wydostaniu się z Rosji pomogły mu kontakty z polską służbą konsularną, które umożliwiły mu otrzymanie wizy humanitarnej. We wrześniu 2022 r. przedostał się do Białorusi, uznając, że przebywanie w Rosji mu zagraża. Dzień po wyjeździe szukali go ponoć funkcjonariusze po cywilnemu.

Wcześniej pracował jako dziennikarz i wykładowca na państwowym uniwersytecie. Jego praca magisterska, dotycząca rosyjskiej polityki zagranicznej, nie została obroniona ze względu na to, że władze uczelni uznały ją za szkodliwą. Wyjazd do Polski, jak mówi, „wyratował go".

Koordynatorzy „Kowczega" mówią, że polskie urzędy pomagają im w działalności, a kontakt z nimi przebiega bez przeszkód: – Współpracujemy z polskimi urzędnikami czy instytucjami kulturalnymi. Wspierają nas. Mówią, że demokratyzujący się sąsiad to same korzyści. Przede wszystkim dlatego, że wówczas nie będzie chciał na Polskę napadać.

Na pytania o finansowanie odpowiadają, że od polskich władz nic nie dostają. Środki na działalność schroniska pochodzą od prywatnych darczyńców i z grantów uzyskiwanych poza Polską.

Aby zostać przyjętym, każdy musi wypełnić ankietę.

Niektórym trzeba było odmówić, gdy okazywało się, że kandydat pisał w sieci językiem kremlowskiej propagandy.

Wystarczy zapłacić

Pytam, czy doświadczają niechęci ze strony Polaków albo czy w jakikolwiek sposób czują się tu zagrożeni (w rosyjskiej propagandzie stale można usłyszeć o „polskiej rusofobii"). Ich reakcją jest niezrozumienie samego pytania. Owszem, jechali tu z obawą, wyhodowaną przez lata utwierdzania w przekonaniu, że Polacy ich nienawidzą. Ten strach miał jedynie wielkie oczy.

– Polska wydaje nam wizy humanitarne. Sama rusofobia ma kolektywny charakter, Polacy są wrogo nastawieni do Rosji jako do państwa – mówi Aleksiej. – Na poziomie personalnym natomiast ludzie są nas ciekawi. Kiedy wiedzą, dlaczego tu jesteśmy, są pozytywnie nastawieni. Są świadomi różnicy między Putinem a rosyjską opozycją.

Opowiadają, że to wciąż dla nich miłe zaskoczenie. Jak mówią, polska rusofobia to głównie nienawiść do rosyjskiego imperializmu i biorąca się stąd ostrożność wobec osób z rosyjskim paszportem. Przy tym emigranci starają się być wyważeni, szczególnie w kontaktach z Ukraińcami – ich emocje są przecież zrozumiałe. Do tej pory jednak obyło się bez konfliktów.

– Nikt na dom nie napadł ani nie oblewał nas za kremlowskie pieniądze farbą – mówi Oleg. – Z takimi prowokacjami mieliśmy do czynienia w Rosji, przywykliśmy do tego.

Koordynatorzy zaznaczają, że schronisko ma tymczasowy charakter – nie tylko dla przyjmowanych emigrantów, ale również dla nich samych. Obaj wierzą, że Rosja ma przed sobą przyszłość, że Putin upadnie. W końcu kiedyś muszą mu się skończyć pieniądze, umożliwiające kontynuowanie agresji na Ukrainę.

– Kreml zgrywa po kolei wszystkie swoje karty – mówi Natalia. – Najpierw był patriotyzm, obrona ojczyzny. Potem „zeki", więźniowie z kolonii karnych, którzy walczą na froncie. Okazało się, że to nie wystarczy. Więc trzeba płacić.

Natalii chodzi o wysoki żołd wypłacany tym, którzy jadą zabijać Ukraińców. To teraz ok. 200 tys. rubli miesięcznie (równowartość ponad 12 tys. zł). Dla wielu Rosjan, szczególnie na prowincji, jest to suma, jakiej nigdy tam nie zarobią.

– Putin zrobił to samo z bliskimi marynarzy z „Kurska" – Natalia wspomina zatonięcie rosyjskiego atomowego okrętu podwodnego w sierpniu 2000 r., w początkach rządów Putina. Wraz z okrętem zginęła ponad setka marynarzy. – Krewnym ofiar wypłacił pieniądze i dał mieszkania. On wie, że wystarczy zapłacić, a ludzie zamkną mordę.

Co dalej z Rosją?

– Ci, którzy mają finansowy materac, wyjeżdżają z Rosji – mówi Sasza. – Nazywam to w ten sposób, bo tu trzeba całego materaca, a nie poduszki. Nie miałam go, dlatego mój wyjazd trwał tak długo i zwróciłam się o pomoc do „Kowczega".

Pytani o przyszłość Rosji, jedynie Aleksiej i Oleg prezentują wiarę, że ich kraj może się zmienić. Stąd zresztą ich działalność w Polsce: mająca jednoczyć Rosjan za granicą i tworzyć dla nich przestrzeń do swobodnej dyskusji o ich kraju. Wierzą, że przyniesie to owoce po upadku Putina. Reszta rozmówców widzi nadchodzące lata w ciemnych barwach. Podkreślają siłę propagandy, zwłaszcza w przypadku Rosjan z prowincji. Dopuszczają upadek reżimu, ale uważają, że to nie musi oznaczać pozytywnych zmian.

– Upadnie reżim i wrócą ci, którzy wyjechali – mówi Natalia. – A w kraju będą też ci, którzy pojechali na front i strzelali do Ukraińców. Oni będą oskarżać tych, co uciekli, o zdradę, o sprzedajność. „Ja za ciebie walczyłem, a ty gdzie byłeś?!", tak będą krzyczeć.

Sasza uważa, że za późno było już w 2017 r., gdy poszła pierwszy raz na protest.

– Przez ostatnie lata wypatrywałam jakichkolwiek zmian. Tymczasem wszystko tylko się pogarszało, dokręcali śrubę jeszcze mocniej – wylicza. – Po Putinie przyjdzie ktoś może jeszcze gorszy. W tej sytuacji nie pozostało mi nic innego, jak wyjechać, adaptować się tutaj. Gdybym nie wyjechała, być może to dla mnie byłoby już za późno.

© FILIP RUDNIK

ARCHIWUM PRYWATNE ISMAILA

Widok z Ceuty na Gibraltar, grudzień 2021 r.

Europejski sen Ismaila

PAULINA MAŚLONA Z HISZPANII

Nie czują się już stamtąd, skąd pochodzą. Ale nie są jeszcze stąd, z Hiszpanii. Nieletni imigranci mają szczęście, jeśli trafią na kogoś, kto będzie ich przewodnikiem po nowym świecie.

Mały Ismail wie, co to granica. To zza niej przyjeżdżają do Maroka biali turyści. Czasem ośmiolatek jedzie na targ z bratem sprzedawać im opakowania jednorazowych chusteczek. Za bratem nie przepada, nigdy się nie dogadywali, ale przepada za wycieczkami i obserwacją. Kiedy turyści sięgają po chusteczki, ogląda ich sobie z bliska, tych przybyszy ze świata, w którym podobno wszystkim jest z górki.

O świecie zza granicy można sobie pomarzyć, ale trzeba być naprawdę dzielnym, żeby wyciągnąć po niego rękę. Ismail nie czuje jednak, by miał jakiś wybór. Rozgląda się po swoim 80-tysięcznym Castillejos, miejscowości nad Morzem Śródziemnym, przy granicy z Ceutą – należącą do Hiszpanii enklawą w Afryce Północnej.

Kocha to miejsce, tu przecież wschodzi i zachodzi jego słońce. Ale myśli o mamie, która nie może liczyć na pomoc bliskich – rodzina Ismaila jest inna niż jego kolegów, nie rozrasta się na wujków, ciocie, kuzynów. Poza rodzeństwem i mamą nie ma nikogo.

Myśli też o innych dorosłych. Wie, że nie chce być żadnym z nich. Żaden scenariusz przyszłości, która mogłaby czekać na niego w Maroku, nie jest w stanie zatrzymać go w kraju. Wszystkie go przerażają. Jakby ktoś zgasił w życiu światło, pozbawił je kolorów. A jak żyć bez kolorów? Dlatego kilka lat później, już 16-letni, wyruszy w stronę portu.

Zęby i dłonie

Risky, jak wskazuje nazwa, wiąże się z ryzykiem – wie to każdy, kto próbował. A próbowało wielu. *Risky* przebiega tak: trzeba dostać się do portu w Ceucie, zbliżyć niezauważonym do kolejki ciężarówek, wybrać jedną, wejść pod spód i trzymać się ze wszystkich sił. Momentów, w których mogą cię znaleźć, jest wiele: gdy ciężarówka wjeżdża na prom, w trakcie długich godzin podróży, przy zjeżdżaniu na ląd. Ismail to szczęściarz, pierwsza próba z *risky* i od razu sukces.

W Hiszpanii powitanie jest zaskakujące: policja, odciski palców. „Podaj imiona: swoje, matki, ojca". Szczęście z przybycia do Europy przykrywa niepokój.

To pierwszy z wielu momentów, gdy czuje się jak przestępca. Obawia się, choć jeszcze nie wie, czego – bo o wszystkim, czego realnie może się bać, dowie się przecież później. O *devolución en caliente*, czyli automatycznym wypchnięciu z powrotem za granicę, teoretycznie nielegalnym, ale często praktykowanym także przez hiszpańskie służby.

Później dowie się o CIE, tymczasowym ośrodku dla dorosłych, do którego mógłby trafić, gdyby testy ustalające wiek wskazały, iż jest pełnoletni. Opcja możliwa, bo o byciu dzieckiem mówi nie on, lecz jego zęby i dłonie. Zdjęcia rentgenowskie to teraz cała prawda o Ismailu – choć, jak twierdzi UNHCR, margines błędu przy tych testach to cztery lata.

MENAs

Znowu szczęście. Trafia do *centro de menores*, ośrodka dla osób niepełnoletnich. Ten wprawdzie nie przypomina domu, ale zapewnia jedzenie i miejsce do spania. Ismail spędza tu dwa lata.

Najbardziej brakuje wsparcia kogoś, kto wskaże mu drogę. To wtedy poznaje przepis na totalne zagubienie. Najważniejszy składnik? – Bycie nastolatkiem – mówi mi dziś Ismail, już 23-letni. – Nic ↦

↦ nie miałem wyklarowanego, dopiero się konstruowałem, wiesz, jako człowiek. Dorzućmy do tego hiszpańską biurokrację, której nie rozumiesz, i ciągłe, nigdy nieopuszczające cię poczucie, że jesteś niemile widziany.

Do osiemnastki Ismail, jak wielu innych, przesiaduje w ośrodku. Choć w wielu centrach nie brakuje świetnych profesjonalistów, którzy oferują podopiecznym wsparcie, od kilku lat otwiera się coraz więcej prywatnych instytucji, nastawionych na przyjmowanie obcokrajowców. Te często nastawione są na ilość – za każdego podopiecznego dostają wsparcie od państwa.

Ismail: – Niektórzy znaleźli w tym sposób na biznes, bo każdy taki chłopak to sporo pieniędzy. Jakość opieki nie ma takiego znaczenia.

Nie tylko on widzi problem niektórych *centros*. Emilia Lozano, prezeska organizacji pozarządowej Somos Acogida, w styczniu 2022 r. opisuje dla magazynu „El Mundo" trudną sytuację w jednym z centrów z okolic Madrytu: podopieczni nie mogą mieć własnych ubrań, używać telefonów, za nieprzestrzeganie zasad są bici.

Na osoby takie jak Ismail – niepełnoletnich imigrantów, najczęściej z Maroka, którzy samodzielnie przekraczają granicę – mówi się w Hiszpanii „*menores extranjeros no acompañados*". W skrócie: MENAs.

Dzieci-niedzieci

Menores extranjeros budzą niejednoznaczne uczucia. Niektórzy nie chcą mieć ośrodków dla *menores* w bezpośrednim sąsiedztwie. To niby dzieci, ale czy na pewno? Wielu jest o krok od dorosłości. Jak na nich patrzeć? Jako na osoby wymagające systemowej opieki czy jako na zagrożenie? Tego typu obawy bezbłędnie wyczuwa hiszpańska skrajna prawica – karta młodego imigranta-najeźdźcy jest jej asem w rękawie, a skrót MENA w jej narracji synonimem młodocianego kryminalisty.

Przykładem kampanie wyborcze skrajnie prawicowej partii VOX. Jak ta z Madrytu z 2021 r., gdy VOX rozwiesił plakaty z zakapturzonym chłopakiem podpisanym „MENA". Jego oczy rozpikselowano – tak w telewizji anonimizuje się twarze przestępców. Plakat sugeruje, że państwo wydaje tysiące euro miesięcznie na niebezpiecznych imigrantów zamiast na osoby starsze – obok chłopaka na plakacie widniała zatroskana staruszka.

ARCHIWUM PRYWATNE ISMAILA

Płot odgraniczający Maroko od hiszpańskiej enklawy przy porcie handlowym w Ceucie, grudzień 2021 r.

„Inwazja MENAs to wynik konsensusu progresywnych polityków, dziennikarzy i ludzi trzymających władzę, którzy jednocześnie demonizują nas za jej potępianie – pisał na Twitterze lider VOX Santiago Abascal wiosną 2022 r. – Problem w tym, że za skutki tego nie płacą winowajcy, lecz wszyscy Hiszpanie, ruiną i brakiem bezpieczeństwa".

Abascal nie rozwija skrótu MENAs. Oznaczałoby to wypowiedzenie słowa „*menores*", niepełnoletni. Przypomniałoby, że chodzi o dziecko, chronione hiszpańskim prawem.

O „dziecięcość" tej grupy upominają się organizacje pozarządowe. W odpowiedzi na rozpowszechnianie w mediach społecznościowych treści mówiących o „niebezpiecznych gangach MENAs" dwustu profesorów uniwersyteckich podpisuje list przeciw kryminalizacji małoletnich imigrantów. Kryminolożka Elena García España, pomysłodawczyni listu, w magazynie internetowym Eldiario.es krytykuje „komunikaty medialne skierowane przeciw »*menores*«", które „przyczyniają się do tworzenia stanu wrogości", i prosi, by „uznać przede wszystkim, że są to dzieci znajdujące się w sytuacji zagrożenia, które w żadnym wypadku same zagrożenia nie stanowią".

Jak to jest z przestępczością

MENAs i ciągnąca się za nimi reputacja przydają się jednak czasem politykom. Choćby wtedy, gdy dziennikarz napiera, by wyjaśnić do mikrofonu, skąd bierze się rosnącą w regionie przestępczość.

Przekonał się o tym burmistrz Pampeluny, Enrique Maya, który w styczniu 2022 r. tłumaczył, że to *menores migrantes* odpowiadają za problemy z bezpieczeństwem w mieście. Dane prokuratury wykazały jednak, że nieletni obcokrajowcy popełniają w tym regionie mniej niż jeden procent przestępstw. Z kolei w Katalonii, gdzie przy wielu okazjach też wskazywano na winę *menores migrantes*, statystyka podawana przez platformę Newtral (za Uniwersytetem w Gironie) mówi, że 93 proc. nieletnich migrantów, którzy przybyli samotnie z Afryki Północnej do Katalonii, nie ma na koncie żadnego wykroczenia.

Nie znaczy to, że *menores* nigdy nie stwarzają problemów – ci z nich, którzy mają zatarg z prawem, najczęściej dopuszczają się kradzieży, bywa że z użyciem przemocy. Według INE (Narodowy Instytut Statystyczny) ze wszystkich osób nieletnich, które zostały skazane w hiszpańskich sądach w 2021 r., ponad 20 proc. miało inną niż hiszpańska narodowość, a 12 proc. pochodziło z któregoś z krajów afrykańskich (nie wiadomo, ile z tych osób to *menores no acompañados* – nastolatkowie, którzy samodzielnie przekroczyli granicę na południu – ani jaka jest historia ich pojawienia się w kraju).

Wspomniana Elena García España utrzymuje w swoich badaniach, że błędem byłoby skupianie się na kraju pochodzenia nastolatków jako zmiennej, kiedy do przestępstw według niej pcha *menores* nie sam fakt bycia imigrantem, ale związana z tym statusem sytuacja społeczno-ekonomiczna.

– Tak jak i ja byłem, inni *menores* też są połamani. Drogą, zagubieniem, czasem

spędzonym na ulicy – uważa Ismail. – Ich trzeba pomalutku poskładać od nowa, niektórych rzeczy nauczyć od zera. Jeśli chcemy, żeby te dzieciaki były częścią społeczeństwa, potrzebujemy planu, specjalistów, dobrze działającej infrastruktury.

Dwie perspektywy

Antropolożka Elisa Floristán Millán od kilku lat spotyka młodych imigrantów w podróży. Od nastolatków, włóczących się po ulicach Ceuty w oczekiwaniu na kolejną próbę *risky*, słucha o nadziejach i lękach związanych z ich europejskim snem.

– Mam wrażenie, że w publicznych mediach istnieją tylko dwa pomysły na opowiedzenie tej historii – mówi mi Elisa. – Pierwszy to perspektywa kryminalizująca, pokazująca młodych Marokańczyków jako osoby, które przyjeżdżają do Europy, by popełniać przestępstwa. Fałszywość i szkodliwość takiej interpretacji jest oczywista. Z drugiej strony mamy opowieść o pozbawionych opieki, porzuconych przez rodziny dzieciach. Choć rozumiem, że takie przedstawienie *menores* może wzbudzić tak potrzebną im empatię, to jednak również ta perspektywa nie ma wiele wspólnego z prawdą.

Elisa przekonuje, że ci nastoletni chłopcy w większości nie czują, iż w swojej podróży są sami. Utrzymują kontakt z rodzinami, które dają im wsparcie. Choć reakcje rodziców na opuszczenie domu, często zaplanowane w sekrecie, są różne: od nagany, przez szok i niedowierzanie, po dumę.

O dumie dużo mówi mi Ismail. – W domu mamy takie słowo „*harraga*". Opisuje tych, którym udało się dotrzeć do Europy. To imię bohaterów, kojarzy się z heroizmem. Z kimś, kto zdecydował się na krok, na który większość nie ma odwagi.

Gdzie mijasz się z Messim

Może dlatego młodzi imigranci chętnie ślą bliskim zdjęcia i wiadomości: aby pokazać, jak świetnie sobie radzą. Podtrzymywanie tej fantazji to jedyna droga, by nie załamać się pod poczuciem porażki. „W kraju pochodzenia słyszą, że tu jest praca dla każdego, że na ulicy mijasz się z Messim, że to kraina możliwości" – tłumaczył w 2019 r. psycholog Joaquim Corral w dzienniku „El Periódico". Do stresu

PAULINA MAŚLONA

Ismail, styczeń 2022 r.

związanego z ryzykowną podróżą dochodzi więc rozczarowanie. Wszak Europa miała być miejscem, w którym można coś osiągnąć.

– Europa utrzymuje, że strzeże praw człowieka, wolności, dobrobytu, że można tu godnie i legalnie pracować – wymienia Ismail. – I to wszystko prawda. Jednak błędem, który popełniliśmy, było myślenie, że też możemy być częścią tego świata. Że on jest też dla nas.

Menores wiedzą, że gdy skończą 18 lat, skończy się też opieka w centrach. A ich paroletni pobyt w nich na nic się nie przełoży: do niedawna nie dostawali np. pozwolenia na pracę. Aby je uzyskać, najpierw musieli znaleźć pracodawcę, który zaoferuje im umowę, a po mniej więcej roku wykazać, że zarabiają co najmniej 2 tys. euro miesięcznie – warunek nie do osiągnięcia dla wielu Hiszpanów z wyższym wykształceniem.

Uciekający po Europie

Kończy się na tym, że część *menores*, teraz już jako dorośli, znów szuka kąta do spania na ulicy. „Dlatego wielu znajduje ucieczkę w narkotykach. To sposób, by zapomnieć, że rzeczywistość w niczym nie przypomina tego, czego oczekiwali" – mówił Corral. Niektórzy, jeszcze przebywając w *centros*, biorą sprawy w swoje ręce. Opuszczają ośrodki, by wyjechać dalej, może do Francji, a może do innego *centro*, o którym słyszeli, że są tam lepsze warunki.

– To prawda, że uciekają. Często dlatego, że czują się jak intruzi – uważa Elisa Floristán Millán.

Opiekunowie centrów są do mobilności nastolatków przyzwyczajeni. Elisa: – Gdy taka osoba znika, często nawet się tego nie zgłasza. Kilka miesięcy temu w Galdácano, w Kraju Basków, w rzece znaleziono ciało nastolatka. Nikt go wcześniej nie szukał. Założono, że uciekł do Francji.

Menores migrantes znikają z dnia na dzień, i to w całej Europie. Według dziennikarzy stojących za projektem „Lost in Europe" („Zagubieni w Europie") mowa nawet o 18 tys. nieletnich imigrantów w latach 2018-20. To siedemnaścioro dzieci dziennie. Część może wyjechała do rodziny żyjącej gdzieś w Europie, znalazła swoje miejsce. Reszta mogła nie mieć szczęścia i trafić w ręce handlarzy ludźmi lub gangów narkotykowych.

Coś się zmienia

Do niedawna, gdy *menores* kończyli 18 lat, system o nich zapominał. W 2020 r. okazało się, że są Hiszpanii niezbędni: gdy w pogrążonym w pandemii kraju brakowało siły roboczej, rząd przyjął dekret umożliwiający dawnym wychowankom ośrodków pracę w polu. Od stycznia 2022 r. *menores* mogą wejść na rynek pracy już po ukończeniu 16. roku życia. Nowe prawo, które nie zawiera niemożliwych warunków, zmieniło rzeczywistość młodych imigrantów. „W końcu mogę myśleć o przyszłości" – mówi w magazynie „El Público" 20-letni Solayman. Część wypłaty – to słowo dla Solaymana nowe – co miesiąc wysyła matce do Maroka.

Ismail od kilku lat współtworzy organizację pozarządową. Tłumaczy Hiszpanom, co znaczy być nieletnim imigrantem, a także wspiera dzieci z podobnymi do jego historiami. Pomaga w formalnościach, w zrozumieniu swoich praw i ograniczeń w nowym świecie. Objaśnia różnice kulturowe. Doradza, jak nie wpaść w kłopoty. Jest przewodnikiem po nowej rzeczywistości. W tej organizacji *menores* mogą znaleźć to, czego jemu kiedyś brakowało. Mówią o sobie *exmenas* – żeby odczarować pejoratywnie brzmiący skrót.

Myśląc o przyszłości, Ismail zastanawia się nad studiami. Nie przewiduje powrotu do domu. Choć czasem tam jeździ, odwiedza rodzinę. Tęskni. Nie czuje się już do końca stamtąd i jeszcze nie do końca stąd.

© PAULINA MAŚLONA

Smutne święto Pesach

OFER ADERET Z TEL AWIWU

Sytuacja Izraela stała się bardzo delikatna: działania premiera Netanjahu doprowadziły do kryzysu w relacjach z USA, naszym głównym sojusznikiem.

75 LAT TEMU, W CHWILI NARODZENIA państwa Izrael, zaprzepaszczono szczególną okazję do wzmocnienia młodej demokracji. Pod wpływem pierwszego premiera Ben Guriona zrezygnowano w ogóle z konstytucji, wokół wartości której mogliby zjednoczyć się ci, którzy ten młody kraj tworzyli: ludzie pochodzący z różnych środowisk społecznych, kulturowych, z różnych krajów.

Gdy piszę te słowa, reprezentanci koalicji rządzącej i opozycji siedzą w rezydencji prezydenta w Jerozolimie i próbują ten błąd naprawić, tworząc porozumienie, które ma stworzyć podwaliny pod przyszłą konstytucję, a na ten moment być jej erzacem. Robią to, zmuszeni przez największy kryzys w historii Izraela, który wybuchł w ostatnich miesiącach po tym, jak prawicowy nacjonalistyczny rząd Netanjahu spróbował przeprowadzić zamach stanu. Nie przesadzam: częścią składową jego działań jest próba wprowadzenia serii antydemokratycznych ustaw, które mogą zagrozić niezawisłości Sądu Najwyższego i zalegalizować antydemokratyczne i korupcyjne zachowania polityków, na czele z samym Netanjahu, wobec którego toczy się proces korupcyjny.

14 MAJA 1948 ROKU w deklaracji niepodległości zapisano, że powołane zgromadzenie w ciągu kilku miesięcy stworzy konstytucję. Ben Gurion, z początku orędownik tego planu, szybko pojął, że tworzenie konstytucji to długi proces, który nie licuje z potrzebą chwili: szybkim uregulowaniem najważniejszych wyzwań stojących przed młodym krajem, jak tworzenie armii. „Nie mamy na to teraz czasu" – mówił. „To niełatwe: walczyć na wojnie, budować kraj i przywozić nowych imigrantów. Teraz musimy pracować szybko" – twierdził, deklarując, że Izraelczycy zajmą się konstytucją później.

O IRONIO, partia Herut, która była wówczas przeciwna Ben Gurionowi i parła do utworzenia konstytucji, to „matka" rządzącego dziś Likudu, który sprzeciwia się utworzeniu konstytucji i zachowuje się niedemokratycznie. Menachem Begin, przewodzący wtedy Herutowi, był zupełnie inny niż Netanjahu: prawicowiec dbający o zachowanie zasad demokracji, liberalizmu i progresywnych wartości, m.in. gwarancji praw mniejszości. Netanjahu idzie w przeciwnym kierunku.

W 1950 r. w Knesecie zawarto kompromis: miał on powoli pracować nad treścią ustawy zasadniczej, której części miały stać się później elementami konstytucji. Ale Kneset nie ustalił daty ukończenia tych prac. W efekcie mamy dziś 13 aktów prawnych, które się od siebie różnią i nie reprezentują tych samych wartości, bo były tworzone na przestrzeni lat przez różne składy Knesetu. Np. ostatni taki akt, uchwalony w 2018 r., który mówi, iż Izrael jest krajem narodu żydowskiego. Zewsząd spłynęła nań wówczas krytyka.

PRAWICOWI AKTYWIŚCI fizycznie konfrontują się dziś z lewicowymi aktywistami i dziennikarzami podczas ulicznych protestów po tym, jak premier i jego partia karmią ich fake newsami w prorządowym Kanale 14 izraelskiej telewizji.

Beniamin Netanjahu, marzec 2023 r.

ANNEGRET HILSE / REUTERS / FORUM

Czy konstytucja mogłaby uchronić nasz kraj przed tym okropnym upadkiem, którego dziś doświadcza? Trudno powiedzieć. Z jednej strony – tak, bo gdy nie ma konstytucji, to głównym bastionem demokracji jest tylko Sąd Najwyższy, a ten zgodnie z „reformą" Netanjahu ma teraz podlegać wpływom polityki. Z drugiej strony polski przykład pokazuje, że konstytucja może nie być gwarantem demokracji, jeśli rząd zdecyduje o przejęciu kontroli nad Sądem Konstytucyjnym i kształtowaniu go według swojej wizji.

Co teraz? Izraelczycy przygotowują się do święta Pesach, najważniejszego w żydowskim kalendarzu. Po hebrajsku jest zwane też „świętem wolności", bo oddaje moment wyjścia Izraelitów z Egiptu dzięki pomocy Boga. Teraz znów czujemy, że nasza wolność jest zagrożona. W powietrzu czuć napięcie. Panuje strach, że negocjacje w rezydencji prezydenta nic nie dadzą, że Netanjahu będzie je przeciągał, by kupić czas i lepiej przygotować się do kolejnego ataku na demokrację po świętach.

SYTUACJA RZĄDU I KRAJU jest w tych dniach bardzo delikatna. Działania premiera doprowadziły do wielkiego kryzysu w relacjach z USA, głównym sojusznikiem Izraela. Prezydent Biden stracił do niego zaufanie, premier nie jest mile widziany w Waszyngtonie. Być może docierają tam obrazki z izraelskich ulic, na których na transparentach zwolenników premiera widać hasło „F*** Biden".

Głównym celem Netanjahu, jak sam mówił, było powstrzymanie Iranu przed zbudowaniem potencjału nuklearnego. Dziś Iran jest bliżej utworzenia bomby niż kiedykolwiek. Kto ocali Izraelczyków, gdy ten czas nadejdzie, a my będziemy pozbawieni przyjaciół? Przecież nawet izraelscy piloci wojskowi deklarują, że nie będą służyć dyktaturze.

Prawda jest taka, że nie tylko składający się z prawicowców, ultraortodoksów i osadników rząd Netanjahu zależy dziś od interwencji z nieba, lecz my wszyscy. W tej trudnej sytuacji – niech Bóg będzie z nami. © Przeł. KPA

AUTOR *jest reporterem historycznym dziennika „Haaretz". Właśnie ukazała się jego książka „Naszych siedem legend" o bohaterach narodowych Izraela.*

WOJCIECH

Bonowicz:
W poprzek

Na szczęście jeszcze nas trochę zostało. Żyjących w poprzek. Czyli takich, co to wiedząc mniej więcej, gdzie przynależą, nie ulegają całkowicie myśleniu plemiennemu. Niezrywających kontaktów z tymi, którzy widzą świat inaczej, inne gazety czytają, na inne partie oddają głos w wyborach. Krytycznych, ale nie ostrych. Gotowych bronić tego, co dla nas ważne, ale nie za cenę pognębienia kogokolwiek. Na radykałów różnej maści patrzących z nieufnością, politowaniem, czasem z lękiem. Ceniących sobie „tak, ale", a nie tylko „albo, albo".

Pierwsze wrażenie jest takie, że podzieleni jesteśmy – jak to trafnie określił w ostatnim „Tygodniku" Marek Kęskrawiec – na dwa „podspołeczeństwa", niekomunikujące się ze sobą. Ale czy również niewspółpracujące? Niewspółżyjące? Przy różnych okazjach wpadamy na siebie, korzystamy wzajemnie ze swoich usług, jedni drugich zmuszeni jesteśmy prosić o pomoc. Ludziom karmiącym się na co dzień odmiennymi wizjami świata na pewno trudniej usiąść przy jednym stole. Jeśli los ich tak usadzi, powiedzmy, na weselu, będą cierpieć albo się pokłócą. Ci żyjący bardziej w poprzek będą natomiast uparcie szukali tematów, co do których można się będzie porozumieć. A nawet jeśli wybuchnie spór, zrobią wszystko, by nie doszło do eskalacji, uchylą się przed ciosem, wyciągną rękę na zgodę. Nie muszą się przy tym ugiąć, wyprzeć tego, w co wierzą. Wystarczy, że odrobinę się nagną, powstrzymają przed użyciem mocniejszego słowa, powściągną ambicję zatriumfowania nad mniej rozgarniętym interlokutorem.

Większość z nas lubi mieć rację – i w tym nie ma nic dziwnego. Wielu chce uchodzić za dobrze poinformowanych, znających życie, takich, co to nie dadzą się wodzić za nos. Taki obraz samego siebie daje nam poczucie bezpieczeństwa, panowania nad rzeczywistością. Życie w poprzek oznacza, że w jakimś stopniu z tego poczucia bezpieczeństwa rezygnujemy. Że nie musimy panować, kontrolować. Że, owszem, chcemy mieć rację, ale nie musi to być racja stuprocentowa. To nie jest przejaw słabości, tylko realizm: rzeczywistość jest różnorodna i choćby z tego powodu nie sposób nad nią zapanować. Nie da się jej też ogarnąć, patrząc tylko z jednego punktu widzenia.

Życie w poprzek oznacza kłopoty. Bo jak się przynależy, ale nie „za bardzo", to tych „bardzo" przynależących taki sposób życia denerwuje. No ale kiedy żyje się w poprzek, przynależy się w istocie do czegoś, co jest głębiej niż wszelkie różnice. I nie chce się tej głębszej przynależności, głębszego związania, poświęcać dla czegoś, co w sumie doraźne, okolicznościowe, dziś takie, jutro inne.

Najgorzej jest wtedy, kiedy społeczne podziały uderzają właśnie w to, co głębokie. I kiedy w walce o władzę świadomie sięga się w głąb, żeby tę delikatną więź naruszyć. To, co nazywamy kryzysem wzajemnego zaufania, ma swoje źródło właśnie w takich działaniach. Odmówić drugiemu prawa do istnienia – nikt tego wprost tak nie nazwie, ale sposób, w jaki się drugiego opisze, w praktyce będzie równoznaczny z taką właśnie odmową. Jesteś tak bardzo „nie nasz", że najlepiej, by w ogóle cię nie było. Zniknij, samo twoje istnienie jest dla nas obelgą. Uważasz, że zasługujesz na szacunek? Przez to, jaki jesteś, sam pozbawiłeś się prawa do niego. Tak nakręca się spirala niechęci, a właściwie – nienawiści.

Życie w poprzek to rzucenie wyzwania tej spirali, próba zablokowania tego samonakręcającego się mechanizmu. Bynajmniej nie bezradna. Gdyby nie było takich prób, w życiu społecznym urzeczywistniłby się straszny sen o wojnie wszystkich ze wszystkimi. A tak – choć straty są duże – jest jeszcze coś do uratowania. Ba, nawet całkiem sporo. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

Pobudka z Tygodnikiem

CODZIENNIE NAJLEPSZE TEKSTY

Pobudka z Tygodnikiem to nowy newsletter „Tygodnika Powszechnego". Codziennie rano, od poniedziałku do piątku, wysyłamy wiadomość o kilku najlepszych tekstach dnia oraz autorskie rekomendacje czytelnicze redaktorów „Tygodnika".

Zapisz się pod adresem **powszech.net/pobudka** i bądź na bieżąco z tym, co najlepsze na TygodnikPowszechny.pl

zapisz się!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REPORTAŻ

BEZ ŚWIATŁA

W Republice Południowej Afryki zabrakło prądu. Najbogatsze państwo na kontynencie żyje według kalendarza przerw w poborze mocy.

WOJCIECH JAGIELSKI i ALEXIO RASHIRAI

Z MUSINY (RPA)

Kiedy w skrzynce e-mail znajduje kolejny komunikat o tym, komu i kiedy zostanie wyłączony prąd, Lisa wraca pamięcią do czasów młodości.

Była wtedy Elką, dwudziestolatką o czarnych jak smoła włosach, która wkraczała dopiero w dorosłość. Miała nieposkromiony apetyt na życie i niezachwianą wiarę, że będzie ono ważne, wyjątkowe i barwne.

Ale Polska, w której wtedy mieszkała, przeżywała trudny, raczej smutno-szary czas. Gospodarka wpadła w kolejną zapaść, kraj unieruchomiła zima stulecia. To wtedy władze zaczęły wyłączać prąd. Jego deficyt odmierzano „stopniami zasilania". Potem miało być tylko jeszcze gorzej: puste sklepy, strajki, stan wojenny. I wieczne kolejki po wszystko.

NIE DLA WSZYSTKICH RAJ | Dziś wspomina tamten czas – przełom lat 70. i 80. XX w. – już jako Lisa, mieszkanka południowoafrykańskiej Pretorii.

– O wszystko trzeba się było użerać, nic nie działało jak trzeba – mówi. – Któregoś dnia, stojąc w kolejce na poczcie, żeby zapłacić rachunki, obliczyłam, że jedną trzecią życia spędzę na spaniu – bo nie da się nie spać – oraz czekaniu na swoją kolej na poczcie, w sklepie, po mieszkanie, po życie. Postanowiłam wyjechać i przeżyć to życie gdzie indziej.

Przyjaciele Elki wybierali się akurat do Niemiec. Spodobało jej się tam, ale przyjaciele, a wraz z nimi ona, postanowili poszukać szczęścia jeszcze dalej – w Republice Południowej Afryki.

SIPHIWE SIBEKO / REUTERS / FORUM

– Mówili, że to raj na ziemi – opowiada Lisa. – Minęło trochę czasu, zanim odkryłam, że ten raj był tylko dla białych, a czarni mieli na nich pracować. Słyszałam, rzecz jasna, o apartheidzie, ale ci czarni, których spotykałam w pracy, nie wyglądali na niezadowolonych. Byli mili, cali w uśmiechach. Po pracy wracali do swoich osiedli pod miastem. Nie jeździło się tam, więc nie miałam pojęcia, że nie było tam prądu. Teraz to oni tu rządzą – a prądu nie ma nikt.

Na początku 2023 r. w tym dawnym „białym raju" porządek dnia regulują ogłaszane przez władze stopnie „zdejmowania obciążeń". Stopień pierwszy oznacza, że prąd wyłączany jest na dwie i pół godziny, zwykle w nocy. Drugi – że na kolejne dwie i pół godziny, także w ciągu dnia. Przy stopniach piątym i szóstym trzy przerwy w zasilaniu – nocą, rano i po południu – trwają łącznie już dziewięć i pół godziny. A przy siódmym i ósmym, którymi już straszą władze, prąd ma być włączany tylko o świcie (między 4.30 a 8), w południe (między 12.30 a 16), oraz w nocy (od pół do dziewiątej do północy).

Państwowy koncern energetyczny Eskom jeszcze przed Bożym Narodzeniem ogłosił, że w najbliższych miesiącach będzie w stanie zapewnić obywatelom zaledwie połowę potrzebnego do życia prądu. Przerwy w dostawach mogą trwać co najmniej dwa lata.

Lisa: – W tym roku nie było dnia bez wyłączania prądu, i to na długie godziny. A kiedy przyjechałam, niewyobrażalna była sama myśl, że może w tym kraju czegokolwiek zabraknąć.

NIE DLA WSZYSTKICH PRĄD | Stuletni już koncern Eskom, zaopatrujący RPA w prąd, uchodził w Afryce – i nie tylko – za przykład niedoścignionej doskonałości.

Zapewniał tanią, niemal darmową energię (nadwyżki sprzedawał sąsiadom), wytwarzaną przez tuzin elektrowni węglowych (w RPA znajdują się jedne z najbogatszych na świecie złóż węgla kamiennego). Oświetlał i ogrzewał jednak głównie domy białych, nielicznej, uprzywilejowanej elity. Czarni, którym biali wyznaczyli rolę siły roboczej, mieszkali na obrzeżach miast, w ubogich osiedlach, pozbawionych często nie tylko prądu, ale także bieżącej wody. W takich warunkach jeszcze w latach 90. XX w. żyły trzy czwarte czarnoskórych mieszkańców 45-milionowej wówczas RPA (dziś ludność kraju liczy już ponad 60 mln). ↦

Nielegalne podłączenia do prądu z sieci Eskom na przedmieściach Soweto. 18 stycznia 2022 r.

↦ Po upadku apartheidu i wyborach w 1994 r., pierwszych, w których głos czarnych liczył się tak samo jak białych, władzę przejął Nelson Mandela i jego Afrykański Kongres Narodowy (AKN). Obiecał czarnym wolność i godność, ale także dach nad głową, reformę rolną, pracę, oświatę, opiekę lekarską. I elektryfikację.

Minęło ponad ćwierć wieku i niektóre obietnice wciąż pozostają niespełnione. Tylko prąd doprowadzono wszędzie. Zadanie to okazało się jednak ponad siły elektrociepłowni, które podłączając do sieci miliony nowych odbiorców, przestały nadążać z wytwarzaniem energii. Jeszcze w epoce apartheidu Eskom zaniedbał remonty – międzynarodowe sankcje sprawiły, że liczono każdy grosz. Mandela i jego towarzysze nie docenili powagi sytuacji, choć fachowcy ostrzegali ich, że prądu w końcu musi zabraknąć. Ale nowi przywódcy byli przekonani, że przed nimi są sprawy pilniejsze i ważniejsze niż to, żeby w domach było światło, a z kranów płynęła woda.

Mandela rządził tylko przez jedną kadencję (1994-99) i troszczył się przede wszystkim o utrzymanie kraju w całości (o własnym, odrębnym państwie myśleli Zulusi, a Afrykanerzy chcieli wskrzesić dawne republiki burskie) i pokoju. Jego następca Thabo Mbeki swoje dwie kadencje (1999-2008) poświęcił tworzeniu zamożnej, czarnej klasy średniej, która miała być fundamentem stabilizacji kraju.

A kiedy w 2009 r. nastał trzeci prezydent, Jacob Zuma, dawni bojownicy o wolność zapomnieli o starych ideałach i zaczęli myśleć wyłącznie o sobie. Wydali kraj na pastwę korupcji i prywaty. Gospodarka i instytucje państwa zostały zawłaszczone przez sprzedajnych polityków i sprzymierzone z nimi przestępcze szajki. Sprawy przybrały tak niebezpieczny obrót, że partyjni towarzysze Zumy doszli do wniosku, iż pod jego przywództwem przegrają w końcu wybory. Pozbyli się go więc, a na jego miejsce, w 2018 r., wynieśli szanowanego Cyrila Ramaphosę.

Miał naprawić to, co popsuł Zuma. A przede wszystkim – utrzymać się, razem z nimi, u władzy.

FILIŻANKA Z TRUCIZNĄ | Pod koniec 2019 r. zadanie zaprowadzenia porządku w koncernie Eskom Ramaphosa powierzył André De Ruyterowi. Towarzysze prezydenta kręcili nosami, że dyrektorem firmy, trzynastym w ciągu dziesięciu lat, został biały, Afrykaner. Byli nieufni, gdy kazał sobie obniżyć zarobki, ponieważ, jak tłumaczył, podjął się tej pracy z poczucia patriotyzmu. Zatrzęśli się z oburzenia, gdy zaczął grzebać w księgach rachunkowych i wyrzucać z pracy skorumpowanych urzędników.

Koncern zaopatrujący kraj w prąd został opanowany przez przestępcze kartele, powiązane z rządzącą partią. Kradną pieniądze, węgiel, a nawet miedziane druty na przewody dla sieci energetycznych.

W grudniu 2022 r., tuż przed Bożym Narodzeniem (w RPA wypada ono w środku lata), De Ruyter ogłosił niespodziewanie, że się poddaje i odchodzi z pracy. Powiedział, że nie mogąc się doprosić wsparcia u rządzących, nie zaprowadzi porządku w stajni Augiasza, jaką stał się Eskom. Kilka tygodni temu w wywiadzie telewizyjnym stwierdził zaś, że koncern – podobnie jak koleje, linie lotnicze czy poczta – został opanowany przez przestępcze kartele, powiązane z notablami z rządzącej partii. Kradną firmowe pieniądze, węgiel, olej napędowy, a nawet miedziane druty na przewody dla sieci energetycznych, przechwytują rządowe kontrakty, zawyżają ich wartość, a większość pozostaje wyłącznie na papierze.

To dlatego – mówił De Ruyter – dwie nowe, wybudowane za miliardy dolarów, największe na świecie elektrownie węglowe, które miały ulżyć energetyce, oddano do użytku z wieloletnim opóźnieniem, a ledwie ruszyły, zaraz zaczęły się psuć. De Ruyter oskarżył kartele o sabotaż – miały niszczyć energetyczną infrastrukturę po to, by dostać kolejny rządowy kontrakt na ich naprawę.

Uznał, że przestępcze kartele pochodzą z prowincji Mpumalanga, dawnego Transwalu, węglowego zagłębia kraju. Za króla Mpumalangi uchodził David Mabuza, od lat podejrzewany o korupcję i szemrane interesy. W 2018 r. Mabuza pomógł Ramaphosie wygrać walkę o prezydenturę, a w podzięce otrzymał posadę wiceprezydenta. Pod koniec roku, po głośnej dymisji De Ruytera, Mabuza nieoczekiwanie ustąpił ze stanowiska. „Złodziejstwo przeżarło Eskom do szpiku kości. Politycy i policjanci są w zmowie ze złoczyńcami – obwieścił w telewizji De Ruyter. – Mówiłem o tym ministrom i doradcom prezydenta, ale wszystko jak grochem o ścianę".

Kilka godzin po złożeniu dymisji De Ruyter zasłabł w biurze Eskomu w Johannesburgu. W szpitalu lekarze znaleźli w jego krwi ślady cyjanku, którym ktoś zaprawił mu poranną kawę.

STAN NADZWYCZAJNIE WYJĄTKOWY | W marcu działacze AKN i ministrowie podali De Ruytera do sądu. Oskarżyli go, że doprowadził do kryzysu energetycznego, żeby obalić rząd. A także o to, że zamiast zająć się remontami elektrowni węglowych, dał sobie zawrócić w głowie „zieloną energetyką", zachwalaną przez bogatych liberałów z Zachodu.

Żaden inny kraj świata nie jest tak bardzo zależny od energetyki węglowej – w RPA aż trzy czwarte prądu pochodzi z elektrociepłowni. Naczelnym wrogiem „zielonej energetyki" jest Gwede Mantashe, minister energetyki i górnictwa, jeden z najważniejszych polityków kraju. Broni jak lew monopolu Eskomu, utrąca pomysły budowy elektrowni atomowych, farm wiatrakowych i słonecznych.

W grudniu 2022 r. Ramaphosa posłał wojsko do sześciu elektrowni, które De Ruyter wskazał jako zawłaszczone przez przestępcze kartele. Dokonano kolejnych aresztowań. Ekonomiści ostrzegają, że brak prądu wyhamuje gospodarkę, że już w tym roku nie zanotuje wzrostu (a wcześniej wróżono wzrost siedmioprocentowy). Czarnowidze przepowiadają, że RPA czeka uliczna rewolucja, a w przyszłorocznych wyborach partia Mandeli straci władzę.

Na początku lutego prezydent orzekł, że kryzys energetyczny zagraża istnieniu państwa, i ogłosił stan nadzwyczajny. Pozwala on obejść uciążliwą biurokrację, wydać prawa zezwalające na budowę prywatnych elektrowni, wiatraków napędzających prąd, wprowadzić ulgi dla właścicieli domów, którzy pokrywają dachy panelami słonecznymi. Ramaphosa powołał też specjalnego ministra od prądu.

KIM LUDBROOK / EPA / PAP

Kawiarnia Tilt w Johannesburgu korzysta z własnego generatora prądu. 15 marca 2023 r.

Straci pracę, gdy sprawi, że prąd znów na stałe pojawi się w południowoafrykańskich domach.

ŻYCIE BEZ WTYCZKI | – Plan wyłączania prądu podawany jest z tygodniowym wyprzedzeniem. Cała sztuka polega na tym, żeby się do niego dostosować – mówi Lisa. – Mam lampę na baterie, kuchenkę gazową, taką, jaką się kiedyś zabierało pod namiot, a przede wszystkim przenośną elektrownię – podręczny zasilacz, który ładuję, gdy jest prąd, i z którego korzystam, gdy prąd wyłączają. Dzięki niemu mam stały dostęp do internetu i światło w pokoju, w którym stoi zasilacz, mogę zagotować wodę na herbatę. Kawę parzę rano, póki jeszcze jest prąd, i trzymam ją w termosie.

– Pilnuję, żeby pozałatwiać wszystkie sprawy i wrócić do domu, zanim wyłączą prąd, bo wtedy nie działają windy, a mieszkam na ósmym piętrze – ciągnie Lisa. – Kiedy wyłączają prąd, lepiej w ogóle nie wychodzić z domu, bo przestaje działać sygnalizacja świetlna, na drogach robi się bałagan i ludzie tkwią w wielogodzinnych korkach. Gasną światła, a wtedy na skrzyżowania wychodzą bezdomni oraz żebracy i za opłatę „co łaska" kierują ruchem, rozładowują korki, wskazują, kto ma ruszać, a kto czekać na swoją kolejkę. Żyję sama, więc jest mi łatwiej. Nie wyobrażam sobie, jak miałabym żyć bez prądu z z gromadką dzieci.

Z piątką dzieci i mężem Godblessem w niewielkim domu na przedmieściach Johannesburga mieszka Loretta. 15 lat temu przyjechała tu z pogrążonego w biedzie Zimbabwe. Godbless okazał się jednak wałkoniem. Rzadko bywa w domu. Loretta może liczyć tylko na siebie.

Niełatwe i tak życie Loretty stanęło na głowie, gdy zaczęły się przerwy w dostawach prądu. Ciepłe posiłki jej dzieci jedzą wieczorem, a i to pod warunkiem, że Loretta zdąży coś przyrządzić, zanim wyłączą prąd. Nie stać jej na generator czy przenośny zasilacz, jaki ma Lisa, a tym bardziej na panele słoneczne za parę tysięcy dolarów, jakie na dachach zakładają bogaci. Dzieci Loretty często odrabiają lekcje przy lampie naftowej, a gdy prąd pojawia się w środku nocy, Loretta budzi je i gna pod prysznic. Kiedy prądu nie ma, nie ma też bieżącej wody.

Loretta bierze prysznic w pracy, w Sandton, najlepszej dzielnicy Johannesburga, gdzie jest fryzjerką. Prąd mają z generatorów. Cały Sandton, elegancki, bogaty i wyniosły, rozbrzmiewa ich warkotem i śmierdzi spalinami jak Lagos, Akra czy Kinszasa, afrykańskie metropolie, na które Johannesburg patrzył jeszcze niedawno z góry. Tylko dzięki generatorom pracują drogie sklepy, restauracje, banki i biura, działają elektroniczne kasy, a zamożni klienci, którzy zapomnieli już, co to gotówka w kieszeni, mogą nadal płacić za zakupy kartami kredytowymi.

OSTATNI STOPIEŃ ZASILANIA | Paliwo do generatorów pomnaża jednak koszty. Właściciel niewielkiej drukarni z sąsiedztwa zapożyczył się na kupno generatora. Ale cały zarobek wydawał na paliwo, długu nie miał już z czego oddać i w końcu zamknął interes. Zamknęła się też pobliska lodziarnia. Nie da się wyrabiać lodów bez zamrażarek. Również szef Loretty coraz częściej przebąkuje, że zacznie zwalniać ludzi. Loretta modli się, żeby nie padło na nią.

Nawet największe firmy telefonii komórkowej, MTN i Vodacom, skarżą się, że potężne generatory, na które tracą majątek, nie wystarczą i bez stałego prądu nie będą w stanie zapewnić łączności ani dostępu do internetu. Domagają się od władz, żeby wyłączono je z reglamentacji prądu i dostarczano im go bez żadnych przerw, poza kolejką. Tego samego żądają właściciele kurzych ferm (drób jest najtańszym i najpowszechniejszym w RPA źródłem białka zwierzęcego), którym z zimna padają kurczęta. Oraz właściciele winiarni, sadów, plantacji kukurydzy, tytoniu i trzciny cukrowej, którzy bez prądu nie mogą nawodnić pól.

Wielkim firmom, a także szpitalom i instytucjom niezbędnym do funkcjonowania państwa rząd prądu może i nie wyłączy, ale szarakom ze średniego i drobnego biznesu będzie go wydzielał jak wszystkim, choć to oni są fundamentem gospodarki. Co mają powiedzieć piekarze albo mleczarze, którzy bez nieprzerwanych dostaw prądu obyć się nie mogą? A właściciele sklepów warzywnych, mięsnych i rybnych, a także ich dostawcy, farmerzy i rybacy? Pójdą z torbami, jeśli sami będą musieli wytwarzać niezbędny dla chłodni prąd w generatorach, napędzanych coraz droższym dieslem.

Latem, wyjątkowo w tym roku upalnym (wypada w czasie europejskiej zimy), właściciele zakładów pogrzebowych wezwali rodziny zmarłych, by z powodu przerw w dostawach prądu zakłócających pracę chłodni w kostnicach nie zwlekały z pochówkiem najbliższych, a najlepiej odprawiały pogrzeby już w dniu zgonu.

Ciemność służy za to przestępczości. Odcięte od prądu nie działają systemy alarmowe i kamery, strzegące domów i sklepów przed plagą włamań i napadów rabunkowych. Mrok na ulicach sprawia, że rabusie stają się zuchwalsi. Już wkrótce, zimą, będzie jeszcze gorzej, bo zmierzch zapadać będzie wcześniej.

– Powiadają, że Ramaphosa jest światełkiem w tunelu – mówi Lisa, a w jej głosie pobrzmiewa sceptycyzm. – Żeby tylko to światełko nie okazało się reflektorami pociągu pędzącego z naprzeciwka, prosto na nas.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI, ALEXIO RASHIRAI

HISTORIA

LEGENDA O STALINIE

Zanim został Józefem Stalinem, miał pisać o zgodę do samej Moskwy. Kim był jedyny w Polsce człowiek noszący takie samo imię i nazwisko jak dyktator z Kremla?

BEATA CHOMĄTOWSKA

Wyobraźmy sobie taki oto dialog, 80 lat temu:

– Imię ojca?

– Józef.

– Nazwisko?

– Stalin.

Konsternacja. A potem – zależy od tego, kto pyta. Reakcje bywają różne: śmiech, pukanie się w czoło albo grymas niedowierzania. Można też zarobić fangę w nos, kulkę w plecy albo kilka tygodni aresztu za robienie sobie kpin z „ludowego" państwa.

Niemieccy oficerowie podczas okupacji śmiali się, że Stalin robi im buty, i chętnie odwiedzali jego warsztat szewski. Mieścił się w oficynie, w rozpadającym się drewniaku nazywanym „Edwardówką" przy ulicy Kolejowej w Rabce, gdzie rabczański Józef Stalin jednocześnie pracował i mieszkał wraz z rodziną. Domek z warsztatem – oddzielonym zasłoną od izby mieszkalnej – stał prawie naprzeciwko starego kościoła, przerobionego na muzeum, co też Niemcom mogło wydawać się zabawne.

Najmłodszy z czterech synów rabczańskiego Józefa Stalina – też szewc, imieniem Julian – miał dość żartów, pytań, dociekań. Po II wojnie światowej zrobił to samo, co ojciec po Wielkiej Wojnie – zmienił nazwisko (nie zmienił jednak zawodu).

Nazwisko

Zanim szewc z Zaborni – to część Rabki, jego rodzinna rola – został Józefem Stalinem, był Józefem Płoszczycą.

Nie wiadomo dokładnie, kiedy się urodził – najpewniej w okolicy przełomu wieków. Wiadomo za to, że podczas I wojny światowej służył w armii austriackiej i dosłużył się tam stopnia podoficera.

W lokalnej gwarze płoszczyca to pluskwa. Gdy Józefa zmęczyły słyszane od małego docinki i mógł już sam decydować o sobie, znalazł nazwisko, które mu się spodobało, i poszedł – do starostwa w Nowym Targu, już w niepodległej Polsce – aby poprosić o zmianę. Wybór wydał się urzędnikom zbyt arystokratyczny jak na szewskiego biedaka. Za kolejnym razem wyszukał więc w gazecie nazwisko krótkie, proste i w Rabce niespotykane. Zatwierdzono je bez zastrzeżeń.

Zmiana obrosła później legendą. Według jednej z wersji, negowanej później przez krewnych, Józef miał pisać o zgodę na zmianę nazwiska do Moskwy, do samego Stalina.

– Na pewno do Moskwy nie pisał – mówi dziś Dariusz, prawnuk Józefa, który sam nie miał co prawda okazji go poznać, ale taką informację przekazał mu ojciec.

Wersja o korespondencji z kremlowskim przywódcą brzmiała w Rabce wiarygodnie, bo tamtejszy Józef Stalin jako jeden z nielicznych w mieścinie miał wyraźnie lewicowe sympatie. Pobrzmiewają w nazwie jego pracowni obuwia: Postęp.

Aleksander Ziemny, szkolny kolega syna Józefa Stalina, w rabczańskich wspomnieniach z dzieciństwa pisze, że szewc co roku wędrował w pochodach pierwszomajowych. Potem lądował w areszcie gminnym.

Czy był komunistą? Ruch komunistyczny był w międzywojennej Polsce od roku 1919 nielegalny – Komunistyczna Partia Polski była *de facto* bolszewicką, a potem sowiecką agenturą.

Według rodzinnej wersji Józef nie był komunistą, lecz socjalistą, zwolennikiem Polskiej Partii Socjalistycznej – ugrupowania legalnego, łączącego walkę o niepodległość z walką o społeczną sprawiedliwość, z którego wyrósł wszak sam Józef Piłsudski. Ale, jak głosi legenda, lokalni urzędnicy mogli nie odróżnić go od

Rabka, 1933 r.

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

bolszewika, zwłaszcza że i tak był egzotycznym zjawiskiem w Rabce. „Władza wolała mieć jawnego Józefa Stalina (z posmakiem groteski) od konspirującego wichrzyciela" – twierdzi Ziemny.

Rozmowa

Wobec Niemców w Rabce podczas okupacji strugał podobno szaleńca, którego dopadła mania wielkości. Nadal funkcjonował jako Józef Stalin. W końcu Wissarion Dżugaszwili, ojciec sowieckiego dyktatora Józefa Stalina, też był szewcem.

Zbyszko Nowak, wnuk rabczańskiego restauratora, tak pisze o scenie, której był wtedy świadkiem: „W roku 1940, pewnego dnia, udałem się do pracowni Stalina, aby odebrać naprawione buty. W warsztacie zastałem jakiegoś oficera gestapo, któremu Stalin robił buty oficerskie. Stalin znał język niemiecki i byłem świadkiem ciekawej rozmowy między nimi. Oficer niemiecki zwracał się do niego z przekąsem, przez »Herr Stalin«, przeciągając wymowę nazwiska i pytał go, kiedy wreszcie wykona jego zamówienie. Stalin podał nowy termin. Ponieważ nie był to pierwszy niedotrzymany termin, oficer zapytał go, jaką ma gwarancję, że buty będą gotowe w tym dniu. Stalin powiedział, że daje »szewskie słowo honoru« (*Schusterwort*). Wówczas oficer zapytał go, jaką wartość ma słowo szewskie? Odpowiedział, że taką, jak słowo oficerskie. Była to kapitalna rozmowa. Zmieszany tą wymianą zdań, oficer niemiecki zgodził się na nowy termin".

„Obojętne, czy Niemcy dali się nabrać, czy też węszyli w tym jakiś przewrotny kamuflaż. W każdym razie miejscowego führera i jego świtę bawiło, że mają u siebie takiego osobnika" – pisze Aleksander Ziemny. Nawet chwalili się, że mają Stalina na swoim terenie.

Mógł mieć nadzieję, że we względnym spokoju doczeka przy swoim warsztacie końca wojny.

Synowie

– Imię?
– Andrzej.
– Nazwisko?
– Stalin, syn Józefa.

Ojciec socjalista, a syn w Armii Krajowej. W Rabce czasów okupacji to nic nadzwyczajnego: wśród mieszkańców krąży wówczas dowcip, że najbezpieczniej mogą czuć się ci, którzy mają trzech synów: jeden pójdzie do partyzantki, drugi do Goralenvolku, trzeci do komunistów.

U Józefa Stalina sprawy mają się inaczej. Gdy Niemcom znudzą się przekomarzanki, zaczną podejrzewać go o udział w konspiracji. Rodzinny dom na Zaborni nachodzą gestapowcy, grożą spaleniem budynku. Wreszcie aresztują szewca. Pracownia Postęp zawiesza działalność.

Najstarszy syn, Andrzej, który pracował z ojcem w zakładzie, musi szukać sobie nowego zajęcia. Zostaje mechanikiem samochodowym w willi Tereska, przed wojną mieszczącej gimnazjum dla dobrze urodzonych panien, a teraz szkołę dla morderców z SS, gdzie na oczach mieszkańców Rabki odbywają się krwawe sadystyczne spektakle, w których giną ich sąsiedzi – Żydzi i żydowscy więźniowie z innych miejscowości.

Andrzej Stalin przystępuje do lokalnego partyzanckiego oddziału Armii Krajowej, kierowanego przez Jana Stachurę, ps. „Adam". Kradnie dla organizacji broń jednemu z gestapowców w Teresce i musi uciekać.

Przez dwa lata ukrywa się z kolegami w rejonie masywu góry Luboń, na zimę schodząc do rodzinnego domu. W 1943 r. ktoś donosi o tym Niemcom. Andrzej poddaje się pod groźbą morderstwa na matce i braciach. Po brutalnym ↦

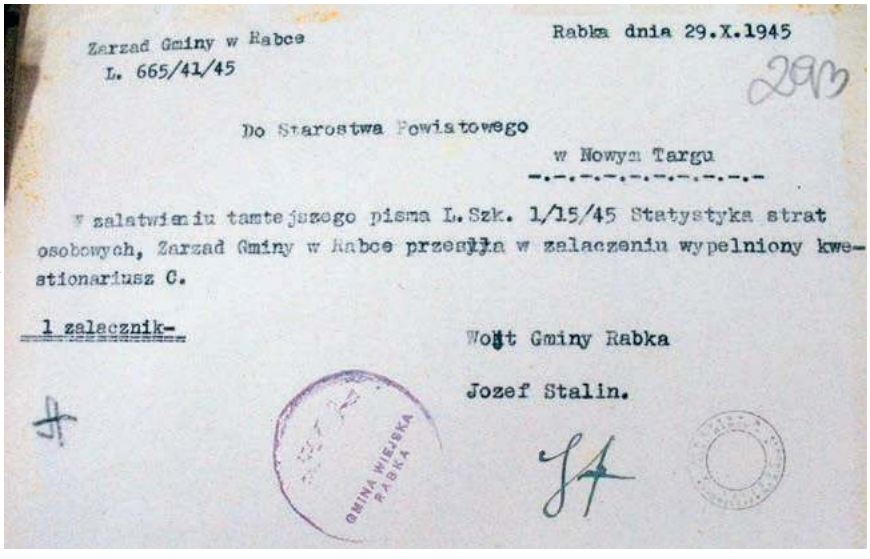

Zarzad Gminy w Rabce
L. 665/41/45

Rabka dnia 29.X.1945

293

Do Starostwa Powiatowego
w Nowym Targu
-.-.-.-.-.-.-.-.-.-.-

W zalatwieniu tamtejszego pisma L.Szk. 1/15/45 Statystyka strat osobowych, Zarzad Gminy w Rabce przesyła w zalaczeniu wypelniony kwestionariusz C.

1 zalacznik-

Wojt Gminy Rabka

Jozef Stalin.

GMINA WIEJSKA RABKA

ARCHIWUM PAŃSTWOWE W KRAKOWIE / ZBIORY AUTORKI

Pracownia obuwia „POSTĘP“
JÓZEFA STALINA
W RABCE, ul. Kolejowa (naprzeciw nowego kościoła)
poleca obuwie na miarę (spacerowe), damskie, męskie oraz dziecinne, jak również obuwie sportowe, narciarskie i robocze. Wszelkie naprawy po cenach konkurencyjnych.

BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA / / ZBIORY AUTORKI

Od góry: dokument podpisany przez Józefa Stalina, wójta gminy Rabka, 1945 r. Ogłoszenie w „Echu Zdrojów Podhala i Karpat”, nr 1-2, luty 1932 r.

↦ przesłuchaniu w zakopiańskiej siedzibie gestapo w pensjonacie Palace zostaje rozstrzelany w Kuźnicach.

Kolejny z synów Józefa, Stanisław, zginie podczas próby przedostania się przez Węgry do armii polskiej na Zachodzie.

Ich ojciec jest już wtedy w głębi III Rzeszy. Po krótkim pobycie w krakowskim więzieniu na ul. Montelupich trafia na Wawel, gdzie dzięki biegłej znajomości niemieckiego, wyniesionej zapewne z pierwszowojennej cesarskiej armii, dostaje posadę w pracowni szewskiej obsługującej tamtejszego głównego lokatora – Hansa Franka, gubernatora okupowanej Polski. Pracuje tam przez jakiś czas, aż jego nazwisko przestaje bawić hitlerowców. Wysyłają go do oświęcimskiego obozu pracy, a potem do obozu koncentracyjnego Mauthausen. Do Rabki wraca w 1945 r.

Powojnie

Sympatii politycznych nie zmienia. A mieszkańcy wybierają go – Józefa Stalina – na wójta gminy Rabka (w tamtym czasie nie ma jeszcze praw miejskich).

Jej zdrojowa część, rozwinięta dzięki zapobiegliwości przedwojennych właścicieli – rodziny Kadenów – przekształca się teraz w administrowane przez państwo uzdrowisko dla dzieci chorych na gruźlicę. Podczas posiedzeń gminnej Rady Narodowej szewc Stalin wnioskuje o jak najszybszą nacjonalizację całego majątku należącego do rodziny Kadenów. Argumentuje, że pańskie oko konia tuczy, i że gdy ignorowana dotąd przez centralę, położona na uboczu Rabka stanie się w dużej części państwowa, spłynie na nią zainteresowanie nowego właściciela i deszcz pieniędzy.

Rabczański rejon Gorców, zasiedlony przez kryjących się po lasach partyzantów z AK, którzy po pierwszej komunistycznej amnestii, ogłoszonej latem 1945 r., odmówili złożenia broni, przypomina w powojennych latach Dziki Zachód z okresu wojny secesyjnej.

To w dużej mierze ludzie Józefa Kurasia „Ognia” i powiązanych z nim oddziałów. Wiąże się z nimi wielu młodych rabczan, którzy podczas wojny ledwie liznęli wojaczki albo przystąpili do podziemnych organizacji dopiero po 1945 r.

W Rabce jest niespokojnie. Nieustannie słychać o atakach na placówki milicji i Urzędu Bezpieczeństwa, ale również na cywili. Trwają porachunki między miejscowymi. Za jednym zamachem rozlicza się dawne i nowe czasy. Aby stać się ofiarą, wystarczy podejrzenie o przynależność do komunistycznej Polskiej Partii Robotniczej. Stałych mieszkańców Rabki, znanych miejscowym, udaje się zwykle wybronić dzięki zasługom na rzecz „leśnych”.

Szyld

Dopadają oni i Józefa Stalina. Dzięki interwencji wpływowego dyrektora szpitala, Zdzisława Olszewskiego, który pomagał rannym AK-owcom, wstawia się za nim lokalny watażka, Mieczysław Klempka (konspiracyjny pseudonim „Kot” – to on wspólnie z kolegami zaatakował żydowskie dzieci z sierocińca w Krakowie, które latem 1945 r. przyjechały odpocząć w Rabce). Przypomina kolegom, że walczył razem z Andrzejem Stalinem w partyzantce, a Stalin senior też jest w porządku, bo dawał im schronienie.

Mówi się, że wydano na niego – jako na wójta, będącego już częścią nowego systemu – wyrok śmierci. Kto wydał? Tego nie wiadomo; ludzie, którzy mogliby coś powiedzieć, już nie żyją. Potem ten wyrok miał zostać anulowany – właśnie z uwagi na wojenne zasługi jego i synów – ale pod warunkiem, że Stalin zniknie z Rabki jak najszybciej.

Wyjeżdża do Dzierżoniowa. Tam otwiera, jak dawniej, zakład szewski. Tylko już bez nazwiska na szyldzie, bo tamtejsze władze nie zgadzają się na to z obawy przed oskarżeniami o profanację personaliów kremlowskiego generalissimusa.

Ziemie poniemieckie to główny kierunek ucieczki z Rabki także dla wszystkich innych, którym nie udaje się prysnąć z pojałtańskiej Polski za granicę. Trafiają tam również poszukiwani przez UB partyzanci powiązani z „Ogniem” i z grupami jego podwładnych.

Według jednej wersji któryś z nich odnajduje Stalina i wyrównuje niedokończone rachunki. Według innej rabczański szewc jest już człowiekiem przegranym, załamanym tym, co go spotkało, i tylko czeka na śmierć. Franciszek Nowacki,

mieszkaniec Oławy, widuje go często w dzierżoniowskim barze braci Rapaczów, jak wychyla ćwiartkę za ćwiartką.

W jakich okolicznościach umiera? Podobnie jak wielu innych rzeczy z jego życia, również tego nie wiadomo na pewno. Pewne jest tylko tyle, że staje się to w latach 50., i że zostaje pochowany tam, na Dolnym Śląsku.

Wiersz

Zanim Józef Stalin został Stalinem, prócz łatania butów imał się publicystyki.

Spisywane na gorąco rozprawki i filozoficzne rozważania słał pod pseudonimami do gazet. Drukowała go regionalna prasa ludowa, ale także jedyne w swoim rodzaju pismo „Wieś, Jej Pieśń", wydawany w Naprawie niedaleko Rabki miesięcznik literacki autorów chłopskich.

Po jego śmierci rodzinną tradycję kontynuuje najmłodszy syn. Jedyny, który został na rodzinnym gospodarstwie Stalinów w Zaborni. W drewnianym domu obok „zakopianki" łata cholewki i pisuje wiersze.

ARCHIWUM RODZINNE

Józef Płoszczyca (późniejszy Józef Stalin) w mundurze armii austriackiej

Już nie jako Julian Stalin, ale Julian Staniewski:

Czasem jest tak,
jakby istnienie było snem.
Albo zwykłym filmem
z „ja" w roli głównej.
Gram życie.
Ktoś bije brawo,
ktoś się krzywi
lub psioczy,
że szkoda patrzeć.

© BEATA CHOMĄTOWSKA

Korzystałam z książek Aleksandra Ziemnego „Czasami pamięć nie kłamie" (1997) i „Coraz krótsze lata" (1978) oraz Zbyszko Nowaka „Rabka mojego dziadka" (1997), tekstu Marty Sokołowskiej „Plakat śmierci" (na blogu historiarabki.blogspot.com), a także wywiadu z Julianem Staniewskim „O butach, górach, poezji i... Józefie Stalinie", skąd pochodzi publikowany fragment jego wiersza („Wiadomości Rabczańskie", nr 16/ 1991).

REKLAMA

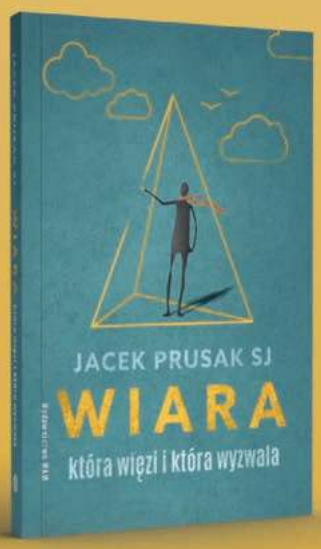

NOWA KSIĄŻKA JACKA PRUSAKA SJ

PORZUĆ SWOJE EGO PRZEBRANE ZA BOGA

książka dostępna w księgarni
www.wydawnictwowam.pl
wydawnictwo WAM

REKLAMA

IL VOLO

LIVE IN CONCERT

27 maja 2023 TAURON Arena Kraków

Bilety: BILETSERWIS.pl

Prestige MJM · BILET SERWIS · onet · RZECZPOSPOLITA · TYGODNIK POWSZECHNY · proart · VIXON MEDIA

REKLAMA

PRESTIGE MJM PREZENTUJE

SCORPIONS
ROCK BELIEVER
World Tour 2023

22 CZERWCA 2023
ERGO ARENA
GDAŃSK/SOPOT

BILETY: BILETSERWIS.PL

THE-SCORPIONS.COM

Prestige MJM · RADIO ZŁOTE PRZEBOJE · BILET SERWIS · onet · RZECZPOSPOLITA · TYGODNIK POWSZECHNY · pap MediaRoom · proart · VIXON MEDIA

JACEK

Podsiadło: *Kraina mlekiem płynąca*

Poranny roznosiciel mleka był charakterystycznym elementem miejskiego pejzażu PRL-u. Nie tylko Stare Dobre Małżeństwo śpiewało, jak to o świcie „ciągną swoje wózki dwukółki mleczarze". Właściwie dałoby się stworzyć osobny festiwal piosenki roznosicielskiej. Wawele śpiewaliby na nim: „Kto jak ja w progu dnia / staje co dzień, dobrze zna / co głód człowieka. / Pierwszy krzyk, ludzki krzyk / jeśli rwał się, przecież cichł / od kropli, od kropli mleka". Chór chłopięcy Skowronki: „Butelki z mlekiem roznoszę do domu, / by nie zabrakło mleka nikomu". Jan Kaczmarek: „A społeczeństwo śpi / i mleko mu się śni, / co w półlitrówkach tkwi / cicho na progu. / Dzieci i starsza brać, / wszyscy chcą mleko chlać, / przerażająca jest siła nałogu". Barbara Krafftówna: „Nad Warszawą o szarówce / gasną gwiazdy w Mlecznej Drodze / a ja, chociaż bardzo snu chcę / z butelkami chodzę". Sława Przybylska: „Był taki jeden, który zapominał, / był taki jeden który nie wystawiał / i chociaż wczesna była to godzina / zawsze przez chwilę ze mną porozmawiał", a potem: „Czemu wystawił? Zawsze nie wystawiał. / Czemu wystawił? Przecież miał zapomnieć, / nawet przez chwilę nie chciał porozmawiać, / zmienił mą radość w szereg przykrych wspomnień".

Ten sam patent co Przybylska stosował w „Krótkim filmie o miłości" Lubaszenko. Zatrudnił się jako roznosiciel, żeby móc podkradać butelki spod drzwi Szapołowskiej i mieć pretekst do zapukania oraz ujrzenia jej rozespanej i w stroju niedbałym. „Zapomniała pani wystawić butelkę".

„Dziennik Polski" pisał 3 marca 1973 r. o „dyskryminacji" mieszkańców siedmiu ulic Krakowa, począwszy od Straszewskiego, a na pl. Na Groblach skończywszy. „Nie mogą oni otrzymywać tak jak praktykowane to jest we wszystkich dzielnicach Krakowa mleka do domu – sklep PSS przy ul. Zwierzynieckiej 15 nie przyjmuje bowiem przedpłat, (...) ponieważ z końcem grudnia roznosiciel zrezygnował z pracy".

Nierówny dostęp do mleka dostarczanego pod drzwi powodował, że mleko sobie podkradano. W „Alternatywy 4" Pokora zastawia na porannego złodzieja pułapkę. Na mocy umowy z roznosicielem tenże zakłada na butelkę umieszczaną w skrzynce z bezpiecznikami pętelkę ze sznurka, którego drugi koniec Pokora wiąże sobie przed snem do kciuka.

W Ostrowcu o życiodajne mleko walczono także w największym zakładzie miasta, Hucie im. Nowotki. Gazeta „Walczymy o Stal" już w 1964 r. opisywała nieprawidłowy rozdział mleka należącego się pracownikom ze stanowisk szkodliwych dla zdrowia: „W wydziale konstrukcyjnym niektórzy pracownicy biorą nawet po litrze mleka (przysługuje 0,5 litra na osobę), a dla drugich brakuje go zupełnie. Pracownica wydająca mleko nie sprawdza nazwisk. Przed godziną 14 wystawia bańkę z mlekiem na korytarz, a tam pracownicy w brudnych ubraniach sami nalewają sobie mleko do butelek". Ciekawe, co by o tym powiedział Balcerek z „Alternatywy 4", który w opowiadanej już scenie, podczas rozważań sądu blokowego nad możliwością wypicia mleka na miejscu przez podejrzanego o kradzież, przy którym mleka jednak nie znaleziono, wygłosił aforyzm „Pokaż mi pan zdrowego chłopa, któren by wypił litra mleka".

„Trybuna Opolska" zajmowała się sprawą roznosicielstwa mleka w bloku przy Kościuszki. „Dostawy te ku niezadowoleniu odbiorców są niesystematyczne. Na marginesie dodajmy, że często mleko roznosi małoletnia dziewczynka (najprawdopodobniej córka roznosiciela)".

„Nowiny Rzeszowskie" w 1972 r. koordynowały Akcję M, której skutkiem było nie tylko „skupienie 40 mln litrów mleka dodatkowo", ale też wybranie „najlepszego dostawcy, zlewniarza i wozaka". Dostawczyni Dubiel z Uścia Gorlickiego powiedziała gazecie, że „Mleko mleku nierówne" i „wystarczy niestarannie umyć i wytrzeć wymię krowy, aby mleko skazić". Zlewniarz Moskal z Torek, który obowiązki zlewniarza sprawnie łączył z obowiązkami inseminatora, uważał, że „Przede wszystkim trzeba się grzecznie odnosić do dostawców". Wozak Dudek z Palikówki nie tylko „zbiera na wóz konny wystawiane przed próg konwie z mlekiem", ale też „żywo interesuje się badaniem zawartości mleka". Podzielała to zainteresowanie Anna Sz. z Rzeszowa, alarmując „Nowiny" w 1974 r., że mleko „ze srebrną kapslą" coraz częściej „przypomina raczej jakiś białowodnisty płyn niż mleko". Na koniec podkreślała: „Nie dysponuję jednak żadnymi urządzeniami do przeprowadzenia analizy jego zawartości". Kłopotów z analizą nie miał Adam B. „Do redakcji przyszedł w środę Adam B. (nazwisko znane redakcji) z mlekiem, które nabył 26 bm. w sklepie nr 7 WSS przy ul. Opatowskiej. W mleku znajdowały się robaki".

Jacek Fedorowicz narzekał, że mleka nie ma w restauracjach: „Ja zawsze – przed pójściem do restauracji – wstępuję do sklepu, kupuję litr mleka i odważnie stawiam sobie na restauracyjnym stoliku". Brak mleka w restauracjach nie raził jednak aż tak, jak brak napojów mlecznych w barach mlecznych. W Szczecinie temat ten poruszył Zenon Neweluk w audycji z 1962 r., pytając dyrektora Okręgowych Barów Mlecznych o kefir i zsiadłe mleko. W odpowiedzi usłyszał: „Nie jest okres letni, ale zimowy. Niemniej albo kefir, albo maślanka, właściwie nie maślanka a siadłe mleko w barze powinno być wtedy, kiedy jest na nie zapotrzebowanie. Moim zdaniem takie zapotrzebowanie na pewno jest, tylko nasi kierownicy, niestety, mówmy sobie otwarcie, jeśli już chodzi o siadłe mleko to uciekają od tego. Bo ulega to szybkiemu zepsuciu". ©

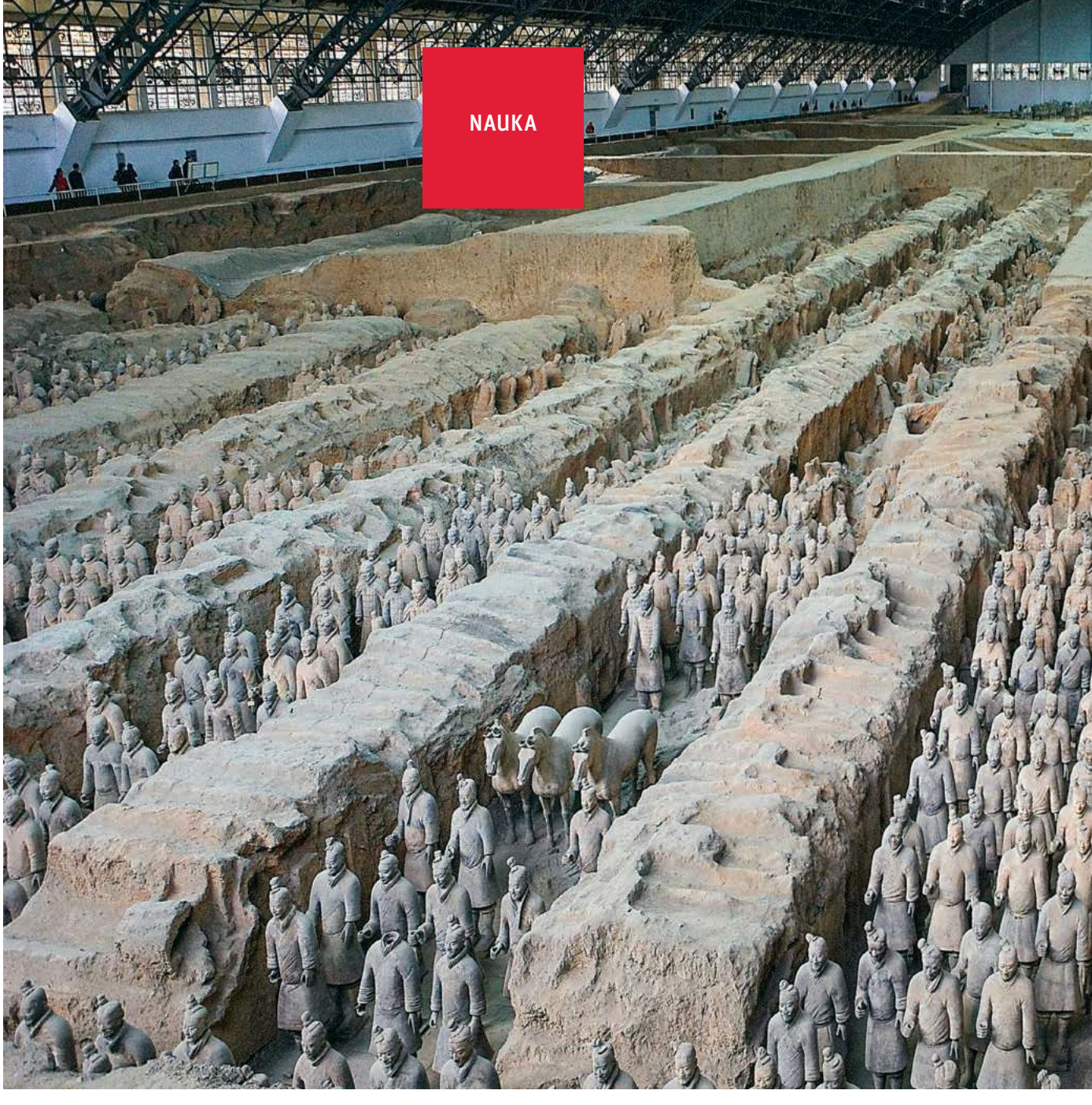

MARZENIE PIERWSZEGO CESARZA

Najbogatsi ludzie świata biorą dziś udział w wyścigu o życie. Przeznaczają miliardy na poszukiwanie eliksiru młodości. Jak daleko jest dzień, w którym przestaniemy być równi w śmierci?

MICHAŁ GIKOWSKI

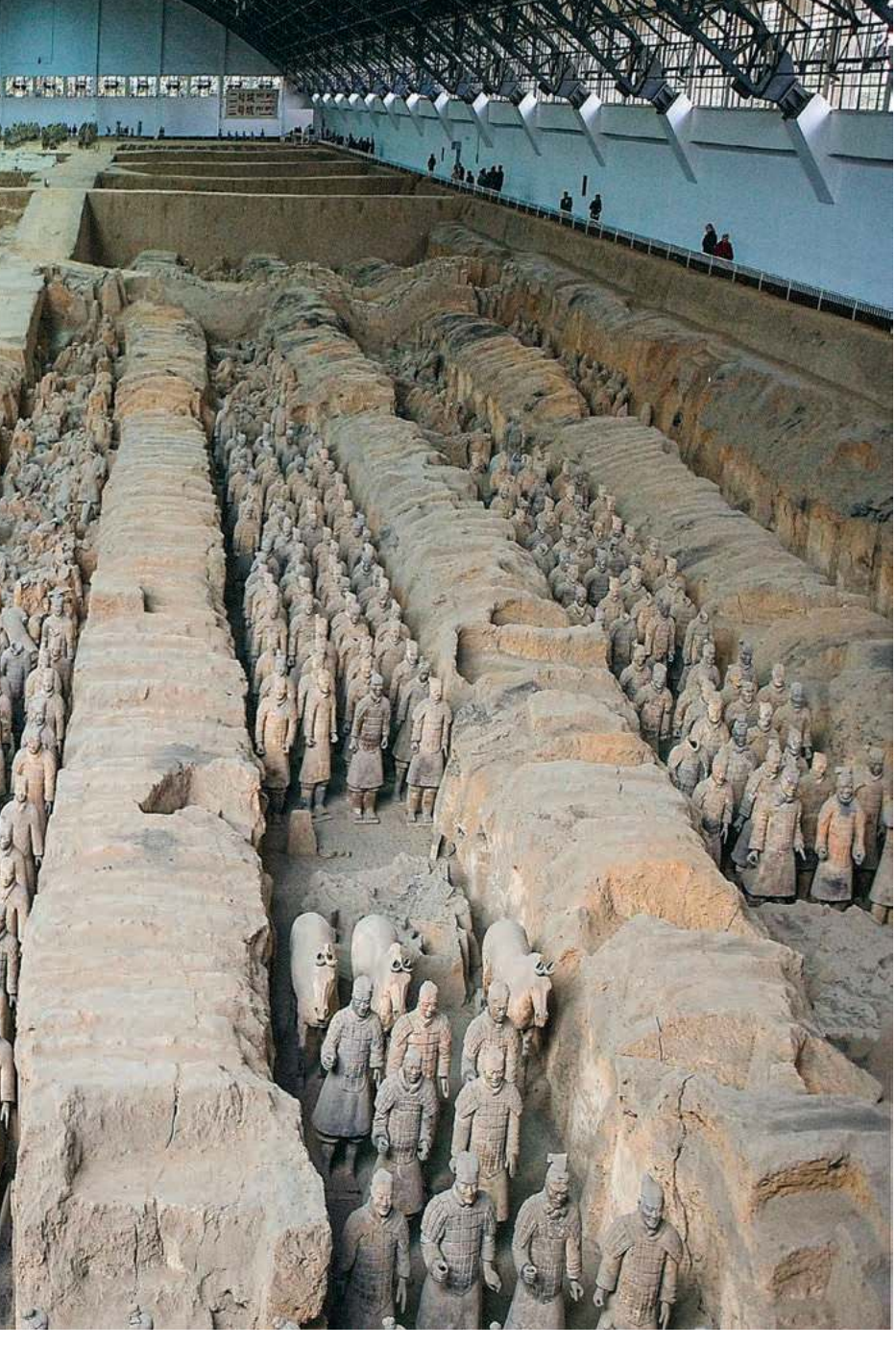

BE&W

Armia terakotowa w mauzoleum pierwszego cesarza Chin.

> *„Od czasów królów Wei i Hsüan z Ch'i oraz króla Chao z Yen wysyłano ludzi, aby wyruszali w morze i poszukiwali wysp P'eng-lai, Fang-chang i Ying-chou. (...) Ci, którym udało się do nich dotrzeć, mieli odnaleźć na nich duchy posiadające eliksir nieśmiertelności. Wszystkie rośliny, ptaki i zwierzęta na wyspach były białe, a pałace i bramy były zrobione ze złota i srebra"*
>
> SIMA QIAN „ZAPISKI HISTORYKA"

Trzy magiczne wyspy stały się prawdziwą obsesją dla pierwszego cesarza Chin. Qin Shi Huang nie po to zjednoczył Państwo Środka, by komukolwiek oddawać władzę z powodu tak trywialnego jak zgon. Ślady jego „programu badawczego" znajdowane są do dziś. W 2017 r. chińscy naukowcy odkryli liczące ponad 2 tys. lat raporty regionalnych gubernatorów. Włodarze miasteczka Duxiang przepraszali za to, że wciąż nie odnaleźli eliksiru wiecznego życia. Gubernator Langya stwierdzał, że według tamtejszych mędrców cesarzowi może pomóc zioło z miejscowej góry.

Obsesja cesarza była tak wielka, że nakazał spalenie książek ze stołecznych bibliotek – poza traktatami alchemików – by mędrcy nie rozpraszali się niczym na drodze do celu. Miał też bardzo prostą metodę na hochsztaplerów. Kilku alchemików, którzy zapewniali go o odkryciu sekretu nieśmiertelności, podobno trafiło na stosy. Ale wcale nie za karę – w ramach „prób klinicznych" eliksirów.

Cesarz nie był ani pierwszym, ani ostatnim możnym ogarniętym obsesją nieśmiertelności. Szukali jej Gilgamesz i Aleksander Wielki. Herodot był przekonany, że długowieczność może zapewnić źródełko w dzisiejszej Somalii. Konkwistador Juan Ponce de León wierzył, że wypływające z Edenu wody dające wieczną młodość muszą być gdzieś na florydzkich bagnach i zapewne był przekonany, że znajduje się o krok od wiecznego życia nawet wtedy, gdy umierał od strzały rdzennego mieszkańca półwyspu.

Dziś miejsce tych ludzi zajęli Jeff Bezos, Sergey Brin, Larry Page i inne złote dzieci komputerowej rewolucji. Im bardziej siwe (i łyse) głowy multimiliarderów, tym chętniej inwestują w start-upy obiecujące zdrowie i długie, nawet jeśli nie wieczne życie. Dziś fontanny młodości szukamy w genach i biochemii.

Wszystko jest w genach

Łatwo byłoby pokiwać ze smutkiem głową nad pychą płynącą z bogactwa. Tyle że te poszukiwania wcale nie muszą okazać się bezowocne. Może nie dadzą nam wiecznego życia, ale mogą doprowadzić do małej rewolucji w medycynie. A na tym skorzystaliby nawet ci z nas, którzy muszą radzić sobie bez prywatnych odrzutowców.

W ostatnich trzech dziesięcioleciach nauka, wspierana odkryciami z genetyki, epigenetyki, biochemii czy sztucznej inteligencji, dokonała ogromnych postępów, które mogą otworzyć drogę, jeśli nawet nie do zatrzymania czy odwrócenia procesu starzenia, to do zdecydowanej poprawy jakości naszego życia. Tyle że „mogą" jest tutaj słowem kluczem, bo na razie odkrycia te nie znalazły istotnego przełożenia na medycynę.

Pierwsze prawdziwie naukowe eksperymenty z przedłużaniem życia prowadzono jeszcze w początkach XX w. Badania na myszach wydawały się wskazywać, że ograniczenie spożywanych przez nie kalorii może przedłużyć ich życie. ↦

↦ W latach 30. i 40. XX w. nowe badania z dziedzin genetyki i biologii komórek wskazały na molekularne przyczyny procesu starzenia. Jednym z najważniejszych odkryć były tzw. telomery – chemiczne „czapeczki" zabezpieczające końce chromosomów przed rozplątaniem się DNA. Zauważono, że z wiekiem organizmu telomery stają się coraz krótsze – i zabezpieczają informację genetyczną coraz gorzej. Ochrona DNA nadal jest uważana za jeden z kluczy do długowieczności – wieloryby czy kretoszczury wydają się potrafić naprawiać swoje DNA znacznie skuteczniej niż my, co pozwala im żyć nieproporcjonalnie długo (pierwsze mogą dożyć setki, drugie – trzydziestki, co nie zdarza się u innych gryzoni).

W latach 50. i 60. opracowano leki znane jako geroprotektory, które działając przeciwzapalnie, chroniąc komórki przed uszkodzeniem i poprawiając funkcje metaboliczne, mogły przedłużyć życie – znów, myszy i szczurów. W latach 70. i 80. badacze zaczęli koncentrować się na roli hormonów w procesie starzenia, w tym na potencjale wykorzystania hormonów wzrostu jako terapii przeciwstarzeniowej. W latach 90. i w pierwszych dekadach XXI wieku skupiono się na inżynierii genetycznej i rozwoju nowych technologii manipulacji genomem, w tym na wykorzystaniu nowo odkrytej technologii CRISPR-Cas9 do edycji genów związanych ze starzeniem.

Na razie te badania nie przełożyły się na wydatne przedłużenie czasu, który ludzie spędzają na ziemskim padole. Ale jasno pokazały jedno: starzenie się, przynajmniej na poziomie komórkowym, nie jest fatum. Da się na nie wpływać.

Zlot miłośników życia

> *„Widziane z daleka trzy duchowe góry wyglądały jak chmury, ale z bliska wydawało się, że znajdują się pod wodą. Gdy ktoś się do nich zbliżył, wiatr nagle odpychał łódź tak, by nikt nigdy nie mógł do nich dotrzeć"*
>
> SIMA QIAN „ZAPISKI HISTORYKA"

Szwajcarski kurort Gstaad przywykł do nalotów multimilionerów. Fakt, że ubiegłej jesieni na jednej konferencji pojawiło się ich tam co najmniej 120, sam w sobie nie był więc niczym wyjątkowym. Ciekawszy był powód, dla którego tam dotarli. Nie chodziło o rynki finansowe, sytuację geopolityczną czy inwestycje w nieruchomości. Chodziło o życie.

Dwudniowa konferencja Longevity Investors Conference zgromadziła w jednym miejscu ludzi z pieniędzmi oraz ludzi, którzy obiecywali tym pierwszym, że tymi pieniędzmi cieszyć się będą mogli o wiele dłużej. Grupa inżynierów, naukowców i zapewne zwykłych hochsztaplerów zachwalała różne podejścia do przedłużania czasu, który możemy spędzić w zdrowiu. Większość z nich szukała inwestorów skłonnych rzucić pieniędzmi właśnie na ich projekt.

Bilet na imprezę kosztował 4,5 tys. dolarów, ale nawet wpłacenie tej sumy nie gwarantowało wstępu. Organizatorzy szukali tylko naprawdę bogatych uczestników. Ze 150 gości co najmniej 80 proc. dysponowało budżetami ośmio- i dziewięciocyfrowymi.

Ale nawet oni w tej grze to płotki. O wieczne życie starają się najbogatsi ludzie świata. We wrześniu 2021 r. Jeff Bezos zainwestował 3 mld dol. w start-up Altos Labs, który ma wykorzystać badania nad odmładzaniem komórek w celu odwracania biegu chorób i procesu starzenia się. Jego partnerem w tej inwestycji jest Yuri Milner – rosyjsko-izraelski inwestor, który zarobił miliardy jako jeden z pierwszych udziałowców Facebooka. Z kolei Mark Zuckerberg, założyciel tego medium, stworzył wraz z żoną Priscillą Chan coroczną nagrodę „The Breakthrough Prize", wartości 3 mln dol., dla naukowców dokonujących „transformacyjnych postępów na drodze do zrozumienia żywych organizmów i przedłużenia ludzkiego życia".

W 2013 r., wkrótce po ukończeniu czterdziestki, współzałożyciel Google'a, Larry Page, ogłosił, że jego firma otwiera nowy oddział, Calico, który ma pracować nad metodami leczenia starzenia. Zatrudnił naukową elitę i dał jej szczodry

Siedem kroczków ku wieczności

AUBREY DE GREY to celebryta w świecie badań nad długowiecznością. I wizjoner. W 2008 r. opisał „punkt Matuzalema": moment dziejów, w którym medycyna będzie rozwijać się szybciej od procesów starzenia. Wyobraźmy sobie, że naukowcy są dzisiaj w stanie dać przeciętnemu stulatkowi 10 lat dodatkowego życia. Jeżeli za 10 lat będą w stanie dać kolejne 10 lat przeciętnemu 110-latkowi, osiągniemy „Matuzelarność": każdy z nas będzie mógł liczyć na to, że zawsze zostanie odkryta nowa sztuczka, przedłużająca nasze życie znów o kolejny roczek.
Prowadzona przez de Greya fundacja SENS Research Foundation skupia się na „inżynierii zaniedbywalnego starzenia" (ang. SENS). Idea jest prosta: spróbujmy zidentyfikować wszystkie procesy komórkowe, które prowadzą do starzenia, i spowalniać je, jeden po drugim. Fundacja prowadzi badania nad siedmioma programami.

▪ **APOPTOSENS.** Nie wszystkie komórki zasługują na to, aby żyć, tymczasem starzejący się organizm coraz mniej skutecznie zabija swoje własne uszkodzone lub niepoprawnie działające komórki. A co, gdyby opracować lek skłaniający takie komórki do „kontrolowanego samobójstwa" (apoptozy)?

▪ **GLYCOSENS.** Nasze ciało to nie tylko komórki – wielką rolę odgrywa w nim też tzw. macierz pozakomórkowa: włóknista siatka zapewniająca tkankom spoistość, jędrność i właściwe funkcjonowanie. Jej degeneracja to nie tylko wiotka skóra, ale też słabnące ścianki naczyń krwionośnych, kruche więzadła czy mętniejąca soczewka oka. A może by tak chemicznie wzmocnić pozrywane włókna kolagenowe?

▪ **AMYLOSENS.** Z biegiem czasu w przestrzeniach między komórkami gromadzą się uszkodzone, niefunkcjonalne białka, tworząc czasem kłopotliwe złogi. Najsłynniejszym przykładem są blaszki amyloidowe, gromadzące się między neuronami u pacjentów z chorobą Alzheimera (na zdjęciu). A co, gdybyśmy opracowali program czyszczenia organizmu z takich złogów, np. ucząc

budżet. Ale postępów na razie nie widać. Setki milionów dolarów w podobne badania pompują także założyciel Oracle'a, Larry Ellison, czy kontrowersyjny współtwórca PayPala, Peter Thiel.

Najnowszym graczem na tym polu jest prezes OpenAI, firmy, która opracowała robiącego furorę chatbota GPT. 37-letni Sam Altman zainwestował 180 mln dol. w firmę Retro Biosciences, która obiecuje przedłużyć ludzkie życie o 10 lat. Twórca tej firmy, Joe Betts-LaCroix, dotąd znany był przede wszystkim z wynalezienia w 2005 r. komputera OQO, uważanego za protoplastę współczesnych tabletów. Jego start-up ma skupiać się na komórkowych źródłach starzenia i dąży do stworzenia terapii zabezpieczających przed szeregiem powiązanych z zaawansowanym wiekiem schorzeń.

Bodaj jedynym z finansowej elity, który deklaruje brak zainteresowania podobnymi badaniami, jest Elon Musk. W wywiadzie z portalem „Insider" stwierdził: „chciałbym zachować zdrowie jak najdłużej, ale nie boję się śmierci, sądzę, że byłaby ulgą". Priorytety południowoafrykańskiego miliardera są jednak zmienne. Zwłaszcza że na poszukiwaniu eliksiru młodości można nieźle zarobić. W 2020 r. rynek terapii przeciwstarzeniowych miał, wg Allied Market Research, globalną wartość 25 mld dol. Do końca dekady ma się ona niemal podwoić.

Metody na nieśmiertelność

Altos, firma na którą postawili Bezos i Milner, nadzieję na długowieczność widzi w procedurze odkrytej w 2006 r. przez japońskiego naukowca Shin'yę Yamanakę, który obecnie jest doradcą naukowym firmy. Cztery białka (nazywane „czynnikami Yamanaki") mogą spowodować, że zwykłe komórki zamienią się w tzw. pluripotencjalne komórki macierzyste. Te mogą, tak jak komórki rozwijającego się embrionu, zmienić się w dowolny inny typ komórki występujący w ludzkim organizmie. Odkrycie przyniosło Yamanace Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny lub fizjologii w 2012 r.

Początkowo zostało ono wykorzystane do hodowli tkanek do przeszczepów. Ale naukowcy zaczęli sprawdzać, co by się stało, gdyby wprowadzili czynniki Yamanaki do żywych zwierząt. Pierwsze rezultaty były makabryczne. W 2013 r. myszy w hiszpańskim laboratorium porosły guzami zwanymi potworniakami, składającymi się ze zbuntowanej tkanki embrionalnej. Pojawiło się nowe pytanie: czy da się przeprowadzić procedurę tak, aby przeprogramować komórki jedynie częściowo, odmładzając je, ale nie zmieniając ich właściciela w rozedrganą miazmę komórek macierzystych?

W 2016 r. naukowcy z Instytutu Salka w Kalifornii pod kierunkiem Juana Carlosa Izpisua Belmonte ogłosili, że udało im się znaleźć twierdzącą odpowiedź na to pytanie. Zmodyfikowali genetycznie myszy dotknięte progerią, chorobą powodującą szybkie starzenie się, tak aby ich komórki wytwarzały czynniki Yamanaki, ale tylko wtedy, gdy były karmione specjalnym suplementem. Umożliwiło to naukowcom włączenie czynników na ograniczony czas – kilka godzin. Wydawało się, że myszy stały się zdrowsze, bez nowotworów skutków ubocznych.

Tyle że inni badacze wytknęli Kalifornijczykom, że ich wyniki wcale nie były jednoznaczne. To prawda, u badanych mysz nie stwierdzono guzów, ale wskazówki „zegara epigenetycznego" (czyli biomarkery sygnalizujące wiek komórek) cofnęły się wyłącznie w dwóch narządach: nerkach i skórze. Zaskakujące było też to, że zespół zapewniający o „spowolnieniu procesu starzenia" nie napisał w artykule opublikowanym w czasopiśmie „Cell" wprost, jak długo żyły „przeprogramowane" myszy.

Altos posługuje się tymi samymi technikami, ale, przynajmniej w komunikacji ze światem zewnętrznym, swoje cele przedstawia inaczej. Zdaniem firmy, tym celem nie jest nieśmiertelność czy przedłużenie życia, ale raczej przedłużenie czasu, który ludzie mogą przeżyć w zdrowiu. Szef przedsiębiorstwa, Richard Klausner, były dyrektor Narodowego Instytutu Raka w USA, w czerwcu ubiegłego roku podczas konferencji w San Diego zapewniał, że jego firma ↦

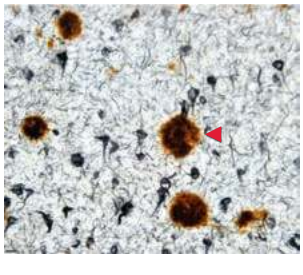

TROY T. ROHN / OMCL

organizm, aby traktował je jako wroga, metodą zbliżoną do szczepionki?

▪ **LYSOSENS.** Komórki stale zmagają się z problemem usuwania chemicznych odpadów. Teoretycznie, pęcherzyki zwane lizosomami powinny strawić wszystko, co komórce niepotrzebne. W skali dziesięcioleci nawet drobny odsetek niestrawialnych materiałów prowadzi jednak do kłopotliwej akumulacji. Czyżbyśmy musieli sami wymyślić mechanizm wywozu komórkowych odpadów wielkogabarytowych?

▪ **MITOSENS.** Mitochondria to organelle komórkowe odpowiedzialne m.in. za zapewnianie komórkom energii do pracy. Co ciekawe, mają swe własne DNA, działając niejako jak „komórki w komórkach". Z wiekiem to DNA gromadzi mutacje, a komórki coraz mniej skutecznie wytwarzają energię. Trzeba by im jakoś pomóc: a gdybyśmy np. umieścili w każdej komórce kopię całego mitochondrialnego DNA, aby zawsze pod ręką była jego kopia zapasowa?

▪ **ONCOSENS.** Dziś co czwarty Polak umiera z powodu nowotworu złośliwego. Potrzebny jest więc, bagatela, „lek na raka". Oto jedno z pytań, na które chcielibyśmy znać odpowiedź: co właściwie sprawia, że zwyczajna komórka staje się komórką nowotworową? A co, gdyby odkryć jakiś sygnał, po którym można ten proces wykryć, a następnie każdą „dopiero-co-nowotworową" komórkę błyskawicznie uśmiercić?

▪ **REPLENISENS.** Większość opisanych wyżej strategii opiera się na niszczeniu. Życie opiera się, bądź co bądź, na pięknie skoordynowanym niszczeniu i tworzeniu. Aby wspomóc drugi człon tego równania, można na przykład posłużyć się komórkami macierzystymi – czyli takimi, które w odpowiedzi na odpowiedni sygnał mogą stać się komórkami skóry albo wątroby, albo mózgu. A co, gdyby za każdą zniszczoną komórkę „starą" dostarczyć organizmowi nowiutką, młodziutką komórkę zastępczą?

© ŁUKASZ LAMŻA

↦ jest bliska przełomu. Pokazywał slajdy, z których wynikało, że tłuste myszy po terapii wyzdrowiały z cukrzycy, a inne były w stanie przeżyć podanie im śmiertelnej dawki leków przeciwbólowych. Występujący na tej samej konferencji David Sinclair, kierujący Centrum Badań nad Biologią Starzenia się w Harvard Medical School, był przekonany, że przyszłość jest bardzo jasna. „Pewnego dnia normalne będzie to, że lekarz wystawi nam receptę na lek, który odmłodzi nas o dekadę. Nie ma powodu, dla którego nie mielibyśmy żyć 200 lat". Publiczność za bilety na konferencję zapłaciła po 4 tys. dol.

Jakość życia nicienia

Ale pomysłów na hakowanie naszego procesu starzenia jest niemal tyle, ilu ludzi chętnych do wydawania wielkich sum na finansowanie podobnych badań. Jednym z najsłynniejszych eksperymentów w tej dziedzinie był ten, który w 1993 r. opisał zespół biologów molekularnych z Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Francisco. Cynthia Kenyon i współpracownicy wykazali, że częściowe wyłączenie pojedynczego genu 1-milimetrowego nicienia *C. elegans* może podwoić czas jego życia. Matuzalemowe robale żyły o 24 dni dłużej niż ich krewniacy, ale badacze roztoczyli znacznie szerszą perspektywę. W końcu tzw. szlak sygnalizacji insulinowej, za który odpowiada ten konkretny gen, istnieje i u nicieni, i u myszy, i u ludzi. Pierwszy raport ze swoich badań (opublikowany w branżowym czasopiśmie „Worm Breeder's Gazette") zatytułowali więc nieco prowokacyjnie „Mutacja, która podwaja długość życia *C. elegans* (wyobraź sobie, że masz 140 lat)". Prowokacja zadziałała – badanie wywołało duże zainteresowanie w środowisku (jeszcze tego samego roku przedstawili swoje wyniki w „Nature") – a w kolejnych latach badacze usprawnili jeszcze tę technikę. W połączeniu z dalszymi manipulacjami genetycznymi, zdołali przedłużyć żywotność *C. elegans* pięciokrotnie. Gdyby odnieść ten wynik do ludzi, żylibyśmy aż 400 lat.

Tyle że to niekoniecznie byłoby przyjemne życie. Inne badania wykazały, że chociaż długość życia nicieni rosła drastycznie, to jego jakość już niekoniecznie. Długowieczne nicienie nieproporcjonalnie dużą część swojego życia spędzały w stanie starczej niedołężności. Nowe badania wskazują jednak, że temu niekorzystnemu efektowi można przeciwdziałać, zapobiegając infekcjom układu pokarmowego przez bakterie.

Co działa u psa

> *„Pierwszy Cesarz zdecydował, że nawet gdyby miał osobiście wyruszyć w morze, prawdopodobnie nie będzie w stanie dotrzeć do wysp, więc rozkazał swoim ludziom zebrać pewną liczbę młodzieńców i dziewcząt i wysłać ich na morze na poszukiwania. Wkrótce morze było pełne łodzi przecinających je we wszystkie strony. A kiedy wróciły bez powodzenia, wszyscy wykorzystywali wiatr jako wymówkę. »Nie udało nam się dotrzeć do wysp«, relacjonowali: »ale widzieliśmy je z daleka!«"*
>
> SIMA QIAN „ZAPISKI HISTORYKA"

Nawet jeśli któryś ze start-upów odnajdzie kamień filozoficzny i znajdzie skuteczny sposób na spowolnienie, zatrzymanie czy cofnięcie procesu starzenia, dla 60- czy 70-letnich miliarderów może być już za późno. Między odkryciem obiecującej substancji leczniczej a dopuszczeniem jej do obrotu mija średnio około 15 lat, wypełnionych próbami klinicznymi, złożonymi procedurami biurokratycznymi i zbieraniem oraz analizowaniem danych od coraz większych grup. Statystyki pokazują, że ponad 90 proc. testowanych w ten sposób związków zostaje zdyskwalifikowanych, bo albo ostatecznie nie działa, albo powoduje u ludzi niedopuszczalne skutki uboczne.

Co ciekawe, ludzie nie są jedynym gatunkiem, dla którego poszukuje się terapii długowieczności. Celine Halioua, dwudziestoparoletnia biochemiczka z dyplomem z Oksfordu, założyła w 2019 r. firmę Loyal. Dostała od inwestorów 58 mln dol. na badania nad lekami opóźniającymi starzenie psów. Przedsiębiorstwo pracuje już nad dwoma lekami. Halioua nie ukrywa przy tym, że psy to krok na drodze do zasadniczego celu, którym jest przedłużanie życia ich właścicieli.

Oczywiście to, że jakaś terapia daje pozytywne skutki u psów, nie gwarantuje jeszcze, że zadziała także na człowieku – i trzeba będzie poddać ją tym samym testom, co wszystkie inne leki przeznaczone dla ludzi. Nawet gdyby więc magiczna pigułka została odkryta już jutro, nie należy spodziewać się, że trafi do powszechnego obiegu w ciągu najbliższej dekady.

A nawet gdy to się już stanie, stać na nią może być tylko nielicznych. Koszt niektórych z proponowanych dziś terapii przeciwstarzeniowych byłby bowiem niezwykle wysoki. Zwłaszcza w przypadku złożonych terapii zakładających manipulowanie naszym organizmem na poziomie DNA. Nawet jednak jeśli „eliksir młodości" będzie dostępny dla każdego, nie stworzy on globalnej, egalitarnej utopii. Przeciwnie.

„Załóżmy, że znajdziemy szczepionkę na pandemię starzenia" – przestrzegał w „Financial Times" Christopher Wareham, bioetyk z Uniwersytetu w Utrechcie. „To potencjalnie pogłębi wszelkie istniejące dziś nierówności. Im dłużej jesteś na tym świecie, tym więcej bogactw gromadzisz, a im jesteś bogatszy, tym większy masz wpływ polityczny".

Armia nieśmiertelnych

Qin Shi Huang nie odnalazł nigdy magicznego eliksiru. Co więcej, to właśnie te poszukiwania mogły doprowadzić do jego śmierci w wieku zaledwie 49 lat. Jednym z przyjmowanych przez niego specyfików była bowiem rtęć, zatrucie którą mogło doprowadzić go w ostatnich latach życia na skraj obłędu.

Nie oznacza to jednak, że cesarz nie osiągnął nieśmiertelności na inny sposób. Być może pogodzony z faktem, że jego czas na tym świecie jest ograniczony, postanowił zapewnić sobie wieczną chwałę w następnym życiu.

W 215 r. p.n.e., na pięć lat przed śmiercią, nakazał swoim generałom wzniesienie mauzoleum, jakiego nie widział świat. Ogromny i nieodkopany dotąd grobowiec, ukryty pod niemal 80-metrowej wysokości kurhanem, ma stanowić niemal wierną kopię cesarskiego kompleksu pałacowego. Otacza go prawdziwe cmentarne miasto, w którym spokoju i chwały cesarza broni 6 tys. wojowników z terakoty.

Nie da się jednak uciec od przekonania, że cesarz, podobnie do dzisiejszych miliarderów, od sławy fundatora jednego z cudów świata wolałby przez kilka stuleci więcej cieszyć się cielesnymi przyjemnościami. Dla niego nieśmiertelność okazała się jednak nieosiągalna. Jego współcześni naśladowcy na razie jeszcze nie myślą o własnych mauzoleach.

© MICHAŁ GIKOWSKI

Prawdziwe dziennikarstwo potrzebuje Twojego wsparcia naprawdę

1,5%

Inne sposoby na wsparcie:
powszech.net/dar

TYGODNIK POWSZECHNY

Przekaż 1,5% podatku Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o suwerenność i rozwój „Tygodnika Powszechnego".

» KRS 0000 125 605

OGŁOSZENIE OPP

Przed Sądem Rejonowym w Brzesku pod sygn. akt I Ns 517/22 toczy się postępowanie z wniosku Edwarda Brala o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie na jego rzecz własności nieruchomości składającej się z działek ewid. nr: 5904, 5905, 5906 i 5907, o łącznej pow. 0,46 ha, położonej w Jadownikach, gm. Brzesko. Wymienione działki powstały z parcel katastralnych z Iwh 830, 831 i 1499 gm. kat. Jadowniki, w których jako właścicieli ujawniono: Stanisława Topolskiego, Honoratę Topolską (wpisy z 1943 r.), Józefę z Rzepów Gagatkową (wpis z 1942 r.) Marjannę Ignacakową (wpis z 1910 r.). W ewidencji gruntów jako osoby władające figurują: Franciszek Gagatek (dz. 5904 i 5906) oraz Stanisław Topolski (dz. nr 5905 i 5907).

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się w siedzibie Sądu i udowodniły swoją własność, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie zgodnie z wnioskiem na rzecz wnioskodawców, o ile zostanie udowodnione .

W Sądzie Rejonowym w Ząbkowicach Śląskich I Wydziale Cywilnym pod sygnaturą akt I Ns 313/21 toczy się postępowanie z wniosku Asekuracja Spółka z o.o. z siedzibą w Sopocie o stwierdzenie nabycia spadku po zmarłym Henryku Kędzierskim urodzonym dnia 2 lipca 1950 r., synu Bolesława i Józefy, zmarłym dnia 18 sierpnia 2020 r. w Kłodzku, ostatnio zamieszkałym w Ziębicach.

Sąd wyzywa wszystkich spadkobierców po Henryku Kędzierskim, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Chełmie I Wydziale Cywilnym w sprawie o sygnaturze akt I Ns 802/22 z wniosku Banku Millenium Spółki Akcyjnej z siedzibą w Warszawie toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Mirosławie Dudzisz, synu Jana i Janiny z domu Studzisz, zmarłym w dniu 8 maja 2020 roku w Chełmie, ostatnio stale zamieszkałym w Chełmie.

Wzywa się spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Gliwicach I Wydział Cywilny, pod sygnaturą akt I Ns 177/22, toczy się sprawa z wniosku Zofii Wustrau-Zajkowskiej z udziałem Bolesława Zajkowskiego, Gminy Gliwice i Skarbu Państwa o stwierdzenie, iż Zofia Wustrau-Zajkowska i Bolesław Zajkowski, jako posiadacze samoistni, w drodze zasiedzenia, z dniem 18 września 2011 r., do małżeńskiej ustawowej wspólności majątkowej nabyli prawo własności nieruchomości położonej w Gliwicach przy ul. Zajęczej 1, o powierzchni 0,0736 ha, dla której Sąd Rejonowy w Gliwicach prowadzi księgę wieczystą nr GLIG/00008374/5.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, w szczególności spadkobierców Julianny Jabłońskiej, córki Józefa i Ewy, zmarłej 19 września 1991 roku w Gliwicach i następców prawnych tych spadkobierców, by w ciągu 3 (trzech) miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosili się w tut. Sądzie i udowodnili swoje prawo własności wyżej wymienionej nieruchomość, gdyż w przeciwnym razie sąd stwierdzi nabycie własności zgodnie z wnioskiem, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Brzesku I Wydział Cywilny, pod sygnaturą akt I Ns 236/22, toczy się postępowanie z wniosku Piotra Kopeć z udziałem Romana Siepierowskiego, Stanisława Stolarczyka, Kazimierza Kopeć, Czesława Siepierowskiego, Krzysztofa Siepierowskiego, Jana Siepierowskiego, Tadeusza Siepierowskiego, Jana Biernata, Adama Sikory, Dariusza Sikory, Stanisława Sikory, Jacka Siepierowskiego, Stanisława Kopeć, Ryszarda Kopeć, Czesława Stolarczyka, Romana Kopeć, Grzegorza Kopeć, Zofii Chudoby, Doroty Samokova, Heleny Filip, Beaty Okoś, Barbary Kondziołki o stwierdzenie nabycia spadku po Janinie Stolarczyk c. Władysława i Małgorzaty, która zmarła w dniu 23.03.2022r. w Brzesku. Ostatnim miejscem zwykłego pobytu spadkodawczyni było Brzesko. Janina Stolarczyk w chwili śmierci miała 91 lat. Pozostawiła testament własnoręczny z dnia 28.05.2008 r. w którym do całości spadku powołała Piotra Kopcia, s. Kazimierza i Teresy. W skład spadku wchodzi mieszkanie o powierzchni 28 m^2.

Sąd Rejonowy w Brzesku I Wydział Cywilny wzywa wszystkich spadkobierców, aby zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Brzesku I Wydział Cywilny w ciągu 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia i udowodnili nabycie spadku po Janinie Stolarczyk, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Ząbkowicach Śląskich I Wydziale Cywilnym pod sygnaturą akt I Ns 388/22 toczy się postępowanie z wniosku Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa Oddziału Terenowego we Wrocławiu o stwierdzenie nabycia spadku po zmarłych:
- Helenie Tatara urodzonej dnia 9 lutego 1923 r., córce Stanisława i Anny, zmarłej dnia 25 października 2003 r. w Ząbkowicach Śląskich ostatnio zamieszkałej w Henrykowie,
- Janie Henryku Tatara urodzonym dnia 22 sierpnia 1960 r., synu Jana i Heleny, zmarłym dnia 29 kwietnia 2006 r. w Ząbkowicach Śląskich, ostatnio zamieszkałym w Henrykowie.

Sąd wyzywa wszystkich spadkobierców po Helenie Tatara i Janie Henryku Tatara, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 420/22 postępowanie z wniosku Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Nowej Wsi o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanej nieruchomości położonej w Prusinowie-Miniszewie oznaczonej geodezyjnie jako działka 282, wchodzącej w skład większej nieruchomości, dla której jest prowadzona księga wieczysta KZ1J/00023717/3.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 15/2023

Wielkanocny Włóczykij Kulturalny

MATERIAŁY PRASOWE ZAMKU KRÓLEWSKIEGO NA WAWELU

Rzeźby Johanna Georga Pinsla prezentowane na wystawie „Ekspresja. Lwowska rzeźba rokokowa" na Zamku Królewskim na Wawelu

Sztuka spod bomb, czyli Ukraina w podróży

PIOTR KOSIEWSKI

W kilku europejskich miastach można zobaczyć wyjątkowe dzieła sztuki z objętej wojną Ukrainy. Warto wybrać się dla nich do Krakowa i Poznania, ale też do Bazylei, Madrytu czy Wilna.

W położonej pod Lwowem Hodowicy w połowie XVIII w. wzniesiono nowy kościół parafialny pod wezwaniem Wszystkich Świętych. Został zaprojektowany przez Bernarda Meretyna, jednego z najwybitniejszych twórców architektury późnego baroku I Rzeczypospolitej, autora m.in. soboru św. Jura we Lwowie oraz ratusza w Buczaczu. Rzeźby do kościoła wykonali Johann Georg Pinsel i jego warsztat. Dopełnienie stanowiły polichromie ścienne z elementami iluzjonistycznie oddanej architektury. W powstałej w ten sposób przestrzeni malarstwo, rzeźba i architektura wzajemnie się przenikały, tworząc jedno totalne dzieło.

Bernard Meretyn stale współpracował z Johannem Georgiem Pinslem. Tworzyli nawet coś w rodzaju „firmy artystycznej". Sam rzeźbiarz, po śmierci zapomniany, został odkryty na nowo w XX w. Jednak dopiero w ostatnich dekadach w pełni go doceniono, a po wystawach w paryskim Luwrze i wiedeńskim Winterpalais został uznany za jednego z najważniejszych XVIII-wiecznych rzeźbiarzy naszej części Europy.

A jednocześnie – jak podkreśla historyk sztuki Jan K. Ostrowski – jest to przypadek paradoksalny. Dorobek artystyczny Pinsla udało się stosunkowo dobrze odtworzyć, ale jego biografia pozostaje praktycznie nieznana. Uważa się, że pochodził z południowych Niemiec lub Czech. Do Polski przybył ok. 1750 r. Osiadł w Buczaczu, który pod rządami Mikołaja Bazylego Potockiego przeżywał rozkwit. Założył tam rodzinę. Zmarł w 1761 albo 1762 r.

Świątynia w Hodowicy była jednym z najwybitniejszych przykładów XVIII-wiecznej aranżacji wnętrza kościelnego w ówczesnej Polsce. Użycie czasu przeszłego jest w tym wypadku niestety zasadne. Polacy zamieszkujący miejscowość wyjechali do Wrocławia. Kościół przez lata stał opustoszały, a w 1961 r. ostatecznie go zamknięto. W 1974 r. wybuchł w nim pożar – zniszczeniu uległ dach, zawaliła się większość sklepień. Do dziś pozostaje ruiną, ale na ścianach nadal można zobaczyć resztki polichromii.

Ocalała natomiast większość rzeźb – w 1965 r. przeniesiono je do Lwowskiej Galerii Obrazów (obecnie Lwowska Galeria Sztuki im. Borysa Woźnickiego). Od 1996 r. są prezentowane w specjalnym muzeum poświęconym Pinslowi, urządzonym w dawnym kościele Klarysek we Lwowie.

Teraz najważniejsze rzeźby z Hodowicy można oglądać na wystawie **„Ekspresja. Lwowska rzeźba rokokowa"** zorganizowanej na **Zamku Królewskim na Wawelu** (ekspozycja czynna do 22 października br.). To wyjątkowa okazja, by zobaczyć w Polsce arcydzieła Pinsla. Do Krakowa przyjechały „Samson rozdzierający paszczę lwu" i „Ofiara Abrahama", uznawane za jedne z najważniejszych rzeźb artysty. Są też płaskorzeźby, które dawniej dekorowały kościelną ambonę. Wszystkie one pozwalają poznać najważniejsze cechy warsztatu mistrza z Buczacza.

Przede wszystkim: ekspresyjność rzeźbionych przez niego postaci o wyostrzonych rysach, z zaakcentowanymi kośćmi policzkowymi i rozwianym włosem. Pozostających nieustannie w ruchu, o ciałach wygiętych, niemalże w konwulsyjnych pozach. Odzianych – jak pisze Joanna Pałka, kuratorka wawelskiej wystawy – w niezwykłe „geometryzowane draperie, sprawiające wrażenie miotanych silnym niewidocznym wiatrem".

Na wystawie znajdują się – także przywiezione ze Lwowa – inne rzeźby z hodowickiej świątyni. Przede wszystkim „Krucyfiks" Macieja Polejowskiego, ucznia Pinsla, pierwotnie umieszczony wraz z figurami Matki Boskiej Bolesnej i św. Jana autorstwa samego mistrza w ołtarzu głównym kościoła. Można też zobaczyć krucyfiks procesyjny wykonany w warsztacie Pinsla. W 1946 r. został on przywieziony do Wrocławia przez ks. Jarosława Chomickiego, ostatniego proboszcza Hodowicy, dziś jest przechowywany we wrocławskim kościele Bożego Ciała. Po ponad 70 latach wszystkie te rzeźby ponownie można zobaczyć w jednym miejscu.

Rzeźby Johanna Georga Pinsla i jego uczniów to nie jedyne dzieła ze zbiorów ukraińskich, które teraz można zobaczyć w Polsce. Jesienią ubiegłego roku do **Muzeum Narodowego w Poznaniu** przyjechały obrazy ze zbiorów Lwowskiej Galerii Sztuki. Wystawę **„Idę w świat i trwam"** można oglądać do 1 października 2023 r.

Tamtejsza kolekcja dzieł Jacka Malczewskiego jest jedną z największych. Znajduje się w niej 68 obrazów i szkiców, a także rysunki i akwarele – część z nich nabyto jeszcze za życia artysty. Do Poznania przyjechały 34 płótna, a tutejszy zbiór prac artysty należy do najcenniejszych w Polsce. Teraz dzieła z obu kolekcji można oglądać w jednym gmachu i jednocześnie śledzić dzieje relacji artysty z trójką szczególnie ważnych dla niego osób: Edwardem Raczyńskim, twórcą galerii w Rogalinie, w której znalazło się wiele arcydzieł Malczewskiego, Karolem Lanckorońskim, który przez lata go wspierał, oraz Marią Kingą Balową, przedstawioną na wielu jego obrazach.

To wystawa, jak podkreślają jej twórcy, o kruchości dziedzictwa i zarazem jego wartości. Stan zagrożenia, funkcjonowania w tymczasowości, w której zbiory muszą być chronione, podkreśla aranżacja ekspozycji: w salach pozostawiono część skrzyń, w których obrazy wywożono ze Lwowa, materiały chroniące cenne dzieła. Niektóre stoją prowizorycznie oparte o ściany. A jedno z płócien nadal spoczywa w skrzyni, w której podróżowało.

O kruchości dzieł sztuki, o ich niszczeniu i ocalaniu opowiada też wystawa na Wawelu. „Jeździliśmy od wioski do wioski, od miasta do miasta, od kościoła do cerkwi i zbieraliśmy wszystko, co można było jeszcze uratować. Nie zdjęliśmy żadnej rzeczy ze ściany czynnej świątyni. Znajdowaliśmy rzeczy w różnych miejscach, czasami w krzakach, w komórce" – opowiadał przed laty „Odrze" nieżyjący już Borys Woźnicki, wieloletni dyrektor Lwowskiej Galerii Obrazów. „W latach 60. i 70. nie myślałem: to polskie, a to ukraińskie" – dodawał. To jemu zawdzięczamy ocalenie rzeźb i innych dzieł sztuki z Hodowicy oraz dziesiątków innych obiektów z całej ziemi lwowskiej. Dziś ponownie są one narażone na grabież i zniszczenie.

Co więcej, po 24 lutego 2022 r. dochodziło już do takich czynów: w Muzeum Sztuki im. Archipa Kuindżego w Mariupolu czy Regionalnym Muzeum Sztuki w Chersoniu, którego całe zbiory zostały wywiezione przez Rosjan. Dlatego obecnie najważniejszym zadaniem ukraińskich muzeów jest – jak podkreśla Taras Woźniak, dyrektor Lwowskiej Galerii Sztuki – ochrona dóbr kultury w każdy możliwy sposób. Przechowywanie ich w schronach, ale też digitalizacja. Wreszcie organizacja wystaw za granicami Ukrainy. To jeden ze sposobów ochrony tamtejszego dziedzictwa ↦

Mychajło Bojczuk, Mleczarka, 1922-23 r.

MATERIAŁY PRASOWE THYSSEN-BORNEMISZA

Ołeksandr Bohomazow, Ostrzenie pił, 1927 r.

↦ [rozmowa z Tarasem Woźniakiem w Podkaście Tygodnika Powszechnego – red.].

Ukraińskie muzea nie tylko w Polsce eksponują dzieła ze swoich zbiorów. W grudniu ubiegłego roku do **Litewskiego Narodowego Muzeum Sztuki w Wilnie** przewieziono 66 cennych eksponatów ze zbiorów Narodowego Rezerwatu Historyczno-Kulturalnego Kijowsko-Peczerskiego w Kijowie, Lwowskiej Narodowej Galerii Sztuki oraz z odeskiego Muzeum Sztuki Zachodniej i Wschodniej. Obecnie część tych dzieł można oglądać na dwóch wystawach.

Do 4 grudnia tego roku trwa ekspozycja **„Wspaniali uchodźcy wojenni. Arcydzieła malarstwa zachodnioeuropejskiego XVI–XVIII wieku”**. Pokazano na niej najcenniejsze dzieła z lwowskiego muzeum. Jest wśród nich obraz „U lichwiarza” Georges'a de La Toura, arcydzieło jednego z najbardziej fascynujących artystów europejskich XVII w.

Krócej, bo tylko do 11 maja, można oglądać drugą wystawę: **„Ukraina: duchowe skarby niezwyciężonego narodu”**. Znalazły się na niej obiekty z Narodowego Rezerwatu Historyczno-Kulturalnego Kijowsko-Peczerskiego, jednego z najważniejszych muzeów Ukrainy, a jednocześnie symbolicznego miejsca dla ukraińskiej historii i kultury. W Wilnie można zobaczyć przykłady ukraińskiego malarstwa ikonowego od XVI do początku XVIII w., poczynając od klasycznych ikon, tworzonych według wschodnich reguł, po przykłady ukraińskiego baroku z czasów kozackiej Hetmańszczyzny, będące połączeniem sztuki zachodnioeuropejskiej i lokalnych tradycji. Są też wreszcie wyroby złotnicze i tkaniny tworzone na potrzeby Kościoła prawosławnego.

Podobnych wystaw dzieł ze zbiorów ukraińskich będzie więcej. Lwowska Galeria Sztuki obecnie przygotowuje ekspozycje **w berlińskim Bode-Museum**, w **Accademia Carrara w Bergamo**, na **Zamku w Trokach** oraz w **wileńskim Muzeum Historii Żydowskiej**. A to tylko plany jednej instytucji. „W obecnej sytuacji bardzo ważnym zadaniem jest popularyzacja historii oraz kultury Ukrainy w świecie” – podkreśla Roman Czmełyk, dyrektor Lwowskiego Muzeum Historycznego. „Zwrócenie uwagi cywilizowanego świata na dobra kultury europejskiej i światowej, które znajdują się w muzeach, bibliotekach i archiwach Ukrainy, i są zagrożone przez ostrzały rakietowe czy inne rosyjskie działania wojskowe”.

„Obiekty muzealne na wystawach za granicą, w tym w Polsce i na Litwie, znajdują się w bezpieczniejszym miejscu” – dodaje Czmełyk. To bardzo ważne, bo Ukraina nie zdecydowała się na ewakuację za granicę dóbr kultury. Jednak nie mniej istotne są starania o zmianę postrzegania ukraińskiego dziedzictwa kulturowego. Obecnie twa proces odzyskiwania tego, co przez lata w Rosji, ale też na Zachodzie zostało uznane za część rosyjskiej spuścizny. Największe muzea na świecie, na czele z londyńską National Gallery oraz nowojorskim Metropolitan Museum of Art, rewidują tytuły dzieł i biogramy artystów, przypominając o ich związkach z Ukrainą.

Duże znaczenie w „przepisywaniu” dotychczasowej historii sztuki mają też wystawy. Jedną z nich jest **„Born in Ukraine”**. Do 2 lipca można ją oglądać w **Kunstmuseum w Bazylei**. Znalazły się na niej prace 31 artystów i artystek tworzących od XVIII do XX w., pochodzące z Kijowskiej Galerii Sztuki, jednej z najważniejszych w Europie kolekcji sztuki rosyjskiej.

Twórcy wystawy pokazują, że kulturowa przynależność jest bardziej skomplikowana, gdyż na liście „Urodzonych w Ukrainie” – jak zatytułowano ekspo-

MATERIAŁY PRASOWE THYSSEN-BORNEMISZA

zycję – są m.in. pochodzący z kozackiej rodziny Władimir Borowikowski, jeden z najwybitniejszych portrecistów przełomu XVIII i XIX w., wybitny realista Ilja Riepin czy wywodzący się także z Kozaków Dawid Burluk, współtwórca kubofuturyzmu. Są na tej liście etniczni Ukraińcy, ale też artyści o korzeniach greckich, polskich, ormiańskich czy żydowskich. Wielu z nich kształciło się w Rosji i tym samym zostali uznani za część imperialnej rosyjskiej kultury.

Największą jednak uwagę publiczności i mediów przykuła wystawa **„En el ojo del huracán. Vanguardia en Ucrania, 1900-1930”**, którą do 30 kwietnia można oglądać w madryckim **Museo Nacional Thyssen-Bornemisza** (od 3 czerwca do 24 sierpnia będzie prezentowana w **Museum Ludwig w Kolonii**). Przypomina ona mało znany rozdział w sztuce europejskiego modernizmu. Jednocześnie przełamuje patrzenie na awangardowe poszukiwania w tej części kontynentu poprzez rosyjskie okulary – należy pamiętać, że przez ostatnie dekady rosyjska, a potem sowiecka awangarda była wykorzystywana do kreowania Rosji jako państwa o nowoczesnych tradycjach.

Tytułowe „oko cyklonu” odnosi się do kontekstu społeczno-politycznego, w którym rozwijała się sztuka w Ukrainie w pierwszych dekadach XX w.: I wojny światowej, rewolucji 1917 r., ukraińskiej wojny o niepodległość w latach 1917-1921, powstania sowieckiego państwa, wreszcie rządów Stalina, które doprowadziły w latach 1932-1933 do tragedii Hołodomoru i śmierci milionów Ukraińców, a potem rozstrzelania czołowych przedstawicieli elit kulturalnych i naukowych. Trudno jednak nie kojarzyć tytułu wystawy z zagrożeniem, jakie rosyjska agresja niesie dla ukraińskiego dziedzictwa. Hiszpańskie media opisywały transport wypożyczonych dzieł z Kijowa, w tym nieplanowany długi postój na granicy polsko-ukraińskiej, na którą ciężarówki dotarły w czasie kryzysu związanego z upadkiem na terytorium Polski rakiety.

Wystawa, na której zebrano ok. 70 obrazów, kolaży, szkiców i projektów teatralnych pochodzących z Narodowego Muzeum Sztuki Ukrainy, Państwowego Muzeum Teatru, Muzyki i Kina Ukrainy oraz kolekcji madryckiego muzeum, pokazuje, jak różne oblicza miała sztuka tworzona w Ukrainie w pierwszych dekadach XX w.: od sztuki figuratywnej po futuryzm i konstruktywizm. Są tu dzieła czołowych przedstawicieli ówczesnej awangardy – Ołeksandra Bohomazowa, Aleksandry Ekster czy Kazimierza Malewicza, ale też Mychajły Bojczuka i jego uczniów, którzy zaproponowali ciekawą syntezę współczesnych poszukiwań w sztuce z tradycją sztuki bizantyjskiej, przedrenesansowych Włoch i własnej, ukraińskiej sztuki ludowej. I którzy – po okresie oficjalnego uznania – zostali w czasach stalinowskich potępieni, ich dzieła w większości zniszczone, a Bojczuka i jego najbliższych współpracowników rozstrzelano.

Obecność ukraińskiej sztuki nie ogranicza się jednak do sztuki dawnej. Nie mniej ważne są wystawy poświęcone sztuce powstającej współcześnie. Im także warto się z uwagą przyglądać. Polskie galerie i muzea bardzo szybko stworzyły tamtejszym artystkom i artystom możliwość opowiadania o tym, czego od miesięcy doświadczają. Ponieważ obecnie zainteresowanie sztuką naszych wschodnich sąsiadów zdaje się słabnąć, tym bardziej warto uważnie przyglądać się tym miejscom, w których nadal jest ona wystawiana.

Jednym z nich jest **lubelski Labirynt**. Od 21 maja można tam oglądać **„Step Myszek Miki” Andrija Raczinskiego i Daniiła Rewkowskiego**, młodych, coraz bardziej docenianych artystów z Charkowa – są oni m.in. zwycięzcami Allegro Prize 2022. Od 2020 r. pracują nad monumentalnym, podzielonym na części projektem „Muzeum Cywilizacji Człowieka”, który ma opowiedzieć o... życiu na Ziemi w czasach, gdy ludzkość jeszcze istniała. Lubelska wystawa relacjonuje jeden z rozdziałów tej historii: dawne i najnowsze bitwy pancerne, w tym walki, które miały miejsce w 2022 r. w obwodzie charkowskim.

Od kilku miesięcy działa też specjalna platforma **The Sky Is Open. Voices From Ukraine** (theskyisopen.eu), wspierana m.in. przez **Labirynt, Galerię Arsenał w Białymstoku, BWA w Zielonej Górze i Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie**. Jest to archiwum prac stworzonych przez ukraińskie artystki i artystów po 24 lutego 2022 r. Już teraz można na niej zobaczyć prace m.in. Żanny Kadyrowej i Mykoły Ridnego – reakcje na rosyjską agresję. Do udziału będą zapraszane kolejne osoby. W ten sposób na powstać zbiór artystycznych świadectw z czasów wojny. Niezbędny, by została ocalona pamięć o tych tragicznych doświadczeniach.

© PIOTR KOSIEWSKI

TYGODNIK POWSZECHNY

Posłuchaj naszej rozmowy z Tarasem Woźniakiem, dyrektorem Lwowskiej Galerii Sztuki, która 29 marca 2023 r. uhonorowana została XXIV Nagrodą im. prof. Aleksandra Gieysztora.

Podkast dostępny na stronie:
powszech.net/wozniak oraz w serwisach streamingowych.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 15/2023
REDAKCJA: Monika Ochędowska | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | SKŁAD: DoLasu
OPIEKA WYDAWNICZA: Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska
OKŁADKA: rzeźba autorstwa Johanna Georga Pinsla, XVIII w.
FOT. P. JAMSKI / „SAMSON ROZDZIERAJĄCY PASZCZĘ LWU”, JOHANN GEORG PINSEL, OK. 1757-1758, ZDJĘCIE Z KATALOGU TOWARZYSZĄCEGO WYSTAWIE „EKSPRESJA. LWOWSKA RZEŹBA ROKOKOWA”, WYD. ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

PARTNERZY WYDANIA
ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

ŚWIĘTA WIOSNA ODRODZENIE JUBILEUSZOWE MISTERIA PASCHALIA

Dwudziestolecie festiwalu to nie lada okazja, by skupić się na podsumowaniach. Misteria Paschalia idą jednak do przodu.

Przez pełne dwie dekady festiwal Misteria Paschalia pokazał niemal całe bogactwo i przekrój osiągnięć muzyki dawnej: od średniowiecza i najwybitniejszych grup poświęcających się jego odkrywaniu, przez renesans i barok — z plejadą mistrzów włoskich, francuskich, polskich, nie zapominając o niderlandzkich, niemieckich czy angielskich — po klasycyzm, którego także nie brakowało.

W historycznym Krakowie wszyscy goście czuli się jak u siebie, odnajdując w naszym pejzażu elementy własnych kultur — a przynajmniej wspólnych ich źródeł. I będą się tak czuć ponownie, bo tegoroczny, jubileuszowy festiwal zdaje się skrojony tak, by przypominać swoje spektakularne sukcesy, jak i wędrować wyjątkową ścieżką powiązaną z wydarzeniami Wielkiego Tygodnia, wiodącymi przez dramat, tragedię i ból aż do triumfu i radości. Ale też przez meandry refleksji — medytacji skupionej na współodczuwaniu i szukaniu istoty męki Pańskiej oraz przychodzącego przez nią zbawienia.

Medytacje te odnajdujemy w ciemnych jutrzniach, które na festiwalu wracają regularnie wraz z muzyką francuską, gdyż to ona właśnie odnalazła w nich szczególnie ważny dla siebie temat. „Leçons de ténèbres" Charpentiera tym razem zabrzmią w wykonaniu zespołu zasadniczo polskiego, który otrzymuje szansę zaistnienia na festiwalowej estradzie: Cohaere Ensemble. Północną wersję medytacji przynosi natomiast cykl małych kantat Dietricha Buxtehudego „Membra Jesu nostri". Każdy utwór słynnego duńskiego twórcy z Lubeki, mistrza Johanna Sebastiana Bacha, kontempluje inną udręczoną część ciała Jezusa – co przenosi słuchaczy nie tylko w rozważania męki, ale i w świat zadziwiającej zmysłowości epoki, zarówno głęboko fizykalnej, jak i metafizycznej.

W inny sposób, ale z tym samym poczuciem łączenia świata doczesnego z metafizycznym, przedstawia się też medytacyjność Południa. Przynosi ją „Stabat Mater", średniowieczna sekwencja przypisywana Jacoponemu da Todi, przesycona włoską, chtoniczną namiętnością. I tak właśnie brzmi ona w ujęciach z południa półwyspu, z Apulii, po które sięgnął Vincent Dumestre, by przygotować jej wersję spektakularną, nieledwie operową — bo też w duchu Neapolu właśnie, w którym opera była sztuką na poły ludową. Jej niedościgłym mistrzem w początkach XVIII w. był Giovanni Battista Pergolesi — jego „Stabat Mater" należy do najsławniejszych i najpiękniejszych utworów epoki.

W Wielki Piątek — do którego pasowałoby „Stabat Mater" — przewrotnie usłyszymy opowieść o innej katastrofie, poniekąd prefigurację zbawienia winnej ludzkości, czyli „Potop".

FOT. ADOBE STOCK

„Il diluvio universale" to oratorium, chciałoby się rzec, mało znanego kapelmistrza z Sycylii — lecz co znaczy pojęcie „mało znany" w świecie muzyki, która do tej pory, mimo ogromnego postępu naszej wiedzy, pozostaje w dużej mierze nierozpoznana?

Michelangelo Falvetti należał, z dzisiejszego punktu widzenia, do tej ogromnej większości kompozytorów, którzy nie mieli tyle szczęścia, by dzieła ich trafiły w ręce kogoś, kto wykonywałby je szerzej i przekazywał dalej — w XVIII, XIX i XX stuleciu. Szczęśliwie jednak i one przetrwały. Leonardo García Alarcón, który przywozi do Krakowa swą Cappellę Mediterranea, zapewnia, że przekonamy się o zdecydowanie niepoślednim talencie Falvettiego.

O ile sycylijskie oratorium ze szlachetnego XVII w. pokaże zapewne niezwykłe barwy i emocje, o tyle sobotni koncert w Wieliczce przeniesie nas do świata wyrafinowanej elegancji muzyki dworskiej (i dwornej) tego samego czasu, ale pochodzącej z paryskiego pałacu królewskiego. Znakomity Ensemble Correspondances zabierze słuchaczy do komnat Luwru z czasów przed Ludwikiem XIV.

Wreszcie, w niedzielę zmartwychwstania, gdy nadchodzi pora radości, pałeczkę przejmie wielki Christophe Rousset, ponownie już w Krakowie prezentujący błyskotliwą muzykę klasycyzmu. Tym razem Mozarta i to, co wokół niego – idąc tropami wielkiego salzburczyka. Przypomnijmy: w finale opery „Don Giovanni", gdy na scenie orkiestra przygrywa do wieczerzy, Leporello rozpoznaje modne i lubiane melodie: *„Bravi – »Cosa rara«*!" — woła — *„Evvivano i »Litiganti«*!". Teraz zabrzmią fragmenty zarówno owej „Cosa rara" — opery Martína y Solera, jak i „Litiganti" (a precyzyjnie: „Fra i due litiganti il terzo gode", czyli „Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta") Giuseppe Sartiego. Wszystko to wielkie przeboje opery wiedeńskiej czasów Mozarta — z którymi jego dziełom nie było wcale łatwo konkurować.

Tym razem jednak festiwal nie kończy się w niedzielę. Przedłuża się do ostatecznego zakończenia Wielkanocy, gdy swoją Paschę obchodzi Kościół ortodoksyjny. Tydzień później, 16 kwietnia, zabrzmi zatem muzyczne spotkanie Wschodu z Zachodem: Ensemble Irini zestawił XV/XVI-wieczną muzykę Gruzji i Florencji. Tytuł programu „Święta Wiosna. Życie/Śmierć /Odrodzenie" przywodzi też na myśl pewne dzieło otwierające w historii muzyki wiek XX. Ciekawe, czy zestawienie motetów działającego m.in. we Florencji Flamanda Heinricha Isaaca z pieśniami z kaukaskiego królestwa, w którym chrześcijaństwo ma jedną z najdłuższych tradycji w historii, zabrzmi podobnie prowokacyjnie jak owa „Święta Wiosna". Nawet jeżeli nie, to zapewne przyniesie nie mniej głębokie oczyszczenie.

Jakub Puchalski

kbf:

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Nadstaw ucho

NEXT FEST SHOWCASE & CONFERENCE, 20–22 KWIETNIA, POZNAŃ
Ponad setka artystek i artystów. Festiwal jest połączeniem koncertów oraz spotkań branży muzycznej. Wystąpią m.in. Katarzyna Nosowska, Anieli, Dobrawa Czocher, Ralph Kaminski, Igor Herbut, Tomasz Makowiecki.

GALA INTERNATIONAL CLASSICAL MUSIC AWARDS, 21 KWIETNIA, WROCŁAW
Po raz pierwszy w Narodowym Forum Muzyki. Wystąpią tu laureaci tegorocznej edycji wydarzenia, którzy zjadą z całego świata (Alessandro Marangoni, Maxim Lando, Sào Soulez Larivière, Ermonela Jaho, Leonhard Baumgartner i in.), odbędzie się także uroczyste wręczenie nagrody ICMA za specjalne osiągnięcia, które kapituła przyznała NFM.

FESTIWAL 4 TRADYCJI, 21 KWIETNIA–28 MAJA, KRAKÓW
Dzięki nawiązaniom do muzyki prawosławia, judaizmu, orientu oraz kultury łacińskiej będziemy mogli posłuchać, jak brzmiała dawna Rzeczpospolita. W tegorocznej edycji usłyszymy m.in. „Liturgię uroczystą" Łesi Dyczko (kompozytorka urodzona w 1939 r. w Kijowie), Klezmorim Trio, Basiani – wykonujący polifoniczną muzykę Gruzji oraz Karolinę Cichą & Spółkę.

JAZZ NAD ODRĄ, 26–30 KWIETNIA, WROCŁAW
Najstarszy festiwal muzyczny we Wrocławiu, który stał się wizytówką miasta. W tym roku będzie można posłuchać takich artystów jak: Kasia Pietrzko Trio, Kuba Stankiewicz International Quartet, Philip Dizack Quartet, Jerzy Małek Gravity Group i inni.

MUSICA ELECTRONICA NOVA, 13–21 MAJA, WROCŁAW
Tegoroczna edycja, „Kaleidophonia" (połączenie dwóch słów: „kalejdoskop" i „fonia"), pokazuje różnorodność programu. Wśród wykonawców usłyszymy m.in. Władysława Kosendiaka, Macieja Michaluka, Studio Dan, Cezarego Duchnowskiego, Piotra Nowaka, Caravaggio, Court-circuit, Ensemble Kompopolex.

FESTIWAL KULTURA NATURA, 11–21 MAJA, KATOWICE
Najpiękniejsze muzyczne pejzaże Beethovena, Mendelssohna, Dvořáka, Sibeliusa, Schumanna, Liszta i Karłowicza. Festiwal łączy w sobie różne style muzyczne i sztuki wizualne. Niezmiennie jednak skupia największe nazwiska i zespoły muzyczne. W tym roku wystąpią m.in. Jan Jakub Orliński, Rundfunk-Sinfonieorchester Berlin, Andrei Ioniță, Louis Lortie oraz London Philharmonic Orchestra.

FESTIWAL BALTIC GUITAR DAYS, 15–18 CZERWCA, SZCZECIN
Festiwal gitarowy połączony z konkursem. Poranne zmagania gitarzystów uzupełnią wieczorne koncerty. Finałowy koncert odbędzie się w Filharmonii im. M. Karłowicza.

©℗ Opracowała: ANNA DZIURDZIKOWSKA

Senna Rozalia i patroni wiosny

MAGDALENA ŁANUSZKA

Przemierzając szlaki Małopolski, południowych Moraw i Dolnej Austrii, prowadzące przez winnice i miasteczka, warto zajrzeć do przydrożnych kapliczek.

W Czechach i południowej Polsce trafimy na Floriana albo Nepomuka. To cenieni patroni, zwłaszcza na terenach rolniczych, ponieważ chronili od najgorszych tragedii – powodzi i pożarów. Floriana rozpoznamy po zbroi rzymskiej oraz po tym, że wylewa wodę na płomienie. **Święty Florian** był męczennikiem, legionistą związanym z prowincją Noricum, czyli z terenami dzisiejszej Austrii. Poniósł śmierć w początkach IV w., a w XII w. jego relikwie zostały podarowane Polakom i trafiły do katedry na Wawelu. Głowa natomiast umieszczona została w kościele św. Floriana na podkrakowskim Kleparzu (zwanym także, ze względu na tego patrona, Florencją).

Często uważa się, że Florian chroni przed ogniem, ponieważ w XVI w. to właśnie jego kościół ocalał w czasie wielkiego pożaru Kleparza. To nieprawda, Florian jako patron „od ognia" czczony był już znacznie wcześniej i na różnych terenach. Legenda o tym, że miał w cudowny sposób ugasić płonące miasto jednym kubełkiem wody, jest zapewne późnośredniowieczna. W żywocie tego świętego przeczytamy, że miał być

FOT. MAREK ZAJDLER / EAST NEWS

Fontanna z figurą św. Floriana autorstwa Wacława Donaja z 1777 r. na rynku w Cieszynie. Lipiec 2016 r.

spalony na stosie, ale ostatecznie został utopiony. Z tego powodu dodatkowo chroni także od powodzi.

Głównym patronem chroniącym od wszelkiego rodzaju zalań był Nepomuk – czyli św. Jan Nepomucen, kanonik praski żyjący w XIV w., który zginął w wyniku zatargu króla z biskupem (został aresztowany i nie przeżył przesłuchań, a jego ciało zrzucono do rzeki). Legenda zrobiła z niego osobistą ofiarę króla Wacława IV – kanonik Jan miał zostać utopiony w Wełtawie za odmowę wyjawienia tajemnicy spowiedzi królowej. W rezultacie, jak wierzono, Jan Nepomucen zyskał szczególną moc trzymania rzek w ryzach: aby zapobiegać wiosennym powodziom, stawiano „Nepomuki" na wałach i w pobliżu mostów. Ten święty jest bardzo charakterystyczny i łatwy do rozpoznania: to duchowny w stroju kanonika, z krucyfiksem w dłoni i gwiazdami wokół głowy (gwiazdy miały się ukazać nad jego utopionym ciałem).

Jeśli nasze wiosenne wycieczki wiodą przez winnice, jest spora szansa, że trafi nam się święty w stroju biskupa lub papieża trzymający w dłoni kiść winogron. To patron winiarzy, **św. Urban**... choć w sumie nie do końca wiadomo, który. Najczęściej uznaje się, że chodzi o św. Urbana I, papieża i męczennika, który miał zginąć 23 maja 230 r. i zostać pochowany dwa dni później w katakumbach św. Kaliksta. To właśnie 25 maja przez wieki obchodzono święto św. Urbana (zniesione w XX w. w ramach reform papieża Pawła VI; obecnie wspomnienie św. Urbana I przypada na 19 maja).

Urban był patronem rolników, szczególnie winiarzy – z jego kultem wiązały się rozmaite wiosenne wróżby i przysłowia dotyczące pogody i urodzaju. Szkopuł w tym, że nie bardzo wiadomo, na jakiej podstawie tradycja powiązała papieża Urbana z winem. Najbardziej prawdopodobne wydaje się wyjaśnienie, iż święto św. Urbana zastąpiło pogańskie obchody z okolic 25 maja, poświęcone winiarstwu.

Czasami św. Urban w przydrożnych kapliczkach i na budynkach winiarzy ukazywany jest jako papież – czyli w tiarze. Częściej jednak ma po prostu strój biskupi. Co ciekawe, mamy także innego św. Urbana biskupa – z francuskiej diecezji Langres, żyjącego w IV w. On także był patronem winiarzy, szczególnie w niektórych regionach Burgundii i Szampanii. Wedle legendy w czasie prześladowań schronił się w winnicy i nawrócił jej właścicieli. Swoją drogą, ta opowieść wtórnie została także w ludowej tradycji powiązana z wcześniej wspomnianym Urbanem papieżem.

Na zupełnie innego Urbana trafimy z kolei nad Dunajcem, w Iwkowej, na zachód od Czchowa. Można się tam udać na spacer zielonym szlakiem św. Urbana, który wiedzie do kapliczki św. Urbana, a potem na szczyt góry Bukowiec, zwanej również Górą Świętego Urbana.

Wedle tradycji kapliczka ta ma się znajdować w miejscu, w którym na przełomie X i XI w. mieszkał pustelnik Urban – niestety obraz w środku przedstawia świętego papieża Urbana, co jest błędem: komuś po prostu pomylili się Urbanowie.

Ów naddunajecki Urban – żyjący wszakże osiem wieków po papieżu – należał do grupy najstarszych ↦

małopolskich pustelników, którym przewodził św. Świerad. Świerad mógł urodzić się w Małopolsce w drugiej połowie X w. Wiemy, że udał się na Węgry i wstąpił do benedyktyńskiego klasztoru św. Hipolita na górze Zabor koło Nitry w górnych Węgrzech (dzisiejsza Słowacja), przyjmując zakonne imię Andrzej. Zmarł w pustelni nad Wagiem koło Trenczyna, a miejsce po nim zajął Benedykt. Uważa się, że ów Benedykt może być tożsamy z enigmatycznym pustelnikiem Urbanem, znanym także jako towarzysz Świerada, którego kult od wieków rozwijał się właśnie w Małopolsce, w Iwkowej. Urban po wstąpieniu do klasztoru w Nitrze mógł zmienić imię na Benedykt, podobnie jak Świerad przyjął imię Andrzej. Cóż, to skomplikowane.

Zresztą w Europie Środkowej na przełomie tysiącleci naprawdę ciekawe osobistości przewijały się przez benedyktyńskie klasztory – podczas gdy Świerad siedział w swojej pustelni nad Wagiem, niejaki **Prokop** zakładał benedyktyński klasztor w Sázavie w Czechach, działający do ostatniej dekady XI w. w rycie słowiańskim (później zastąpionym łacińskim). Prokop był pierwszym opatem tego klasztoru – stworzył tam ważny ośrodek kultury staro-cerkiewno-słowiańskiej. Ukazywany jest w sztuce w infule i z pastorałem – można go zatem niesłusznie wziąć za biskupa. Ma jednak św. Prokop bardzo charakterystyczny atrybut: a mianowicie skutego łańcuchem diabła.

Prokop zmarł 25 marca 1053 r., wyniesiony na ołtarze został 4 lipca 1204 r. – stał się zatem jednym z owych wiosenno-letnich patronów, których kult zmieszał się z pogańskimi obchodami rolniczymi. Legenda powiązała Prokopa z pracą na roli: miał on zmusić diabła do zaorania pola. Po prostu zaprzągł czarta do pługa i kazał mu orać kamienistą ziemię, poganiając go krzyżem. U źródeł tej legendy leży zapewne opowieść o przezwyciężaniu pokus, być może za pomocą fizycznej pracy. Warto też pamiętać, że benedyktyńskie klasztory miały duży wkład w rozwój rolnictwa Europy, zwłaszcza pod koniec pierwszego tysiąclecia, ponieważ wykształceni zakonnicy wprowadzali nowe narzędzia i innowacyjne rozwiązania, które przejmowali chłopi mieszkający w okolicach klasztorów. W późnym średniowieczu górnicy z Przybramia w środkowych Czechach wybrali św. Prokopa na swego patrona, stał się on zatem opiekunem górnictwa.

Oprócz przydrożnych kapliczek w Europie Środkowej – przede wszystkim na terenach dawnej Monarchii Habsburskiej – trafimy także na tzw. kolumny (słupy) morowe. Były to pomniki wotywne związane z zarazą, najczęściej wznoszone w centrach miast i miasteczek po ustąpieniu epidemii. Masowo stawiano je tutaj w XVII i XVIII w. Na szczycie miały przedstawienie Trójcy Świętej lub Matki Boskiej, a u nasady figury innych świętych. Mógł się trafić i Jan Nepomucen, i Florian, ale także patroni specyficznie wzywani w czasach zarazy: **św. Sebastian** (zabity strzałami, a strzała symbolizowała śmierć od morowego powietrza), **św. Roch** (patron pielgrzymów, który opiekował się chorymi w czasie epidemii czarnej śmierci w XIV w. i sam się zaraził), a także **św. Rozalia**. Jej przedstawienia są o tyle interesujące, że zazwyczaj ukazana jest ona na leżąco z kwiecistym wiankiem na głowie, którą wspiera na dłoni. Tak przedstawiona Rozalia zdaje się uosabiać wiosenne lenistwo.

> Św. Prokop ma bardzo charakterystyczny atrybut: skutego łańcuchem diabła. Zaprzągł czarta do pługa i kazał mu orać kamienistą ziemię, poganiając go krzyżem.

Rozalia z Palermo, czy też Rozalia Sycylijska, żyła w XII w., ale jej kult rozwijał się od wieku XVII. Była wysoko urodzoną panną, która odmówiła zamążpójścia i wybrała życie pustelnicze. Jej szczątki pozostały w grocie, w której żyła i zmarła – odkryto je w 1624 r., akurat kiedy ustępowała zaraza. Dlatego też Rozalia otoczona została kultem jako patronka chroniąca od epidemii.

Ikonografii św. Rozalii nie sposób analizować bez odniesienia do św. Marii Magdaleny, której wizerunek przeszedł dość zaskakującą przemianę. W średniowieczu była ona przedstawiana jako piękna kobieta ze słoiczkiem wonności (ta, która namaścić miała stopy Chrystusa, a w wielkanocny poranek przybyć z wonnościami do Jego grobu) oraz jako pustelnica przeżywająca mistyczną ekstazę (wedle legendy Maria Magdalena trzy ostatnie dekady życia spędziła na pustkowiu).

W czasach nowożytnych zaczęto ukazywać ją jako nawróconą grzesznicę: słoiczek wonności zastąpiła czaszka – symbol przemijania, często występujący w przedstawieniach pustelników i pokutujących za grzechy. Marię Magdalenę zaczęto także przedstawiać w pozie personifikacji Melancholii: z opuszczoną głową wspartą na dłoni. Melancholia (jeden z czterech temperamentów) wiązana była m.in. z tzw. chorobą miłosną i to zapewne najlepiej odnosiło się do Marii Magdaleny jako tęskniącej za ukochanym Jezusem po Jego Wniebowstąpieniu. Z drugiej strony była ona też „świętą grzesznicą", Melancholię zaś rozpatrywano w odniesieniu do grzechu acedii: gnuśności, apatii, niemocy, również w znaczeniu duchowym. Poza tym Melancholia była temperamentem, któremu patronował mroczny Saturn, bóstwo ziemi.

Wszyscy zatem pustelnicy, wycofujący się z czynnego życia, kryjący się w grotach i jaskiniach, byli w jakimś stopniu melancholikami. Ta właśnie ikonografia przeszła także na św. Rozalię – podobnie jak Maria Magdalena była ona w sztuce nowożytnej ukazywana w melancholicznej pozie, z krzyżem i czaszką jako atrybutami. Od Magdaleny odróżnia jednak Rozalię wianek na głowie – Rozalia, w przeciwieństwie do nawróconej jawnogrzesznicy Magdaleny, była dziewicą.

W czasie wiosennych wędrówek – nie tylko na terenach Europy Środkowej – trafimy także na wielu innych świętych. Tak czy inaczej – warto zatrzymywać się przy słupach, kapliczkach i przydrożnych rzeźbach. Kryją wiele arcyciekawych opowieści oraz nieco zapomniane tradycje i wierzenia.

© MAGDALENA ŁANUSZKA

EKSPRESJA

LWOWSKA RZEŹBA ROKOKOWA

ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

REKLAMA

Львівська національна галерея мистецтв імені Б. Г. Возницького

Ekspresja.
Lwowska rzeźba rokokowa
31.03.2023–22.10.2023
Zamek Królewski na Wawelu

Expression:
Lviv Rococo Sculpture
31.03.2023–22.10.2023
Wawel Royal Castle

Експресія.
Львівська скульптура рококо
31.03.2023–22.10.2023
Королівський замок на Вавелі

Honorowy Patronat Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego prof. Piotra Glińskiego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Partner Strategiczny Zamku Królewskiego na Wawelu

Bank Polski

Partner Zamku Królewskiego na Wawelu

TOTALIZATOR SPORTOWY

Mecenas Edukacji Zamku Królewskiego na Wawelu

PGE Polska Grupa Energetyczna

Partner wystawy

INSTYTUT HISTORII SZTUKI UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI W KRAKOWIE

Patroni medialni

POLSKIE RADIO

Radio Kraków

Radio Kraków Kultura

RZECZPOSPOLITA

DZIENNIK POLSKI

Nasze Słowo

TVP 3 KRAKÓW

TVP KULTURA

TVP HISTORIA

GOŚĆ NIEDZIELNY

SPOTKANIA Z ZABYTKAMI

Kraków Culture

Kilka dobrych powodów, by pójść do teatru

DARIUSZ KOSIŃSKI

Wyprawy teatralne to pasja niewielkiej grupy osób. Warto do nich dołączyć, tegoroczna wiosna jest ku temu najlepszą okazją.

GNIEZNO Konieczność odbycia całodziennej podróży dla godzinnego przedstawienia? Według logiki pragmatycznej to absurd. Ale według logiki wartościowego doświadczenia – wielki zysk. Z pewnością będzie nim wyprawa do Gniezna na jedno z najważniejszych wydarzeń tego sezonu, czyli „Sędziów" Stanisława Wyspiańskiego w reż. Anny Augustynowicz. Gdyby zaś nie udało się trafić akurat na „Sędziów", to do **Teatru Fredry** i tak wyprawić się warto, np. na alternatywną historię początków polskiej państwowości (gdzież, jak nie w Gnieźnie, mogłaby się odbyć prapremiera „966 czyli zmierzchu bogów" Jarosława Murawskiego w reż. Marcina Libera) czy na przypominanie potransformacyjnych początków polskiej pornografii jako niewykorzystanej szansy na uwolnienie seksualności z piętna grzechu („Miła robótka" według książki Ewy Stusińskiej w reż. Agnieszki Jakimiak).

WAŁBRZYCH Skoro mowa o powrotach do niewykorzystanych szans i dawnych emocji, to wszyscy pamiętający ostatnie dekady XX w. powinni wiosną ruszyć do Wałbrzycha, bo tam w obecnym sezonie trwa parada przedstawień na różne sposoby odwołujących się do minionych ekscytacji. Jeszcze jesienią **Teatr Szaniawskiego** przywołał „Niewolnicę Isaurę" w spektaklu Agnieszki Wolny-Hamkało i Martyny Majewskiej, zimą – historię Andrzeja Gołoty („Bił sobie Andrzej" Mariusza Gołosza w reż. Macieja Hanuska), a wiosną zabiera widzów do „Szpitala na peryferiach". Trzeba jednak zastrzec, że spektakl Macieja Podstawnego tylko tytułem nawiązuje do słynnego czechosłowackiego serialu. W istocie ma być próbą podjęcia poważnej dyskusji o ochronie zdrowia i naszym do niej stosunku. Poważną dyskusję – tym razem o pracy – proponuje też wałbrzyska scena w swojej drugiej marcowej premierze – „Nad Niemnem", w której powieść Elizy Orzeszkowej połączona z dramatem reżyserującego przedstawienie Seba Majewskiego „Sowa, córka piekarza" staje się materiałem pozwalającym „ująć temat pracy w wymiarze historycznym". Jeśli kogoś poważne dyskusje męczą, to Teatr Szaniawskiego zaprasza na musical „Daisy" o legendarnej księżnej Daisy von Pless – ujmujące i zrobione ze znawstwem gatunku, a niedocenione przedstawienie.

SZCZECIN Jedna z najdłuższych tras, jaką trzeba pokonać, by obejrzeć dobry spektakl, wiedzie do **Teatru Współczesnego** w Szczecinie. Wprawdzie niektóre jego przedstawienia (jak „Odlot" Zenona Fajfera w reż. Anny Augustynowicz) bywają pokazywane na największych festiwalach, ale trudno na to liczyć w każdym przypadku. A wyprawa do Współczesnego to doświadczenie zawsze niezwykłe, nie tylko ze względu na wyjątkowe położenie i topografię samego budynku, ale przede wszystkim z powodu jakości i wagi tego, co w nim pokazywane. Od zeszłorocznego, wstrząsającego „Spartakusa. Miłości w czasach zarazy" w reż. Jakuba Skrzywanka, po najnowszą premierę „Snu nocy letniej" (częściowo) według Shakespeare'a (reż. Jakub Skrzywanek i Justyna Sobczyk) – teatr szczeciński gwarantuje doświadczenie i myślenie dalekie od schematów.

KIELCE Wyprawy pozametropolitalne nie muszą jednak wiązać się z pokonywaniem tak dużych odległości. Można wyskoczyć np. do Kielc, gdzie wprawdzie historyczny budynek **Teatru Żeromskiego** wciąż jest remontowany, ale sam zespół pod wodzą Michała Kotańskiego nie zwalnia tempa i nie rezygnuje z nowych wyzwań. Po premierach „Frankensteina" i „Uciekła mi przepióreczka" oraz kontrowersyjnym spektaklu Mateusza Pakuły „Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję" (koprodukcja z krakowską Łaźnią Nową) wiosnę teatralne Kielce przywitały inscenizacją dramatu nominowanej do Paszportu „Polityki" Ishbel Szatrawskiej „Żywot i śmierć pana Hersha Libkina z Sacramento w stanie Kalifornia" w reż. Łukasza Kosa.

OPOLE Nieodległym od większości stolic, a historycznie wręcz modelowym teatralnym ośrodkiem metropolitalnym jest Opole, gdzie w już odnowionym **Teatrze Jana Kochanowskiego** dyrektor Norbert Rakowski proponuje wiosną własną inscenizację pod niezwykle zachęcającym tytułem „Cztery dobre powody by rzucić wszystko w cholerę". Czy jednym z tych powodów jest teatr? Nie wiem, ale do Opola wybrać się warto, zarówno po to, by zobaczyć własne produkcje tego teatru (np. „Kotkę na gorącym blaszanym dachu", którą wystawił niedawno Radosław Stępień), jak i dla obejrzenia przedstawień „klasyki żywej" zgromadzonych na **Opolskich Konfrontacjach Teatralnych,** które odbędą się na przełomie maja i czerwca.

POZNAŃ Teatralne wycieczki można wygodnie połączyć z weekendowymi wypadami do miast większych, komunikacyjnie łatwo dostępnych i zapewniających wiele pozateatralnych atrakcji. Na przykład do Poznania, który od lat należy do krajowej czołówki scenicznej, przede wszystkim dzięki skutecznie rywalizującym teatrom Polskiemu i Nowemu. Do **Teatru Polskiego** koniecznie trzeba się wybrać na ważne i głośne przedstawienia

będące już w repertuarze, ale wciąż brzmiące nowymi tonami. Jak w obliczu „wojny papieskiej" zadziała prowokacyjna i niejednoznaczna „Śmierć Jana Pawła II" Jakuba Skrzywanka? Czy niedawna premiera „Hagi" Saszy Denisowej okaże się prorocza i rosyjscy zbrodniarze staną przed międzynarodowym trybunałem? **Teatr Nowy** z kolei rozpoczął wiosnę od premiery słynnego „Woyzecka" Georga Büchnera w reż. Zdenki Pszczołowskiej, a wśród proponowanych przez tę scenę niedawnych nowości jest też atrakcyjnie nieoczywisty dramat Neila LaBute'a „Kilka dziewczyn" wystawiony przez dyrektora Piotra Kruszczyńskiego.

GDAŃSK Jeden z najpopularniejszych kierunków krótkich wypadów miejskich to niezależnie od pory roku Gdańsk. Wprawdzie na koniec przebudowy najważniejszej tutejszej sceny – **Teatru Wybrzeże** – jeszcze chwilę przyjdzie poczekać, ale zespół kierowany przez Adama Orzechowskiego mimo trudności regularnie proponuje intrygujące nowości. Najbliższą ma być adaptacja „Kroniki wypadków miłosnych" Tadeusza Konwickiego w reż. Jarosława Murawskiego. Jeśli dodać do tego gdańskie prezentacje jednej z najgłośniejszych premier roku, musicalu „1989" (koprodukcja z Teatrem Słowackiego w Krakowie), to teatralne *city break* w Gdańsku natychmiast nabiera kolorów.

TORUŃ Innym miastem chętnie wybieranym na wiosenne wypady weekendowe jest Toruń. Przyjazd tu zawsze warto połączyć z wizytą w **Teatrze Horzycy**, choćby po to, by zobaczyć wciąż stosunkowo nową inscenizację „Wiśniowego sadu" Czechowa w reż. Łukasza Kosa.

BYDGOSZCZ Z Torunia już tylko rzut kamieniem do Bydgoszczy – łączenie obu rywalizujących miast to dla miłośników teatru wręcz oczywistość. Choć główny gmach bydgoskiego **Teatru Polskiego** też jest w remoncie, wciąż dzieją się tu rzeczy teatralnie bardzo ciekawe. Przykładem dwie ostatnie premiery: „Komediantka" według Reymonta w reż. Anity Sokołowskiej oraz „Stella Walsh. Najszybsza osoba świata" w reż. Jana Jelińskiego – o interpłciowej biegaczce znanej w Polsce jako Stanisława Walasiewicz.

WROCŁAW Wycieczkę do Wrocławia z pewnością warto połączyć z wizytą w tutejszym **Teatrze Współczesnym** i obejrzeniem adaptacji głośnego „Chamstwa" Kacpra Pobłockiego w reż. Agnieszki Jakimiak czy zapowiadanej na 22 kwietnia premiery „Trąbki do słuchania" Leonory Carrington w reż. Weroniki Szczawińskiej, której „Miejskiego ptasiarza" i „Genialną przyjaciółkę" wciąż można oglądać na tej samej scenie. Nowym ważnym miejscem na teatralnej mapie Wrocławia jest w ostatnich latach **Centrum Sztuk Performatywnych „Piekarnia"** prowadzone przez Instytut Grotowskiego. Stale gości tam **Teatr Polski w Podziemiu**, którego najnowszą produkcję, znakomite „Finnegans W/Fake", będące polską odpowiedzią na poemat Joyce'a przygotowaną przez Beniamina Bukowskiego i Katarzynę Kalwat, obejrzeć będzie można po długiej przerwie w dniach 10-12 maja. ↦

REKLAMA

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

PRAPREMIERA marzec 2023

ŻYWOT I ŚMIERĆ PANA HERSHA LIBKINA Z SACRAMENTO W STANIE KALIFORNIA

pierwsza adaptacja sceniczna bestsellerowej książki Ishbel Szatrawskiej

reżyseria Łukasz Kos

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

www.teatrzeromskiego.pl / REZERWACJE BILETÓW kasa@teatrzeromskiego.pl tel. 41 344 75 00

ŁÓDŹ Wśród wielu powodów, dla których wizyta w Łodzi to naprawdę dobry pomysł, jest też kilka teatralnych. Jeden z nich to najświeższa premiera **Teatru Nowego** „Dobrze ułożony młodzieniec" Jolanty Janiczak w reż. Wiktora Rubina – opowieść o nieoczywistości płciowych schematów. Nie wiem, czy „Dziady" to pozycja łatwo łącząca się z *city break*, ale gdyby komuś taki zestaw odpowiadał, to w **Teatrze Jaracza** niedawno odbyła się premiera kolejnej inscenizacji w reż. Adama Sroki. Na pewno więcej chętnych będzie na połączenie wiosennego weekendu z komedią, co umożliwia łódzki **Teatr Powszechny**, noszący dumne miano Polskiego Centrum Komedii. Wprawdzie „Błędne koło" Flavii Coste, którego premiera jest zapowiadana na 13 maja, to pozycja raczej poważna, ale w repertuarze teatru coś poprawiającego nastrój też się znajdzie.

ŚLĄSK I ZAGŁĘBIE Wbrew pozorom sieć teatralnych polskich metropolii nie jest stała. Są w niej oczywiście dwa najstabilniejsze punkty, czyli Kraków i Warszawa, ale pozycja trzeciej metropolii okazuje się zmienna. Dziś zajmuje ją bez wątpienia Górnośląsko-Zagłębiowska Metropolia ze stolicą w Katowicach. Tutejszy **Teatr Śląski** stał się w ostatnich latach jedną z najważniejszych scen w kraju, a że coraz wyższy poziom i ciekawsze propozycje proponują sceny w Sosnowcu, Gliwicach, Zabrzu i Tychach, to nic dziwnego, że to na Śląsk coraz częściej wiodą „teatrołaźnicze" szlaki. Okazją do tego (niestety dość rzadką i wymagającą wiosną co najmniej dwóch wypraw), by zapoznać się ze specyfiką regionu, w tym z relacjami wewnątrz GZM, jest obejrzenie swoistej śląsko-zagłębiowskiej dylogii „Węgla nie ma" Przemysława Piekarskiego w Katowicach i „Nikaj" Zbigniewa Rokity w Sosnowcu (jedyny wiosenny pokaz 14 maja). Oba spektakle, wyreżyserowane przez dwóch dyrektorów pracujących tym razem nie na swoich scenach (Jacek Jabrzyk w Katowicach, Robert Talarczyk w Sosnowcu), z humorem, ale i bez taryfy ulgowej ujawniają śląsko-zagłębiowskie napięcia i uprzedzenia.

Z pewnością jednym z najważniejszych przedstawień mijającego sezonu jest wyreżyserowana przez Maję Kleczewską adaptacja „Łaskawych" Jonathana Littella (kto jeszcze nie widział, niech czym prędzej rusza do Katowic). Być może wydarzeniem równie głośnym będzie adaptacja „Empuzjonu" Olgi Tokarczuk w reż. Roberta Talarczyka, współprodukowana przez warszawskie Studio i wrocławski Instytut im. Grotowskiego. Frapującą propozycją jest też teatralna wersja słynnego „Przełamując fale" Larsa von Triera w reż. Justyny Łagowskiej. Jeśli dodać do tego jeszcze „Inwazję jaszczurów" Karela Čapka w reż. Łukasza Zaleskiego w **Teatrze Nowym w Zabrzu**, to doprawdy otrzymamy aż nadmiar powodów do teatralnych wypadów na Śląsk.

KRAKÓW Do przyjazdu wiosną do Krakowa namawiać nie trzeba. Wprawdzie o bilety na największy (inna sprawa, czy zasłużenie) hit sezonu, musical „1989" w **Teatrze Słowackiego**, straszliwie trudno (podobnie jak na inne głośne propozycje tej sceny: „Dziady" Mai Kleczewskiej i „Act of Killing" Jana Klaty), ale nawet jeśli nie uda się ich zdobyć, wciąż jest wiele powodów, by do stolicy Małopolski przyjechać.

Jednym z najmniej oczywistych jest znakomity, choć przedziwnie niedostrzeżony „Art of Living" Katarzyny Kalwat na Scenie Kameralnej **Narodowego Starego Teatru**. Premiera adaptacji „Życia. Instrukcji obsługi" Georges'a Pereca autorstwa Beniamina Bukowskiego odbyła się wprawdzie 9 grudnia, ale przedstawienie grane jest dość rzadko, więc jego kwietniowe i majowe pokazy to wciąż prezentacje nowej pozycji w repertuarze. Uprzedzam – spektakl trwa pięć godzin. Ale też uspokajam i zachęcam – to będą jedne z najwspanialszych pięciu godzin, jakie przeżyjecie w tym roku. Także najnowsze pozycje w repertuarze Starego Teatru, czyli „Opera za trzy grosze" Bertolta Brechta w reż. Ersana Mondtaga i „Genialna przyjaciółka" Eleny Ferrante w reż. Eweliny Marciniak, to spektakle z pewnością warte zobaczenia. Koniecznie dodać do nich trzeba najświeższą propozycję **Teatru Ludowego** – „Śmierć komiwojażera" Arthura Millera w reż. Małgorzaty Bogajewskiej, a także zapowiadaną na 5 maja premierę „Królowej" w reż. Piotra Siekluckiego– spektaklu o Freddiem Mercurym, który przygotowuje **Teatr Nowy Proxima**.

WARSZAWA Stolicę zostawiłem na koniec, bo jej teatralna stołeczność wciąż wydaje się oczywista, nawet jeśli właśnie w Warszawie ogólnopolski kryzys teatralny widać szczególnie jasno – po okresie bojowym stołeczne sceny spuściły z tonu. Może nie jest to „rok spokoju i relaksu", ale nie sposób nie zauważyć, że istotnych powodów do teatralnych wypraw w cień Pałacu coraz mniej. Czy wiosna to odmieni? Warto sprawdzić.

Wśród zapowiadanych premier warszawskich szansę na przyciągnięcie widzów ma wspomniany już „Empuzjon" w **Teatrze Studio**, najświeższa premiera **Teatru Dramatycznego** – „Chłopaki płaczą" Michała Buszewicza, zapowiadany przez **TR Warszawa** dramat Leny Languszonkowej „Mój sztandar zasikał kotek. Kroniki z Donbasu" w reż. Aleksandry Popławskiej czy „Melodramat" Anny Smolar – przedstawienie o alkoholizmie z perspektywy współuzależnionych kobiet, którego premiera odbędzie się w **Teatrze Powszechnym**. Wiele osób wybierze się z pewnością do **Teatru Narodowego**, by móc podziwiać jednego z największych polskich aktorów współczesnych, Jerzego Radziwiłowicza, w mającym wspaniałą polską tradycję aktorską (Tadeusz Łomnicki, Igor Przegrodzki) „Komediancie" Thomasa Bernharda w reż. Andrzeja Domalika.

Na przeciwległym biegunie teatralnego świata lokuje się jedna z najbardziej przeze mnie oczekiwanych warszawskich premier – oryginalna wersja „Hamleta" przygotowywana przez Dawida Żakowskiego i jego **Sztukę Nową**, rezydującą w tym sezonie w Mazowieckim Instytucie Kultury. Co jakiś czas zespół prezentuje tam swoje przedstawienia (najbliższy pokaz „Black Square" odbędzie się 6 kwietnia). Warto śledzić ich działalność, bo Sztuka Nowa to być może jedyny dziś w Polsce zespół, o którym z pełnym przekonaniem można powiedzieć, że tworzy przedstawienia awangardowe.

Koniec końców – niezależnie od tego, skąd my, teatrołazy, wyruszamy i czym jedziemy – pociągiem, autobusem czy metrem – wszyscy zobaczymy się zapewne na **Warszawskich Spotkaniach Teatralnych w Teatrze Dramatycznym** – majowym przeglądzie tego, co według wybierających najlepsze w polskim teatrze ostatnich miesięcy. W tym roku program układa nowa ekipa Teatru Dramatycznego, więc może być szczególnie ciekawie.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

TEATR WIELKI
IM. STANISŁAWA MONIUSZKI
W POZNANIU

OPERA W AULI UAM

plakat: Ośko/Bogunia & Podona

Antonín Dvořák

STABAT MATER op.58

19 IV
19:00

dyrygent **JACEK KASPSZYK**

Stanisław Moniuszko

LITANIE OSTROBRAMSKIE

10 V
19:00

dyrygent **MARCO GUIDARINI**

WIELKOPOLSKA | SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO

MKiDN | Enea

KASY BILETOWE (UL. FREDRY 9) ŚR-SB: 13:00-18:00 | TEL. 61 65 90 231
BILETY@OPERA.POZNAN.PL
BILETY DOSTĘPNE RÓWNIEŻ PRZED SPEKTAKLEM W MIEJSCU WYDARZENIA

BIURO OBSŁUGI WIDZÓW (WEJŚCIE OD ALEI NIEPODLEGŁOŚCI)
PN.-PT. 8:00-16:00
TEL. 61 65 90 280, 61 65 20 825

WWW.OPERA.POZNAN.PL

DYREKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN W REPERTUARZE

REKLAMA

Z ODDECHEM

BARCELONA BABEL

We współczesnej piłce wszystkie drogi prowadzą do stolicy Katalonii. Nic dziwnego, że jedną z nich poszedł Robert Lewandowski. Wyszedł na tym dobrze czy wdepnął?

MICHAŁ OKOŃSKI

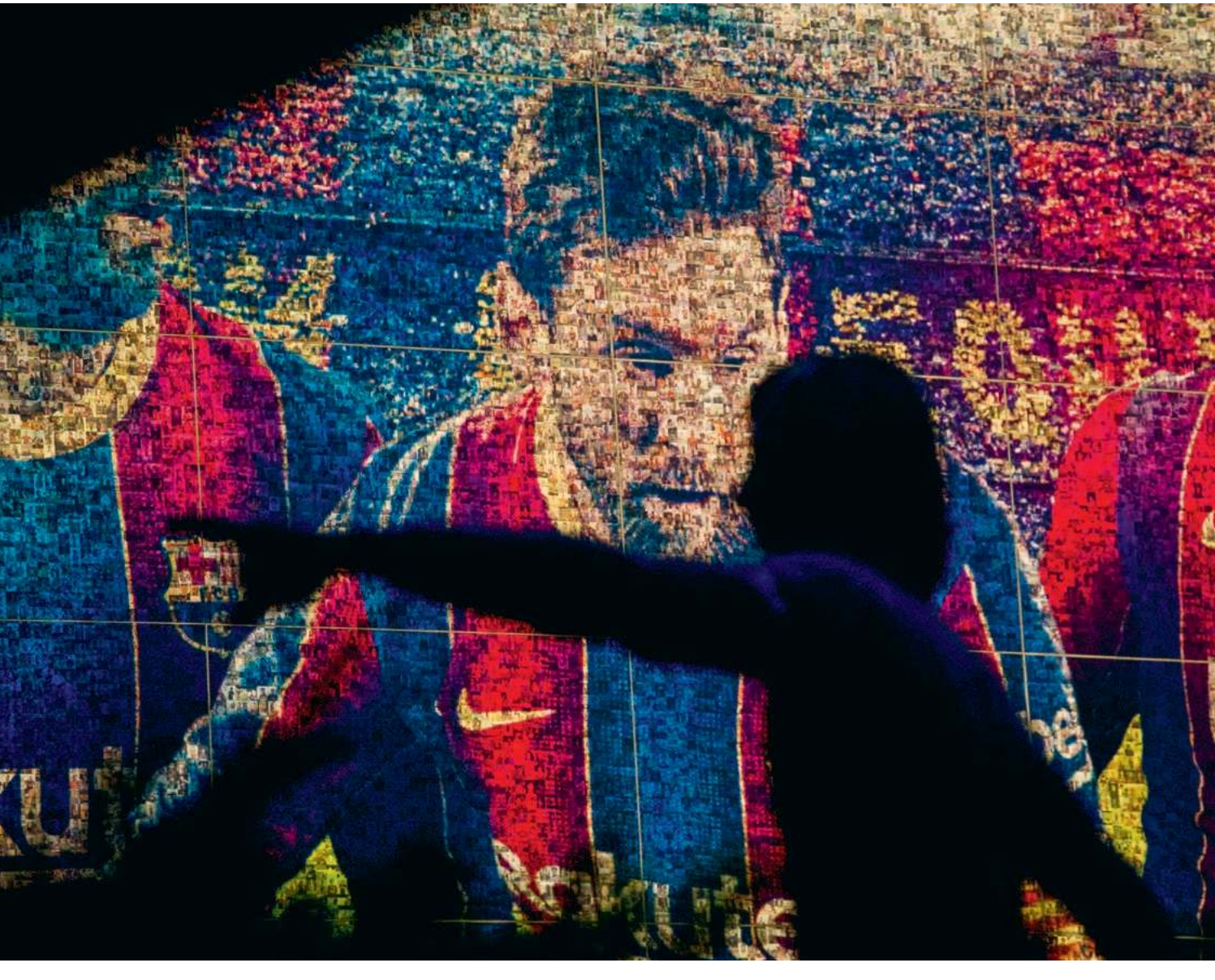

Ktokolwiek słyszał nazwę tej drużyny, czyli niemal każdy mieszkaniec globu, zdziwi się, że zdanie „we współczesnym futbolu wszystkie drogi prowadzą do Barcelony" można rozumieć także w przewrotny sposób: oto ów „więcej niż klub" (jak głosi jego motto) stanowi emanację wszystkich chorób, z jakimi zmaga się dziś ten sport. Jak powiedział kiedyś José Mourinho, pracujący w niej przed laty w roli tłumacza i asystenta angielskiego trenera Bobby'ego Robsona: „Barcelona zastawia na ciebie pułapkę. Chodzi o to, żebyś zaczął myśleć, że to grupa przemiłych ludzi żyjących w idealnym świecie".

Za kulisami owego „idealnego świata", w instytucji kreującej się na szlachetną, romantyczną i oddaną szczytnym ideałom, roi się jednak od skandali, afer i kompromitujących błędów w zarządzaniu. Ostatnia wygrana z Realem Madryt w meczu nazywanym na całym świecie El Clásico oznacza wprawdzie, że po trzyletniej przerwie Barça odzyska najprawdopodobniej mistrzostwo Hiszpanii, a w związku z tym odtrąbi koniec kryzysu, w trakcie którego odszedł związany z nią od początku kariery Leo Messi. Ale w tle sukcesu są np. rewelacje o opłacaniu byłego wiceszefa związku hiszpańskich sędziów piłkarskich – oficjalnie za „konsultacje", a nieoficjalnie być może za zapewnianie drużynie przychylności arbitrów. Zmagający się z potężnym i, co gorsza, krótkoterminowym zadłużeniem zarząd chwyta się też – wobec nałożonych przez władze ligi hiszpańskiej restrykcji dotyczących limitu płacowego – kreatywnej księgowości i oddawania zewnętrznym firmom części spodziewanych dopiero zysków.

Rodak na wakacjach

W Polsce świeżym powodem zainteresowania Barceloną jest oczywiście Robert Lewandowski. O tym, że nie zmienił drużyny na lepszą, kapitan naszej reprezentacji przekonał się wprawdzie już w ósmym występie dla nowego klubu: we wrześniu 2022 r. Bayern, w którym do niedawna występował, rutynowo pokonał jego nowy zespół. Nie oznacza to jednak, że on sam obniżył loty: w lidze hiszpańskiej dość szybko zdobył 15 bramek i mimo pomundialowej obniżki formy prowadzi wciąż w klasyfikacji najlepszych strzelców.

Ale nie o sportowy wymiar przeprowadzki do Katalonii chodziło. Z perspektywy fizycznego komfortu 34-letniego już piłkarza tutejsze rozgrywki wydają się mniej wymagające, a z perspektywy jego rodziny – miejscowy klimat bardziej odpowiedni do życia (jeden z historyków Barcelony nazwie go uosobieniem europejskiego marzenia: „doskonałym połączeniem jedzenia, piękna, dobrej pogody, zamożności, niezbyt szalonego tempa życia, przyjaznej atmosfery, morza i gór"). Z perspektywy interesów globalnej supergwiazdy futbolu z kolei gra w Barçy oznacza otwarcie na nowe zasoby kibiców, np. z Ameryki Łacińskiej.

Nade wszystko jednak Barcelona to mit i historia, bez której piłka nożna wyglądałaby kompletnie inaczej. Na jakimkolwiek boisku odbywają się dziś mecze, jakikolwiek trener obmyśla dziś nowy sposób ich rozegrania, katalońskie rewolucje pozostają dla nich punktem odniesienia.

Pomnik Johana Cruyffa na tle muralu Leo Messiego przed stadionem Camp Nou, Barcelona, sierpień 2021 r.

JOAN MONFORT / AP / EAST NEWS

A w tle jest przecież jeszcze miasto Gaudiego, w kontekście którego użycie słowa „mit" również nie wydaje się tanim chwytem.

Raj nie dla wszystkich

O futbolu opowiadać byłoby najprościej: można by wtedy ograniczyć się do wyliczanki nazwisk, które u kibiców powodują przyspieszone bicie serca (oprócz tych najoczywistszych i najświeższych poprzedników Lewandowskiego, jak Messi czy Neymar, Iniesta i Xavi, Stoiczkow i Laudrup, Maradona i „prawdziwy", czyli brazylijski Ronaldo, przypomnieć można choćby uciekiniera z komunistycznych Węgier Lászlo Kubalę). Mniej oczywiste będzie pokazanie jego społecznego tła.

Pierwszym bohaterem tej opowieści stanie się wówczas pewien Szwajcar, który w 1899 r. dał ogłoszenie do lokalnej gazety, zapraszające na spotkanie zainteresowanych organizacją meczów piłki nożnej. Zauważmy od razu paradoks: klub uważany za demokratyczny i będący formalnie własnością zrzeszonych w nim stu kilkudziesięciu tysięcy *socios* został założony przez imigranta i przedstawiciela *burgesia* – do dziś mającej w nim największe wpływy i funkcjonującej w ramach chowu wsobnego miejscowej burżuazji.

„Klub zdecydowanie nie jest przedstawicielem klasy robotniczej" – tłumaczy Simon Kuper w książce „Barça. Powstanie i upadek klubu, który ukształtował nowoczesną piłkę nożną", kreśląc obraz miasta, które od stuleci szczyci się najlepiej funkcjonującą gospodarką w rejonie Morza Śródziemnego, i którego elity uważają się za bardziej kosmopolityczne, nowoczesne i europejskie niż „prymitywni i dzicy Hiszpanie". W sali obrad klubowego zarządu mówi się po katalońsku (co również jest wyróżnikiem klasowym – miejscowy proletariat posługuje się hiszpańskim). Wszyscy świetnie się znają, wszyscy mieszkają w mieście od pokoleń (najchętniej w domach projektowanych przez Gaudiego), wszyscy chodzili do tych samych szkół.

Przybysz z zewnątrz raczej nie dostanie tu dziś szansy jako niepasujący do *entorno*, środowiska. Najgłośniejszym przykładem byłby właśnie Mourinho. Zemsta, jaką poprzysiągł daremnie aplikujący tu o posadę w 2008 r. Portugalczyk – niczym wygnany z raju szatan w poemacie Miltona, jak portretuje go autor „Dziedzictwa Barcelony" Jonathan Wilson – stała się motorem napędzającym jego dalszą karierę, budowaną w kontrze do katalońskiego stylu gry i pogodnego wizerunku.

W hołdzie Katalonii

Nie zawsze tak było. Ów przybysz ze Szwajcarii, Hans Gamper, rychło uległ katalonizacji i zmienił imię na Joan – zjawisko będzie się powtarzać, a najsilniej da znać o sobie, gdy w podupadłym wówczas klubie pojawi się Johan Cruyff.

Holender przybył tu w 1973 r., a więc w ostatnich latach reżimu generała Franco, kiedy rany po hiszpańskiej wojnie domowej były wciąż dalekie od zabliźnienia. Jedną z jej ofiar był prezydent Barçy, Josep Sunyol, zabity przez falangistów na górskiej drodze. Opierające się miasto zostało spacyfikowane przez zwolenników El Caudillo – kto czytał Orwella, ten wie. Tłumaczony na polski pisarz Manuel Vázquez Montalbán (skądinąd więzień reżimu) mówił, że „na liście prześladowanych organizacji czwarte miejsce – za komunistami,

↦

↦ anarchistami i separatystami – zajmowała FC Barcelona". *Socios* wciąż pamiętają o ofiarach tamtego konfliktu – gdy El Clásico rozgrywane jest na klubowym stadionie Camp Nou, przed meczem udają się na pobliski cmentarz, by prosić poległych krewnych, przyjaciół i piłkarzy o wsparcie.

Lista prześladowań, które faktycznie spotykały FC Barcelonę, jest – co pokazuje np. Filip Kubiaczyk w książce „Historia, nacjonalizm i tożsamość. Rzecz o piłce nożnej w Hiszpanii" – dłuższa niż czasy rządów Franco; kiedy w 1925 r. kibice wygwizdali odegrany przed jednym z meczów hymn Hiszpanii, stadion zamknięto na kilka miesięcy. W najmroczniejszych czasach „frankiści sprawowali iście inkwizytorską kontrolę nad klubem", a jej celem była hispanizacja. Nie brakuje wprawdzie historyków, którzy uważają, że Franco świadomie podsycał regionalne rywalizacje w piłce nożnej, traktując to jako rodzaj wentyla bezpieczeństwa i dbając o zapewnienie rodakom przede wszystkim *pan y fútbol* (chleba i piłki). Ale nawet jeżeli tak było, to – jak pisze Kubiaczyk – dyktator „nie przewidział, do jakiego stopnia Camp Nou stanie się miejscem, w którym »robi się politykę« i wyraża nastroje społeczne całego regionu".

Narodowy klub

Do dziś bycie *soci* jest w Barcelonie raczej oznaką statusu. Niektórzy tak naprawdę nie lubią piłki, obecność na meczach ograniczając do spotkań z Realem Madryt, czyli z Hiszpanią. „Dla nich Barça to poczucie wspólnoty, piłka jest w tym mniej istotna" – pisze badacz dziejów drużyny.

„Znaczna część katalońskiej historii jest opowieścią o poniżeniach i frustracji; miażdżonych i deptanych aspiracjach" – czytamy w książce „Barça. Życie, pasja, ludzie" Jimmy'ego Burnsa. Dopiero powołanie klubu oznaczało powstanie nośnika, który ożywił lokalną dumę. „Stało się to w momencie, gdy Hiszpania cierpiała z powodu traumy związanej z utratą wpływów swojego imperium na Kubie i Filipinach – zauważa Burns. – Barça ofiarowała możliwość wyrównania dawnych długów, powstania nowego frontu, skierowanego bardziej w stronę Europy, miejsca, w którym narodziła się sama gra".

Czasami nadmiar polityki bywa dla przybyszów męczący. Francuz Emmanuel Petit, który grał tu na przełomie XX i XXI w., wspominał: „Od razu, gdy pojawiłem się w Barcelonie, ludzie mówili mi »nie staraj się nauczyć kastylijskiego, musisz nauczyć się katalońskiego«. Odpowiadałem: »Jestem w Hiszpanii czy nie?«. A oni na to: »Nie. Jesteś w Katalonii«. Pod koniec miałem już dość tego typu sytuacji. Rozumiem, że się z tym identyfikowali, ale to zahaczało już o rasizm".

„Katalończycy nie mogli mieć państwa narodowego, więc stworzyli narodowy klub" – podsumowuje Kuper. Narodowy i w pewnym momencie najbardziej dochodowy w świecie.

Prorok z Holandii

Sprawił to w dużej mierze Cruyff. Przed jego pierwszym przyjściem był to, owszem, bastion lokalnej dumy, ale bez ambicji i możliwości podboju na skalę globalną. „Gdy zaczynałem, byłem trzy razy bardziej sławny niż Barcelona. Teraz się mniej więcej zrównaliśmy" – kwitował pod koniec życia Holender. To on wybudował tu – jak powiedział najsłynniejszy z jego uczniów Pep Guardiola – piłkarską katedrę. Czy tylko tu? „Zaryzykowałbym tezę, że Cruyff stworzył całą współczesną piłkę nożną. Jest Freudem lub też Gaudim tego sportu" – pisze Kuper.

Kiedy w 1988 r. Cruyff wracał do Katalonii jako trener, przejął drużynę pogrążoną w kryzysie i nie tylko wygrał z nią pierwszy w dziejach Puchar Europy: nadał jej tożsamość i styl. „Przed epoką Cruyffa mówienie o trenerskiej filozofii wydawało się dziwne, Holender zmienił jednak także wizerunek piłkarskiego szkoleniowca – z generała zagrzewającego swoje oddziały do boju w proroka formułującego swoje credo" – czytamy w „Dziedzictwie Barcelony".

Zdaniem Cruyffa futbol miał w sobie coś z geometrii, a słowem kluczem do rozumienia gry była „przestrzeń". Akcje jego drużyn były płynne, podobnie jak wymienność pozycji między zawodnikami. To dzięki niemu – twierdził inny wielki trener, Arrigo Sacchi – piłka z gry indywidualnej stała się zespołową.

Drużyna marzeń

Kiedy przyjechał do Barcelony jako piłkarz, na lotnisku witały go tłumy. Barça nie wygrała ligi od 13 lat, ale reżim Franco dogorywał i Katalończycy podnosili głowy. Podobnie jak wcześniej w Holandii, gdzie trochę wbrew swojej woli stał się ikoną rewolucji pokolenia dzieci kwiatów, na wskroś apolityczny, ale zarazem wiecznie zbuntowany Cruyff był symbolem czegoś więcej niż futbol.

Trochę z przypadku. W Barcelonie Cruyffom urodził się syn. Postanowili nadać mu imię Jordi, nie wiedząc, że nosił je patron Katalonii i w czasach dyktatury było zakazane. Kiedy poszli dziecko zarejestrować, usłyszeli, że imię musi brzmieć po kastylijsku: Jorge. Na Cruyffa podobne nakazy działały jak płachta na byka – ani myślał ustąpić i w końcu to urzędnik się ugiął. Kiedy w lutym 1974 r. Barcelona wygrywała 5:0 na stadionie Realu (był to najlepszy mecz Cruyffa w jej barwach), Montalbán pisał: „1:0 dla Barcelony – 2:0 dla Katalonii – 3:0 dla świętego Jordiego – 4:0 dla demokracji – 5:0 przeciwko Madrytowi". To w tamtym sezonie Barça odzyskała mistrzostwo kraju. Rok później umarł Franco, którego popiersiem rzucano tego dnia w biurze klubowego zarządu. Wkrótce Cruyff nosił już na ramieniu kapitańską opaskę w barwach Katalonii.

Po porażce Holandii na mundialu w 1974 r. Cruyff zaczął rozwijać koncepcję „moralnego zwycięzcy" – Kuper nieco złośliwie zauważa, że od tej pory piękno w futbolu przestało być skutkiem ubocznym, a zaczęło być sposobem na wygrywanie tych meczów, które się przegrywa – ale i tamta Holandia, i tamta Barcelona faktycznie grały pięknie. W 1992 r. sparaliżowanej ze strachu drużynie przed meczem o Puchar Europy (uważali, że to przeklęte trofeum i klub nigdy go nie zdobędzie) Holender powiedział po prostu „Idźcie i się bawcie". Drużynę nazwano później Dream Teamem, a koncepcje jej trenera zaczęli rozwijać niezliczeni naśladowcy.

I stała się światłość

O tym, jak wyciągnął z zespołu juniorów Pepa Guardiolę i uczynił liderem drużyny – nie najszybszego i chudego jak pietruszka – opowiada się tyle historii, że niektóre mają wręcz charakter apokryfów. Po latach, już jako nieformalny

IMAGO / ANDREW YATES / EAST NEWS

Robert Lewandowski świętuje strzelenie bramki w meczu Barcelony z Manchesterem United, 23 lutego 2023 r.

doradca prezydenta klubu, namaścił niemającego jeszcze doświadczenia w prowadzeniu dorosłych drużyn dawnego podopiecznego na nowego trenera – to właśnie wtedy podano czarną polewkę Mourinho.

Grająca pod Guardiolą tzw. tiki-takę Barcelona aż dwukrotnie w ciągu czterech lat wygrała Ligę Mistrzów i trzy razy mistrzostwo kraju – do dziś wielu ekspertów upiera się, że w dziejach futbolu nie było drużyny grającej w sposób równie piękny i wyrafinowany zarazem. Ale jej młody trener podkreślał, że jedynie dobudowuje kaplicę w katedrze wzniesionej przez Cruyffa.

Od tamtej pory główne założenia klubowej filozofii zmieniły się niewiele. „Przyjechał tu taki jeden, Johan Cruyff – mówi obecny trener Barcelony, Xavi, w drużynie Guardioli pełniący podobną rolę, co Guardiola w drużynie Holendra. – Chciał głosić nowy futbol, utrzymywać się przy piłce, kontrolować przebieg meczu, prezentować ofensywną i atrakcyjną piłkę. Staramy się grać w tym duchu od 20-30 lat". Xavi, podobnie jak wcześniej Guardiola i Messi, jest wychowankiem La Masii. W kamiennych murach tej rozwiniętej pod okiem Cruyffa akademii piłkarskiej z internatem chłopcy uczyli się nie tylko biegania za futbolówką – wychowywano ich tak, jakby mieli za chwilę dołączyć do miejscowej burżuazji. W tym przypadku chów wsobny przynosił korzyści: absolwenci szkółki stawali się gwiazdami pierwszej drużyny, później jej trenerami. Wszyscy się znali, rozumieli, w jakim systemie powinno się grać, starsi opiekowali się młodszymi.

W 2012 r. przydarzył się Barcelonie mecz, w którym w drużynie poprowadzonej przez wychowanka wystąpiło jedenastu wychowanków. Na jej koszulkach nie widniały reklamy wielkich koncernów, tylko UNICEF-u. Ponieważ w Realu Madryt pracował wówczas Mourinho, odpowiedź na pytanie o to, kto we współczesnym futbolu jest po jasnej stronie, wydawała się oczywista.

Czas mroku

Kilka lat później katedra zaczęła się jednak walić, a jedną z przyczyn była z pewnością także swego rodzaju rodzinność (Kuper woli słowo: „kastowość") stojącej za nią instytucji. „Chodźcie, zbudujemy sobie miasto i klub, którego wierzchołek będzie sięgał nieba", mówili kolejni prezydenci, mamiąc głosujących wizją sprowadzenia do drużyny kolejnych supergwiazd. Kiedy w 2015 r. Barcelona wygrała Ligę Mistrzów po raz piąty, miała pieniądze, by kupić każdego zawodnika na świecie, ale – rozleniwiona pasmem sukcesów – zaczęła kupować nie dość, że za drogo, to jeszcze byle kogo.

Z niektórymi transferami wiązały się malwersacje, jak w przypadku zaniżenia kosztów zakupu Neymara za czasów prezydentury Sandra Rosella, który musiał w związku z tym podać się do dymisji, później zaś – oskarżony o pranie brudnych pieniędzy – spędził blisko dwa lata w areszcie. Niektóre – za czasów równie niesławnego Josepa Marii Bartomeu – były dowodem niekompetencji zwierzchnika i zmieniających się w błyskawicznym tempie dyrektorów sportowych klubu.

Co może gorsze, boiska treningowe Barcelony przestały być miejscem intelektualnego fermentu. Czas, gdy w Barçy pracował Louis van Gaal, nazwano największym trenerskim seminarium w dziejach piłki, bo pod okiem Holendra rozwijali się przyszli szkoleniowcy czołowych klubów i reprezentacji: Ronald Koeman, Luis Enrique, Laurent Blanc, Frank de Boer, Julen Lopetegui, Guardiola i Xavi, a także wychodzący powoli z roli tłumacza Mourinho. Było to jednak ćwierć wieku temu. Od tamtej pory metody szkoleniowe La Masii zaczęto kopiować w wielu drużynach świata – także w Manchesterze City, który kupiony przez katarskich szejków sprowadził z Barcelony najpierw kompetentnych dyrektorów, później zaś trenera Guardiolę. „Prawda jest taka, że już od dawna nie ma tu żadnego projektu czy planu. Jest łatanie dziur i gaszenie pożarów na bieżąco" – to gorzkie zdanie Leo Messiego z września 2020 r.

Inna sprawa, że z każdym kolejnym sezonem klub stawał się coraz bardziej uzależniony właśnie od Messiego. Nie tylko w sensie sportowym – geniusz Argentyńczyka przynosił drużynie co roku dziesiątki bramek i asyst przy bramkach kolegów – ale także wizerunkowo-marketingowym. Hiszpańska prasa informowała, że zarobki lidera drużyny w latach 2017-2021 przekroczyły 555 mln euro; było to niemal 30 proc. wydatków Barçy na wynagrodzenia. W Katalonii nazywano to zjawisko *Messidependencia* – początkowo klub pasożytował na Messim, później jednak Messi zaczął pożerać klub.

Teraz już niemal wszystko (nawet zatrudnienie szkoleniowca!) zależało od tego, co robi i myśli Argentyńczyk, kolejni trenerzy traktowali swojego najważniejszego zawodnika niemal jak pracodawcę. To nie mogło skończyć się dobrze.

Kasa się nie zgadza

Przez jakiś czas biznes się jeszcze kręcił. Na koszulkach drużyny najpierw pojawiły się reklamy Qatar Foundation, później zaś Qatar Airways. Przed sezonami zespół, podobnie jak inne superkluby, jeździł po świecie w promujące markę trasy. Jak powiedział kiedyś zaufanemu dziennikarzowi jeden z członków kierownictwa klubu, „konkurujemy z League of Legends [grą komputerową], Realem Madryt i Netfliksem".

Z czasem wszystko się jednak posypało: inne superkluby zaczęły nie tylko dysponować większymi pieniędzmi, ale miały lepsze pomysły organizacyjno-sportowe. Kiedy się ↦

czyta, że prezes Bartomeu wynajął firmę śledzącą byłych i aktualnych pracowników, m.in. Messiego, Guardiolę czy Xaviego, i prowadzącą wobec nich czarny PR – uwierzyć można już we wszystko. Np. w to, że przedstawiciele „więcej niż klubu" sondowali w UEFA, czy i za jaką kwotę skłonna byłaby przymknąć oko na coraz bardziej rozchodzące się z wymogami finansowego *fair play* klubowe rachunki.

W ciągu ostatnich kilku lat poziom wynagrodzeń w Barcelonie wymknął się spod kontroli, a brak sportowych sukcesów i pandemia (w trakcie której zarząd próbował wykreować wizerunek piłkarzy jako nieskłonnych do ograniczenia swoich pensji chciwców) stanowiły ciosy, po których klub nie umiał się podnieść.

W końcu ze sloganu „więcej niż klub" została jedynie demokracja bezpośrednia: rzesza oburzonych *socis* zmusiła Bartomeu do rezygnacji. W 2021 r. na fotel prezydenta wrócił opromieniony blaskiem dawnych sukcesów drużyny Guardioli Joan Laporta, ale nie miał w rękawie żadnych atutów. Kiedy obciążenie klubu z tytułu wynagrodzeń wynosiło 110 proc. przychodów (liga hiszpańska ustanowiła limit 70 proc.), skończył się kontrakt Messiego. Argentyńczyk musiał odejść, podobnie jak wielu innych kolegów z drużyny, wypychanych pospiesznie i niezbyt elegancko.

„Budynek zdaje się umierać wraz z postępem prac"
– piszą krytycy sztuki o Sagrada Familia. Brzmi jak diagnoza kierunków rozwoju FC Barcelony.

Oddajcie radość

W XIX w. *burgesia* nie tylko powołała do istnienia drużynę piłkarską – powierzyła też Gaudiemu budowę Sagrada Família. „Niczym futbol krujfiański została ona stworzona przez szalonego geniusza, który brzydził się liniami prostymi – czytamy u Simona Kupera o najsłynniejszej świątyni miasta. – Gaudi walczył z finansującymi jego prace lokalnymi kupcami dokładnie tak samo, jak Cruyff walczył z ich potomkami w zarządzie Barçy". Obu zależało też, by sprawiać uciechę swoim wyznawcom. „*Fa goig!*" (dawajcie radość) to ostatnie słowa Katalończyka do robotników pracujących przy katedrze – chwilę później wpadł pod tramwaj.

Jak wieżę Babel, obie budowle trudno uznać za dokończone, ale – jak zauważył krytyk sztuki Robert Hughes pisząc o świątyni – „budynek zdaje się umierać wraz z postępem prac". Co więcej – obie nie służą już katalońskim wiernym, stanowią raczej skansen. Barcelona egzystuje dzięki łasce banków, wspomnianej kreatywnej księgowości i wyprzedaży rodowych sreber – nawet do nazwy Camp Nou zostanie dołączona marka nowego sponsora, platformy Spotify.

Wśród książek, które przyniosły Manuelowi Vásquezowi Montalbánowi największą sławę, jest cykl powieści, których bohaterem jest mieszkający w Barcelonie prywatny detektyw Pepe Carvalho. Akcja jednej z nich, zatytułowanej „Środkowy napastnik zginie o zmierzchu" i inspirowanej okresem występów na Camp Nou Gary'ego Linekera (ukazała się w 1988 r.), rozgrywa się m.in. na klubowych salonach, gdzie mało któremu działaczowi chodzi o dobro drużyny. Co jednak uderzające, portretowany zwykle jako nieszkodliwy odklejeniec pomocnik Carvalha, niejaki Biscuter, snuje w pewnym momencie – już wtedy, 35 lat temu! – wizję „szejków arabskich, którzy wywożą wszystkich dobrych piłkarzy do tych miast na pustyni, żeby tworzyć niezwyciężone drużyny na zamówienie".

Zdanie, że we współczesnym futbolu wszystkie drogi prowadzą do Barcelony, można czytać i tak, że od jakiegoś czasu ruch po nich odbywa się w drugą stronę.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Jesteś naszą Czytelniczką, Czytelnikiem?

Zapraszamy Cię do wypełnienia ankiety.

Zajmie to najwyżej kilka minut, a nam pozwoli dopasować się do Twoich oczekiwań i lepiej dystrybuować pismo.

Ankieta dostępna pod adresem powszech.net/ankieta2023

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

KULTURA

OBUMIERANIE

Obchodzi mnie przyszłość Ewangelii jako lekcji o bezwarunkowej miłości bliźniego i o sensie śmierci. Powtarzanej ciągle, systematycznie, od kołyski po grób.

RYSZARD KOZIOŁEK

Coraz trudniej mi uwierzyć w wiosnę. Wiem, że przyjdzie, ale nie wierzę w jej odnawiającą siłę. Oglądam bezlistne gałęzie jesionów, badyle hortensji, pełen suchych liści grabowy żywopłot, zbrunatniały bluszcz; widzę zamknięte zalążki liści na leszczynie, bzach i forsycjach, a jednak nie mogę uwierzyć, że jakaś siła zmieni je w liście, kwiaty i owoce. Nawet jak się przekonam, to nie uwierzę, gdyż na pewno nie wzejdzie „ten trup, którego zasadziłeś zeszłego roku w ogrodzie" (T.S. Eliot „Jałowa ziemia", przeł. Czesław Miłosz).

Bezpowrotność

Człowiek dorosły wiośnie ulegać nie powinien. Bo w wiosnę nie da się uwierzyć ani się o niej przekonać. Można jedynie ulec jej nieodpartej sile, która zmusza do ruchu, do pracy, do wysiłku to, co odpoczywa w ciszy i martwocie. Nic lepiej nie wypowiedziało tej brutalności niż „Święto wiosny" Igora Strawińskiego, gdzie muzyka odzwierciedla to szaleństwo, tę optymistyczną głupawkę, która nas ogarnia na widok, na zapachy, na zieleń, na ciepło, które wracają wraz z wiosną.

Jeszcze chwilę wcześniej natura gnębiła i ziębiła wszystko, co żyje, przeklinaliśmy ją i życzyliśmy wszystkiego najgorszego, a już za chwilę w dziecięcym uniesieniu będziemy sławić jej urodę, która rytmem pobudzonej krwi i zielenią trawy podstępnie odwróci uwagę od wnętrza ziemi, która pochłonie niebawem roztańczoną na śmierć dziewczynę. Dorosły człowiek nie powinien więc ulegać iluzji, że znów „wiosna podaje nam wiosła" (Andrzej Poniedzielski).

Bodaj jedynie bezwzględna radość rozbawionego dziecka to potrafi i ma do tego prawo. W finale najwybitniejszego polskiego opowiadania o życiu i śmierci Maria Konopnicka prowadzi na cmentarz ojca i trzech synów. On pogrzebie żonę, oni matkę. Jest piękne majowe przedpołudnie, a widok skandalicznie rozradowanych przejażdżką dzieci sprawia, że przechodnie przystają zdumieni. Po pochówku ojciec nie chce jeszcze wracać, zostaje i modli się przy grobie. Chłopcy wolą towarzystwo konia, ruszają więc z woźnicą, wozem i koniem z powrotem do domu, formując „triumfalny pochód". Rozpoczyna się horror wiosennego ożywienia, na pośmiewisko dopiero co pogrzebanego ludzkiego życia.

Konopnicka zrobiła z tej sceny istny koktajl symboliczny. Szkapa symbolizuje darwinowską przyrodę, mityczną Persefonę (porównana do panny młodej) i zmartwychwstałego Chrystusa (przybyła po matkę trzeciego dnia); no i ciągnie wóz znany z średniowiecznych triumfów śmierci. Wszystkie te maski kultury są diabła warte w obliczu wszechwładzy śmierci ukrytej pod urodą odnowionej przyrody. ↦

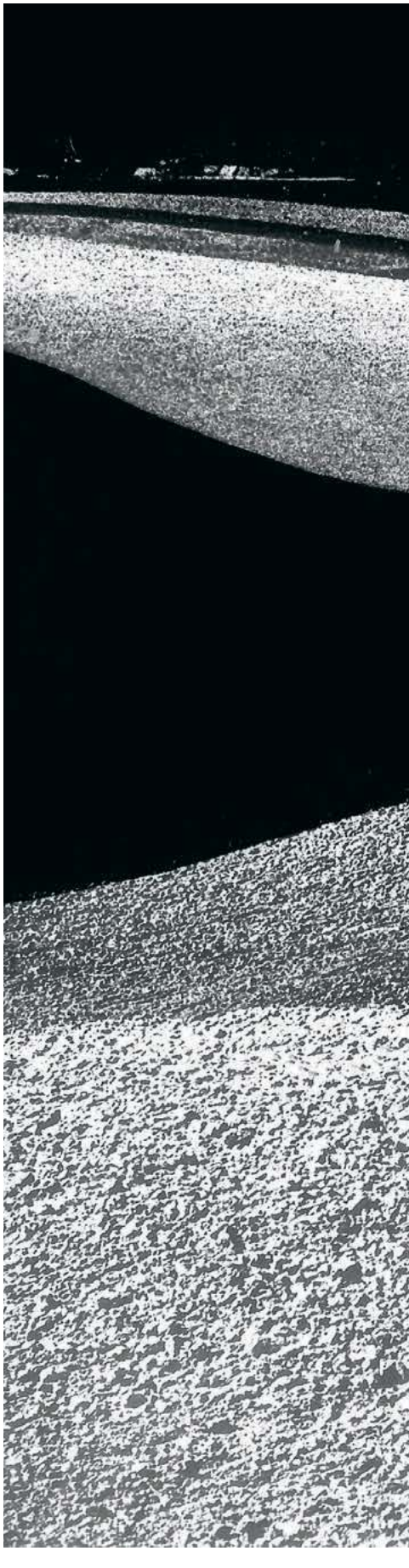

Paweł Pierściński, fotografia z serii „Geometria krajobrazu", 1967 r.

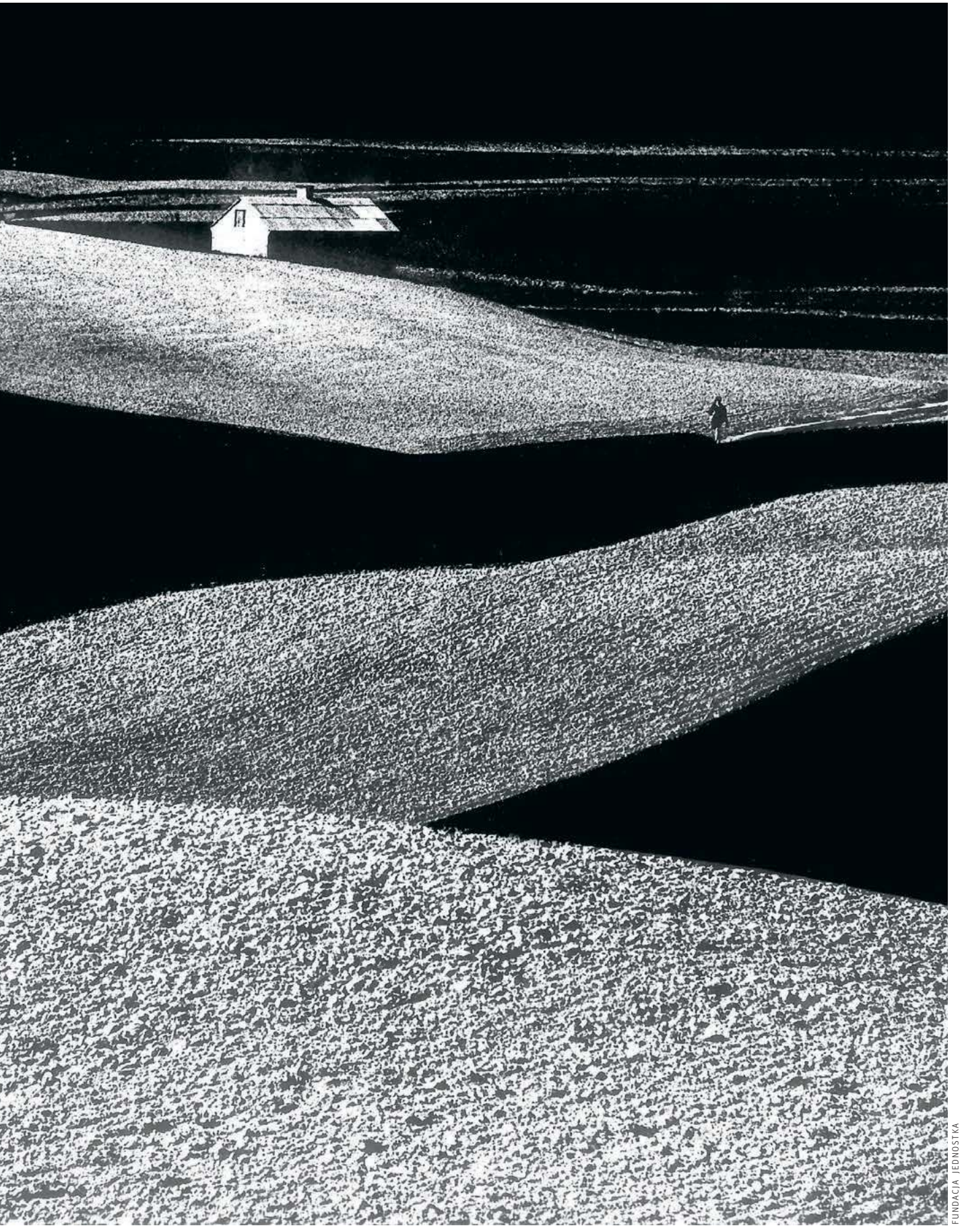

FUNDACJA JEDNOSTKA

↦ Nic się nie ostanie, nawet groby – nasz ostatni protest przeciw unicestwieniu ciała – zostaną przez nią stratowane przy udziale dzieci, naiwnych giermków triumfującej wiosny: „Najpierw kroczył Piotruś, nie patrzący drogi, nadeptując małe, świeże, z żółtego piasku sypane grobki dziecięce, ile razy się na wóz obejrzał. Za Piotrusiem szkapa – wyrzucała z cichym parskaniem łbem, obciążonym kwieciem i zielenią, ja zaś i Felek, jak giermkowie, po lewej i po prawej stronie. Wóz toczył się z wolna, to podnosząc się, to opadając na zapadłych grobach, a za nami, z głuchym, coraz głuchszym łoskotem, padała ziemia na matczyną trumnę".

„Czuwający mają świat wspólny" – twierdził Heraklit (przeł. Adam Czerniawski). Czuwająca (a nie śniąca) myśl nieustannie odkrywa powszechność najbardziej indywidualnego ludzkiego dramatu, jakim jest własna śmierć. A zarazem nasze przywiązanie do wyjątkowości życia nie chce się zgodzić na religijną obietnicę redukującego zmartwychwstania – bez blizny na stopie, śledzia w śmietanie, brodzenia w jurgowskim potoku.

Wszystko jedno, kto wówczas przy
stole się smucił
I kto imbryk ze stołu łokciem
w nicość zrzucił?
Stłukł się imbryk, a w polu zbrakło
nagle ptaka!
Nie, nie warta powrotu
gmatwanina taka!
(Bolesław Leśmian
„Zdziczenie obyczajów pośmiertnych")

Po tym, jak Dante w „Boskiej komedii" poetycką wizją zaświatów znokautował eschatologię, teologia już się nie podniosła z upokorzenia. Sztuka zajęła na dobre jej miejsce – twórczyni nowych, lepszych światów, proponując piękno, sens i mądrość jako ludzkie lekarstwa na chorobę wieczności. Nie rozwiązują one, co prawda, kluczowego problemu: że jestem raz i już mnie więcej nie będzie, ale pozwalają na własną bezpowrotność patrzeć i o niej mówić. W ten sposób literatura i modlitwa stają się tym samym, bo jak pisze Leśmian: „kto się modli – ufa tylko słowu". A może nawet sztuka jest czymś więcej, gdyż modlitwa nie zwróci nam nawet pozoru tego, co umarło.

We wspaniałej balladzie Konopnickiej pt. „Prześliczna Maud" pogrążony w żałobie po śmierci kochanki król zagląda po roku do jej trumny. Nie wiemy, co tam zobaczył, niemniej znów na rok pogrążył się w smutku i odosobnieniu. Tym razem, aby namalować jej obraz. Oglądamy go razem z wstrząśniętym dworem: „Okropny, nagi szkielet to był, / Zgło mu pasało biodra, / A sieć splątanych u serca żył / Widniała z piersi modra. / Robactwa w czaszce wił się rój, / Skąd odpadł włosów splot, / A król pod obraz kładł podpis swój: / »Prześliczna Maud«".

Olśniewająca przenikliwość Konopnickiej wydobyła paradoks ludzkiej świadomości, która broni się przed uznaniem rzeczywistości własnego losu, jak wzrok unika słońca. Dopiero kiedy realność naszej śmiertelnej kondycji staje się słowem lub obrazem, nawet najbardziej przerażającym, jesteśmy skłonni otworzyć na „to" oczy.

Bo to już bezpowrotność... Poznasz
zawsze po niej
Tę właśnie rzeczywistość, od której
duch stroni.
(...)
Ty się już nie powtórzysz
w rozwianym istnieniu.
A ona wciąż się w twoim powtarza
imieniu
(Bolesław Leśmian
„Zdziczenie obyczajów pośmiertnych")

Obserwujemy w Polsce proces wielkiego umierania pewnej historycznej formy Kościoła katolickiego. Przypomina to wielkie wymieranie gatunku, bo też wymierającym gatunkiem jest katolicki ksiądz.

Co jest grane

Obserwujemy w Polsce proces wielkiego umierania pewnej historycznej formy Kościoła katolickiego. Przypomina to wielkie wymieranie gatunku, bo też wymierającym gatunkiem jest katolicki ksiądz, który był przez wieki zakładnikiem chrześcijańskiej wspólnoty grzechu i winy.

Odłączony od powinności prokreacyjnych żyjących istot, a co za tym idzie, od troski o byt swój i swojej rodziny, był dowodem, że gdyby nie nasze zwierzęce i ludzkie sprawy, moglibyśmy być „doskonali jako i Ojciec nasz, który jest w niebiesiech, doskonały jest". Wydaje się, że ten chrześcijański projekt eugeniczny (choć może bliżej mu do projektu „Treadstone" z trylogii o Jasonie Bournie) dobiega końca.

Pięćset lat od wybuchu reformacji to dość czasu, żeby zrozumieć, że celibat, brak kontroli świeckich nad finansami Kościoła i ograniczona jurysdykcja państwa prawa wobec kleru będą wzniecać niekończące się nadużycia. Co wcale nie znaczy, że chrześcijańskie wspólnoty poreformacyjne nie mają swoich win wypływających z wykorzystania religii do podporządkowywania i krzywdzenia. Kościoły nie są ani lepsze, ani gorsze niż ludzie, którzy je tworzą, dlatego mało mnie przejmuje los Kościoła hierarchicznego. Jak pisze poeta:

Wiem co jest święte.
Nie wiem
co jest grane
(Wojciech Bonowicz „Medium")

Obchodzi mnie przyszłość Ewangelii. A konkretnie jej fundamentalnej lekcji o bezwarunkowej miłości bliźniego i o sensie śmierci – powtarzanej przez wieki wszystkim lub większości; lepiej i gorzej wykształconym; ciągle, systematycznie, od kołyski po grób. „Stoi Człowiek poróżniony z mogiłą. Kto nie miłuje, trwa w śmierci, ale kto miłuje – żyje" – pisał ks. Józef Tischner w „Tygodniku Powszechnym" 65 lat temu.

Obchodzi mnie, kto nadal będzie z ludźmi rozmawiał i przekonywał ich, że „nie ma już Żyda ani poganina, nie ma już niewolnika ani człowieka wolnego, nie ma już mężczyzny ani kobiety, wszyscy bowiem jesteście kimś jednym w Chrystusie Jezusie" (Ga 3, 28); oraz że należy „okazywać gotowość do wszelkiego dobrego czynu: nikogo nie lżyć, unikać sporów, odznaczać się uprzejmością, okazywać każdemu człowiekowi wszelką łagodność" (Tt 3, 2), jak również, że trzeba odrzucić „gniew, zapalczywość, złość, znieważanie, haniebną mowę [wychodzącą] z ust waszych" (Kol 3, 8).

Gdybym mógł być pewien, że świeckie instytucje państwa (szkoły, uczelnie, media publiczne, sądy, sejm, senat, prezydent) będą uporczywie i nieprzerwanie nieść tę zeświecczoną, ewangeliczną treść; promować ją i rozmawiać o niej z wszystkimi obywatelami, ale i z przybyszami; gdybym mógł... Ale jestem pewien dokładnie czegoś odwrotnego, że upadek Kościoła ogołoci sporą część nas z refleksji i artykulacji uczuć metafizycznych oraz z przymusu podejmowania zobowiązań etycznych wobec przedstawicieli plemion innych niż nasze. I że dotknie to nie tylko katolicyzm, ale całe polskie chrześcijaństwo, a w konsekwencji całą wspólnotę polityczną.

Bez nadziei wyglądam ewangelicznej rewolty wewnątrz Kościoła. Jedynie literatura pozostaje sferą przytomnego wyobrażania sobie niemożliwego. Ku memu zdumieniu, wracam do Tadeusza Micińskiego i jego „Nietoty", szalonego pomysłu odnowy Polski. Pożegnałem się z tą powieścią radośnie po egzaminie z Młodej Polski, a teraz w pokorze wyznaję grzech zwątpienia w przenikliwość autorskiej wizji upadku martwego duchowo polskiego chrześcijaństwa i narodzin nowego pod skrzydłami kobiety.

Oto pod przewodnictwem trzech liderów odnowy: Litwora, Własta i Zmierzchoświta podjęta zostaje próba obalenia Kościoła biskupich starców i ustanowienia w zamian prawdziwie ewangelicznego Kościoła Matki. Ale najpierw „wyjdź z Watykanu, moja duszo! / w rozległe pola, gdzie Tatr śnieżne wierchy" – wzywa Włast. „Trzeba przeobrazić całe zamczysko wierzeń, które wyrosły z głębiny i z serca narodu – lecz zakryły mu światłość. Ten zamek przegnił i każdy z nas nosi na sobie zielska trujące i przyciąga upiory" – wtóruje mu Litwor.

Ostatecznie rewolucja się nie powiedzie. Sprytny spin doktor Baron de Mangro powstrzymuje zbuntowany tłum wiernych, wypowiadając „jedno magiczne słowo: – Ogłupiajmy się! Życie jest iluzjonem!" (dziś powiedziałby, że internetem). Nielicznym buntownikom pozostaje zejście do podziemia i nadzieja na spełnienie proroctwa Własta, że kiedyś w Polsce „Chrystus zmartwychwstanie i rozbłyśnie w przemienieniu na Tatrach. Umarłe w Bogu ziarno niech wyda wreszcie swój wielki plon". Albo bardziej dosadnie:

Pakujcie swoje wiersze
do butelek –
mówiła – Może życie
zrobi z nich koktajle
mołotowa.
(Grzegorz Olszański „Pani od poezji")

Anabioza

Tymczasem, jaki może być dla nas dziś pożytek z baśni Micińskiego? Ano, że żadnej reformacji ani nawet powtórki z Soboru Trydenckiego lub Watykańskiego II nie będzie. Uderzająca bierność Kościoła hierarchicznego pospołu z brakiem poważnej reakcji wspólnot świeckich wobec postępującej katastrofy upewnia mnie w przekonaniu o jakiejś niepojętej konieczności tego upadku. Jakby zatrzymanie procesu samolikwidacji ewangelicznego autorytetu Kościoła było nie tylko niemożliwe, ale wręcz niezbędne dla ocalenia fundamentalnej idei chrześcijaństwa, czyli nauki o miłości bliźniego i sensie śmierci indywidualnej. Od chwili, kiedy nabrałem pewności, że ta zagłada jest nieunikniona, inaczej czytam słynną instrukcję ogrodniczą św. Jana: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Jeśliby ziarno pszeniczne wpadłszy do ziemi, nie obumarło, ono samo zostaje; lecz jeśliby obumarło, wielki pożytek przynosi" (J 12, 24).

Średnio wykształceni botanicy amatorzy wiedzą, że jeśli ziarno ma wzejść, umrzeć nie może. A jedynie przejść w odwracalny stan „śmierci pozornej", w anabiozę. Nie tylko ziarno, ale wiele innych organizmów ogranicza funkcje życiowe, broniąc się przed ryzykiem śmierci właściwej na skutek niskiej temperatury, braku wody, wielkiego bólu.

Zdumiewa, jak mesjańska alegoria z ziarnem została precyzyjnie osadzona w odwiecznej wiedzy o życiu roślin. Bodaj żaden z polskich tłumaczy Biblii nie rezygnuje z przedrostka „ob". Ziarno bowiem nie umiera, ale właśnie obumiera; jakby śmierć obejmowała ziarno, brała je w uścisk, przenikała stopniowo jego warstwy, ale dzięki temu konserwowała jego życiopowrotny rdzeń.

Jeśli więc, zgodnie z taką wykładnią Janowej instrukcji, przesłanie Chrystusa ↦

REKLAMA

↦ jest tym, co żywe, to Kościół w pewnym cyklu swojego trwania musi stać się martwy i nic się na to nie poradzi. „Takci będzie i powstanie umarłych. Bywa wsiane ziarno w skazitelności, a będzie wzbudzone w nieskazitelności" – rozwija myśl Jana Paweł (1 Kor 15, 42).

Pozostaje czekać na nieuniknione. Nie na wiosnę kalendarzową, która rzecz jasna właśnie przyszła i znów „Wywodzi / Z nieżywej ziemi łodygi bzu, miesza / Pamięć i pożądanie, podnieca" (T.S. Eliot „Jałowa ziemia", przeł. Czesław Miłosz).

Właściwe czekanie dotyczy tej niewiadomej, jednej tylko w życiu, w którą tak trudno uwierzyć, że w ogóle kiedyś przyjdzie. Na tej nadziei pozbawionej optymizmu żeruje cynizm części hierarchów, który anabiozę zamienia w mimikrę; w strategię znieruchomienia, w pozorną śmierć dla odwrócenia uwagi. Oni też nie wierzą w odrodzenie, ale w powrót tego samego, kiedy tylko czujność i nadzieja nas opuszczą.

Martwa jabłoń

W kącie ogrodu stoi pusty pień starej jabłoni, z której korę ogryzły kozy. Jakimś cudem z martwego pnia wyrosła zdrowa gałąź, która przed dwoma laty, wiosną obsypała się kwiatami, a potem kiściami małych owoców. Nie mogliśmy w to uwierzyć. Wzruszeni spazmem niemożliwego życia snuliśmy najdziksze, optymistyczne przepowiednie o przyszłości świata. Rok później były tylko liście. Teraz suche zalążki kruszą mi się w palcach. Nic ich już nie ożywi.

Ta wiosna na pewno nie będzie nasza.
Jabłoń nie zakwitnie.
Z czego wnioskuję, że w tym roku drzewo wiadomości złego i dobrego ma dla nas jedynie wiadomości złe.

Obumarłe ziarno mieści wczepione, zmagające się z sobą – nierozdzielne życie i śmierć. To, co martwe, jest już martwe na zawsze, żywe musi pozostać żywym kosztem martwego. Horror tego życia w śmierci dyskretnie podsuwa nam przed oczy Olga Tokarczuk w „Empuzjonie". Na początku powieści Wojnicz podnosi z ziemi ziarenko bobu i wkłada je sobie do kieszeni, aby na końcu, już jako Klara Opitz, włożyć je sobie do ust. Nic dziwnego, w końcu Wojnicz trafił do wioski umarłych. W powtórzonym geście bohatera/bohaterki kryje się stara symbolika ziarna bobu, które Egipcjanie, Rzymianie i Grecy uważali za nadprzyrodzony symbol śmierci. Choć przez tysiąclecia było najpopularniejszym źródłem białka, to jednak w świecie antycznym miało dwuznaczną reputację, co potwierdza obecność bobu na rzymskich ucztach pogrzebowych. Szczególna była niechęć Pitagorasa do tej smacznej rośliny, który, choć wegetarianin, odmawiał jej spożywania wierząc, że należała do świata umarłych. Do dziś zaduszne ciastka we Włoszech noszą nazwę *fave dei morti*, czyli fasola umarłych.

Oto dialektyka ziarna Ewangelii. Jeśli taka jej natura, to nie ma sposobu, żeby oddzielić żywą treść przesłania od martwej otuliny instytucji. A jeśli nie ma jednego bez drugiego? I martwe trzyma w uścisku żywe? I nie puści, i ciągnie za sobą. Bo przecież wszyscy to widzieli, ale z rozpaczy, lęku, tęskniący do miłości i chorzy na wieczność, godzili się na martwiejący, zdeprawowany Kościół, byle tylko nie uśmiercił ich nadziei na życie odnowione. Więc: „poczęli czcić ich bałwany, / które się stały dla nich pułapką. / I składali w ofierze swych synów / i swoje córki złym duchom" (Psalm 106).

Ta wiosna na pewno nie będzie nasza. Jabłoń nie zakwitnie. Z czego wnioskuję, że w tym roku drzewo wiadomości złego i dobrego ma dla nas jedynie wiadomości złe.

Zima minie,
wiosna przyjdzie,
ukochana.
Śniegi spłyną,
lody zginą.
Wyjdzie trup z bałwana.
(Marcin Świetlicki „Bałwan")

© RYSZARD KOZIOŁEK

REKLAMA

słowo/obraz terytoria

JUŻ W SPRZEDAŻY

Krzysztof Pomian

Muzeum. Historia światowa
Tom 1: Od skarbca do muzeum

W przygotowaniu:
Tom 2: Zakotwiczanie w Europie, 1789–1850
Tom 3: Na podbój świata, 1850–2020

MATERIAŁY PRASOWE UNIVERSAL PICTURES

Scena łemkowskiego wesela w filmie „Łowca jeleni", reż. Michael Cimino, 1978 r.

Dziesięć zielonych jabłek

JAN BŁASZCZAK

Pierwsza amerykańska płyta z łemkowskimi pieśniami ukazała się, kiedy pewien maszynista kolejki z Brooklynu na Manhattan postanowił wziąć chorobowe i osobiście udał się do siedziby wytwórni.

Łemkowskie wesele Ameryka (a za nią świat) zna przede wszystkim z „Łowcy jeleni" Michaela Cimino, oscarowego filmu z Robertem De Niro i Christopherem Walkenem z 1978 r. A przecież pół wieku wcześniej pochodzący z Wołowca Stefan Shkimba przekonał nowojorską wytwórnię Okeh do wydania serii płyt „Lemko Wedding". Nakładem niezależnej oficyny Canary Records ukazała się właśnie kompilacja przypominająca łemkowskie nagrania sprzed niemal stu lat.

Krowa za płytę

– Jestem bardzo wdzięczny amerykańskim Żydom. Oni mają swoje hasło: „Nigdy nie zapomnij!", „*Never forget!*". Na mnie podziałało jak dzwonek. Jeśli oni tak mówią, to ja powtarzam za nimi: „Nie zapomnij, nigdy nie zapomnij krzywd wyrządzonych łemkowskiej ludności" – odpowiada Walter Maksimovich, kiedy pytam go, dlaczego od przeszło ćwierć wieku pełni funkcję nieformalnego kustosza łemkowskich nagrań.

Z wysoką emeryturą inżyniera pracującego dla NASA mógłby spędzać czas na wiele innych sposobów. A jednak ten niestrudzony promotor, urodzony w 1949 r. jako Władysław Maksymowicz, wciąż poluje na przedwojenne albumy, digitalizuje szelakowe płyty (o prędkości 78 obrotów na minutę), czyści je z szumów i udostępnia w sieci. Tłumaczy też książki i inne publikacje, a potem wrzuca je do internetu. Wśród nich znajduje się świetna monografia poświęcona łemkowskim nagraniom, której jest współautorem.

Najważniejsza jednak jest muzyka. Zawarta w tradycyjnych melodiach siła, która pomogła łemkowskiej tożsamości nie rozmyć się w dominujących kulturach sąsiednich narodów. Maksimovich zdał sobie z niej sprawę już we wczesnym dzieciństwie. Jego ojciec urodził się we wsi Wołtuszowa, niedaleko Rymanowa-Zdroju. Zaraz po wojnie wieś zniknęła. Jej mieszkańcy zostali przesiedleni na wschód, w okolice Tarnopola. Jak się okazuje, nie wszyscy. Dwóch braci było wówczas w Austrii na przymusowych robotach.

– Ojciec wrócił z Rzeszy w 1947 roku, kiedy Łemków na Łemkowszczyźnie już nie było. Skierował się więc do Krakowa, gdzie pracował jako bednarz. Szukając Łemków, trafił w końcu pod Legnicę, gdzie mieszkała moja mama.

Jej rodzina dotarła na tereny dzisiejszej Ukrainy kilka lat wcześniej. Po trzech miesiącach walk o Przełęcz Dukielską mieszkańcy wsi Chyrowa wyprosili u oficerów Armii Czerwonej, by przeniesiono ich z tego piekła. Trafili więc do kołchozu w obwodzie dniepropetrowskim. Po roku udało im się nielegalnie powrócić w rodzinne strony. Nie na długo. W 1947 r. ↦

↦ zostali wysiedleni na Dolny Śląsk w ramach akcji „Wisła". Tam też urodził się Władysław/Walter.

– Ojcu udało się wyjechać do radzieckiej Ukrainy dopiero w 1956 roku. W Teofipólce, niedaleko Brzeżan, spotkał swoją rodzinę, której nie widział od 1940 roku. Swojego ojca już nie zdążył zobaczyć; zmarł trzy lata wcześniej.

Z tej podróży ojciec Waltera przywiózł akordeon, centryfugę i dziesięć płyt z muzyką łemkowską. Należały do jego starszego brata, który jeszcze przed wojną odwiedził obie Ameryki w ramach emigracji zarobkowej. Wtedy młody Walter nie wiedział nic o ich historii. Jego uwagę zwróciły natomiast zielone naklejki, które znajdowały się na każdej płycie. Wspomina dziesięć naklejek, jak dziesięć zielonych jabłek. Do dziś pamięta też furorę, jaką tych kilka krążków zrobiło wśród sąsiadów.

– Jak myśmy to w domu grali, to zaraz ktoś do nas przychodził. Jeden Łemko to chciał ojcu świnię albo nawet krowę dać za te płyty, ale ojciec się nie zgodził. Te nagrania były dla niego bezcenne.

Maksymowiczowie nie rozstali się z płytami nawet w latach 60., kiedy sprzedali dom, krowy i świnie – wszystko po to, żeby opłacić transatlantycki rejs „Batorym". Ostatecznie w 1964 r. wyruszyli do Ameryki, gdzie oczekiwała ich rodzina. Tym sposobem, po niemal czterdziestu latach, płyty z charakterystycznymi zielonymi naklejkami wróciły tam, skąd ruszyły w świat – do Nowego Jorku.

Płyta, która zmieniła Amerykę

Osobą, która nadała im dalszy bieg, był Stefan Shkimba – urodzony w Wołowcu działacz, meloman i łemkowski patriota, który przypłynął do Nowego Jorku mniej więcej pół wieku wcześniej. Tak jak Maksimovich, Shkimba schodził ze statku jako nastolatek, a Stany Zjednoczone – tak jak pół wieku później – miały zaraz wysyłać swoich synów na wojnę. Po kilku latach w nowej ojczyźnie młody Łemko znów przemierzał Atlantyk, by walczyć na froncie I wojny światowej. Maksimovich miał więcej szczęścia – dobre stopnie na studiach inżynierskich sprawiły, że nie dostał powołania do armii i nie wylądował w Wietnamie.

Szczęśliwie dla łemkowskiej kultury Shkimba wrócił z wojny cały i zdrowy. Gdyby zabrakło jego determinacji

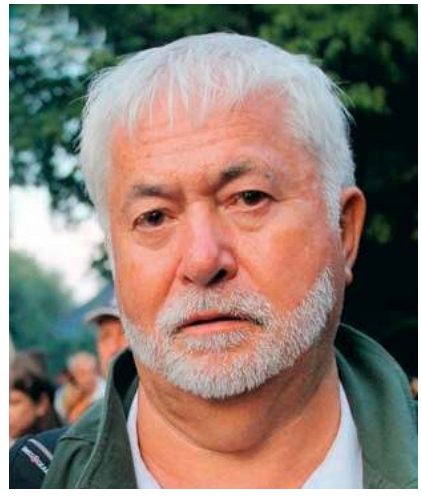

ARCHIWUM PRYWATNE

Walter Maksimovich

i uporu, Okeh nie wydałaby w 1928 r. płyty „Lemko Wedding", której sukces zrodził kolejne nagrania wypuszczane przez tę wytwórnię, a później także przez Columbia Records. W tym roku cyfrową kompilację utworów z płyt produkowanych przez Shkimbę („Lemko Wedding and Life-Sketches") wydała amerykańska wytwórnia Canary Records. Prowadzący ją Ian Nagoski przygotował ją w ścisłej współpracy z Maksimovichem.

– Shkimba był niemal opętany ideą zachowania łemkowskiej tradycji i nie mógłbym go za to podziwiać bardziej. Dostrzegł, jak wielkie możliwości da mu w tej walce włączenie się w nowe technologie nagrywania.

Szef Canary Records zwraca uwagę, że połowa lat 20. XX w. to okres rewolucji w zakresie nowych mikrofonów i związanych z nimi możliwości nagrywania. Z perspektywy Shkimby rewolucja odbywała się jednak gdzie indziej. W 1926 r. Okeh nawiązało współpracę z ukraińskim skrzypkiem Pawło Humeniukiem. Ku zdumieniu nowojorskiego wydawcy wygrywane przez niego tradycyjne melodie cieszyły się astronomiczną popularnością. Jej szczytem była zawierająca tylko dwa utwory 12-calowa płyta „Ukrainske wesilia". Wytwórnia byłaby zadowolona ze sprzedaży 500 egzemplarzy tej płyty, zamiast tego nagrania Humeniuka rozeszły się w liczbie stu tysięcy sztuk.

– „Ukrainske wesilia" zmieniło Amerykę – nie ma wątpliwości Nagoski. – Za jej sprawą Okeh, a później Columbia zrozumiały, że ci nierozgarnięci, pracujący i mieszkający w fatalnych warunkach, nieznający angielskiego Słowianie chcą płacić za muzykę. Że to jest dla nich ważne. Wytwórnie zaczęły więc produkować te nagrania i za każdym razem sprzedawały je w olbrzymich ilościach.

Shkimba widział rosnącą popularność płyt z muzyką ukraińską. Wiedział, że wytwórnie już ostrzą sobie zęby, by nagrywać kolejnych Ukraińców, a także Polaków i Czechosłowaków. Dostrzegał to wszystko i czekał, kiedy wreszcie amerykański odbiorca otrzyma płytę z łemkowskimi pieśniami. Być może nigdy by do tego nie doszło, gdyby Shkimba – pracujący wówczas jako maszynista kolejki z Brooklynu na Manhattan – nie zgłosił chorobowego. Zgłosił, by osobiście wybrać się do siedziby wytwórni.

– Początkowo jej pracownik zareagował zaskoczeniem: „Jak to, przecież już wypuszczamy wasze płyty! Wychodzą albumy po ukraińsku" – opowiada Maksimovich. – Shkimba wytłumaczył mu, że my nie Ukraińcy, i zaproponował, że pokaże wytwórni, co potrafią Łemkowie. Po tej wizycie wziął kilku muzykantów i kumę. Przez kilka tygodni grudnia ćwiczyli codziennie w piwnicy. Żona robiła Shkimbie wyrzuty, że zwariował, bo jest Wielki Post, a on codziennie gra i śpiewa. Odpowiadał ze spokojem: „Zobaczysz, Bóg nam to wszystko wybaczy".

Kościół, seks i pijany wuj

Wpływu Humeniuka na amerykański rynek muzyczny nie sposób przecenić. Inna rzecz, że pomysł sięgnięcia właśnie do wesela – z jego rytuałami, bohaterami i dramaturgią – nie był nowy. Nagoski tłumaczy, że w latach 20. XX w. był to szerszy trend. W tym okresie po Stanach Zjednoczonych podróżowały grupy teatralne, które wystawiały pozorowane wesela. Takie występy miały precyzyjnie skomponowaną, sprawdzoną formułę. Pieśni przeplatały się z monologami panny młodej, przemowami rodziców czy toastami pijanego wujka.

– Ludzie chcieli brać udział w takich weselach, bo to przecież jeden z kilku momentów w życiu, kiedy można się prawdziwie zabawić – wyjaśnia Nagoski. – Poza tym mamy tu wszystko, co najważniejsze w życiu: rodzinę, Kościół, seks, obietnicę odrodzenia. Jest patos i jest humor, wszystko w jednym!

Niezależnie od tego, jaką popularnością cieszyła się weselna muzyka,

Shkimba chciał za wszelką cenę zminimalizować ryzyko związane z odbiorem pierwszej produkowanej przez niego płyty. Jak twierdzi Maksimovich, łemkowski aktywista skierował swoje kroki przede wszystkim w stronę Lower East Side, gdzie w okolicach kościoła św. Stanisława mieszkało wielu imigrantów z Europy Wschodniej. Shkimba odwiedzał tamtejsze sklepy, których właściciele zaczęli w tym czasie puszczać płyty z tradycyjną muzyką ze swoich rodzinnych stron.

– Mieszkający tam Słowianie nie mogli uwierzyć w to, co słyszą. Mniejsza z tym, czy grała płyta polska, słowacka czy łemkowska – to wszystko było im bliskie, chcieli to mieć.

Shkimba docierał do odbiorców także za pośrednictwem imigranckiej prasy. Producent kupował reklamy m.in. w polonijnym „Nowym Świecie". Jak twierdzi Nagoski, wyjątkowy charakter miały ogłoszenia, które zamieszczał w gazetach skierowanych do amerykańskich Łemków.

– Przekonywał, że oni muszą kupować te płyty, aby być prawdziwymi patriotami. Jeśli tego nie zrobią, to będzie cios dla całej społeczności, zdrada własnej tożsamości. W rezultacie jego płyty kupowali także ludzie, którzy w ogóle nie mieli gramofonów.

Płyta okazała się sprzedażowym sukcesem. Okeh podpisał ze Shkimbą kontrakt na następne albumy. „Lemko Wedding" wyszło ostatecznie w szesnastu częściach na ośmiu płytach. Rezolutny promotor nie ograniczał się do tego formatu. Kiedy zobaczył, że drogie nośniki zaczynają przegrywać z radiem, zaczął prowadzić w nim audycje muzyczne, w latach 30. podejmował natomiast próby filmowe. W 1930 r. na farmie w Connecticut miał nagrać niemy film „Lemko Wedding" – nie wiadomo o nim jednak nic więcej.

Ani radio, ani film nie wyhamowały popularności tradycyjnych melodii z krajów Europy Wschodniej. Nie zatrzymał ich nawet Wielki Kryzys. Fonograficzni giganci, tacy jak Columbia czy Victor, wydawali kolejne nagrania z myślą o słowiańskich odbiorcach, co doprowadziło do eksplozji popularności polki. Muzyki, która za sprawą swojej popularności do dziś mocno kształtuje wyobrażenie Amerykanów na temat muzyki wschodniej i środkowo-wschodniej Europy.

Dla poważnych mediów i kolekcjonerów polka to obciach.

Ian Nagoski podejrzewa, że to ze względu na jej odbiór kompilacje z muzyką Europy Wschodniej nie cieszą się popularnością.

Tymczasem Shkimba jeszcze przed wybuchem II wojny światowej zdążył odwiedzić rodzinne strony. W 1939 r. przebywał w Gorlicach, gdzie – według Maksimovicha – przekazał Łemkom pieniądze zebrane przez amerykańską diasporę. Wrócił do Ameryki, ale już nie do zawodu maszynisty. W latach 50. prowadził knajpę na Brooklynie.

W innym języku i poniżej dolara

Dla poważnych mediów i większości kolekcjonerów polka to obciach. Nagoski podejrzewa, że to ze względu na jej odbiór przygotowywane przez niego kompilacje z muzyką Europy Wschodniej cieszą się najmniejszą popularnością. Ten niesprawiedliwy obraz ma jednak swoje plusy. Wydawca twierdzi, że z tego właśnie powodu stare płyty z muzyką Słowian są często sprzedawane za grosze.

– Jako nastolatek lubiłem buszować po komisach i wyprzedażach w poszukiwaniu starych szelakowych płyt – wspomina Nagoski. – Miałem zasadę, że kupuję wszystko, co nie jest po angielsku i kosztuje mniej niż dolara. Znosiłem do domu całe pudła takich płyt. Jako mieszkaniec środkowej części Wschodniego Wybrzeża, często trafiałem na albumy z muzyką polską czy ukraińską.

Choć przez dom Nagoskiego przewinęły się setki płyt z tej części świata, dobrze pamięta, kiedy po raz pierwszy natknął się na nagrania Shkimby: – To była druga połowa lat 90., jechałem samochodem przez Connecticut i przypadkiem natknąłem się na garażówkę. Ktoś wystawił pudło, właściwie skrzynkę na mleko, pełną starych płyt z ukraińskimi i rosyjskimi tytułami. Chciał za to pięć dolarów, więc wziąłem wszystko. Jedna z tych płyt zawierała tradycyjne łemkowskie pieśni. Przyznam, że nie wiedziałem, co to jest. Brzmiało jednak lepiej niż wszystko inne z tego pudła. Pasowało do estetyki, która mnie pociągała: było żywotne, energetyczne, ekscytujące... i nie miało akordeonu.

Przez wiele lat Nagoski żył w przekonaniu, że album, na którym widniał napis „Lemko Rus", zawiera muzykę rosyjską. Dopiero gdy planował włączyć jeden z zawartych na nim utworów do przygotowywanej przez siebie kompilacji, zaczął zgłębiać temat i mocno się zdziwił. Dziś przyznaje, że wcześniej w ogóle nie słyszał o Łemkach, a samo słowo wydawało mu się tak obce, jakby wypowiadane od tyłu. Na szczęście wtedy trafił na Maksimovicha, który od połowy lat 90. promował tę kulturę i udostępniał jej dzieła na stronie lemko.org.

– W latach 90. w NASA zmusili nas, żebyśmy nauczyli się pracować na komputerze – wspomina. – Niektórzy starsi pracownicy wzbraniali się i odchodzili na emeryturę. A mnie to zainteresowało i dzięki temu sam zacząłem pracować nad stroną internetową o Łemkach. Skanowałem i tłumaczyłem materiały, udostępniałem nagrania. Chodziło o to, aby ta tradycja i kultura były powszechnie zrozumiałe, także dla łemkowskiej młodzieży urodzonej już w Ameryce. Poświęciłem się temu, to już 27 lat. Mam zajęcie, głowa pracuje, myślę, że mi to służy.

Wspólnymi siłami Nagoski i Maksimovich przygotowali świetnie opisany wybór utworów z łemkowskich płyt wyprodukowanych przez Shkimbę. A że zrobili to nie mieszkańcy powiatu gorlickiego, tylko mieszkaniec Baltimore i emerytowany pracownik NASA? Nic w tym dziwnego.

– Kto z Europy Wschodniej docierał przed wojną do Nowego Jorku, gdzie nagrywano większość tej muzyki? – pyta Nagoski. – Najczęściej była to ludność z terenów wiejskich, przedstawiciele niższych klas. Instrumenty, melodie i teksty, które przywieźli ze sobą, różniły się znacząco od tego, co cieszyło się popularnością w największych miastach ich ojczyzn. Wiele z tych lokalnych głosów przetrwało tylko dlatego, że ktoś zabrał je w świat.

© JAN BŁASZCZAK

PIOTR NYKOWSKI / TEATR WSPÓŁCZESNY W SZCZECINIE

„Sen nocy letniej", reż. Justyna Sobczyk i Jakub Skrzywanek

Wyśnić delikatny świat

DARIUSZ KOSIŃSKI

Jak dla pierwszych punków, tak i dla ludzi z zespołem Downa społeczeństwo nie miało żadnej propozycji na przyszłość. Odpowiedzią na scenie było anarchistyczne szaleństwo odrzucających „grzeczność" odmieńców.

Gdyby znaleźć sferę działalności teatralnej z ostatnich dekad, którą większość obserwatorów byłaby skłonna (przynajmniej oficjalnie) ocenić pozytywnie pod względem walorów artystycznych i wagi społeczno-politycznej, największe szanse miałby teatr osób z niepełnosprawnościami, w tym szczególnie bujnie się rozwijający teatr osób z niepełnosprawnością intelektualną.

Zespoły i inicjatywy tego rodzaju istnieją w Polsce od dawna, w większości stanowią rodzaj działalności terapeutycznej. W społeczeństwie przyzwyczajonym do ukrywania „chorych", akt ich ukazania się na scenie, nadania sobie widzialności i zabrania głosu (nawet jeśli tylko dla wypowiedzenia dziecięcego wierszyka) ma znaczenie polityczne.

Wśród zespołów działających przy ośrodkach terapii i opieki czy oddziałach Polskiego Stowarzyszenia na rzecz Osób z Niepełnosprawnością Intelektualną (PSONI) są takie, które podejmują próby stworzenia własnej wyrazistej wypowiedzi artystycznej i podejmują tematy stanowiące dla ich widzów kłopotliwe tabu (na przykład temat ciąży osoby z niepełnosprawnością w „Mojej sprawie" Rafała Paczochy wystawionej przez Teatr Rzeczy Osobistych, działający w Gdyni od roku 1998). Przestają wówczas być teatrami amatorskimi i terapeutycznymi, a stają się teatrami offowymi.

Tak właśnie działa jedna z najciekawszych i najwyżej cenionych grup, Teatr Przebudzeni, prowadzony od roku 2003 w Ostródzie przez Monikę Kazimierczyk i Dariusza Wychudzkiego. Ma w swoim dorobku wybitne spektakle „Szatnia" (2015) i „Istny cyrk" (2018), które swoją estetyką udanie nawiązywały do teatru Tadeusza Kantora.

Dodany chromosom

Teatr osób z niepełnosprawnością intelektualną swoją rozpoznawalność i pozycję zawdzięcza przede wszystkim działalności Teatru 21 (nazwa pochodzi od innej nazwy zespołu Downa, czyli trisomii 21, związanej z istnieniem dodatkowego chromosomu znajdującego się na 21. parze chromosomów i decydującego o chorobie). Zespół wyłonił się w 2005 r. z warsztatów prowadzonych przez pedagożkę teatru i reżyserkę Justynę Sobczyk w Zespole Społecznych Szkół Specjalnych „Dać Szansę" na warszawskim Mokotowie. Od roku 2008 jego podstawową siedzibą stał się Instytut Teatralny, którego dyrektorzy, Maciej Nowak i Dorota Buchwald przez lata wspierali działalność Teatru 21.

To właśnie na Jazdowie pokazywane były od 2012 r. kolejne odcinki „serialu teatralnego", stworzonego podobno pod wpływem popularności jednego z aktorów 21, Piotra Swenda, występującego w telewizyjnej operze mydlanej „Klan". Począwszy od odcinka „zerowego" „...I my wszyscy", przez kolejne: „Statek miłości", „Upadki" i „Klauni", zespół w typowy dla siebie punkowo-jarmarczny sposób podejmował trudne i poważne tematy dotyczące realiów życia osób z niepełnosprawnością intelektualną. Pytając o możliwości ich samodzielnego życia finansowego, zawodowego, uczuciowego i rodzinnego, Teatr 21 ukazywał ich własny, odmienny punkt widzenia, wystrzegając się wszelkiego protekcjonalizmu i „mówienia w ich imieniu".

Po początkowym okresie odruchowego stosowania taryfy ulgowej, zespół zaczął być traktowany jak pełnoprawny kolektyw twórczy, proponujący własne tematy i oryginalny język teatralny. Teatr 21 bardzo często odwoływał się do popularnych gatunków widowiskowych (kabaret, cyrk, opera mydlana, *reality show*), zazwyczaj wypaczając je w sposób świadomie groteskowy. Jest w tym buntowniczy gest odrzucenia dominującego sposobu porządkowania i przedstawiania rzeczywistości. Jak dla pierwszych punków, tak i dla ludzi z zespołem Downa społeczeństwo nie miało żadnej realnej propozycji na przyszłość, było więc przez nich w swojej rzekomej normalności negowane, a jego porządkowi przeciwstawiano anarchistyczne szaleństwo odrzucających „grzeczność" odmieńców.

Finałem tej fazy działalności Teatru 21 był spektakl „Rewolucja, której nie było" (2018), zrealizowany już po opuszczeniu Instytutu Teatralnego we współpracy z Biennale Warszawa. Stanowił on pełną gniewnego humoru odpowiedź na obłudę i brak jakiejkolwiek sensownej reakcji na potrzeby osób z niepełnosprawnościami i ich rodziców, którą ujawnił ich protest w Sejmie wiosną 2018 r. Wielodniowa okupacja korytarzy parlamentarnych, zakończona praktycznie niczym poza kilkoma kompromitującymi występami polityczek i polityków, została przez Teatr 21 przeniesiona na inny poziom. Niewydarzona rewolucja społeczna była dopełniana w serii energetycznych eksplozji, których finał stanowiło ogłoszenie powołania Centrum Sztuki Włączającej i chóralne odśpiewanie przewrotnego hymnu „I am down in the town". Widziałem to przedstawienie dwukrotnie i za każdym razem byłem pod ogromnym wrażeniem wyzwolonej i wyzwalającej energii, która gniewną i bezkompromisową deklaracją własnego istnienia rozbijała depresyjne nastroje, tak chętnie generowane i podtrzymywane przez dominującą politykę. Bycie „*really Down*" nabrało nowego sensu.

Teatrowi 21 udało się przetrwać trudny czas pandemii, a w listopadzie 2022 r. znalazł wreszcie własną siedzibę na warszawskiej Pradze. W tym samym roku został nagrodzony Paszportem „Polityki". Powrót do intensywnej działalności zaznaczyła premiera „Rodziny" (2022), zrealizowanej we współpracy z TR Warszawa, ponownie podejmującej kwestie życia rodzinnego i uczuciowego osób z niepełnosprawnościami.

Publiczności uważającej się za pełnosprawną Teatr 21 przedstawia obraz świata, który demaskuje fałszywość jej dobrego samopoczucia. Jeśli bowiem „normalność" opiera się na usuwaniu wszystkiego, co nie spełnia jej sztywniejących reguł, a w końcu okazuje się istnieć głównie dzięki owemu usunięciu, to sama zaczyna chwiać się w posadach, zaś jej reguły kompromitują się jako absurdalne. Groteska, jaką często posługują się twórcy Teatru 21, nie zasadza się na ich odmienności i niestandardowości, ale na tym, że ze swojej perspektywy widzą „normalność" jako serię wewnętrznie sprzecznych, chaotycznych ruchów motywowanych lękiem i próbą ucieczki.

Dlatego szczególnie mocno oddziałują tematy związane z życiem rodzinnym, uczuciami i bliskością, czyli te „zwykłe". Bo osoby z niepełnosprawnościami pozbawiane są prawa do tych rzekomo naturalnych przeżyć i doświadczeń, a jednocześnie postrzega się je społecznie jako bardziej „naturalne" i „autentyczne". Skoro nie wolno im kochać (choć podobno wolno każdemu), to może ta „naturalna" i „normalna" miłość wcale taka nie jest?

Wycinka

Pytanie, które na dalszym lub bliższym planie wybrzmiewało w przedstawieniach Teatru 21, stanowi kwestię fundamentalną „Snu nocy letniej" – przedstawienia zrealizowanego właśnie przez Justynę Sobczyk we współpracy z Jakubem Skrzywankiem w Teatrze Współczesnym w Szczecinie (2023). Duet, który współpracował ze sobą już w 2017 r. przygotowując „Superspektakl", koprodukcję TR i Teatru 21, dziś jest prawdziwą supergrupą złożoną z dwojga laureatów Paszportów „Polityki".

Nie wydaje się jednak, by oboje coś sobie z tego robili, dążąc raczej do skuteczności społecznej, politycznej i pedagogicznej, niż do wytworzenia walorów artystycznych mających zagwarantować im uznanie za „prawdziwych twórców". W punkowym geście rozbijają melancholijną sielankę Szekspirowskiej komedii pragnień i snów, wykrzykując głośno i wprost to, co uważają za najważniejsze do powiedzenia tu i teraz. Sięgają po środki rażenia tak bezpośredniego, że może to prowadzić do oskarżeń o łopatologię.

Od takiej właśnie sceny zaczyna się szczeciński „Sen...". Jeszcze zanim kurtyna się podniesie, wychodzą występujący w przedstawieniu aktorki i aktorzy z niepełnosprawnością: Amelia Blus, Jolanta Niemira, Justyna Utracka, Bogusław Krasnodębski i Roman Słonina. Ten ostatni zaczyna czytać internetowy wpis o wizycie u seksworkerki w Brukseli, który był inspiracją do ważnej części przedstawienia. Nie zdąży jeszcze przeczytać pierwszego zdania, kiedy od strony widowni wpada na scenę trójka Strażników Moralności (Grażyna Madej, Wiesław Orłowski i Konrad Pawicki). Zabraniają czytania gorszącego świadectwa i zmuszają obecne na scenie osoby do odegrania ckliwego przedstawienia o Miłości Prawdziwej, które wygląda jak parodia sentymentalnych teatrzyków amatorskich, znanych z wszelkich placówek dydaktycznych (nie tylko dla osób z niepełnosprawnościami). Po chwili następuje jednak aktorski bunt: zespół ucieka na scenę, a kurtyna podnosi się ukazując świat szekspirowskiego Lasu.

I ta scena, i cały koncept Strażników Moralności mogą budzić oskarżenia o ustawianie sobie przeciwnika i nadmierne uproszczenie zero-jedynkowego układu. Każdy, kto nie popiera projektu wprowadzenia asystentów seksualnych dla osób niepełnosprawnych, jest zrównany z karykaturalnie ośmieszanym ciemnogrodem, a każdy, kto popiera i włącza się w to działanie – staje się siłą rzeczy sojusznikiem sił postępu. Walenie ↦

↦ na odlew w jednostajnym rytmie „nasza racja jest racją, wasza – tępotą” nie może wieść do ostatecznie pożądanych rezultatów.

Zdecydowanie lepiej zaangażowana wściekłość twórców wybrzmiewa, gdy jej partnerem – nawet jeśli występującym tylko w roli chłopca do bicia – staje się Szekspir. Historia „miłosnych szaleństw” młodych zalotników przekształca erotyczną feerię letniej nocy w upiorny taniec konwencji, pustych słów i idiotycznie napuszonych gestów, które daremnie usiłują przytłumić i nadać kulturowe kształty pragnieniu bliskości. To pragnienie jest z prawdziwą teatralną i aktorską maestrią rozgrywane w jednej z najlepszych scen przedstawienia – miłosnej nocy Hermii i Lizandra (Wojciech Sandach), której towarzyszą wypowiadane śmiało i delikatnie osobiste warunki bliskości formułowane przez Amalię Blus.

Ta piękna i oczyszczona z konwencjonalnych ozdobników scena bliskości rozgrywa się jednak nie w Lesie, ale pod nim – w korzeniach drzew, jamach odsłoniętych przez zbuntowaną trupę aktorską. Las pozostaje do końca przestrzenią absurdalnego teatru zakłamanej Miłości Prawdziwej, której nic nie zdoła ocalić. Władca tego świata, Tezeusz zostanie przez zbuntowaną Hipolitę obdarzony oślimi uszami, po czym wraz z dworem utworzy chór komentatorów wypisujących swoje mniej lub bardziej niedorzeczne uwagi (bo przecież nie myśli) pod internetowym postem o wizycie w Brukseli.

Puk, puk, puk!

Historia Siostry (Barbara Lewandowska), która zawiozła swego Brata (Roman Słonina) do Brukseli na niemożliwą w Polsce wizytę u Seksworkerki (Helena Urbańska), profesjonalnie przygotowanej do kontaktów z osobami z niepełnosprawnością, tworzy wątek przeciwstawiany fałszywym amorom. Wszystkie sceny tego wątku rozgrywane są w sposób diametralnie odmienny od wielkoteatralnych scen szekspirowskich. Niewielki, prosto umeblowany pokój, ściszone głosy, rezygnacja z wszelkiego utożsamiania (osoby grające skupiają się na prezentowaniu i prowadzeniu sytuacji, a nie na „przeżywaniu” i wcielaniu postaci) – wszystko to sprawia, że sekwencje „usługi seksualnej” mają o niebo więcej czułości niż cały świat ateńskiej komedii miłosnej.

Strażnicy Moralności jednak nie rezygnują i koniec końców zmuszają przejętą na początku trupę do wykonania przedstawienia o Priamie i Tyzbe. Wreszcie są w swoim żywiole – Wiesław Orłowski wprost zagrywa się do bólu i rozkoszy jako Priam, a Grażyna Madej przeżywa wszystkie lęki i radości instruktorki amatorskiego teatru. Jednak aktorki i aktorzy stopniowo coraz jawniej się buntują. Wreszcie następuje może najbardziej przejmujący moment przedstawienia: Justyna Utracka, która niemal natychmiast uciekła z tego groteskowego teatrzyku, mówi na głównej scenie końcowy monolog Puka. Mówi go prosto i pięknie, a słowa o „marnych cieniach” brzmią nagle w jej ustach niespodziewanie dotkliwie.

Puk obiecuje inny, lepszy sen. Teatr tę obietnicę realizuje i inscenizuje nawet dwa. W pierwszym Matka opiekująca się niepełnosprawnym synem (Ewa Sobiech) wygłasza swój protest wobec braku wsparcia i zrozumienia, a następnie na projekcji, jako SuperMatka laserowym spojrzeniem burzy szczeciński oddział ZUS – symbol systemowej bezduszności (ta część niestety też wydała mi się nieskuteczna i artystycznie jałowa). Sen drugi to właśnie długo oczekiwana scena spotkania Brata z Seksworkerką.

Nie wiem, czy rozbicie kulturowo czczonej szekspirowskiej wersji miłości przez czułość praktyczną, racjonalną i wręcz zawodową jest w szczecińskim spektaklu skuteczne. Wydawało mi się też – o czym była już mowa – że bezpośredniość i ostrość ataku na przeciwników proponowanych rozwiązań tym razem była mało fortunna. Niemniej jednak, gdy już szedłem aleją na Wałach Chrobrego, słyszałem zażarte i wcale niegłupie dyskusje osób, którym to, co zobaczyli i usłyszeli, dało do myślenia.

Kto wie – może to jakiś znak, że kiedyś obietnica Puka zacznie się spełniać także w rzeczywistości? Może wobec narastającej kampanii ideologicznego wykreślania ludzi i ich realnych problemów w imię pilnowania „moralności”, która kryje chęć utrzymania władzy, w końcu jakiś opór narodzi się także wśród większości. Może i ona zacznie rozumieć, że jej święty spokój budowany jest na czyimś cierpieniu?

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Deficyty wyobraźni

DUBRAVKA UGREŠIĆ, PISARKA:

Nasza pamięć jest regularnie formatowana, jak dyski w komputerach. Ile cywilizacji w dziejach ludzkości upadło? Katastrofy dostrzegamy dopiero po fakcie, gdy odczuwamy ich skutki.

MICHAŁ SOWIŃSKI, ALEKSANDRA WOJTASZEK: Opowieści powstają dziś inaczej?

DUBRAVKA UGREŠIĆ: Opowiadanie, przynajmniej tak jak je rozumieliśmy przez wieki, to sztuka coraz bardziej archaiczna. Dane pokazują, że ci, którzy kupują książki, kupują ich więcej niż kiedyś, ale to jeszcze nie oznacza, że są one czytane. I chociaż jesteśmy przekonywani, że wraz z rozwojem mediów cyfrowych zwiększyła się liczba czytelników, to samo czytanie jest dziś aktywnością dysydencką.

W jakim sensie?

W mediach cyfrowych, które rzeczywiście są bardziej demokratyczne niż te tradycyjne, ale jednocześnie dużo bardziej w swojej istocie komercyjne, o wszystkim decydują użytkownicy, czyli czytelnicy.

To źle?

W ten sposób dochodzi do standaryzacji gustu, do którego dąży przemysł książkowy. Książki, szczególnie powieści, wracają do swoich korzeni, kiedy zarówno ich tworzenie, jak i konsumpcja były rozrywką popularną. Kanon został zburzony, bo nie był rankingiem bestsellerów, tylko krytyczną hierarchią. Dzisiaj krytykę literacką zamieszczaną w prasie i magazynach literackich

GRAŻYNA MAKARA

DUBRAVKA UGREŠIĆ, chorwacka pisarka, zmarła 17 marca br. Od 1993 r. przebywała na emigracji w Holandii i Stanach Zjednoczonych.

zastąpiły blogi, podkasty i tym podobne – to tam swobodnie i nieformalnie dyskutuje się o książkach. Ludzi bardziej interesuje socjalizacja i kontakty, które mogą stworzyć poprzez takie fora, niż sama książka. Wszyscy jesteśmy jednocześnie autorami, krytykami i specjalistami od promocji – każdy z nas może stworzyć własną bazę fanów, gdzie pod pretekstem lektury będzie budować relacje społeczne.

Lata temu podjęła Pani decyzję o „wypisaniu się z nacjonalistycznego szaleństwa" – mówiła Pani, że woli być „nikim", niż opowiadać się po którejś ze stron. Nie żałuje Pani decyzji?

Nie. Emigracja, ze względu na złożoność sytuacji, w jakiej znajduje się emigrant, jest ważną i intensywną szkołą życia. Taka zmiana rozwija zupełnie nowe i nieoczekiwane umiejętności. Chodzi o konieczność konfrontacji z samym sobą, a następnie z wartościami, które wszyscy przyjmujemy za oczywiste, bo nie mamy okazji, aby je zakwestionować. Bezpaństwowość, bycie apatrydą, może posłużyć jako detoksykacja psychiczna, która w konsekwencji prowadzi do emancypacji. Ale dla wielu emigracja to po prostu wielkie nieszczęście.

Demony nacjonalizmu, uśpione przez ostatnie lata, dziś na nowo budzą się i krążą nad Europą, także tą Zachodnią. Niczego się nie nauczyliśmy?

Nacjonalizm rodzi się z poczucia nieadekwatności pojedynczych doświadczeń z oczekiwaniami, które wcześniej zostały sztucznie wykreowane. Ale również z poczucia podrzędności i niemocy – z poczucia głębokiej porażki. Kiedy wszystko już zostało zniszczone, kiedy nie ma niczego innego, ludzie chwytają się tożsamości narodowej jako tego, co jeszcze pozostało. Tożsamość narodowa to w zasadzie kategoria religijna.

Wyznawcy danej tożsamości dostrzegają w niej jednak głęboki sens.

Bo konstruują go na bieżąco sami nosiciele tej czy innej tożsamości. Podobnie jest z religią. Istnieje silna potrzeba jakiejś wyższej instancji, na której ludzie mogliby się oprzeć, zaufać jej, która zwolni ich z odpowiedzialności za błędy, głupotę i zbrodnie. Będzie zawsze im towarzyszyć, aby pogłaskać po twarzy i powiedzieć: „Nie martw się, wszystko będzie dobrze". „Nikt nie ma prawa was bić!" – powiedział Miloszević Serbom. Można też prościej, ale równie skutecznie: „Teraz wreszcie będziecie mogli śpiewać swoje pieśni, swoje piękne chorwackie pieśni" – obiecywał Chorwatom Franjo Tudźman.

Jugosławia jako twór wielonarodowy była taką antynacjonalistyczną odtrutką?

Jugosławia, niestety, stała się naszą lepszą przeszłością, a nie naszą lepszą przyszłością. Wyjątkowość jugosłowiańskiej tożsamości polegała na tym, przynajmniej dla mnie, że nie była obciążeniem, nie narzucano jej siłą. Wprost przeciwnie, była ciekawa, zabawna, przekonywała mnie – byłam w stanie ją zaakceptować jako nowoczesny koncept ideologiczny. Niestety „jugoslawizm" został wraz z wojną i rozpadem Jugosławii zastąpiony konceptem „ziemi i krwi", który uważam za perwersyjny, upośledzony.

Po 30 latach nawet stosunek do krwawej wojny na Bałkanach pozostaje nieoczywisty dla wielu polityków. A przecież Sarajewo miało być przestrogą dla XXI wieku.

Sarajewo jest z pewnością jednym z najbardziej wstrząsających symboli cywilizacji europejskiej drugiej połowy XX wieku. Sarajewo to mroczne lustro ↦

↦ Europy. Można mieć tylko nadzieję, że w najbliższej przyszłości nie będzie kolejnych. Apokalipsa może wydarzyć się na naszych oczach, ale zwyczajnie nie potrafimy tego dostrzec. Nasza pamięć jest regularnie formatowana, jak dyski w komputerach. Ile cywilizacji w dziejach ludzkości upadło? Ktoś się tym dziś przejmuje? Katastrofy dostrzegamy dopiero po fakcie, gdy odczuwamy ich konkretne skutki.

Olga Tokarczuk, już po Noblu, mówiła, że literatura powinna odejść od kwestii tożsamościowych, które dominowały w XX wieku – w zamian potrzebujemy nowej, bardziej adekwatnej do nowych czasów wyobraźni.

Tokarczuk ma rację. Tak zwana „poważna literatura" pozostaje w tyle, brakuje w niej wrażliwości i wyobraźni właśnie. Być może dziś potrzebujemy mniej powagi, a więcej spekulacji? Bo Netflix i inne platformy streamingowe to tylko atrakcyjny dodatek do powieści z ducha dziewiętnastowiecznych, ale nie myślałabym o nich w kategorii alternatywy. Literatura wciąż ma wiele do powiedzenia i zaoferowania współczesnym czytelnikom. O ile nie zostanie całkowicie podporządkowana kapitalistycznym mechanizmom, poradzi sobie. Trzeba jej tylko w tym nie przeszkadzać.

W eseju „Kultura karaoke" z 2010 r. protestowała Pani przed masową kulturą przeciętności, miksowaniem i odtwarzaniem. Jest jeszcze w dzisiejszej kulturze miejsce na oryginalność?

Jest miejsce, bo oryginalność zawiera się w języku, odcisku palca, sposobie, w jaki opowiada się historię. Istotą każdej formy wyrazu artystycznego jest komunikacja. Nie mogę twierdzić, że jestem pisarką, jeśli nie ma ani jednego czytelnika, który to potwierdzi, bez względu na to, czy znajduje się on na biegunie północnym, w Nowym Jorku, czy w Poznaniu. To moi czytelnicy sprawiają, że jestem pisarką. Ich liczba nie jest jednak ważna. Ważna jest jakość naszej komunikacji.

© Rozmawiali MICHAŁ SOWIŃSKI i ALEKSANDRA WOJTASZEK

Marzec 2021 r.

WSPOMNIENIE

Rok temu, 30 marca 2022 roku, zmarła w Krakowie, w wieku 96 lat,

Maria z Wietrzykowskich Łempicka

Urodzona w Brzeziu koło Bodzentyna, bardzo była przywiązana do swoich stron świętokrzyskich i pochowana jest w grobowcu rodzinnym w Świętomarzy.

Była dla nas wzorem, autorytetem, punktem orientacyjnym na mapie: jak żyć.
Swoim ciepłem i dobrocią, wesoła i pełna humoru i optymizmu, zjednywała sobie przyjaźń i sympatię otoczenia.
Jako szefowa była bardzo ceniona przez współpracowników, tu pozwolę sobie przytoczyć wspomnienie jednej z nich:
„Nie spotkałam w życiu żadnej innej osoby tak bardzo pozytywnie i tolerancyjnie nastawionej do ludzi i otaczającego świata.
Ja i moi bliscy, którzy mieli sposobność Ją poznać, wszyscy byliśmy oczarowani
Jej bystrym intelektem, młodym głosem i śmiechem, ujmującym sposobem bycia w każdym okresie jej życia, także w zaawansowanym wieku. Bardzo mi Jej brak".

Jako jedna z pierwszych kobiet ukończyła, w 1949 r., wydział metalurgii na AGH i zrobiła doktorat na WAT w 1964 r.
Pracowała w przemyśle zbrojeniowym na Śląsku i w instytucie naukowym w Krakowie. Na emeryturze, wraz z mężem Jackiem, opracowała i wydała książki „Sanktuaria Polskie" i „Kult świętych w Polsce w świetle historii".

Była człowiekiem refleksji i wielkiej wiary, którą nieustannie pogłębiała.
Od początku istnienia „Tygodnika Powszechnego" była jego wierną i entuzjastyczną czytelniczką.

Interesowała się polityką i interpretowała ją w świetle Ewangelii. Swoje przemyślenia publikowała w blogu „Mysz która myśli", a w wieku 95 lat wydała je jako „Refleksje Ewangeliczne". Bardzo cierpiała z powodu pogłębiających się u nas podziałów.

Rodzina była dla niej wielką wartością. Zależało jej na dobrych relacjach i solidarności rodzinnej, i na zwykłej międzyludzkiej.
Była mądrym mediatorem i życzliwym doradcą. Jej poszukiwania genealogiczne doprowadziły do wydania albumu genealogii rodziny Wietrzykowskich, założenia strony internetowej jej poświęconej i zorganizowania kilku wspaniałych zjazdów rodzinnych. Chciała widzieć dobro w każdym człowieku: założyła „Klub Poszukiwaczy Dobrych Zdarzeń".

Swoją ufność w Opatrzność Bożą i zaufanie do ludzi przekazywała nam przez całe życie. Zachowajmy z wdzięcznością pamięć o niej i, jak często powtarzała, „Trzymajmy się razem, szukając dobrych zdarzeń!".

CÓRKA I WNUKI

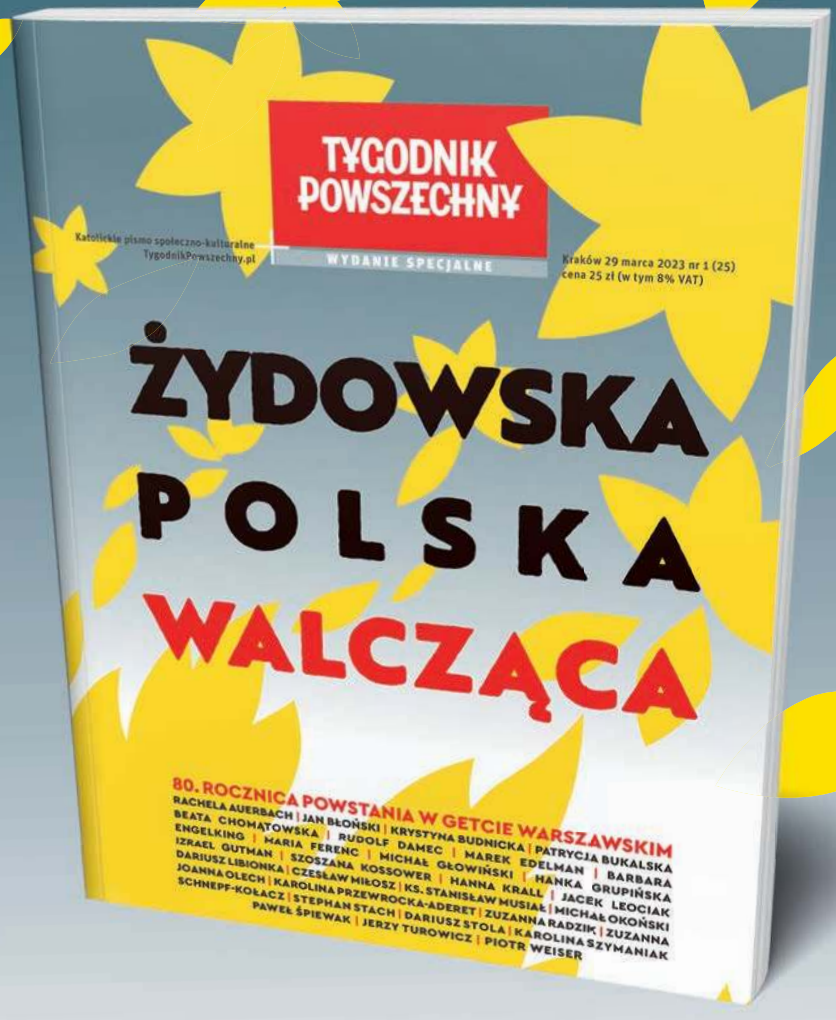

BEATA CHOMĄTOWSKA: *Chodźmy na spacer. Po Muranowie. Pokażę ci miejsce, w którym było getto. Teraz jest tam osiedle, jego południową część zbudowano z przemielonych gruzów.*

PREMIERA

JUŻ W SPRZEDAŻY WYDANIE SPECJALNE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

a w nim nieznane wcześniej zdjęcia z drugiej strony muru walczącego getta

Szukaj w miejscach z dobrą prasą lub zamów swój egzemplarz na zamowienia@TygodnikPowszechny.pl

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO — WSPÓŁWYDAWCA

GŁÓWNY PARTNER WYDANIA — POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

PARTNERZY WYDANIA

KONRAD ADENAUER STIFTUNG

FRIEDRICH EBERT STIFTUNG

ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY 75 LAT

FESTIWAL KULTURY ŻYDOWSKIEJ

CENTRUM DIALOGU im. Marka Edelmana w Łodzi

wydawnictwo czarne

zaiks sprzyjamy wyobraźni

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Żywe oczy

ANITA PIOTROWSKA

„Prawdziwe życie aniołów" to więcej niż kino. Znając historię Krzysztofa Globisza i widząc, jak mocno filmowa opowieść przylega do rzeczywistych zdarzeń czy postaci, można widzieć w niej bardziej psychodramę niż fabułę opartą na faktach.

ALICJA RZEPA / BARTON FILM / MATERIAŁY PRASOWE KINO ŚWIAT

Dotychczas jedynie teatr zobaczył w afazji krakowskiego aktora, będącej następstwem udaru doznanego prawie dziewięć lat temu, inspirujący środek wyrazu. I unikalną szansę dla głównego wykonawcy. W kilku spektaklach, zwłaszcza w „Wielorybie The Globe", napisanym specjalnie dla Globisza przez Mateusza Pakułę i wyreżyserowanym w Łaźni Nowej przez Evę Rysovą, aktor nie tylko wrócił na scenę, ale i potrafił świetnie zagrać swoim autentycznym „bezmowiem". Publiczność kinowa musiała poczekać na podobny wyczyn dłużej. I choć życie jako bezwzględny scenarzysta dopisywało po drodze następne akty czy dramatyczne zwroty akcji, Artur W. Baron zobaczył w swoim ukochanym aktorze i w jego zmaganiach z niepełnosprawnością kolejne, jeszcze bardziej ludzkie wcielenie skrzydlatego Giordana z „Anioła w Krakowie" (2002) i „Zakochanego anioła" (2005). A obok niego pojawiły się jeszcze inne anioły.

To, co w tamtych filmach było trochę poczciwą, trochę łobuzerską przypowiastką z magicznym Krakowem w tle, tu nabiera rzeczywistego ciężaru. Ponieważ będący w trakcie rehabilitacji aktor nie jest w stanie przeskoczyć swoich psychofizycznych ograniczeń, bardziej niż kiedykolwiek staje się przed kamerą twórcą i tworzywem równocześnie. Na tym właśnie polega osobliwość tego filmu. Żyjemy w czasach, kiedy gromko nawołuje się do zwiększenia reprezentacji na ekranie osób należących do różnych mniejszości albo mających rozmaite dysfunkcje, a przez to społecznie i filmowo wykluczanych. Sugeruje się, by bohaterów z otyłością, niepełnosprawnością czy transseksualnych grały wyłącznie takie osoby. Często, choćby w przypadku „Wieloryba" Darrena Aronofsky'ego, ów postulat zostaje doprowadzony do absurdu. Tutaj, podobnie jak w swoich scenicznych rolach, wybitny aktor z zaburzeniem mowy w pełni wciela ten ideał. Jest wszakże na poły napisaną przez Barona postacią, na poły sobą. Chcąc opisać ten fenomen metaforycznie, należałoby rzec, iż Globisz w „Prawdziwym życiu aniołów" nie jest do końca Globiszem, lecz performuje siebie, swoją chorobę i swoje życie.

Dlatego główny bohater tej historii nosi imię Adam, nie Krzysztof. Ale już jego filmowa małżonka, brawurowo zagrana przez Kingę Preis, będąca tak naprawdę główną współbohaterką (i chciałoby się jej jeszcze więcej), ma na imię Agnieszka. I to właśnie Agnieszce Globisz, postaci nie mniej heroicznej, zadedykowano ten film. Na takich przemieszaniach i przemieszczeniach między faktami i fikcją bazuje cały scenariusz Barona. Ci, którzy znają genezę i pierwowzory bohaterów, będą zapewne sprawdzać, ile Krzysztofa w Adamie i Agnieszki w Agnieszce. Jednakże owa hybrydowość ma zakorzenienie także w wewnętrznym świecie bohatera – fragmentarycznym, nieustannie mieszającym porządki, rządzącym się własną, zupełnie nową logiką.

Wedle jej prawideł i kaprysów zbudowana została pokawałkowana opowieść o wybudzonym ze śpiączki znanym aktorze, o jego zawodowej przeszłości i nieidealnej rodzinie, a przede wszystkim o determinacji jego żony. To ona pierwsza dostrzega, iż człowiek, któremu zdążyły już obumrzeć pewne rejony mózgu, ma ciągle „żywe oczy". Można by się długo rozpisywać, jak pięknie bohaterka potrafi wierzyć w wyzdrowienie męża, wbrew kiepskim rokowaniom, lecz nie byłoby przecież tej wiary bez łączącej oboje silnej i nie zawsze łatwej więzi. Albowiem, jak wynika z fabuły Barona, w pierwszej kolejności to realna bliskość, nie przedustawna wiara, czyni prawdziwe cuda.

Stąd w filmie wyświetlającym się w Adamowej głowie, prócz podróży do sielsko-górskiego matecznika, wyimków z pracy zawodowej czy innych, mniej chwalebnych epizodów, pojawiają się okruchy małego szczęścia, jak wspólne wakacje z Agnieszką nad morzem. Łącznikiem pomiędzy wczoraj i dziś staje się też humor, nawet ten czysto słowny, ciągle zrozumiały, choć nie da się go już samemu zwerbalizować. Bo przecież nie wszystko

RADIO KRAKÓW

Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | **www.radiokrakow.pl**

PRAWDZIWE ŻYCIE ANIOŁÓW
– reż. Artur W. Baron. Prod. Polska 2022. Dystryb. Kino Świat. W kinach od 14 kwietnia, wcześniej pokazy przedpremierowe.

mieści się w słowach – i o tym także traktuje ten film. O zmaganiu z opornym językiem i o próbach obejścia go. Podwójny dramat, aktora i bohatera, pozbawionych najważniejszego narzędzia komunikacji z widzem i drugim człowiekiem, zostaje tutaj niby obłaskawiony, choć tak naprawdę wzięty za rogi. I nie przypadkiem jednym z pierwszych wyrazów wypowiedzianych przez Adama będzie niecenzuralne słowo na „k". Poza wszystkim oglądamy przecież film o buncie chorego. Film, który przywraca mu – rzecz jasna, z pomocą życzliwego i kompetentnego otoczenia – zachwianą podmiotowość.

Skoro fabuła nieustannie meandruje, na dodatek wokół człowieka, który przez całe życie mieszkał pośród fabuł, jego osobisty mikrokosmos, a tym samym i film o nim, aż roi się od różnorakich odniesień i autoodniesień. Powracają zatem sceny z poprzednich „anielskich" filmów z Globiszem, przewija się „Historia filozofii po góralsku" ks. Józefa Tischnera, sfilmowana ongiś przez Barona, tudzież archiwalne fragmenty spektaklu dyplomowego „Mężczyzna, który pomylił swoją żonę z kapeluszem" według Olivera Sacksa, dotyczące afazji i w reżyserii Globisza. Wizje bohatera nawiedza również nowe wcielenie kloszarda Szajbuska, znanego ze wspomnianych wyżej filmów, czyli ostatnia rola filmowa Jerzego Treli, w scenie zaś bardziej realistycznej, poniekąd w roli samej siebie, wystąpiła Anna Dymna. Jest więc „Prawdziwe życie aniołów" jednocześnie benefisem postaci większych niż kino i teatr razem wzięte. Także z tego powodu obraz filmowy raz po raz odrywa się od ekranu i odsyła gdzieś dalej.

Jedno z boleśniejszych pytań postawionych w tym filmie dotyczy tego, czy chory, który na skutek zmian neurologicznych utracił dawny kontakt z otoczeniem, będzie nadal tą samą osobą. Ktoś nawet jego stan nazywa „życiem po śmierci" – Adam przekroczył bowiem pewną granicę i nic już nie będzie takie jak kiedyś. Nawet to niebo gwiaździste w mroźną noc mówi już trochę obcą mową. Skromny, nieco ponadgodzinny film o Krzysztofie Globiszu, prócz prostego przesłania o miłości, zdołał pomieścić całkiem sporo. Chciałoby się kiedyś zobaczyć jego ciąg dalszy, oczywiście z tym samym bohaterem i aktorem, będącym w coraz lepszej formie. ©

Lektor:
Historia choroby

▪ *Piotr Tarczyński*
ROZKŁAD. O NIEDEMOKRACJI W AMERYCE
Znak litera nova, Kraków 2023, ss. 382.

Książka gęsta od faktów, erudycyjna, wciągająca. I straszna: opowiada bowiem pośrednio o kruchości świata, w którym żyjemy, pokazując, jak niebezpieczne przemiany dokonują się w kraju, którego ustrój miał być wzorcem nowoczesnej demokracji.

„Wygraliśmy te wybory w cuglach" – za tytuł pierwszego rozdziału posłużyła wypowiedź Donalda Trumpa ze stycznia 2021 r. Urzędujący prezydent, który nie chce uznać, że nie został ponownie wybrany, i stara się to zmienić wszelkimi środkami – włącznie z szantażowaniem wysokich urzędników i próbą nacisku na własnego zastępcę – to dopiero początek. Potem jest „Wycieczka na Kapitol", czyli szturm podjudzonych przez Trumpa bojówek na miejsce dla Ameryki symboliczne. Zapamiętaliśmy szamana QAnonu z gołą klatą, w rogatej czapie i z włócznią w ręku, który zajął miejsce wiceprezydenta Pence'a w sali Senatu. Stał się symbolem tego wydarzenia, podkreślając jego groteskową stronę. Niestety, bo jak trzeźwo zauważa Tarczyński, „zamach stanu nie przestaje być zamachem stanu tylko dlatego, że jego uczestnicy są dziwnie ubrani".

Dalej znajdziemy skrupulatną analizę etapów drogi, jaka doprowadziła do stanu obecnego, poczynając od historii ewolucji Partii Republikańskiej od Lincolna do Trumpa („Doktor Frankenstein pada ofiarą własnego potwora" – nie mogę się powstrzymać od cytowania tych tytułów, bo są wyjątkowo trafione). I kolejnych schorzeń (albo przynajmniej złych stron) amerykańskiego systemu wyborczego. Wypaczania demokratycznych reguł gry, paraliżowania procesu legislacyjnego, skrajnej polaryzacji sceny politycznej i przejmowania niezależnego z założenia Sądu Najwyższego przez jedną stronę sporu. Kto chce się dowiedzieć, co oznaczają terminy takie jak *gerrymandering* (znów zachęcający tytuł: „Kaczor Donald kopie Goofy'ego") czy *filibuster* – niech czyta „Rozkład". Zostanie kompetentnie wprowadzony za kulisy amerykańskiej polityki wewnętrznej, przy okazji zaś pozna dziesiątki anegdot. Bywa bowiem i śmieszno, i straszno. A zarzutem wobec prezydenta może być np. doprawianie przez niego hamburgera francuską musztardą...

Zachęcam więc do lektury, zwłaszcza że mechanizmy polityczne w różnych krajach lubią się powtarzać. I do słuchania „Podkastu amerykańskiego", który Piotr Tarczyński – tłumacz, amerykanista, pisarz – prowadzi wraz z Łukaszem Pawłowskim. ©℗

OLGA

Drenda: *Koniec świata millenialsów*

Dopiero co skończono narzekać na millenialsów, że to „ta dzisiejsza młodzież", która „niczego nie docenia", a już pokolenie, do którego i sama mam przyjemność należeć, pomału zaczęło wkraczać w smugę cienia. Dwudziestolatki na TikToku już parodiują „millenialską pauzę", czyli moment niepewności przed rozpoczęciem mówienia do kamery.

Ale tak się złożyło, że pokolenie urodzone w latach 80. i wczesnych 90. z jednej strony musiało szybko nauczyć się samodzielności, a z drugiej – adresowana do nich kultura popularna, gadżetosfera, a nawet posługujące się kumpelskim językiem i utożsamiające pracę z fajną rozrywką firmy budowały przekonujące wrażenie, że młodość to po prostu niekończący się stan rzeczy. Dla wielu branż millenials był przez lata dobrym klientem – może wszystko było z zasady niestabilne, mieszkania coraz droższe, wypłaty nieduże, a umowy nieoskładkowane, ale rekompensowały to małe luksusy, które dawały przyjemne wrażenie „mienia czegoś z życia": tanie loty, tanie pokoje w Airbnb, tanie przejazdy taksówką, streaming filmów w domu, sprzęt sportowy, zdrowe jedzenie. Branża stylu życia oferowała śmiesznie niskie ceny, by przyzwyczaić klientów do swoich usług, ale teraz wyrównuje zaciągnięty kredyt. Świat millenialsów w jakimś sensie się skończył.

Czego nasłuchało się pokolenie umownych 35-latków, a co dzisiaj jakby straciło na aktualności? „Jeśli jesteś w czymś dobry i będziesz się starać, zostanie to docenione" (zwłaszcza ostatnie przykłady z USA pokazują, że można stawać na rzęsach i spać na materacu w siedzibie firmy, a i tak nic to nie da, gdy szef ma swoją *idée fixe*). „Twoje nawyki konsumenckie mają znaczenie" (za czym często kryła się niby-ekologiczna mowa-trawa, czyli tzw. *greenwashing*). „Wystarczy nie być dupkiem" (dopóki nie spotkasz na swojej drodze, niestety, jednego z licznych i dobrze radzących sobie dupków). A nawet „w internecie nic nie ginie" (niby tak, ale spróbuj przekopać się przez warstwę linków spozycjonowanych i sponsorowanych albo zobaczyć film, który Netflix czy inna platforma postanowiła wyrzucić z oferty). Trzeba też weryfikować swoje marzenia, starania i wysiłki.

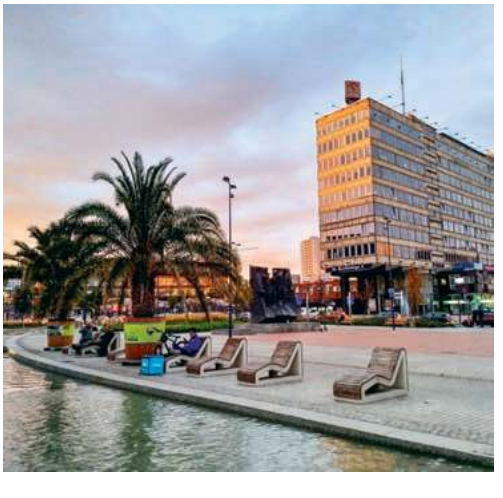

Nadszedł zmierzch wygód.

OLGA DRENDA

Mała, własna firma, czyli oczywiste dążenie wielu moich rówieśników, czasem przestaje być opłacalnym wyborem, a wtedy wkrada się poczucie porażki. Wbrew temu, co mówiono przez lata, pomysł i dobre chęci to za mało, żeby osiągnąć sukces i – zgodnie z chyba najbardziej śmiesznie nieaktualnym z dzisiejszego punktu widzenia hasłem – „zmieniać świat". Ceny usług i zakupów rosną, z wakacji trzeba rezygnować i znów, jak za dawnych lat, codziennością staje się odmawianie sobie. Ulubione sklepy i kawiarnie znikają, bo ostatnie słowo należy do dewelopera – i zastępują je kolejne sieciowe punkty spożywczo-monopolowe, a kont w streamingu nie można już dzielić z każdym. Na dodatek okazuje się, że nieważne, ile poradników dla superrodziców przeczytamy, nasze dzieci i tak będą chciały jeść słodycze i grać na iPadzie. Na pociechę zostają małe przyjemności sprzed dekady: śmieszne skarpetki, kubek z napisem typu „nie mów do mnie z rana" i wciąż popularne bieganie, bo to jest przynajmniej za darmo, choć stawy już trochę chrupią.

Pociechy prawdopodobnie przeciętny millenials poszuka samotnie. W kilku wywiadach udzielonych różnym mediom psychoterapeutka Joanna Flis przedstawiła nowe spojrzenie na pokolenie trzydziesto- i czterdziestolatków, dostosowane do polskich warunków – wchodzenia do UE, masowej emigracji za granicę i do miast, gimnazjów, nowych matur, wiązania końca z końcem. Definiuje je poczucie, że trzeba być dzielnym i radzić sobie, ale samodzielnie. Umiesz liczyć, licz na siebie. To rezultat ówczesnej szkoły stawiającej na rywalizację, domowego życia z zapracowanymi, przemęczonymi rodzicami, wyjazdów zarobkowych za granicę, a w kraju – nieustannie przedłużanej umowy o dzieło albo ambicji pracy na własny rachunek. Stąd przekonanie, że „lepiej nosić, niż się prosić", oraz „mówiły jaskółki, że niedobre są spółki", konieczność udowadniania, że wciąż wszystko u nas gra, a gdy zdarzy się potknięcie – szukanie szybkich, choć nie zawsze mądrych rozwiązań dla swoich problemów. Na pewno nie stawiam się tu w roli cioci dobra rada, która od tych rozpoznań się dystansuje; przeciwnie, zwróciłam na nie uwagę, bo wydały mi się nieobce. Zaradne, ale wciąż dzieciaki – tak mówiono o millenialsach przez długi czas. A teraz – za młodzi na sen, za starzy na grzech! Może ktoś powinien napisać o tym Wielką Polską Powieść? ©

PAWEŁ

Bravo: *Kuchnia od Sasa*

Czterdzieści kilo masła dziennie zużywała w 1766 r. kuchnia obsługująca króla Stasia i jego dwór. Dwór wprawdzie wcale liczny, ale i tak jest to znaczna i ciekawa liczba. Można by wręcz uczynić zeń emblemat problemu z tym monarchą. O ile ktoś go w ogóle ma. Za mało się kształciłem, by mieć narzędzia do oceny, czy lawirowanie w piramidalnie niekorzystnych układach politycznych było w jego wykonaniu nieporadne, pełne błędów gorszych od zbrodni, czy po prostu lepiej się nie dało. Ale jednak kształciłem się dość, by rozpoznać ordynarny czarny piar, także ten historyczny, anachroniczny, w służbie jakiejś współczesnej rozróby. Cała zaś narracja o uleganiu obcości, sfrancuzieniu oraz rozmiękczeniu krzepkiej tożsamości wschodniego przedmurza śmierdzi uproszczeniem niczym stary bigos odkryty wiosną w kącie balkonu. A nawet gdyby była całkiem prawdziwa, to tym bardziej lubiłbym tego króla: otóż, uznając za fakt niezmienny, że Polska nie leży całkiem na tzw. Zachodzie, uważam, że regularne zastrzyki końskich dawek okcydentu są niezbędne dla podtrzymania tej przedziwnej mieszanej, niespójnej urody, jaką w niej kocham.

Masło więc, mnóstwo masła w świątek, piątek, bo, rzecz ważna, masło i nabiał weszły do kanonu kuchni postnej mniej więcej od połowy XVIII w., kiedy dla stolnika litewskiego, a potem króla Polski gotował Paul Tremo, zniemczony Francuz, a co gorsza hugenot, który tym bardziej nie miał powodu przejmować się katolickimi rytuałami. Z racji stanowiska i sławy osoba wpływowa, jeśli chodzi o kształtowanie myślenia o porządnym jedzeniu na ziemiach polskich, choć z drugiej strony można go uznać za nosiciela ducha czasów, kuchni znacznie prostszej i lżejszej niż przeładowana cynamonem sarmacka, bliższej prawdzie składników, no i z racji francuskiej genezy bardzo maślanej.

O wpływach Tremo świadczy to, że zbiór jego przepisów krążył w odpisach przez długie dziesięciolecia po jego śmierci w 1810 r. – teraz zaś te teksty opracował i podał drukiem Jarosław Dumanowski w świetnie zilustrowanym i edytorsko dopieszczonym tomie serii „Polskie zabytki kulinarne". Poprzednie osiem pozycji wertowałem z zaciekawieniem i pożytkiem poznawczym. Dopiero jednak „Przepisy Paula Tremo" to książka, którą pochłonąłem też w sposób interesowny, z kucharską podnietą i zachowam ją na regale przy lodówce do przyszłego próbowania. To jest po prostu już kuchnia łatwa do ogarnięcia przez współczesną wyobraźnię smakową (używając modnej terminologii – można ten klasycyzm w wersji poniatowskiej „performować" w warunkach płynnej ponowoczesności). Kuchnia w rozkosznym rozkroku między luksusem a prostotą i lokalnością a wszelakimi importami. W dodanych jako aneks rejestrach i wykazach wydatków odnajduję pozycje takie jak „za ostrygi z Gdańska" oraz „pocztylionowi, który z ostrygami przyjechał" (nieźle musiał gnać), „za kawiar od ks. Repnina", ale też „od wypaproszenia 3 dzików i 1 łosia", „za 69 zajęców", „za 150 jarząbków". A w samym zbiorze jeden z największych bloków to parenaście receptur na szczupaka, rybę od wieków *par excellence* polską, zanim jeszcze wyparł go karp. Raz po raz w różnych wersjach powraca szczaw – świeży, duszony, kiszony. Chwytamy ten moment, kiedy kartofel zamienia się z amerykańskiej nowinki w coś niezbędnego – Tremo ciągle jeszcze nie pozwala mu wystąpić solo i każe go gotować do mięs pół na pół ze swojskim pasternakiem, pełniącym dotąd mało zaszczytną rolę zapychacza. Boleję, że nie tańczą tak w parze do dziś, wiecie, jak bardzo cenię ten korzeń. Cieszy mnie za to, że w „produktach każdego miesiąca" pod datą kwietniową wymienia młode pędy chmielu, inną moją małą obsesję, o której przypominam wam chyba co wiosnę.

A na koniec, choć przecież ulepiony z zachodniej gliny, rozważa pożytki z odpornej na trudne warunki glebowe i klimat akacji syberyjskiej: dziś mówimy na nią także „grochodrzew", bo daje owoc „pośredni między grochem a soczewicą", który na Syberii miele się i dodaje do zbożowej mąki. „Jego gorycz nie zadowoli podniebień naszych smakoszy". Ale do goryczy – twierdzi – można się przyzwyczaić, a nawet ją polubić, skoro „z żołędzi i korzeni dzikiej cykorii robi się napój podobny do kawy". Niestety, Tremo się w swoich projektach introdukcji mylił, polskie podniebienia do dziś czują niechęć do smaków gorzkich. I na szczęście dotąd nie było u nas aż tak ciężkich czasów, żeby mleć ten niby-groch, choć np. topinambur przez całe XIX stulecie był obecny w głodowej diecie.

Raz kiszony szczaw albo brusznice fermentowane w oskole z chmielem (zaraz brzoza zacznie znów tryskać!), a raz dwanaście funtów świeżej trufli, migdały z Walencji i beczka śledzi prosto z Holandii. Od Sasa do lasa, wszystko to się jakoś pomieściło w kuchni i rejestrach imć pana Tremo i nie ma powodu, by nie zmieściło się w naszych, choć nie dano nam tuzina kuchcików, a we czwartki, chcąc posłuchać przy obiedzie mądrych ludzi, możemy sobie włączyć laptopa z mądrym podkastem ze strony „Tygodnika". Byle starczyło masła. ©℗

Powyżej: Élisabeth Vigée-Lebrun, Portret Stanisława Augusta Poniatowskiego w stroju à la Henryk IV Burbon, po 1797 r.

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE / MATERIAŁY PRASOWE

ERNIE JANES / BEW

ZMYSŁY

PRZYGÓD KILKA

Wróble, które były z nami od zawsze, nie wywołują aż tylu emocji, co inne ptaki. Niesłusznie.

ANNA GOC

Zaczęło się w sypialni, pod sufitem. Najpierw postukiwania, ale jakieś ciche, ledwo słyszalne. Potem coś szurnęło, poruszało się jeszcze przez chwilę i ucichło. Jakby remont w mieszkaniu obok, ale raczej niewielki.

Była piąta nad ranem. Okna sąsiadów zasłaniała biała roleta, zza której nie przebijało światło, a więc spali, to nie oni. Na balkonie, tuż pod oknem, pojawiła się za to kupka śmieci: kilka piórek, kawałki tynku, źdźbła trawy.

Marcowe słońce nie nagrzało jeszcze płyt balkonowych. Boso, cichutko, zajrzałam pod dach, tuż nad kupkę śmieci. Ktoś tam zamieszkał. Ktoś bardzo mały. Ktoś zwinny i gibki, bo udało mu się przecisnąć przez ledwo widoczną szparę.

Kilka godzin później na balkonowej balustradzie usiedli ona i on. Wróble.

1 Zimą na tej samej balustradzie stanął karmnik. I bywał oblegany. Dwa razy dziennie przylatywały czyże. Dobrze było widać ich spiczaste dzioby albo krótkie, wcięte ogony. Zawsze zjawiały się w stadzie, obsiadały nie tylko karmnik, ale też szczebelki balustrady i parapet. Kręciły się, bystro spoglądały w okna, wskakiwały na chwilę do karmnika, a potem, znów całym stadem, odlatywały. Zaśnieżony i poszarzały od zimy karmnik zielenił się na te kilka minut i żółcił.

Przylatywał też szczygieł, zawsze sam. „Nie do pomylenia – jak piszą autorzy „Ptaków. Przewodnika Collinsa" – dzięki czerwonemu licu i czarno-białej reszcie głowy, smoliście czarnym skrzydłom z szerokim żółtym paskiem skrzydłowym oraz wydatnemu białemu kuprowi i czarnemu ogonowi z białymi plamkami". Pobył chwilę, pobył, i odlatywał.

Zaglądała bogatka – może i wtapiałaby się w żółto-zielone stado czyży, gdyby nie zamieszanie, które zwykle wywoływała. Rozpychała się, wymachiwała ogonem, odganiała resztę.

Królową karmnika i tak była sierpówka. Siadała najpierw razem z samcem na gałęzi drzewa, naprzeciw balkonu, a potem zostawiała samca na straży i zabierała się za dziobanie ziaren. Już najedzona wlatywała na spadzisty dach karmnika, stała pewnie, jakby sprawdzała, czy wszyscy widzą, że tu była, tu zjadła, a teraz tu stoi, bo „tu" – jest jej miejsce.

Bywał i dzięcioł, choć trzymał się od karmnika z daleka. Zielony, z czerwoną czapeczką i kropkowanym brzuchem. Lubił pewną zabawę: przyczepiał się pazurami do pnia drzewa, a gdy widział, że ktoś nadchodzi, przesuwał się po pniu, dookoła, nie odlatując. Jeśli próbowało się obejść drzewo, by go zobaczyć, odrywał znów pazury i wędrował dalej dookoła pnia, chowając się po jego drugiej stronie.

Pojawienie się nowego ptaka rozpoczynało rytuał: wyjmowanie lornetki, zastyganie za zasłoną, robienie zdjęć z ukrycia, tylko po to, żeby potem, wertując atlasy, wszystko jeszcze raz porządnie sprawdzić: grzbiet dzioba – czy zagięty, kolor policzków albo nasady lotek – czy na pewno zgodny z opisem, profil – czy aby smukły

Wróble, które były od zawsze, nie wywoływały aż tylu emocji.

Niesłusznie.

2

„Uwijające się na podwórkach i ulicach niemal pod nogami przechodniów, zaglądające w poszukiwaniu poczęstunku na okna, obsiadające swarliwymi gromadami uliczne drzewa. A jednak gdyby spytać mieszkańców Stolicy, co wiedzą o tych najliczniejszych w mieście ptakach, to ogromna większość pytanych na pewno nie miałaby do powiedzenia wiele więcej ponad to, że żywią się okruchami chleba" – pisali w 1974 r. Maciej Luniak i Wiktor Pawłowski w książce „O ptakach Warszawy".

I wyliczali wszystkie paradoksy wróbla: „Z jednej strony to niedawny i zupełnie obcy naszej przyrodzie nabytek, a z drugiej przecież czuje się zadomowiony u nas jak mało które z rodzimych zwierząt. Mimo że należy do bardzo nielicznych ptaków o zupełnie osiadłym trybie życia, to podbój świata, jakiego dokonał w przeciągu zaledwie stu lat, nie ma sobie podobnego wśród ptaków" – pisali. I jeszcze na koniec: „mało znamy ptaków tak nieodłącznie związanych z człowiekiem i tak śmiałych w stosunku do niego – a jednocześnie tak bardzo ostrożnych i nieufnych".

Dziś być może mieszkańcy polskich miast dodawaliby jeszcze jeden fakt: wróbli jest coraz mniej.

3

Trzepot wróblich skrzydeł przy gnieździe rozlegał się na balkonie zwykle wtedy, gdy nikogo tam nie było. Jak dokładnie wróbel dostawał się do gniazda, było przez wiele tygodni tajemnicą. Musiał mnie jednego razu nie zauważyć, podleciał pod dach, a potem, jak koliber, zawisł na mniej niż sekundę w powietrzu i wsunął się w szczelinę.

„Pomimo gnieżdżenia się w najbliższym sąsiedztwie człowieka niechętnie wchodzą do gniazda, gdy są obserwowane" – zauważyli Jerzy Gotzman i Bolesław Jabłoński w książce „Gniazda naszych ptaków", która rozbudza wyobraźnię także dlatego, że dzięki niej można zajrzeć do schowanego pod dachem gniazda.

Wróble, podobnie jak dzięcioły czy krążące nad krakowskim rynkiem jerzyki, głośne i zjadające latem komary – są gniazdownikami. Zanim z uprawą zbóż, zwłaszcza owsa, dotarły do Europy, swoje gniazda wiły na Bliskim Wschodzie.

– Wróble nie od zawsze były dziuplakami – mówi dr Andrzej Węgrzynowicz, który pisał pracę doktorską w Muzeum i Instytucie Zoologii Polskiej Akademii Nauk, uczeń prof. Macieja Luniaka. – Wcześniej zakładały gniazda kuliste, z zadaszeniem, które chroniło przed słońcem i drapieżnikami. Gniazda miały otwór z boku. Można je było znaleźć na drzewach czy w krzewach. Dopiero w Europie stały się dziuplakami, zaczęły gniazdować w szczelinach.

Z Europy wędrowały dalej. „W Ameryce Północnej wszystko zaczęło się w roku 1850, gdy wypuszczono w Brooklynie 8 par wróbli przywiezionych z Anglii. Spodziewano się, że ptaki te będą zwalczać szkodliwe owady, a poza tym swym ćwierkaniem miały przypominać europejskim emigrantom Stary Świat. Niestety ptaszki zachowały się bardzo niewdzięcznie. Owadami interesowały się stosunkowo niewiele, a szybko ich rozmnażanie w całych Stanach Zjednoczonych stało się prawdziwą klęską dla plonów na polach i w sadach. Poza tym stały się groźnym konkurentem dla rodzimych ptaków blokując miejsca lęgowe szeregu gatunków. Poniewczasie wypowiedziano niewdzięcznym gościom bezwzględną walkę (...). Powstały specjalne kluby niszczycieli wróbli, wypłacano też premie za zabijanie tych ptaków i niszczenie ich gniazd" – piszą Luniak i Pawłowski.

4

W polskich miastach na gniazda wybierają zakamarki pod dachami budynków, przestrzenie za rynnami, szczeliny ścian, wnęki pod parapetami, rzadziej budki lęgowe czy stare gniazda bocianów i jaskółek, przeganiając je wpierw.

Węgrzynowicz, który w czasie badań do pracy doktorskiej obserwował wróble, notuje, że ich gniazda możemy znaleźć nawet na wysokości 36 metrów. Budują je głównie z traw i piór, czasem też znalezionych skrawków materiału, nitek i mchu. „Miejsce na gniazdo obiera zwykle samczyk. Sadowi się koło niego i głośnym ćwierkaniem ogłasza ofertę małżeńsko-mieszkaniową" – piszą Luniak i Pawłowski.

Być może i my najpierw zauważamy samca z wyraźnie ciemnobrązowym śliniakiem, który zachodzi aż do piersi, oraz brązowym pasem na boku głowy. A potem nieco bardziej spłowiałą samicę.

A na pewno usłyszymy. „Jednym z najbardziej znaczących ze wszystkich odkryć ornitologicznych było uświadomienie sobie, że organy wewnętrzne ptaków w strefie umiarkowanej poddawane są ogromnym sezonowym zmianom. Najbardziej oczywiste dotyczą gonad. Np. u samca wróbla zwyczajnego jądra zimą są niewielkie, nie większe niż łebek od szpilki, ↦

↦ ale podczas sezonu rozrodczego nabrzmiewają do rozmiarów fasoli. (...) – pisze Tim Birkhead w książce „Sekrety ptaków. Fascynujący świat ptasich zmysłów". I dodaje: „Te ogromne zmiany wyzwalane są przez zmiany długości dnia, które stymulują uwalnianie hormonów z mózgu i w stosowanym czasie z samych gonad. Hormony z kolei powodują zapoczątkowanie śpiewu u samców".

Śpiew ten Władysław Taczanowski charakteryzuje w opracowaniu „Ptaki krajowe" z 1882 r. tak: „Głosy wydają świergoczące, ostre i nieprzyjemne, rozmaicie je zmieniając, wyrażają różne okoliczności; cały ich śpiew wiosenny składa się z wrzasków tak nieprzyjemnych, jak ich wszystkie głosy".

5 W połowie kwietnia z ukrytego w szczelinie gniazda zaczęły dochodzić coraz głośniejsze popiskiwania. Znów na palcach, cichuteńko, zajrzałam tam. Małe musiały mnie zauważyć, bo szybko się schowały i na chwilę ucichły.

Wróble wyprowadzają zwykle trzy lęgi. Pierwsze jaja mogą złożyć już na przełomie marca i kwietnia. Kolejne w maju i ostatni lęg – na przełomie czerwca i lipca. – Z pierwszego i ostatniego lęgu wykluwają się zwykle trzy lub cztery wróble. Z drugiego – nawet sześć – opowiada Węgrzynowicz. – Drugi lęg przypada w czasie, gdy wróble mogą zapewnić małym najlepszy pokarm. Teoretycznie trzeci lęg, na przełomie wiosny i lata, też mógłby być większy, ale wróble są już wtedy dość zmęczone – wyjaśnia badacz.

Samica odżywia się sama, zostawiając na chwilę jaja. Zdarza się, że samiec wchodzi wtedy do gniazda i ją zastępuje – nie wysiaduje jaj, tylko je ogrzewa. – U samic występuje plama lęgowa, miejsce na ciele w okolicach kupra, gdzie tracą na czas lęgów pióra i dzięki temu mogą nagą skórą lepiej ogrzać jaja – mówi Węgrzynowicz.

Małe wykluwają się ślepe i nagie. Są karmione i ogrzewane przez rodziców. W ciągu dwóch tygodni rozwijają się niezwykle szybko. To jeden z najtrudniejszych momentów dla małych wróbli. – Dziuplaki, w porównaniu z ptakami, które budują gniazda otwarte, mogą mieć mniejsze straty. Jednak śmiertelność na tym etapie i tak wynosi nawet 20 procent. Powodów jest kilka: zdarza się, że jaja się nie zalęgną. Bywa, że samica, która poczuje zagrożenie, porzuca gniazdo. Dużą rolę odgrywa też zła pogoda i związane z nią trudności w znalezieniu pokarmu. Wystarczy, że przez dwa dni pada deszcz, a wróble już mają kłopot – mówi Węgrzynowicz.

Pierwotnym pokarmem wróbla były zboża. Już po wprowadzeniu się do miast zaczął korzystać z tego, co dostarcza mu człowiek: odpadów, ale także jedzenia w karmnikach. Małe, które szybko się rozwijają, potrzebują wysokobiałkowego pokarmu. Rodzice przynoszą im chrząszcze, muchy, pająki, mszyce, a nawet motyle, które wróble potrafią złapać w locie.

Po kilkunastu dniach piski z gniazda stały się cichsze, a na balustradzie balkonowej usiadły dwa duże wróble i trzy mniejsze.

6 Małe wróble, czyli podloty, które opuszczają gniazdo, przez kolejne dwa tygodnie są wciąż karmione przez rodziców.

Jak wygląda u wróbli zjawisko dyspersji, czyli rozchodzenia się młodych ptaków po uzyskaniu samodzielności? – Ptaki zwykle unikają tego, żeby zostawać w bardzo bliskiej odległości od miejsca, gdzie się urodziły, ze względu na możliwość skrzyżowania się z członkami rodziny. U wróbla zasięg dyspersji jest wyjątkowo niewielki. Wróble albo zostają w tym rejonie, w którym się urodziły, albo zakładają swoje gniazda w niedużej odległości, rzędu kilku kilometrów, podczas gdy u innych ptaków może to być nawet kilkaset kilometrów – mówi Węgrzynowicz.

Węgrzynowicz porównywał liczebność wróbli w latach 2005-2012 z wynikami liczenia w latach 70. i 80. XX w., które wykonywał m.in. prof. Luniak.

W Warszawie są trzy środowiska wykorzystywane przez wróble: największe, czyli osiedla mieszkaniowe, a także parki miejskie i skwery oraz ogródki działkowe. – Z moich badań wynika, że wróble niemal całkowicie zniknęły z ogródków działkowych, niewiele zostało ich także w parkach. Wciąż najlepszym miejscem są dla nich osiedla – mówi.

– Dlaczego znikają?

– Jedną z hipotetycznych przyczyn jest brak miejsc lęgowych. Wróble są kolonijne, to znaczy, że zakładają gniazda w sąsiedztwie innych wróblich gniazd. Jeśli nawet część z nich zostanie np. zatkana, bo ściany budynku są ocieplane, pozostałe wróble też się z tego miejsca wyniosą – mówi Węgrzynowicz.

– Znajoma ornitolożka opisywała taką interwencję – opowiada Dominika Piotrowska z Polskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków. – Przechodziła obok bloku mieszkalnego i zauważyła wróbla, który z pękiem owadów w dziobie próbuje przedostać się przez świeżo położoną zaprawę pod parapetem budynku.

TYGODNIK POWSZECHNY

Nasza autorka nominowana!

Jury 14. edycji Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego wytypowało dziesięć książek, które otrzymały nominacje. Pośród nich znalazła się „Głusza" Anny Goc – reportaż o sytuacji osób głuchych (teksty publikowane przez autorkę na łamach „Tygodnika Powszechnego" można znaleźć pod adresem powszech.net/glusza).

Nagroda im. Ryszarda Kapuścińskiego wyróżnia książki reporterskie, które podejmują ważne problemy współczesności, zmuszają do refleksji, pogłębiają wiedzę o świecie innych kultur. Trzymamy kciuki za wygraną i gratulujemy wszystkim nominowanym!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Skontaktowaliśmy się z ekipą, która robiła remont. Panowie twierdzili, że nie słyszeli pisków wróbli w gnieździe, bo mieli włączone radio. Udało się usunąć piankę, która nie dostała się do samego gniazda, i uratować wróble – opowiada.

– Inną hipotezą, potwierdzoną częściowo w zachodniej Europie, jest brak pokarmu dla młodych, na który wpływa m.in. intensyfikacja zabiegów ogrodniczych w mieście, zwłaszcza nadmierne strzyżenie trawników – mówi Węgrzynowicz. – Główną jednak przyczyną jest prawdopodobnie brak pokarmu dla ptaków dorosłych. Wynika to ze zmiany gospodarki śmieciowej. Kiedyś kosze na śmieci były otwarte na ulicy, ludzie wyrzucali tam resztki jedzenia, z których wróble mogły korzystać. Dziś wszystko jest zapakowane w woreczki foliowe, a do ich zawartości wróble nie potrafią się dostać. W miastach zaczyna brakować też chwastów czy traw, którymi wróble uzupełniają dietę miejską.

Wśród przyczyn Węgrzynowicz wymienia także drapieżnictwo wrony i sroki – gatunków, które od lat 70. i 80. gwałtownie zwiększyły swoją liczebność w Warszawie.

7 Pewnego dnia zrobiło się cicho. Nie było słychać wróbli ani o poranku, ani popołudniem, gdy zwykle obsiadały poręcz balkonową, ani wieczorem, przed zachodem słońca. Prawdopodobnie nie znikły, tylko – po zakończeniu okresu lęgowego – stały się cichsze.

– Ciekawostką i rzeczą niespotykaną wśród innych ptaków jest budowa gniazd jesiennych: wróble już jesienią dokładają materiał do istniejących gniazd po to, by uzyskać dobrą izolację i móc tam spędzać zimowe noce. A zimują nawet w grupach liczących kilka osobników – mówi Węgrzynowicz.

Parę dni temu w gnieździe zrobiło się znów głośniej. ©℗ ANNA GOC

Korzystałam m.in. z rozprawy doktorskiej Andrzeja Węgrzynowicza „Zmiany liczebności i uwarunkowania ekologiczne populacji wróbli Passer domesticus i Passer montanus" (2013), a także z książek: J. Gotzman, B. Jabłoński „Gniazda naszych ptaków" (1972), Jan Sokołowski „Ptaki Polski" (1972), T. Birkhead „Sekrety ptaków. Fascynujący świat ptasich zmysłów (2012), M. Luniak, W. Pawłowski „O ptakach Warszawy" (1974), W. Taczanowski „Ptaki krajowe", t. 1 (1882), L. Svensson, „Ptaki. Przewodnik Collinsa" (2021).

STANISŁAW

Mancewicz: *Odchylacz klapy*

Od lat prowadzimy skromne badania nad własnymi odruchami. Są to profesjonalne rejestry wszystkiego, co w naszym zespole behawioralnym uznajemy za myśli odruchowe. Można rzec, że – patrzymy teraz na równe rzędy oprawnych w półskórek notesów zapisanych maczkiem – zapiski te prowadzimy od schyłku PRL-u.

Oto pośród tutejszych rzesz historyków nie było, nie ma i nigdy nie będzie zgody na ustalenie, kiedy PRL stał się schyłkowy. Dla jednych był już schyłkowy w chwili, w której go powołano, dla innych nie był schyłkowy nigdy. Uważają, że PRL wraz z komunizmem upadł dzięki siłom wyższym, a więc nagle, że nikt się owego upadku nie spodziewał. Pośród tych skrajności mamy dziesiątki opinii, opartych na różnych wydarzeniach – od mistycznych po gospodarcze. A nasza opinia jest ostrożna, bowiem nie chcemy aplikować rzeszom czytelniczym kolejnych, a zasadniczych podziałów. Na własny, towarzysko-domowy użytek, totalną peerelowską schyłkowość wyznaczamy powstaniem i dystrybucją dwu gadżetów motoryzacyjnych: turbinki Kowalskiego oraz odchylacza klapy. Poczuliśmy w tej chwili kwaśny zapach zawiści wydobywający się z tysięcy uchylonych okien instytutów historii najnowszej bądź analizujących idee – od brązowego dorzecza Bugu po lazurowe od chemikaliów wody Odry – i wdychamy ten zapach z upodobaniem.

Tak, drodzy państwo – schyłkowość PRL-u to turbinka Kowalskiego. Było to licencjonowane przez państwowe agendy urządzonko, czy może dings (co za słowo!) mający zmniejszyć spalanie benzyny w samochodach Fiat 126p. Montowane w czasach szalonego kryzysu paliwowego, samoistnie się rozpadało, niszcząc przy tym silnik. A odchylacz klapy? Z nieskrywaną satysfakcją patrzymy teraz na szeroko otwarte, okrągłe ze zdumienia oczy historyków i śmiejemy się w kułak, gdy zawzięcie wertują internet. Jaki odchylacz? Co to? Po co? Kto? Kiedy? Można by oszczędnie, ale i sadystycznie odpowiedzieć, że odchylacz odchylał klapę. Gdy jednak człowiek już się nasyci triumfem intelektualnym, trzeba być precyzyjnym: odchylacz klapy służył do permanentnego utrzymywania odchylonej klapy silnika fiata 126p. Po co? Ano po to, by silnik się nie przegrzewał. Czy ktoś gdzieś w świecie motoryzacji używał odchylaczy klap? Produkowanych na państwowej licencji i sprzedawanych w państwowych sklepach z samochodami i częściami do nich? Nie. Dlatego właśnie PRL musiał być w schyłku, a jak się w nim już znalazł, to musiał upaść. Taka jest dynamika i konsekwencja wszystkich schyłków.

Wracając teraz do naszych notatek z odruchami, możemy wreszcie precyzyjnie datować powstanie pierwszej z nich. Był to dzień, w którym zobaczyliśmy na ulicy Krakowa, w zimie, małolitrażowe auto marki Fiat 126p z zamontowanym odchylaczem klapy. Jechał nie grzejąc się. To wtedy pomyśleliśmy: brawo. Komunizm wraz z PRL-em upadnie. To był odruch wzmocniony inteligentnym przełożeniem sobie na polski łacińskiego słowa „fiat" – „niech się stanie". I stało się.

A więc przez ostatnie trzy dziesiątki lat z okładem notowaliśmy nasze odruchowe myśli, a dotyczyły one głównie tutejszych idei i działań ludzi władzy, z których wielu było i jest *de facto* władcami z przekonań i charakteru. Zdolnymi – to oczywiście przenośnia – do odchylania klapy. Jest to najciekawszy element polskiej polityki, determinujący nasze tu myślenie o niej. Weźmy przykład pierwszy z brzegu. Załóżmy, że czeka nas spotkanie z interpretacją dowolnej ustawy, paragrafu, przepisu, uchwały, zasady czy jakiegokolwiek regulaminu. Wiemy, że będzie to spotkanie trudne. Jak Polska długa i szeroka, ludzie mający tu interpretować, a więc decydować, odruchowo unikają tej czynności jak ognia. Z odruchowej obawy przed odpowiedzialnością za interpretację właśnie. Przecież może się to komuś nie spodobać. Wiadomo. A zatem odruchowo szukamy wyjścia. Czy jest w Polsce ktoś, kto się nie boi interpretacji? Ktoś, kto odchyla klapę? Kto działa bez żadnego trybu? Oczywiście. To wasz najwyższy pan i władca. Do niego dzwońcie w każdej sprawie. W każdej. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

Wiosna na okrągło!

REKLAMA

Kup na przekroj.pl

Dochód ze sprzedaży kwartalnika przeznaczamy na działalność statutową Fundacji PRZEKRóJ

SOS WIOSKI DZIECIĘCE
REKLAMA
POMÓŻ DZIECIOM W NIERÓWNEJ WALCE Z ŻYCIEM
Przekaż 1,5%
KRS 0000 056 901